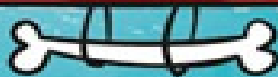


kryminal pod pseem



MARTA MATYSZCZAK



TAJEMNICZA
ŚMIERĆ
MARIANNY BIEL



WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

MARTA MATYSZCZAK

TAJEMNICZA
ŚMIERĆ
MARIANNY BIEL



WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

WROCŁAW 2017

Projekt okładki
ILONA GOSTYŃSKA-RYMKIEWICZ

Redakcja
ANNA JACKOWSKA

Korekta
BOGUSŁAWA OTFINOWSKA

Redakcja techniczna
KRZYSZTOF CHODOROWSKI

Polish edition © Publicat S.A., Marta Matyszczak MMXVII (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora,
w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.
All rights reserved.

Wydanie elektroniczne 2017

ISBN 978-83-271-5694-5



jest znakiem towarowym Publicat S.A.

Publicat S.A.

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00
e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



Mojemu Damianowi – najlepszemu mężowi na świecie

Autorka zaświadcza, że wszystkie występujące w powieści postacie i większość instytucji w rzeczywistości nie istnieje, a jakiegokolwiek podobieństwo do tychże jest przypadkowe i niezamierzone. Do tego przyznaje się bez bicia, że z premedytacją oraz według własnego widzimisię namieszała w topografii Chorzowa i okolic.

Prawdą o człowieku jest przede wszystkim to, co ukrywa.

André Malraux

*Samotność to piękna rzecz, ale potrzebny jest ktoś,
komu można powiedzieć, że samotność to piękna rzecz.*

Honoré de Balzac



MARIANNA BIEL

SZYMON SOLAŃSKI

GIERŁOCHOWIE

RÓŻA KWIATKOWSKA

POLACZKOWIE

BRYGIDA BUCHA

KSIĘGARNIA WYRAZY

113

PROLOG

Plama przybrała kształt Afryki. Wsiąkała w betonową posadzkę z determinacją, jakby postanowiła zagościć tu na dłużej. W tej zatęchłej piwnicy z zakratowanymi oknami. W węglowym pyłe. Wśród zapachu pieczonych na niedzielny obiad rolad, mieszającym się z odorem moczu okolicznych burków i wyliniałych kić, jak również okolicznych i wyliniałych meneli. W półmroku, bo żarówkę pewnie znów pożyczył sobie na wieczne nieoddanie stary Rom z kamienicy obok – „przecież te energooszczędne są takie drogie”. W zaduchu sierpniowego popołudnia, kiedy upał przypuszczał ostatni atak przed jesienną kapitulacją.

W sumie nie było wiadomo, jak to jest z tą plamą. Czy to konfitura, czy może jednak krew. Jeszcze chwilę wcześniej maliny stały na wygryzionym przez korniki regale, bezpiecznie zawekowane w słoiku po tym, co oto królem jest majonezu. Teraz rozmazywały się po podłodze, zabarwiane ciemniejszą o ton barwą strużki, która ciekła z potylicy tej pani. Regał też już nie stał na swoim miejscu. Jego szczątki walały się po ziemi między potłuczonym szkłem.

Kobieta mogła sobie darować z tymi malinami. Wiadomo, że nie ma to jak domowe przetwory, ale nieboraczka sama pewnie by przyznała, że w zaistniałej sytuacji zdrowiej było zjeść dżem z dyskontu, niż spoczywać z roztrzaskaną głową w owocach, krwi, odłamkach szkła, szczapkach drewna, kurzu i w całym tym chłampie, co na podłodze po piwnicach leży.

Z porzuconej pod ścianą sterty rupieci zeskoczył na kobietę kot. Bury dachowiec ze świecącymi na zielono ślepiami. Delikatnie stąpał

po jej plecach, z ciekawością przekrzywił łeppek i mruczał swoje kocie murmurando. Zatrzymał się w plamie krwi. Znieruchomiał. A potem czmychnął, zostawiając na ziemi brunatne odciski łap. Nadgryzione przez rdzę metalowe drzwi zatrzasnęły się za nim z głuchym łoskotem. Może to szarogęsił się wiatr – zwiastun nadchodzącej burzy, zapowiedź końca tego zatykającego pory, niemal afrykańskiego lata.

Rozdział 1

PIERWSZE KOTY ZA PŁOTY

Jak na przykładnego kundla przystało, potrafiłem rachować do pięciu. Dobrze, że na tym kończyły się moje zdolności matematyczne, bo jeszcze bym się doliczył, która to już jesień mijała mi w schronisku. Na pewno nie pierwsza, a – jak lubiłem powtarzać, użalając się nad sobą – być może ostatnia.

Lato zaczęło żegnać się z tym padołem. Przez stalowe kraty czasem wpadł mi do kojca zbłąkany pożółkły liść. Słońce świeciło jakoś tak matowo i bez zaangażowania. A kiedy wrzesień chlusnął deszczem, to mi się w budzie powódź zrobiła. Mógłbym napisać do premiera z prośbą o odszkodowanie, bo się nie zdążyłem ubezpieczyć, ale przez tę jesienną melancholię odechciało mi się nawet cwaniaczyć.

Tego poranka pani dyrektor zjawiła się dość wcześnie. Po niej przyszli wolontariusze oraz bliźniaczo podobni do siebie Jarek i Marek – dwaj pielęgniarze, których bałem się jak diabeł święconej wody. Za każdym razem, gdy przyuważyłem jednego z drugim, na wszelki wypadek uderzałem w ryk. Tak na nich czekałem, że zatykali uszy i szli sobie precz, a ja oddychałem z ulgą.

Postawili stolik przed wymalowaną na zielono bramą wjazdową. Drugi ulokowali przed wejściem do biura. Poprzymosili smycze i kolorowe apaszki. No to już wiedziałem, co się święci. Parada Kundelków. Co miesiąc, przy sobocie po robocie, złaziła się do nas na Opolską prawie setka człowieków i zabierała nas na zbiorowy

spacer, najczęściej nad pobliski staw zwany Amelungiem. Tu muszę zaznaczyć, że zaraz po pełnej misce najbardziej przepadam właśnie za spacerami. Ale kiedy siedzisz w kiciu, to masz raczej marne szanse, żeby poczuć wiatr w uszach i świeżo skoszoną trawę pod łapami. Dlatego z utęsknieniem wyczekiwaliśmy z kolegami na te chwile. Niestety, jak dotąd nie załapałem się jeszcze na udział w paradzie. Zawsze zamiast mnie wylosowywano kogoś z pozostałych kilkuset rezydentów schroniska. Można by o mnie powiedzieć wiele rzeczy: że jestem na swój sposób przystojny, inteligentny, a nawet pachnący fiołkami, ale nie że mam farta. Spytajcie mnie, na jakie numerki postawić w totka, potem skreślcie inne, a zostaniecie milionerami.

Tym razem znów miałem się obejść smakiem. Nikt mnie przecież wcześniej nie zaprosił do spa, a tylko ci wypachnieni mogli liczyć na udział w imprezie. Zastanawiałem się, czy mój pech nie wywodzi się przypadkiem z tego, że niby mam mordę jak ta psina z *Lassie, wróć!*, ale jednak nie do końca. W moim drzewie genealogicznym pełno było niespodzianek, które teraz pluły mi w mordę brakiem ludzkiego zainteresowania.

Dyrektorka ruszyła na obchód wzdłuż boksów. Przykleiłem się do kraty w nadziei na małe drapanko.

– Poszedłbyś na spacer? – zadała retoryczne pytanie, mizając mnie za uchem.

Żeby się nie zdążyła rozmyślić, spróbowałem precyzyjnie łeb przez kraty. Przeszedł, ale drogi powrotnej już nie było. Utknąłem! Zacząłem – całkiem, przyznam, niemęsko – pisać.

– Pójdiesz, pójdiesz – zapewniła mnie szefowa.

Chyba tylko za sprawą zastępów anielskich uwolniłem wreszcie głowę z potrzasku. Ze szczęścia stanąłem na swoich tylnych łapach, a w zasadzie na półtorej łapy. Zawyłem donośnie do tych wszystkich wykąpanych naiwniaków.

– Słyszeliście? Idę na spacer! Bez mycia! – darłem się, ale szybko przestałem, bo dobiegło mnie, co ta nierozsądna kobieta mówi do Jarko-Marka (kocia ich mać).

– Zróbcie mu szybki prysznic, żeby nie narzekali na smród.

Wyrok zapadł. Pielęgniarka zapięła mi smycz i pociągnęła przez podwórko do murowanego budynku, w którym znajdowało się miejsce kaźni. Nie oszczędzę wam szczegółów, żebyście mieli świadomość, że tych dwóch neandertalczyków wsadziło mnie na chłama do wanny, zalało mi oczy zbyt mokrą wodą, nakidało na mnie szamponem, który zalały gorzej niż stado podhalańskich baranów, potem znów mnie pomoczyło, wytarło ręcznikiem, żeby wreszcie wysuszyć suszarką do włosów! Skalę mej niedoli pojmą tylko ci, którzy też kiedyś mieli do czynienia z tym bucującym, ziejącym z paszczy potworem. On właśnie – jestem tego pewny – stanowi najczęściej używany przez służby wywiadowcze środek nacisku zaraz po waterboardingu.

Taki byłem rozżalony krzywdą, jaka mnie spotkała, że po pierwsze, zapomniałem ugryźć któregoś z tych znęcających się nade mną półgłówków, a po drugie, nawet nie zauważyłem, kiedy zaczęli schodzić się ludzie. Wolontariuszka trzymała mnie na smyczy razem z beagle'em o imieniu Franek. Ten powarkiwał ukradkiem, tak żeby dziewczyna nie słyszała, i – przysięgam – poszturchiwał mnie w kikut, który tkwił w miejscu tylnej lewej łapy. Z szoku nie zdążyłem nawet na niego napyskować. Stałem tylko i gapiłem się jak cielę na malowane, jak już wspominałem – na zielono, wrota. Myśli kłębiły mi się pod kopułą. Który człowiek mi przypadnie? Czy da mi parówkę? Pozwoli pociągnąć się za smycz?

Przybysze podawali swoje nazwiska i dostawali numerek, za który potem otrzymywali psa na smyczy. Nie było wybrzydzenia. Chętni musieli brać jak leci, tego czworonoga, którego im przydzielono.

W bramie pojawił się jakiś facet. Wysoki, chudy, ubrany w sprane dżinsy i kurtkę w kolorze khaki. Spod tej kurtki wystawała mu wygnieciona, niegdyś czarna koszulka z napisem „Lady Pa_k”. Wiatr rozwiewał mu czuprynę czarnych włosów, a on miętosił w rękę karteczkę z numerkiem. Drugą ręką drapał się po trzydniowym zaroście. Rzucał na boki podejrzliwe spojrzenia. Minę miał taką, jakby z całej siły powstrzymywał się przed tym, żeby nie zawrócić na pięcie i nie uciec tam, skąd przyszedł.

„Nie rób tego!” – krzyknąłbym do niego, gdyby mnie nie замуrowało z emocji.

Zawsze mam wiele do powiedzenia, ale jak przyjdzie co do czego, to zapominam języka w pysku. Postanowiłem więc wypróbować na tym osobniku swoje umiejętności hipnotyzerskie. Zaparłem się łapami, wybałuszyłem oczy i wystawiłem język. Chyba podziałało, bo koleś podszedł wreszcie do wolontariuszki i podał jej wygniecioną – jak, nie przymierzając, psu z gardła – kartkę.

– Nazwisko? – Dziewczyna musiała sprawdzić dane faceta także na swoim spisie.

– Solański – odparł niskim, chrapliwym głosem.

– Proszę, to jest Franek. – Poczęła wciskać mu smycz z beagle’em.

Chyba przesadziłem z tą hipnozą, bo stałem teraz jak ten słup i nawet nie potrafiłem zaprotestować. Przecież nie tak miało być. To ja miałem iść z tym chudym chociaż na te dwie godziny spaceru. Kiedy tylko stanął w bramie z miną uciekiniera, od razu wiedziałem, że on jest mój! No dalej, proszę państwa, nie róbmy scen, widać przecież, że zaszła pomyłka! Franek niech idzie z jakąś paniusią, która doceni jego rasowość, a ja chcę z tym, który mi wygląda na takiego jak ja kundla, tyle że ludzkiego.

Miałem to wszystko powiedzieć, ale tylko zwiesiłem łeb i podkuliłem ogon. Nie było sensu walczyć z losem. Pech to moje

drugie imię.

– Tego biore. – Usłyszałem nad głową.

– Ale... – Wolontariuszka zamilkła w pół zdania.

Temu mężczyźnie się nie odmawiało. Podała mu moją smycz. A mnie odblokowało.

– Słyszałaś? – rzuciłem do dziewczyny. – Jak mówi, że tego, to tego, a nie tamtego. To chyba jasne, co nie?

Tak się przy tej wypowiedzi zaplułem, że aż mi się moja naturalna krawatka pod brodą – ruda, tak zwana podpalana, na czarnym tle – posklejała. Walnąłem Solańskiego łapą w piszczel na znak porozumienia. Spojrzał na mnie stalowym wzrokiem siwych oczu i... wyciągnął z kieszeni kurtki parówkę, po czym wetknął mi ją do pyska. Powiedzcie sami, czy byście takiego nie pokochali od zaraz? Zeżarłem dar, nawet nie siląc się na przeżuwanie.

Całkiem pojętny był ten patyczak. Bez protestów dał się wyprowadzić na zewnątrz. Sadził za mną wielkimi susami swoich nienaturalnie długich i cienkich nóg odzianych w zdeptane trampki. Tym sposobem dotarliśmy do obrośniętego chabaziami pola. Obiegliśmy je w prawo ze dwa razy. Potem ze trzy razy w lewo. Mój kikut wcale mi nie przeszkadzał w tej lekkoatletyce. Załatwiłem palące potrzeby, na amerykańskich filmach zwane *number one* oraz *number two*, i wreszcie mogłem nadstawić łeb do głaskania. Solański przykucnął. Ostrożnie położył mi dłoń na głowie. Miał suchą, chropowatą skórę, krótko przycięte paznokcie, długie i szczupłe palce. Rękaw kurtki podwinął mu się do łokcia, odsłaniając czerwoną bliznę na przedramieniu. Skorzystałem z okazji, podskoczyłem i liznąłem go w nos. Parsknął, wytarł się i pogrzebał w kieszeni.

– Masz. – Rozmowny to ten jegomość nie był, ale miał, na moje oko, ze dwa kilo parówek poutykanych po kieszeniach, więc byłem pewny, że dogadamy się bez słów.

Nażarłem się jak, nikogo nie obrażając, świnia. A potem pani dyrektor dała znak, że ruszamy! Wrześniowa Parada Kundelków rozpoczęła przemarsz – ze mną na czele! – w kierunku owego tajemniczego Amelungu. Ile ja miałem krzaków do obwąchania! Ile wiadomości do pozostawienia dla potomnych! Nim się z wszystkim wyrobiłem, dotarliśmy nad staw. Nie robiłem siary z włożeniem do wody jak inni, bo limit kąpieli wyczerpałem na najbliższe dziesięciolecie. Za to spod oka przyjrzałem się Solańskiemu. Dziwny był. Nic nie gadał. Jakiś taki chmurny, nieobecny, zamyślony. No i kiedy mu jakaś mamuśka, goniąca po trawniku za rozwrzeszczanym bachorem, zwróciła uwagę, żeby trzymał psa krótko, to jej powiedział, że ma spierdalać. Serio, serio, to cytat.

– No, stary, ty to jesteś do rany przyłoż. Dusza towarzystwa – zakpiłem. I byłem taki dumny! Bo pierwszy raz w życiu ktoś stanął w mojej obronie.

Podobno my – psy – nie mamy poczucia czasu. Może to i prawda, ale nawet każdy trzeźwo myślący homo sapiens przyznałby, że nasz spacerek przeleciał stanowczo zbyt szybko. Nie zdążyłem dobrze obślinić Solańskiego i zakłaczyć mu dżinsów, gdy już na powrót staliśmy przed bramą schroniska, a dyrektorka odbierała psy od uczestników parady. Cieszyłem się, że potrafię udawać takiego twardziela, ale moja dusza, przyznam się wam, krwawiła. Jednak gdy spojrzałem na Franka, który zapierał się łapami, wzbijając tumany kurzu, a do tego piszczął wniebogłosy, żeby go nie oddawać, doszedłem do wniosku, że oszczędzę Solańskiemu scen. Nie zasłużył na takie cyrki. Spuściłem nos na kwintę, zwiesiłem ogon i pozwoliłem odholować się do boksu.

Zza krat odprowadziłem Solańskiego wzrokiem. Biegł, potykając się o własne nogi. Stanął tyłem do mnie przy zaparkowanym przed bramą samochodzie, którego lata świetności minęły w zeszłym

wieku. Ukrył twarz w dłoniach. Zadał takiego kopa drzwiczkom swojego klekota, że aż mu się wgięła karoseria. A potem wsiadł do auta i odpalił silnik.



Pod chorzowski familok podjechała skoda fabia. Jej szarą karoserię znaczyły rdzawe cętki, a rura wydechowa kłębamii dymu zdawała się obwieszcząć światu wybór nowego papieża. Kierowca nie wyhamował i zawadził błotnikiem o ustawioną przy bramie skrzynkę elektryczną. Zatelepało tobołami przywiązanyi do bagażnika na dachu. Drzwiczki zaskrzyphiały. Na chodniku stanęła obuta w brudny trampek stopa. Z trampka wystawała nadspodziewanie chuda i długa noga. Należała ona do mężczyzny, który wreszcie wygramolił się z auta. Przyjrzał się napisom pstrzącym pokryte sadzą cegły elewacji. Dowiedział się, że *Cwajka rulez*, że *CHWDP*, że *Ruch Pany*, a *Legia huje*, czemu dano wyraz bez poszanowania ortograficznych prawideł.

Z mieszczącej się na parterze kamienicy księgarni Wyrazy wyszła kobieta w średnim wieku. Ubrana była w kostium, za który można by kupić kilka takich szarych samochodów. Na pierwszy rzut oka widać było, że nie wpisuje się w krajobraz tej porzuconej przez współczesną cywilizację, Urząd Miasta, Boga jedynego i zastraszonego kuratora ulicy.

– Pirat drogowy! – zwróciła się do mężczyzny.

Facet przyjrzał się kobiecie uważnie, mierząc ją stalowym spojrzeniem. Bez słowa obszedł samochód i ocenił straty. Kopnął w wygięty błotnik, najwyraźniej sprawę reperacji uważając za zamkniętą.

– Mówię do ciebie! – gderała baba. – Menelstwo, cygaństwo i bandytyzm! W biały dzień! A do tego śmierdzi!

– To naprawdę nie od nas. – Z księgarni wychyłała drobna, czterdziestoletnia szara mysz.

– Gromadzicie makulaturę i zgnilizna wam się zrobiła. – Nie dawała za wygraną elegantka. – Oddychać nie sposób!

To powiedziawszy, zakręciła się na obcasie czarnych louboutinów i błyskając czerwonymi podszewkami, oddaliła się w głąb ulicy. Po kilku krokach skręciła za wciśnięty tuż obok familoka apartamentowiec. Ten, w towarzystwie porastających przez lata węglowym pyłem kamienic przy ulicy 11 Listopada, wyglądał jak złota plomba na tle szerniałych zębów.

– Wyższe sfery – sarknęła mysz z księgarni.

Mężczyzna przyglądał się pokrytej szarym tynkiem elewacji apartamentowca. Niektóre z trzyszybowych okien otoczono czerwoną obwódką – taki ukłon w stronę familokowej tradycji krwistych framug. Z tą różnicą, że farba raczej nie pochodziła z deputatów, jakie niegdyś przyznawano górnikom w kopalniach. Choć gruby, jak je tu zwano, zamknięto, a drewniane okna wyparły „plastiki”, to pewne rzeczy nie zmieniały się od pokoleń.

Widać było, że architekt bardzo się starał wtopić kamienicę w tutejszy krajobraz. Jednak zbliżona kolorystyka czy kształt okien nie były w stanie odwrócić uwagi od najeżonego kamerami płotu otaczającego posesję. Ten płot zdradzał wszystko. Wyznaczał granicę między „my” i „oni”. My mieliśmy w podziemnym garażu zaparkowane lexusy. Oni szli na tramwaj przecnicę dalej. My na balkonie trzymaliśmy donice z przyszczyżonymi w geometryczne bryły iglakami. Oni chowali tam zardzewiałe wózki do transportowania wyzbieranego z podwórek złomu. My pod oknem zbudowaliśmy piaskownicę i zjeżdżalnię dla naszych dzieci. Oni hodowali kury, by je w czarnej godzinie zarznąć i zjeść. Śmiało więc można było pokusić się o stwierdzenie, że próba asymilacji nie

przebiegła pomyślnie.

– Pan jest tym nowym lokatorem spod szóstki? – Kobieta oparła się o szybę wystawową, w której można było dojrzeć dowód na prawdziwe porozumienie ponad podziałami. Obok *Komisarza Hanusika. Piąrszej kryminalnej komedycji we ślonskij godce* Marcina Melona stał *Zmierzch Johana Theorina*, a z drugiej strony *Stojąc w cudzym grobie* Iana Rankina. Ślżak, Skandynaw i Anglosas grali w jednej kryminalnej lidze. – Anna Polaczek – przedstawiła się, nie czekając na odpowiedź. – Mieszkamy z mężem i córką nad księgarnią.

Mężczyzna w innych okolicznościach zignorowałby babę, ale Rankin zmieniał postać rzeczy.

– Solański – wymamrotał.

Zastanowiło go, jakim cudem w tym rejonie mogła funkcjonować księgarnia. Bardziej odpowiednia byłaby mordownia, ewentualnie całodobowy sklep monopolowy.

– Pierwsza sąsiedzka porada. Pan uważa na Buchtę spod dwójki i tego jej... – Anna machnęła ręką w stronę lokalu na wysokim parterze, usytuowanego naprzeciw jej własnego mieszkania. – Pewnie podgląda nas teraz zza firanki.

Solański zadarł głowę. Zlustrował swój nowy dom. Familok gapił się na niego zaczerwienionymi oknami. Mężczyzna wciągnął w płuca powietrze przesiąknięte zapachem węgla, smażonych kotletów, śmieci, uryny i zgniłej marchewki. Damulka z apartamentowca miała trochę racji. Smród wybijał się tutaj ponad przeciętność. Solański sięgnął wzrokiem drugiego, ostatniego piętra. Na ulicę wychodziły trzy okna, które nawet z tej chodnikowej perspektywy wyglądały na przeraźliwie brudne. Pewnie nie zmusi się do umycia swojego.

– Bracia Gierlochowie, ci, co nad nami, ciągle się biorą za łby, ale są nieszkodliwi. – Anna ciągnęła opowieść, nie zważając na milczenie Solańskiego. – No a naprzeciwno nich mieszka ta... – Polaczek nie

zdążyła dokończyć zdania.

W wysprejowanej przez pseudokibiców, ziejącej zepsutym powietrzem niczym rozwarta gęba bezzębego pijaka bramie, nad którą przybito niebieską tabliczkę z numerem sto trzynaście, stanęła potężna osobniczka i wymierzyła w Annę pulchny palec.

– Ta co? – zapragnęła się dowiedzieć.

– Ta dziennikarka, Kwiatkowska – odparła Polaczek i skryła się w czeluściach swojej księgarni.

– Szymuś! – wrzasnęła grubaska i rzuciła się Solańskiemu na szyję.

– Doszły mnie słuchy, że będziemy sąsiadami. Trzeba to opić!

– Róża – westchnął.

To była chyba jedyna osoba, do której Solański bez zająknięcia zwracał się po imieniu. Resztę świata wyzywał nazwiskami, zniechęcając do poufałości.

Kwiatkowska była jego rówieśniczką. Ramię w ramię wspinali się na kolejne szczeble chorzowskich placówek oświatowych, od Przedszkola nr 13, poprzez Szkołę Podstawową nr 1, po liceum Słowaka. Zawsze lądowali w tej samej klasie. Na studia też poszli na jeden wydział, tyle że Róża wybrała politologię, bo była tam specjalizacja dziennikarska, a Solański, który nie wiedział, co zrobić ze swoim życiem, osiadł na neutralnej mieliźnie socjologii.

– Nic się nie zmieniłaś – palnął banałem. To była jednak prawda, choć w żadnym razie komplement.

Kwiatkowska w przeszłości grzeszyła masą, ale nie urodą. I tak pozostało do dziś. Tłuste, mysie włosy oblepiały ciasno jej czaszkę, kartoflowaty nos świecił niczym latarnia morska, a ubranie (Solański był o tym przeświadczony) Róża musiała kupić sobie w sklepie z namiotami.

– No nie. – Dziennikarce zrzędała mina. – Za to ty wychudłeś. I jakoś tak... poszarzałeś? – Zakryła usta dłonią niczym wystraszone dziecko. –

Znaczy... to zrozumiałe...

– Daj spokój – uciął.

Ściągnął z dachu samochodu plecak ze stelażem i zabezpieczone taśmą klejącą kartony. Ugiął się pod ich ciężarem.

– Pomogę ci z tymi manelami. – Róża chwyciła za plecak.

– Czekaj. Jeszcze on. – Szymon otworzył tylne drzwi auta. – Chodź!

– Klepnął się w udo.

Z pojazdu wyskoczył sięgający kolana czarny kundel z rudą krawatką i klapniętymi uszami.

– A to kto? – Róża wybałuszyła oczy.

– Gucio – dokonał prezentacji Solański.

Pomyślał, że przybył mu drugi przyjaciel, do którego będzie mógł się zwracać po imieniu.

Rozdział 2

TU LEŻY PIES POGRZEBANY

Chciało mi się wyśpiewywać na całe ryło, że mój jest ten kawałek podłogi, ciasny, ale własny. Gdyby jeszcze się kto nie pokapował, śpieszę donieść, iż znalazłem dom! Lokum w cudownie śmierdzącym familoku. Pokój z kuchnią i łazienką. Podłogę w mieszkaniu wyłożono zielonym linoleum, po którym ślizgałem się, mimo że próbowałem wbijać pazury w podłoże. Ściany miały kolor jajeczniczy, która nie doczekała się przetrawienia, a mimo to ponownie ujrzała światło dzienne. Prawie wcale nie było tam mebli. W kuchni stały stół i krzesło. Był też poobijany emaliowany zlew, a także mikrofalówka. W pokoju obok żółtego kaflowego pieca na węgiel na gołej podłodze leżał materac. Od razu wypróbowałem jego parametry. Po wydrapaniu w nim dziury, okręceniu się wkoło z pięć razy i wygodnym wymoszczeniu stwierdziłem, że przeszedł test pozytywnie. Z sufitu zwisały osamotnione żarówki. Okna były zapaprane, a ze ścian sypał się tynk.

Jednak najlepsze było to, że prócz domu miałem też własnego, osobistego pana.

Tego sobotniego przedpołudnia pod bramą schroniska Solański zdewastował sobie karoserię, wsiadł do samochodu, odpalił silnik i równie szybko go zgasił. Wyskoczył, jakby go siedzenie w zadek parzyło. Szarpnął przerdzewiałą furtkę i pognął do biura. Już po chwili ciągnął za sobą dyrektorę i pokazywał jej mnie palcem. Formalności nie potrwały długo, a ja wreszcie mogłem umościć się

na fotelu pasażera w szarej skodzie fabii. Przez uchylone okno usłyszałem jeszcze, co Jarek mówi do Marka (albo na odwrót).

– Przecie łon jest stary i żadny.

– No – odpowiedział mu inteligentnie kolega. – I nie ma kawałka szłapy, a do tego ślepy jest na jedno oko.

– No – potwierdził ten pierwszy. – I do tego kundlisko. A tyle rasowych mamy.

– To dlaczego on go wziął?

– A cholera łonego wie – poinformował Jarka Marek (albo w drugą stronę).

Zyskałem też nową koleżankę. Nazywała się Róża Kwiatkowska i było ją czuć zjedzonymi na śniadanie kiełbaskami.

– Guciunio! – Wzięła mnie na ręce i przytuliła do solidnych rozmiarów biustu.

Czułem, że zostaniemy przyjaciółmi od serca. Szczególnie biorąc pod uwagę sprawę owych kiełbasek. Podobno przyjaciele powinni dzielić się ze sobą wszystkim, jak leci.

Róża była naszą sąsiadką. Mieszkała pod nami, pod numerem czwartym. Teraz przyglądała się uważnie Szymonowi, ale on tego nie zauważył, bo z rezygnacją obchodził nasze cztery kąty.

– Ja pierdołę – wyraził zbyt pochopną, gdybyście mnie spytali o zdanie, opinię.

Naprawdę nie wiem, co mogło mu się nie podobać. Wtchaliśmy już na drugie piętro jego plecak, wielką pakę, która kryła w sobie wyliniały fotel, i sterty kartonów z książkami, którymi można by oddzielić z dziesięć bibliotek. Obiecałem sobie spytać Solańskiego w wolnej chwili, czy nie słyszał przypadkiem o roztoczach oraz o czytnikach i e-bookach.

Wskoczyłem na fotel i zapadłem się w głąb mebla. Westchnąłem z ulgą. Do pełni szczęścia brakowało mi tylko schabowego.

– Daj psu jeść – powiedziała Róża. – Pewnie jest wygłodzony po tym obozie koncentracyjnym.

– Zżarł dwa kilo parówek. Myślę, że jakoś wytrzyma do kolacji. – Solański obracał w rękę pęk kluczy. – Kto mieszka naprzeciwko? – spytał, wystawiając głowę przez drzwi na klatkę schodową.

Róża jednak nie wiedziała, czy lokal pod piątką jest zajęty. Mówiła, że jakiś czas temu mieszkała tam pewna starsza pani, ale dawno jej nie widziała. Solański poprosił Różę, żeby zaprowadziła nas do piwnicy, bo był ciekaw, czy przydzielone mu pomieszczenie nada się do czegoś. Zeskakiwałem ostrożnie z drewnianych, wyszlizganych przez kolejne górnicze pokolenia stopni, wciąż przybijając nosem do łydki Szymona. Solański otworzył prowadzące do podziemi drzwi jednym z kluczy spiętych breloczkiem. Z wnętrza powiało chłodem. Uderzył nas słodko-mdły zapach, który kojarzył mi się z rozgotowanym obiadem i (wiercie mi, jestem ekspertem, bo grunt to poznać swojego wroga) kocim moczem.

– Co za smród! – podsumowała Róża.

Moje przypuszczenia zostały szybko potwierdzone. Najpierw wlałem w metalowe miski, rozstawione zaraz za progiem, a następnie zrzuciłem je z brzękiem ze schodów. Naczynia były puste, niedomyte i śmierdziały whiskasem. Nigdzie nie było widać konsumentów tych specjałów. Uznałem, że wyczuły moją obecność i z szacunku oraz zdrowego rozsądku pochowały się po kątach. Chociaż przyznam się bez bicia, że jakbym już takiego kocimocza dorwał, to sam bym nie wiedział, co z nim począć. Zeżreć bym się brzydził. Ugryźć to niehumanitarnie. Naszcekać do rozsądku – to i tak nie zrozumie.

Podreptałem za Różą i Szymonem. Kamienne schody doprowadziły nas do korytarza, od którego odchodziły drzwi do kolejnych piwnic. Nasza była na samym końcu.

Na pomalowanych na niebiesko drzwiach ktoś napisał kredą numer sześć.

– Ten odór dochodzi chyba stąd. – Zasłaniając sobie nos kołnierzem kurtki, Szymon wskazał na metalowe drzwi oznaczone piątką, znajdujące się po przeciwnej stronie korytarza.

– Włazimy – zarządziła Róża. Szarpnęła za klamkę i już była w środku.

Weszliśmy za Kwiatkowską do piekła klaustrofobika. Szymon przekręcił staromodny włącznik światła. Nad głową Róży zadyndała przykurzona żarówka. Pod przeciwległą ścianą stał rower Wigry 3 i dwie parciane torby w kratkę przyczepione do metalowych wózków na kółkach. Cały ten chłam opierał się o ustawione pionowo i przytknięte do ściany deski. Dwie kolejne ściany od podłogi po sufit obwieszane były półkami, na których w równych rzędkach stały przetwory. Wyczułem woń ogórków kiszonych i konfitur. Zastanowiłem się, co oni tak milczą, ci moi ludzie. Wyjrzałem zza nóg Solańskiego. Betonowa podłoga cała była pokryta kocimi odchodami, kawałkami szkła, połamanymi deskami i resztkami ze słoików. Już chciałem sprawdzić, czy się toto nadaje do spożycia, wszak Afryka głoduje i nie wypada marnować jedzenia. Ale wtedy ją ujrzałem.

Na podłodze w tym całym bajzlu leżała kobieta. A raczej jej resztki. Ja umiem całkiem sporo przyjąć na klatę, ale kiedy obok przebiegł najprawdziwszy szczur gigant z odgryzionym kawałkiem palca dyndającym w kleszczach pożółkłych zębów, zawinąłem ogon i zwałem z piskiem na drugie piętro, pod drzwi mojego domu.

To był pierwszy raz w dekadzie mojego życia, kiedy straciłem ochotę na schaboszczaka.



Rzadko kiedy aż tyle samochodów zjeżdżało pod kamienicę numer sto trzystaście. Jej mieszkańcy raczej nie miewali zbyt wielu gości. Jeśli już, byli to goście nieproszeni w postaci cygańskich dzieci rzępolących na akordeonie, domokrażcy wciskającego naiwniakom odkurzacze, inkasenta albo świadków Jehowy. Już nawet dzielnicowy tu nie zaglądał, bo i po co.

Radiowóz przejechał przez krawężnik i z trzaskiem zatrzymał się na skrzynce elektrycznej.

– Jak jeździsz, baranie? – Dało się słyszeć z wnętrza samochodu.

– Panie podkomisarzu, nie moja wina – tłumaczył się kierowca.

– Barański, lepiej cię na chrzcie nie mogli nazwać – warczał podkomisarz Matusiak, gramoląc się z tylnego siedzenia.

– Ale jak to? – Aspirant Barański drobił za szefem przepychającym się przez tłum gapiów zgromadzonych przed bramą.

– Rozejść się! – domagał się policjant. – Nie ma się na co gapić! – Wszedł do kamienicy, a za nim jak cień podążył podwładny.

– Mówiłam, że to nie od nas śmierdzi – rzuciła w tłum Anna Polaczek.

– A od kogo? – chciał wiedzieć stary Cygan, który pofatygował się tutaj specjalnie z kamienicy obok.

– Trupa podobno znaleźli w naszej piwnicy. – Zza pleców żony wychylił się Tadeusz Polaczek.

Ten równie filigranowy jak Anna mężczyzna był ubrany w elegancki brązowy garnitur. Długawe, siwiejące włosy miał zaczesane na bok. Poprawił okulary, znad których zmęczonym wzrokiem obserwował zbiegowisko.

– Czyj on? Ten trup – drążył Rom.

– A skąd ja mam to panu wiedzieć? – Polaczek cofnął się do księgarni, ciągnąc za sobą żonę.

Tymczasem aspirant Barański puszczał pawia w kącie piwnicy

należącej do lokalu numer pięć. Zabryzgał część słoików z wekami, a także swoje wypastowane, błyszczące jak psu jaja półbuty.

– A ty tu czego, Solański? – zdziwił się Matusiak, przyglądając się stojącemu z boku mężczyźnie.

– Mieszkam tu.

– I od razu zwłoki znajdujesz. Nudzisz się na bezrobociu?

– Nie jestem bezrobotny. Mam agencję – powiedział Solański.

– Towarzyską? – Matusiak poklepał się rubasznie po spasionym brzuchu.

– Detektywistyczną.

Podkomisarz zerknął spod oka na Solańskiego. A potem wygonił go z piwnicy razem z tą tłustą dziennikarką z „Chorzowskich Nowin”, która zawsze straszne brednie wypisywała na temat policji. Technicy już byli w drodze. Ale jak na Matusiaka policyjny nos, nie będą mieli za dużo roboty. Wyglądało mu to na nieszczęśliwy wypadek. Stara baba potknęła się, zwała sobie na łeb kilka słoików wraz z regałem i tak już została na (sądząc po fetorze) długie tygodnie. Trudno było ją zidentyfikować, bo szczury skonsumowały po części jej twarz. Jednak logika wskazywała na to, że denatką musiała być właścicielka owej piwnicy, a więc i lokalu pod piątką. Każe to jeszcze sprawdzić. Dla świętego spokoju zobaczy też, czy ktoś nie zgłosił jej zaginięcia. Zaraz zresztą przyjedzie prokurator Ząbek i z pewnością we wszystkim przyzna mu rację.

Rozdział 3

PIESKIE ŻYCIE

Zaufaj tu człowiekowi, a i tak zdrajca wyda cię w ręce oprawcy. Sądziłem, że jedziemy do parku na spacer. Powinienem być mądrzejszy. Zorientowałem się, o co biega, dopiero na rogu ulicy, gdy do wejścia w czeluście piekła zostało nam zaledwie parę kroków. Wprawdzie poprzednicy zostawili mi sygnały ostrzegawcze (strachem śmierdziało, że ho, ho!), ale moja czujność była osłabiona. Nie przyszło mi do głowy, że po Solańskim mogę się spodziewać takiego świństwa.

Pod drzwiami zaparłem się na wyprostowanych łapach i nieproszony wykonałem komendę „waruj”, choć w moim wieku takie wygibasy przychodzą już z trudem. Nic mi to jednak nie dało, bo judasz wziął mnie na ręce i wniósł do środka. W mój delikatny receptor zapachowy uderzył fetor sto razy gorszy od tego z naszej piwnicy. Lekarstwa i środki dezynfekujące dawały miksturę, za pomocą której można by powalać całe armie wojsk śródlądowych.

Poczekalnia przychodni weterynaryjnej Psia Kostka (taka nazwa widniała na drzwiach) była pusta. Na ścianach dojrzałem plakaty, których wolałbym nigdy nie zobaczyć. Znajdowały się na nich różne psie wnętrzności, o których istnieniu wcześniej nie miałem pojęcia, a teraz, kiedy już wiedziałem, że są, to jak bum-cyk-cyk byłem pewny, że mi się popsują.

W recepcji siedziała ładna brunetka, która na widok Solańskiego zrobiła maślane oczy.

„Więc tak to będzie teraz wyglądało” – pomyślałem. „Kobitki będą się mizdrzyć do tej prowincjonalnej odmiany George’a Clooneya zamiast do mnie”. Solański jednak patrzył na recepcjonistkę, jakby próbował dojrzeć kilo wędzonki przez szybę wystawową w sklepie mięso – wędliny. Słyszał ją, ale nie widział.

– Do doktora Dłutki – oznajmił i pociągnął mnie za obrozę do izby tortur.

„Jezusie Nazareński, przecież takiemu za samo nazwisko powinni zakazać wykonywania zawodu!” – tak sobie pomyślałem w ostatniej chwili świadomości. Resztę wizyty pamiętam jak przez mgłę.

Sala, do której weszliśmy, była przedzielona regałem na dwie części. W każdej z nich stał wysoki stół. Solański od razu wsadził mnie na toto. Przy moim lęku wysokości! Błat ziębił mnie w cztery litery, ale to była najmniejsza z moich trosk.

Wszedł oprawca zwany Dłutkiem. Spojrzał na Solańskiego i oniemiał. Stali tak obaj jak wryci i gapili się na siebie z rozdziawionymi gębami. Nawet ja zauważyłem, że wyglądali jak bracia bliźniacy. Obaj wysocy, chudzi, czarni, z kilkudniowym zarostem, obaj wlepiali w siebie stalowe gały. Ja tam w przypadku nie wierzę i chętnie bym im poradził, żeby spytali mamusię bądź tatusia, czy nie mieli na sumieniu jakichś skoków w bok. Przypomniałem sobie jednak, że jestem obrażony, więc postanowiłem nie udzielać im żadnych rad za friko.

– Pierwszy raz u nas? – zagaił wreszcie zmieszany Dłutko i poszurał w swoich chodakach do komputera.

Usadził się na plastikowym krzeselku i zaczął uzupełniać jakieś rubryczki na monitorze. Ubrany był głupkowato: w zielone wdzianko, w którym przypominał pensjonariusza domu dla obłąkanych. Przyszło mi nagle do głowy, że to może być jego fartuch, który wkłada do operacji. Tego już było za wiele – żeby mnie

kroić, zapewne na żywca! A potem moje wnętrzności sprzedawać Chińczykom na pożarcie w ich sieciowych restauracjach.

– Niedoczekanie! – wyrwało mi się ze ściśniętego strachem gardła.

– No, co ja z tobą mam... – paplał Dłutko, kiedy już stał przy stole.

– Jak ci na imię? – Poklepał mnie po łbie.

– Gucio – odpowiedział Solański, chociaż nikt go nie pytał o zdanie.

– Gucio, no pięknie, pięknie. Pokaż no zęby. – To mówiąc, wepchnął mi łapska w paszczę i bardzo nieelegancko zaczął przypatrywać się moim pożółkłym i obrośniętym kamieniem kłom. – Będziesz miał najmniej z dziesięć latek, staruszku – obrażał mnie dalej. – Końcówkę łapki to mu musiał ktoś odrąbać tępym narzędziem – rzekł Dłutko i złapał mnie za kikut. – Ale z chodzeniem problemów nie ma?

Nie czekając na odpowiedź, ten zboczeniec zaczął mnie macać, nie powiem gdzie, bo się wstydzę. Zaglądał mi do moich klapniętych uszu, świecił jakimś badziewiem prosto w oczy i bredził, że ja niby nie za dobrze widzę, bo mam zaćmę.

– Trudno, żebyś widział, skoro mnie oślepiasz tym halogenem – warknąłem.

– Taka operacja kosztuje kilka tysięcy – obwieścił Solańskiemu. – Pan mieszka na Jedenastego Listopada? – Zajrzał do rubryczek w komputerze.

– Może chociaż zabieg na jedno oko mu zrobić? – zaproponował chytrze Solański. A ja pomyślałem, że będę musiał przyjrzeć się bliżej jego rodowodowi. Toż to z pewnością wśród jego przodków znajdę tak Szkotów, jak i mieszkańców Krakowa.

– Spokojnie, Gucio pana zaprowadzi na tego Jedenastego Listopada. Na tyle to on widzi. Nie będziesz pan męczył psa w tym wieku operacjami.

Trochę mnie ta wypowiedź uspokoiła. Zupełnie niesłusznie, jak się

okazało. Ostrzegam, że dalsza relacja jest tylko dla czytelników pełnoletnich i o mocnych nad wyraz nerwach. Ni stąd, ni zowąd Dłutko wyjął zza pazuchy strzykawkę i nasadził na nią igłę, którą można by kłuć w dupę słonia, a nie takiego małego, biednego kundelka jak ja. Psiknął mi w łapę jakąś wodą w spreju, aż stanąłem dęba, bo czego nienawidzę, to pijaków właśnie. I utoczył mi krwi! „Pewnie ją sprzeda tym Chińczykom” – pomyślałem.

Potem zasadził mi kolejną igłą w kark, mówiąc, że to szczepionka przeciw wścieklicznie. Przeciw? A nie na? Bo ja się w tym momencie wściekłem nie na żarty. Ile można tkwić na lodowatym stole i dać się dźgać jednemu patyczakowi, podczas gdy drugi trzyma cię za łeb, żebyś się przypadkiem nie wywinął? Nie zdzierzyłem. Wykorzystałem chwilę nieuwagi i zgrabnym susem zeskoczyłem na ziemię. Pognałem co sił w drżących łapach do poczekalni. Zatrzymałem się przy przeszklonych drzwiach wejściowych, mażąc je usmarkanym nosem.

– Otwierać! – zaszczekałem. – Policja! Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami! FBI! – wyłem.

Ratunek jednak nie nadchodził. Nadszedł za to Dłutko.

– No, Gucio, Gucio, ty umiesz tak skakać? Ty śliczny kundelku, wracaj do nas – dziamdziolił.

„No dobra” – pomyślałem. „Nawet mnie ułagodził tym gdakaniem”. Usiadłem w kącie i patrzyłem, jak weterynarz zakłada mi moją osobistą książeczkę zdrowia, jednocześnie instruując Solańskiego, jak ma o mnie – seniora – dbać. Wyciągnął przy tym jakieś opaste tomiska i pokazywał mu obrazki tych ohydnych psich flaków. Nie sądziłem, by te paskudztwa miały coś wspólnego ze mną. Zdążyłem się zgubić w toku jego miniwykładu, bo mi się spać zachciało i być może nawet zdrzemnąłem się chwilę. A kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem, jak Dłutko podciąga ten swój zielony

fartuch i pokazuje Solańskiemu koszulkę.

– „Oswojony gorol” – odczytał napis na T-shircie. – Żona mi kupiła na wakacjach.

Nie wiem, co to miało do rzeczy, ale naprawdę byłem zdania, że skoro już skończyli z torturami, to powinniśmy czym prędzej opuścić ten przybytek i nigdy więcej do niego nie wracać. Nigdy!

W poczekalni przez ten czas zrobił się tłok. W rogu siedział niski i gruby facet ze złamanym i źle zrosniętym nosem, a na smyczy trzymał trzy śliniace się buldogi. Z kolei na ławce przy przeciwległej ścianie rozlokował się młody, jakiś taki ciapowaty z wyglądu chłopak z kundelkiem co rusz stającym na dwóch łapkach i podgryzającym własną smycz.

– Nie wolno! – strofował go właściciel. – Znowu przegryziesz. Już cztery przegryzłeś – marudził. – A mam cię dopiero od miesiąca.

I niech mi ktoś powie, że właściciele nie upodabiają się do swoich czworonogów. Solański zapłacił w recepcji, choć byłem zdania, że jeśli już komuś, to niewątpliwie mnie należała się rekompensata finansowa za te katusze.

– *Adios*, biedne gamonie! – rzuciłem na odchodne i pociągnąłem Solańskiego do wyjścia. – Moja łapa więcej tu nie postanie! – oznajmiłem stanowczo.

I ruszyłem do auta, nie odwracając się za siebie.



Solański obiecywał sobie, że jego noga więcej tu nie postanie. Ale postanowienia swoją drogą, a życie śmieje im się zazwyczaj prosto w twarz. Zaparkował skodę na Moniuszki pod klockowatym dwupiętrowym budynkiem, ignorując zakaz obowiązujący osoby postronne. Jeszcze całkiem niedawno postronny nie był, więc i teraz nie zamierzał robić ceregieli z zatrzymywaniem się gdzieś

po krzakah, kiedy parking świecił pustkami. Wyrównał. Otarł zderzakiem o stojący obok radiowóz. Cofnął. Z cichą satysfakcją i głośnym zgrzytem poprawił.

– Zostań – nakazał siedzącemu na tylnej kanapie, ewidentnie obrażonemu za zafundowane u weterynarza atrakcje, Guciowi.

Uchylił psu okno i zatrzasnął drzwiczki. Stał przed wejściem, nad którym zawieszono godło Polski, a pod nim czerwoną tablicę z białym napisem: „II Komisariat Policji w Chorzowie”.

– Do Matusiaka – poinformował siedzącego w przeszklonej dyżurce funkcjonariusza.

Policjant był ubrany w mundur, jego powagę nadwątlął jednak czarny wymodelowany brylantyną lok, który zwisał dyżurnemu nad czołem. Na domiar złego mężczyzna co chwilę poprawiał go z pietyzmem. Wizerunek lalusia psuły podkrążone oczy. Solański uznał nie bez satysfakcji, że to pewnie skutek tego, iż Loczek (jak w myślach nazwał gliniarza) musiał wstać z kurami, aby na czas ułożyć sobie fryzurę.

– W jakiej sprawie? – chciał wiedzieć.

– Nie twój zasrany interes – wymamrotał pod nosem Solański.

Przyjrzał się mundurowemu z uwagą. Nigdy wcześniej go tutaj nie widział. Musiał być nowy.

– Podkomisarza nie ma – odparł zagniewany elegant i zniknął na zapleczu dziupli.

Solański dobrze wiedział, że gnojek obserwuje go teraz na monitorze kamery. Jeśli chciał się dostać do Matusiaka, musiał zmienić taktykę. Zaczął rytmicznie stukać knykciami w wypolerowaną na błysk szybę. Po jakichś dwóch minutach gęba Loczka znów pojawiła się po drugiej stronie.

– Pan jeszcze tutaj? – Goguś udał zdziwienie.

– Chciałem zgłosić kradzież – oznajmił Solański. I nawet mu

powieka nie drgnęła przy tym łgarstwie.

– Co panu ukradziono?

– Mienie.

– Ale że jakie? – Loczek poczuł się zagubiony.

– Forseę. – Zlitował się nad nim Solański. – Kupiłem przez Internet skok na bungee i firma, która go miała zorganizować, zniknęła z sieci.

– Szył na żywca.

– Na Allegro?

– Nie.

– To gdzie?

– W Internecie. – Solański zgrzytnął zębami.

– Ale tu, w Chorzowie?

– Na laptopie.

– To pan poczeka – zgodził się Loczek. – Zadzwonię i dowiem się, kiedy jakiś policjant będzie wolny, żeby przyjąć zeznanie. Ale nie podkomisarz Matusiak. On jest od wyższych celów.

W to Solański nie wątpił. Wszedł przez szklane drzwi do poczekalni. Usiadł na krześle ustawionym tuż pod tablicą przedstawiającą rząd krzywych mord, czyli osoby poszukiwane, uznane za szczególnie niebezpieczne. Szymon rozprostował swoje długie nogi. Z plecaka wyjął drugi tom *Mojej walki* Karla Ovego Knausgård. Znał procedury na wylot i wiedział, że nie sposób ich przeskoczyć. Mimowolnie projektował już w myślach przebieg wypadków. Zaraz Loczek przyjdzie i ze smutną miną oznajmi, że sierżant będzie wolny za pół godziny. No, do czterdziestu pięciu minut. W rzeczywistości gliniarz na drugim piętrze zacznie pić kawę i weźmie go na przeczekanie. Bo a nuż petent zniechęci się i pójdzie w cholerę.

– Sierżant będzie wolny za pół godziny. No, do czterdziestu pięciu minut. – Mundurowy jak na zawołanie wziął się pod boki i zbolałym

wzrokiem świdrował Solańskiego.

– Poczekam – odparł Szymon i otworzył książkę.

Lekturę przerwano mu tylko raz. Trzasnęły drzwi wejściowe, potem te prowadzące do holu. Solańskiemu śmignął przed oczami grubawy jegomość w powycieranej na łokciach brązowej marynarce i koszuli pękającej w szwach na wydatnym brzuchu. Facet miał przylizane włosy, woda ściekała mu po karku. Na wyłożonej kafelkami podłodze zostawiał błotniste ślady. Ulewy nie miały dość kurtuazji, by poczekać na kalendarzowy początek jesieni. Solański pomyślał, że mu się nawlewa do auta przez to uchylone dla Gucia okno. Nie chciało mu się jednak stąd ruszać. Mężczyzna dzierżył w ręku burą teczkę ze skaju. Miał niezwykle zaaferowaną minę. Szarpnął otwierane przy użyciu karty magnetycznej drzwi prowadzące w głąb komendy. Nie ustąpiły.

– Jestem prokuratorem! – wydarł się przylizany w stronę zamkniętego w kanciapie Loczka.

Mundurowy pofatygował się do holu. Znów złapał się za biodra. Najwyraźniej sądził, że ta pozycja nadaje mu powagi. Z powątpiewaniem przyjrzał się grubasowi od stóp po czubek mokrej głowy.

– Do dochodzeniówki! – Prokurator tupął ze zniecierpliwienia. Odwrócił się w stronę Szymona i zatrzymał na nim spojrzenie. – Dzień dobry, komisarzu Solański. – Skinął głową.

Detektyw wymamrotał niezrozumiały ciąg sylab. I pomyślał, że Loczek musiał być naprawdę świeżakiem, skoro nie kojarzył nawet prokuratora Ząbka. Wszyscy bowiem znali prokuratora Ząbka. Nie tylko ze względu na nazwisko.

Ząbek został wreszcie wpuszczony. Solański spojrzął na zegarek. Jeszcze piętnaście minut. Otworzył książkę. Gdy tylko wskazówka przeskoczyła wyznaczony punkt, wstał i zakłócił Loczkowi

spożywanie pączka z różanym nadzieniem.

– Długo to jeszcze potrwa? – Postukał palcem w kopertę zegarka.

– Sierżant powiedział, że jeszcze góra pięć minut – modulowanym głosem obwieścił wielbiciel żelu do włosów.

Solański usiadł pod zakazanymi mordami. Schował książkę do plecaka. To już nie powinno długo potrwać. Odczekał swoje. Dokładnie po siedmiu minutach (dwie minuty naddatku, by zachować honor) drzwi, w których wcześniej zniknął prokurator, uchyliły się, a w nich stanął jakiś napakowany glina bez munduru.

– O co chodzi? – zapytał.

– Znowu świeżak – mruknął Solański.

Szczęście mu dzisiaj nie sprzyjało, kontynuował więc szopkę ze zgłoszeniem kradzieży. Sierżant ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Chodźmy spisać zeznanie. – Otworzył drzwi przed Szymonem.

Solański wspinał się obok pakera po szerokiej, wyłożonej kafelkami klatce schodowej. Z obrzydzeniem przyglądał się ścianom w kolorze wymiotnego różu. Od jego czasów zdążyli tu zrobić remont. Weszli na drugie piętro, skręcili w lewo w wąski korytarz. Solańskiemu było to na rękę. Właśnie tutaj swój gabinet miał podkomisarz Matusiak. Szymon puścił sierżanta przodem. Przed dobrze sobie znanym pokojem zwolnił. Wsunął głowę przez uchylone drzwi. Na komputerze sprawiającym wrażenie całkiem nowego Matusiak w skupieniu układał pasjansa. Pewnie chętniej pooglądałby mecze w telewizji, ale odbiornik stał teraz na ziemi kineskopem do ściany i był odłączony od prądu. Solański pomyślał, że szefowa musiała zrobić porządki, kiedy po raz kolejny przyłapała Matusiaka wraz z aspirantem Barańskim gapiących się w czasie pracy na Ligę Mistrzów. Z zapasem śmierdzącego szczynami browaru zakupionym w pobliskim dyskoncie, który wbrew pozorom ceni jakość.

Matusiak podskoczył na obrotowym krześle, jakby w stojącym przed sobą Solańskim ujrzął zjawę.

– A ty tu co? – warknął.

– To była Marianna Biel. Ta aktorka. – Szymon od razu przeszedł do rzeczy. Usiadł na brzegu krzesła dla interesantów. Mebel, w odróżnieniu od tego, którym dysponował policjant, wrzynał się w tyłek koncertowo.

Podkomisarz patrzył tępo, jakby próbował w pamięci pomnożyć dwieście pięćdziesiąt siedem przez trzysta osiemdziesiąt dziewięć, więc Solański zlitował się nad nim.

– Moja niedoszła sąsiadka. Znalazłem ją w starym spisie lokatorów. Macie już coś?

– Solański, wiesz, że nie mogę...

Przerwało mu łupanie do drzwi. Nie czekając na zaproszenie, do gabinetu wparował napakowany sierżant. Doskoczył do Solańskiego i chwycił go za kołnierz.

– Tuś pan jest! – wrzasnął. – Przepraszam, panie podkomisarzu. Świadek mi spierdolił. Znaczący ten... uciekł, ma się rozumieć.

– Zostaw go i sam spierdalaj. – Matusiak miał zrezygnowany ton głosu.

– Ale... – zaczął jąkać się sierżant.

– Wynocha! – Podkomisarz machnął ręką niczym krowa oganiająca się ogonem przed stadem much.

Paker wycofał się na korytarz. Solański patrzył w punkt gdzieś za plecami Matusiaka. Podkomisarz nie musiał się odwracać. Zdawał sobie sprawę z tego, że nad jego głową wisi wbite pinezką w korkową tablicę zdjęcie. I dobrze wiedział, kto na nim jest.

– No dobra, Szymon. – Nagle przestał zwracać się do niego po nazwisku. – Witebski dopiero zrobi sekcję, ale wszystko wskazuje na to, że to był nieszczęśliwy wypadek. Niewiele znaleźliśmy

na miejscu. Większość to spożywczy syf z tych potrzaskanych słoików. I kocie gówna. Ta cała Biel młoda już nie była, na emeryturze dawno kiblowała. Wlazła do piwnicy, poślizgnęła się, weki i zawalony regał palnęły ją w łeb, i po sprawie.

– Miała jakąś rodzinę? – Solański nie wyglądał na przekonanego.

– Z tego, co się dowiedzieliśmy, to nie. Nikt nie zgłosił też jej zaginięcia. Słuchaj, tu naprawdę nie ma żadnej tajemnicy.

– Samotna była. – Solański mówił bardziej do siebie niż do policjanta.

– Samotna, niesamotna, sprawę pewnie niedługo zamkniemy. Z innej beczki: byłeś w sanatorium?

– Nie dziwi cię, że nikt nawet nie zauważył jej zniknięcia? – Szymon zignorował pytanie.

Matusiak stracił cierpliwość. Nic go nie obchodziło, czy ktoś zwrócił uwagę na to, że ta emerytowana aktorka przestała wychodzić z rana do piekarni po czerstwe bułki sprzedawane w promocji. Że nie łąziła już na przedpołudniowe spektakle na wyżebranych wejściówkach, by choć od strony widowni pławić się jak niegdyś w blasku teatralnego blichtru. A tym bardziej nie powinno to interesować Solańskiego. Skoro mu mówi, że to był wypadek, to choćby nie był, to był! Zawsze są z tym gnojkiem kłopoty.

– Byliście chociaż w Teatrze Uciecha, żeby przesłuchać jej dawnych kolegów? – Szymon nie dawał się tak łatwo spławić.

– Ty już tu, do kurwy nędzy, nie pracujesz! – wydarł się Matusiak. – Zapomniałeś? – dodał ciszej, sam przestraszony własnym wybuchem.

– To zdejmij to zdjęcie z tablicy, żebyś więcej nie musiał oglądać mojej zakazanej mordy – rzucił Solański i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Pęd powietrza poderwał fotografię. Poluzowana pinezka z cichym odgłosem upadła na podłogę. Zdjęcie sfrunęło jej śladem,

zatrzymując się pod krzesłem podkomisarza. Matusiak ze stęknieniem schylił się, by je podnieść. Prychnął i przedarł fotkę na pół, dokładnie na linii pomiędzy nim samym i Szymonem Solańskim. Otworzył okno, by wypuścić nieco tlenu, bo aż mu się słabo zrobiło od tej niezapowiedzianej wizyty. Nie chciał mieć do czynienia z duchami.

Przestało już padać. Wciągnął przesiąknięte wilgocią powietrze i zagapił się na opustoszały hangar Huty Kościuszko. Dobrze pamiętał, jak jeszcze nie tak dawno, wjeżdżając pod górkę tramwajem z Rynku do ulicy Metalowców, można było za ceglanym płotem dojrzeć mrugające ogniki hutniczych pieców. W ich płomieniach topiła się stal, a z sięgających nieba wąskich kominów buchał nad miastem rdzawy dym, osiadając na parapetach grubą warstwą sadzy. Teraz powietrze było czystsze, ale wcale nie pomagało to Matusiakowi w oddychaniu.

Jego rozmyślania przerwały dobiegające z podwórka złorzeczenia.

– Solański, ty skurwysynu, porysowałeś mi radiowóz! – darł się aspirant Barański, wymachując pięścią w stronę znikającej już za zakrętem szarej fabii. Przez uchylone od strony kierowcy okno wystawała ręka z postawionym do pionu środkowym palcem. Z tylnego siedzenia sterczał zaś kudłaty pysk, z którego wyłaniał się zapluty różowy jęzor.

Rozdział 4

JAK PIES Z KOTEM

Powszechnie wiadomą rzeczą jest, że w czasie deszczu psy się nudzą. Bo ani pójść na spacer, ani powyglądać przez otwarte okno i obszczekać tego wypierdka, który dwa piętra niżej wyleguje się na parapecie. Słowem – zero rozrywek.

Z wielką ochotą przystałem więc na propozycję Solańskiego, co by zapoznać się wreszcie z sąsiadami. Od razu go rozgryzłem (w przenośni, bez obaw). Nie zależało mu na żadnych kontaktach towarzyskich. Szymon prowadził śledztwo. Nie przekonało go twierdzenie policji, że Marianna Biel uległa nieszczęśliwemu wypadkowi. Solański wietrzył tu morderstwo. Miał do tego prawo, był przecież prywatnym detektywem. Nikt mi tego prosto w pysk nie raczył powiedzieć. Gdzieżby! Przeczytałem sobie, co było napisane na świecącej wizytówce, którą Solański przybił do drzwi naszego mieszkania. „Agencja detektywistyczna Solan” – widniało czarno na złotym. Gdybym umiał, tobym się popukał w czoło na to całe złoto, które nie pasowało ani do naszego familoka, ani do samego Solańskiego. Ale Szymon pewnie nawet nie zwrócił na to uwagi. Jakby mu wcisnęli w różowym odcieniu tę tabliczkę, tobyśmy mieli agencję w barwach lalki Barbie. I czort raczył wiedzieć, co też by sobie o nas sąsiedzi pomyśleli. „Agencja” by przeczytali, różowe by zobaczyli (a jakże), ale w doczytywanie, że detektywistyczna, nikt by się już nie bawił. Klientów mielibyśmy pewnie więcej niż teraz. Bo na razie, szczerze mówiąc, ani pół zlecenia jeszcze nie dostaliśmy.

I wątpiłem, żebyśmy takowe zdobyli, bo jeśli potencjalnie zdradzana żona, która chce nazbierać dowodów na niewiernego męża, zawitałaby w naszych skromnych progach, raczej zrezygnowałaby z usług, widząc aranżację wnętrza tego „biura”. Kierując się własną myślą architektoniczną, Solański postawił laptopa na stole w kuchni, przysunął sobie do niego wyliniały fotel i najwyraźniej sądził, że to wystarczy. A co z zachowaniem zasad feng shui, ja się pytam? Nie wspominając już o przypiętym do ściany pinezką dyplomie, który potwierdzał ukończenie kursu detektywistycznego przez pana Szymona Solańskiego w Wyższej Szkole Spawania i Makijażu (w każdym razie coś w ten deseń). A przecież jak cię widzą i tak dalej.

Teraz poczułem się jak ten Watson i podreptałem za Szymonem po schodach. Musiałem uważać, żeby się nie wykopyrtnąć, bo drewniane stopnie na klatce były ubłocone i śliskie. To tu, to tam pstrzyły je zwiędnięte liście, przyniesione na zelówkach jesiennych botków. Chłód taki ciągnął od parteru, jakby to nie był wrzesień, tylko środek zimy na Spitsbergenie.

Minęliśmy półpiętro, z którego pomalowane na zielono drzwi wiodły do schowka. Pomieszczenie to jeszcze nie tak dawno stanowiło wspólną latrynę mieszkańców familoka. Jednak odkąd pobudowali sobie toalety w mieszkaniach, tak zwane hażle zamieniono na komórki do przechowywania rupieci.

Zeszliśmy na pierwsze piętro. Na drzwiach z numerem trzy wisiała tabliczka z napisem „J.B. i A. Gierlochowie”. Solański zawisł na dzwonku. Ze środka dobiegł dźwięk stłumionego gongu, nikt nam jednak nie otwierał. Szymon przystawił ucho do drzwi, co i ja uczyniłem. Z głębi mieszkania dało się słyszeć dwa podniesione męskie głosy. Skupiłem się z całych sił, aż oczy wyskakiwały mi z orbit.

– Proszę, żebyś się wyprowadził – mówił jeden. – Rodzice by tego

chcieli.

– To ciekawe, czemu mieszkanie zapisali nam obu! – wrzeszczał drugi. – Nie dam ci się wysiudać!

Solański załomotał pięścią we framugę. Hałasy ucichły. Słychać było coraz głośniejsze człapanie.

– Kogo niesie? – mamrotał ktoś, odryglowując zamek.

Otworzyły się drzwi. Na progu stał potężny mężczyzna ubrany w błękitną koszulę i eleganckie popielate spodnie opinające jego wielki tyłek. Na nogach miał wyglancowane lakierki. Siwe włosy zaczesał gładko do tyłu. Uklepywał je teraz odruchowo prawą dłońią. Na jego palcu wskazującym widniała wielka czerwona blizna. Mógł mieć około pięćdziesiątki.

– Czego? – warknął, połykując sztuczną bielą nie swoich zębów.

– Dzień dobry. Nazywam się Szymon Solański. – Nie poznawałem tego tonu. Jeśli mojemu panu nie wyjdzie z fuchą detektywa, zawsze może zostać aktorem. – Właśnie wprowadziłem się pod szóstkę i chciałem przedstawić się sąsiadom. – Pomyślałby kto.

– No to się pan przedstawiłeś. – Gierloch, bo pewnie tak wpisano przyłizanemu w dowodzie, chciał na powrót zatrzaskać drzwi.

Solański był jednak szybszy. Wetknął nogę za próg i wepchnął się do środka. Wlazłem za nim. Znaleźliśmy się w pomieszczeniu, które było jednocześnie pokojem i kuchnią. Jedyne wewnętrzne drzwi musiały prowadzić do łazienki. Pod ścianą przy piecu kaflowym stała stara rozkładana wersalka, przy niej stolik kawowy. Pod oknem leżała karimata, a na niej zmiętolony śpiwór. Kuchnię stanowił zlepek najtańszych szafek z Castoramy. W rogu na suficie nory Gierlochów rozpoczęła ekspansję, niczym Rosja na mapie świata, ciemna plama wilgoci. Podłogę pokrywały wyszczerbione klepki plastikowych paneli. Jedynym elementem ozdobnym w tym pomieszczeniu było wiszące na ścianie zdjęcie w taniej ramce z Ikei,

które przedstawiało starszą uśmiechniętą parę.

Z łazienki wyszedł drugi facet. Był przeciwieństwem gbura, który nie chciał nas wypuścić. Chudy, żylasty, z delikatnie, wręcz kobieco umięśnionymi ramionami. Włosy miał potargane i nieumyte. Swoje ubranie w najlepszym razie zdobył w Szperaczku, lumpeksie z tanią odzieżą z Zachodu. Jednak gdyby się lepiej przyjrzeć obu mężczyznom, można było wychwycić podobieństwo. Mieli takie same szpiczaste nosy, lekko uniesione brwi, jakby wiecznie okazywali zdziwienie, głęboko osadzone oczy i nieprzyzwoicie długie rzęsy.

– Panowie są... – Solański urwał w pół zdania.

– Tak, bliźniakami. – Skrzywił się większy z braci. – Czegoś jeszcze chcesz, mądralo?

– Hubert, nie bądź niegrzeczny. – Do rozmowy włączył się stojący dotąd w drzwiach toalety chudzielec. – Adam Gierloch. – Wyciągnął rękę. – Mówmy sobie po imieniu, dobrze? Ładnego masz psa. – Przeszedł od razu na ty i pogłaskał mnie po głowie.

Ja tam tanim pochlebstwem się brzydę, ale chyba sami zauważyliście rażącą dysproporcję w zachowaniu braci. Postanowiłem więc w ramach akcji edukacyjnej „Jak traktować kundelka”, którą naprędce wymyśliłem, nagrodzić Adama za właściwe zachowanie, a Huberta wręcz przeciwnie. Podbiegłem więc do milszego z bliźniaków, by się połasić, a przy okazji po drodze nadepnąłem temu drugiemu ubłoconymi łapami na lakierki.

– Podobno jesteś prywatnym detektywem? – dopytywał Adam. Wieści roznosiły się w tej kamienicy szybciej niż owsiki w przedszkolu. – Człowiek czuje się bezpieczniej, gdy wie, że mieszka pod jednym dachem z takim prawie policjantem. Prawda, Hubercie?

– Pff – parsknął drugi Gierloch.

– *À propos* sąsiadów – wciął się Solański. – Znaliście Mariannę Biel? Tę aktorkę, która zginęła w piwnicy?

– Ja niedawno wróciłem z Efu. Żadnych starych bab nie znam – prychnął Hubert.

– Ale że była stara, to wiesz? – zadziwił się Szymon.

Adam, choć mieszkał w tej kamienicy od lat, przyznał, że też nie za bardzo ją kojarzy. Wiedział, że mieszkała nad nim jakaś samotna kobieta, ale – jak stwierdził – równie dobrze mogłoby jej tam nie być. Nie zauważyłby różnicy. W sumie mu wierzyłem, bo zdawałem sobie sprawę z niesprawiedliwości dziejowej, jaka spotyka kobiety w pewnym wieku. Pani dyrektor schroniska opowiadała kiedyś, a ja podsłuchiwałem, że mniej więcej z przekroczeniem czterdziestki kobiety odchodzą w tak zwaną smugę cienia. Facet choćby się potknął o taką na ulicy, to minie ją jak powietrze. Uważałem, że panie powinny z tej swojej supermocy skorzystać i zacząć okradać sklepy z biżuterią albo perfumami Diora. Ja bym na ich miejscu miał spustoszenie w przybytkach z kiełbasą, ale o gustach się nie dyskutuje.

– Trudno za to nie zauważyć innej sąsiadki, tej dziennikarki z naprzeciwka – pożalił się Adam. – Wraca po nocy i puszcza jakieś zawodzenia na cały regulator.

Solański wymruczał pod nosem niezrozumiałą frazę, która przy odrobinie dobrej woli słuchacza mogła przypominać tytuł utworu zespołu Kelly Family. Wiedział co nieco na temat muzycznych upodobań Róży jeszcze z czasów podstawówki.

Wycofaliśmy się za drzwi.



Solański wdychał zgniłe powietrze na klatce schodowej. Nie podobali mu się ci cholerni bracia. Pięćdziesięcioletnie bliźniaki gnieźdzące się w kawalerce z jedną wersalką stanowiły dla detektywa zagadkę. Poczuł, że coś kłuje go w plecy. Odwrócił się, ale

za sobą miał tylko drzwi do lokalu numer trzy. Domyślił się, że Gierlochowie podglądają go przez kukłok, jak na wizjer mawiał jego ojciec.

Technicy już na dobre wynieśli się z piwnicy, postanowił więc jeszcze raz obejrzeć miejsce zbrodni.

– Dasz radę, stary? – zwrócił się do psa.

Odkąd zabrał Gucia ze schroniska, kundel nie odstępował go na krok. Widocznie bał się, że jeśli właściciel zniknie mu z oczu, znowu wyląduje za kratami. W nocy pies chrapał, przyciskając się do nogi Solańskiego. A gdy tylko Szymon poruszył się nad ranem, po chwili przy swoim nosie miał psi nos, który dopominał się o uwagę.

– Zdziwaczałem – stwierdził detektyw.

Zapalił światło i zszedł po schodach. Drzwi, najpierw z cierpiętniczym jękiem, potem z trzaskiem, zamknęły się za jego plecami. Pozbawiły go źródła naturalnego światła. Kundel wiercił się niespokojnie u stóp Szymona, jakby przeczuwał nadchodzące niebezpieczeństwo. Solański wciągnął w płuca zatęchłe powietrze. Podszedł do pomieszczenia, w którym znaleziono Mariannę Biel. Drzwi były otwarte.

Powoli je uchylił. Na środku kanciapy w nikłym promieniu światła stała drobna postać i wpatrywała się bez ruchu w podłogę. Solański chrząknął, jednak mężczyzna go nie usłyszał.

– Panie Polaczek... – powiedział zachrypniętym głosem.

Polaczek podskoczył jak oparzony.

– Co też pan?! – Chwycił się za gardło. – Zakrada się pan?

– To nie pana piwnica. – Głos Solańskiego przybrał stalowy ton.

– Przeszedłem popatrzeć... – jąkał się facecik. – Ja nigdy nie widziałem... Myśli pan, że ktoś ją zamordował?

– Tak właśnie myślę – odparł Szymon. – Znał ją pan? Mariannę

Biel? – Świdrował Tadeusza wzrokiem.

– Kogo? Nie – uciął. – Lepiej już pójde. – Minał Solańskiego i zniknął w piwnicznym korytarzu.

Szymon rozejrzył się po pomieszczeniu. Najwyraźniej piwnica aktorki stała się atrakcją dla mieszkańców kamienicy. Nagromadzone na posadzce śmieci policjanci porozsuwali na boki, mieszając je z walającym się wszędzie węglem, którym Biel paliła w swoich kaflowych piecach. Betonową podłogę wciąż znaczyły brunatne plamy krwi. Solański wątpił, by dało się je usunąć. Wprawdzie uchylono znajdujące się tuż przy suficie okienko piwniczne, ale mdły smród gnijącego ciała wsiąkł w mury i zadomowił się w nich na dobre. Solański dziwił się, że Marianna leżała tu tak długo. Że też nikomu wcześniej nie zaczął przeszkadzać ten fetor. Z drugiej strony, okolice 11 Listopada nie pachniały polnym kwieciem.

Szymon chłonał ponurą atmosferę tego miejsca. Musiał dotrzeć do prawdy. Udowodnić sobie, że pomimo tego całego gówna, w które wdepnął, nie stracił policyjnego nosa.

Z ulicy dobiegały go odgłosy deszczu. Słyszał tupot dzieci przebiegających po potłuczonym szkle. Jakaś matka z bloku naprzeciwno wołała na obiad świetnie bawiącego się z kumplami Achimka, w razie odmowy grożąc mu laniem „po gołej rzyci”, o czym doniosła krzykiem z balkonu. Dzwony na pobliskim kościele Świętego Józefa, zwanym przez miejscowych Józefką, ogłaszały godzinę osiemnastą. Jakiś zbłąkany kot zamiauczał Szymonowi tuż nad głową.

Guciowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Z nad wyraz donośnym jak na swoją wątłą posturę szczekiem ruszył ku oknu. Oparł się przednimi łapami o ścianę, balansując na osamotnionej tylnej nodze. Kikut podrygiwał w rytm ujadania. Jednak kot wcale nie zamierzał uciekać. W dodatku gapił się prowokacyjnie. Solański

pociągnął Gucia za obrożę i wycofali się na piwniczny korytarz. Niepocieszony pies powarkiwał pod nosem. Szymon już miał skierować się ku górze, gdy jego wzrok padł na drzwi z numerem trzecim. Nacisnął klamkę. Nie ustąpiła. Zmarszczył nos w poczuciu zawodu. W kieszeni dżinsów wymacał pęk kluczy. Swój piwniczny wetknął do zamka i spróbował przekręcić. Bez skutku. Sięgnął po portfel, w którym tkwił zestaw wytrychów. Tak na wszelki wypadek.

Już po chwili stał wraz z psem w klitce Gierlochów. Zapalił światło i zamknął za sobą drzwi. Jego oczom ukazało się wnętrze wysprzątane lepiej niż niejedno mieszkanie, a już na pewno jego własne. Podłogę pokrywały błyszczące płytki, ściany pomalowano na beżowo. Węgiel w metalowym pojemniku ktoś przykrył pokrywą, żeby się nie kurzył. Na ścianach w równych rzędach wisały półki, a na nich stał rodzinny dobytek Gierlochów ułożony zgodnie z niemieckim ordnungiem. Słoiki ustawiono chronologicznie. Każdy był opatrzony naklejką, na której zaznaczono datę produkcji skrytego we wnętrzu specyfiku. Inną półkę zajmowały rulony papieru. Solański ostrożnie wyjął jeden i rozwinął. To był plakat spektaklu *The Rocky Horror Show* z Teatru Uciecha w Chorzowie. Szymon ze zdziwieniem przyjrzał się wydrukowanemu na afiszu nazwiskom występujących w przedstawieniu aktorów. Odłożył tubę na miejsce.

Jego uwagę przykuł inny szczegół. Na samym dole w prawym rogu stały okrągłe pudełka, w których zwykło się przechowywać płyty CD i DVD. Kucnął i sięgnął po plastikowe opakowanie. Płyt na szpuli musiało być ze dwadzieścia. Solański przeglądał je z rosnącym rozczarowaniem. Były to zwykłe krążki kupione hurtowo w markecie. Zawierały, według opisów wykonanych na ich frontach niezmywalnym mazakiem, głównie pirackie filmy i gry komputerowe. Już miał odłożyć znalezisko na półkę, gdy zaraz

za płytą z musicalem *Hair* mignął mu krążek z napisem „Biel”.

Usłyszał głosy dochodzące spod wejścia do piwnicy Gierlochów. Gucio warknął ostrzegawczo i przywarł do podłogi. Szymon schował płytę do wewnętrznej kieszeni kurtki. Zgasił światło, by na zewnątrz nie padała żółta smuga spod drzwi.

– Idziemy, bo wróci i się zorientuje. – Dosłyszał kobiecy szept. – Pośpiesz się.

Zaraz potem do Solańskiego dotarło echo uderzeń podeszew o kamienne schody i szcęk otwieranych i zamykanych drzwi. Ostrożnie wyszedł z kryjówki. W korytarzu panowała całkowita ciemność. Nic nie widział. Czuł za to morski zapach męskich perfum.



Odczekaliśmy parę minut, żeby spiskowcy nie zobaczyli nas wyłazających z piwnicy, i ruszyliśmy do góry. Na wysokim parterze zatrzymałem się, bo już mnie tylna łapa zaczynała napingalać. Solański stanął obok i zagapił się na drzwi, na których ktoś krzywo zawiesił mosiężną dwójkę.

– Brygida Buchta – odczytał nazwisko wypisane na kawałku plastra przyklejonego obok dzwonka.

Zadzwonił. Zaterkotało jak z pozytywki w takt *Jingle Bells* (co najmniej dyskusyjny dobór repertuaru o tej porze roku). Z wnętrza nie dobył się najmniejszy nawet szmer. Zastanowiłem się, dokąd polazł ten wypierdek, o którym wam już wspominałem. Wypatrzyłem go wczoraj przez okno, gdy siedział razem z tą Brygidą Buchtą na parapecie. Wsparty na puchowej poduszce, gapił się na przechodniów, których znowu tak dużo w tych pięknych okolicznościach tak lokalowych, jak i pogodowych nie było. Wyglądał mi na przedstawiciela rasy pinczerków. Był mały, chudy, brzydki, ze szpikulcami zamiast uszu, i miał wyraz pyska rasowego

debila. Takie smrody zazwyczaj okazywały się jeszcze większymi tchórzami niż ja. Uderzały w przeraźliwy, przekłuwający bębenki w uszach pisk zupełnie bez powodu. Na przykład na widok pająka (no ja was proszę!).

Szkoda, że nie było obszcymura w domu, bo chętnie przemówiłbym mu do rozumu i ustalił raz na zawsze psią hierarchię w tej kamienicy. Szymon zrezygnował z dzwonienia i już chciał się oddalić, kiedy ja przywarłem do szpary przy podłodze i zawarczałem. Poczułem dobiegający spod drzwi mieszkania znajomy zapach. Solański przyglądał mi się z uwagą. Potem przycisnął oko do judasza, ale od niewłaściwej strony nie było pewnie widać nic konkretnego. Zaskomlałem.

– No co? – spytał głupio ten człekokształt.

Musiał się dopiero nauczyć, że być może mam początki całej tej zaćmy, czasem słyszę tylko to, co chcę słyszeć, ale nos nie zawiódł mnie jeszcze nigdy. A właśnie w tej chwili z lokum pod dwójką dochodził do moich nozdrzy zapach męskich perfum skomponowanych na morską nutę.

Rozdział 5

TYLE CO KOT NAPŁAKAŁ

W życiu Róży Kwiatkowskiej nawet imię i nazwisko były spartolone. Tylko z pozoru niewinny żarcik rodziców, uskuteczniiony trzydzieści dwa lata temu w chorzowskim Urzędzie Stanu Cywilnego, ciągnął się za nią przez całe życie jak smród po gaciach. Absurd sytuacji ujawniał się w pełni dopiero wtedy, gdy zobaczyło się Różę na własne oczy. Kwiatkowska z kwieciem wspólnego nie miała nic. A już na pewno nie z różami. No, może co najwyżej z bodziszkiem cuchnącym bądź wężymordem (gdyby ktoś na siłę doszukiwał się botanicznych porównań).

Jeśliby spojrzeć na Różę życzliwie, można by dojrzeć ukryte gdzieś pod zwałami tłuszczu szlachetne rysy twarzy i błysk inteligencji w oku. Niestety, Kwiatkowska w głębokim poważaniu miała to, jak wygląda. Żarła na potęgę, na co tylko przyszła jej ochota, nie zważając na żadne kalorie, gluteny i inne węglowodany. Zapijała te delicje morzem alkoholu, bo po nim nie musiała już przejmować się niczym. Była dość wysoka. Ze swoją masą, na którą zabrakło skali, gdy raz weszła na stary model wagi w łazience rodziców, mogłaby spokojnie zostać zatrudniona przy ochronie obiektów strategicznych bądź wystawiona jako reprezentantka Polski na międzynarodowych zawodach sumo. Róża nie malowała się wcale. Nawet gdyby dać jej do ręki zestaw pudrów, szminek i tuszów, nie wiedziałyby, co z tym począć. Ubierała się w co popadnie, najczęściej w ciuchy wygrzebane w sklepach dla ciężarnych.

Buty na obcasie miała na sobie raz w życiu. Na studniówce. Do tej pory oblewał ją zimny pot na wspomnienie tamtego feralnego wieczoru. Nie dość, że na imprezę przyszła sama, bo niby kogo miałyby wziąć jako swoje plus jeden, to jeszcze w trakcie otwierającego bal poloneza, do którego z litości poprosił ją niższy od niej o głowę, wątlej budowy nauczyciel geografii, złamała sobie obcas pantofla. Zachwiało nią w posadach, po czym runęła na środek zastawionego jadłem i popitkami nauczycielskiego stołu, ciągnąc za sobą przerażonego belfra. Nogi mebla pod jej ciężarem nie wytrzymały. Cały spożywczy dobrobyt, z Różą jako wisienką na torcie, wylądował na ziemi.

Kiedy Kwiatkowska próbowała wstać, sukienka uszyta przez matkę z zasłonek pękła, ukazując całej społeczności klas czwartych I LO imienia Juliusza Słowackiego w Chorzowie oraz gronu pedagogicznemu zad Róży. Zad odziany w ogromne majtki wyszczuplające, które niestety (mimo kłamliwych zapewnień producenta) swej funkcji spełnić nie były w stanie.

Zapłakana Róża uciekła z sali. Po drodze chwyciła jeszcze spod stołu kolegów z klasy butelkę żytniej i w jej towarzystwie zamknęła się w toalecie. Na domiar złego całe zajście filmował kamerzysta zatrudniony na tę okoliczność przez dyrektora szkoły. Wprawdzie były to czasy, kiedy jeszcze nie każdy miał w domu komputer, a co dopiero Internet, wszystkich pierdół nie wrzucało się od razu na YouTube'a, ale i tak Róża dziwiła się niepomiernie, że jej dupsko nie znalazło się na filmie ze studniówki, który każdy z uczniów dostał na pamiątkę na kasecie VHS.

Po latach upokorzeń Kwiatkowska zobojętniała i miała już w odwłoku, co sobie o niej ludzie pomyślą. Wykorzystywała strach łączony z zakłopotaniem, które to uczucia budziła we wszystkich, do skutecznego zdobywania informacji. A dziennikarką była

wyśmienitą.

Teraz siedziała za swoim biurkiem w siedzibie redakcji „Chorzowskich Nowin” i rytmicznie uderzała w klawiaturę. Oznajmiła naczelnemu, że napisze artykuł o tajemniczej śmierci dawnej aktorki Teatru Uciecha. Choć policja nie dopatrzyła się niczego nadzwyczajnego w zgonie Marianny Biel, naczelny wiedział, że jeśli Róża czegoś się uczepli, to nie popuści. Miała cholera niezawodną intuicję.

– Halo! Łączyć mnie z dyrektorem Świerszcz! – oznajmiła tubalnym głosem do słuchawki.

W swoim artykule, oprócz sensacyjnych doniesień związanych ze zbrodnią, chciała opisać, kim tak naprawdę była Marianna Biel. Choć, jak się okazało, przez lata mieszkały w jednej kamienicy, Kwiatkowska nie wiedziała o sąsiadce zupełnie nic. Weszła na Wikipedię, wpisała nazwisko aktorki i ze zdumieniem odkryła, że kobieta miała za sobą kawał imponującej kariery. Grała nie tylko w Uciesze, miała też kilka epizodów w warszawskich teatrach, była laureatką Złotej Maski, najważniejszej w regionie nagrody teatralnej, a nawet dostała kilka większych ról w filmach Kutza.

– Kiedy to było? – Róża ze wzruszeniem ramion przyjrzała się datom sięgającym zeszłego stulecia.

Według informacji podanych w internetowej encyklopedii Biel zrezygnowała z zawodu stosunkowo niedawno. Ostatnie lata spędziła na chałturzeniu w przedstawieniach dla przedszkolaków czy występach w gniotach wystawianych po domach kultury.

– To ja poczekam – warknęła do telefonu.

Od pół godziny próbowała dodzwonić się do dyrekcji Teatru Uciecha. W końcu to tam przez lata zatrudniano Biel. Jakiś czas była największą gwiazdą na chorzowskich deskach. Kwiatkowską ciekawiło więc, co na temat aktorki ma do powiedzenia Milena

Świerszcz, która niepodzielnie rządziła teatrem od czasów jego powstania w latach siedemdziesiątych.

– Nie, nie mogę zadzwonić później! – krzyknęła. Ta cholerna sekretarka próbowała zbyć ją jakimiś bredniami o konferencji, w której rzekomo właśnie brała udział dyrektorka. – Łącz mnie teraz, babiszonie! – Róża usłyszała w słuchawce krótki sygnał przerwanej rozmowy.

Z nerwów rzuciła komórką o ścianę, przy której stało biurko; iPhone odbił się od lamperii i wylądował na stercie zadrukowanych papierów pokrywających blat. O dziwo nawet się nie rozbił. W sumie Kwiatkowska mogłaby po prostu przejść na drugą stronę ulicy Katowickiej, podejść trochę pod górkę i już by była w teatrze. Nie zamierzała jednak uprawiać gimnastyki nadaremno. Sekretarka pewnie już ostrzegła portiera, żeby nie wpuszczał dziennikarki do środka.

Róża ponownie chwyciła za telefon. Wielkimi paluchami o obgryzionych paznokciach wystukała coś na ekranie i przytknęła aparat do ucha.

– Szymuś! – Głos jej złagodniał. – Ta jędza w Uciesze nie chce mnie połączyć z dyrą. – Chwilę słuchała Solańskiego. – No popatrz. Możesz to przynieść do nas. Piotr to rozszyfruje na swoim kompie. – Oczy aż jej się zaświeciły. – Będiesz zaraz? To pa!

Rozłączyła się. Odpychając się nogami od podłogi, przetoczyła się wraz ze swoim krzesłem na kółkach do pokoju obok. Rezydował tam informatyk, który zajmował się nie tylko obsługą redakcyjnych komputerów, lecz także składem i łamaniem gazety. A po godzinach brał jeszcze prywatne zlecenia na naprawy zalanych herbatą laptopów czy odzyskiwanie utraconych danych z komputera, do którego w chwili nieuwagi dostało się dziecko.

– Piotruś, mam romans – wysapała Róża, bo jednak to tarabanienie

się z krzesłem przez próg nie było wcale takie proste.

– Dla ciebie wszystko, skarbie – zaćwierkał informatyk.

Róża może i by się wzruszyła tym „skarbem”, gdyby nie fakt, że Piotr był zdeklarowanym gejem i wszelkie „skarby” czy inne „koteczki” wypowiedziane przez niego w stosunku do jakiegokolwiek kobiety znaczyły tyle, co ów koteczek napłakał.

Nie czekali dłużej niż kwadrans, gdy w progu redakcji stanął Solański ze swoim nieodłącznym psem.

– I te gnoje twierdzą, że jej nie znają? – Róża w jednej ręce obracała płytę podpisaną „Biel”, a drugą drapała Gucia za uchem.

– Próbowałem w domu to otworzyć, ale nie da rady. – Solański zwrócił się do informatyka.

– Szymonek, jakby nie musiał, toby się nawet komórki nie nauczył odbierać. – Kwiatkowska zaniósła się śmiechem zbytnio przypominającym świński kwik.

Piotr bez słowa przejął płytę, włożył ją do napędu i zaczął gmerać przy komputerze.

– Ty, Róża, czemu Gierlochy razem mieszkają? To jakieś chore jest. – Solański usiadł na brzegu biurka. Wyciągnął z kieszeni kurtki psi przysmak i wetknął go w rozdziawioną paszczę Gucia.

Kwiatkowską, choć o reszcie sąsiadów nie wiedziała w zasadzie nic, to na temat braci całkiem sporo. A to dlatego, że Adam znalazł w niej powierniczkę swych trosk. Nieraz pukał do niej po nocy, by ją opieprzyć za zbyt głośne puszczenie muzyki. A kończyło się na zwierzeniach po błądy świt.

– Z Adama to są takie ciepłe kluchy – oznajmiła, wyciągając z szuflady biurka batonik. – Chcesz? – Podetknęła Solańskiemu pod nos już nadgryziony frykas.

Szymonem aż zatelepało z obrzydzenia. Stanowczo odmówił. Wysłuchał za to opowieści o braciach, z których jeden całe życie

opiekował się rodzicami, a drugi wyjechał do Niemiec i słuch po nim zaginął.

– Nawet na Boże Narodzenie się nie zjawiał. – Róża próbowała językiem wydostać spomiędzy zębów kawałek orzeszka.

Juliusz i Beata Gierlochowie, rodzice bliźniaków, nigdy nie pogodzili się z utratą syna. Adam dbał, żeby niczego im nie brakowało, ale staruszkowie byli schorowani, potrzebowali stałej opieki. Syn przeprowadził się więc do nich. Dwa miesiące później już nie żyli. Juliusz cierpiał na alzheimera, Beata całe życie chorowała na serce. Najpierw kierowca bmw potracił ojca, który w piżamie udał się na spacer po arteriach Chorzowa, potem, na wieść o śmierci męża, Beata dostała zawału. Adam został sam.

Na dnie szafy w kartonie ze starymi listami i pocztówkami Gierloch odnalazł zaklejoną kopertę z testamentem. Rodzice zapisali w nim obu synom cały swój dobytek w postaci mieszkania. Wyrazili też nadzieję, że dzięki temu bracia odzyskają ze sobą kontakt i będą znów prawdziwą rodziną. Na te rewelacje Adama trafił szlag. Wszystko byłoby po staremu, gdyby niespodziewanie dwa dni po pogrzebie w progu mieszkania numer trzy nie stanął – powiadomiony o sytuacji przez notariusza – od lat niewidziany Hubert. Prawnik był znajomym Gierlocha z młodości, więc chciało mu się wyjść poza swoje kompetencje i zadzwonić do kolegi. W wyniku tego brat wprowadził się na dobre. Adam wypłakiwał się Róży na ramieniu, chlipiąc, że nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

– A Hubert w Niemczech co robił? – chciał wiedzieć Solański.

– Miał podobno warsztat samochodowy, ale splajtował. – Różę zmuliło od batonika i sięgnęła po butelkę odstępnej kranówki do podlewania dwóch paprotek, które zdobiły parapet redakcji. – Wrócił więc na łono rodziny.

– Nic tu nie działam, misiaczki – przerwał im Piotr. – Dajcie mi trochę czasu, to pogrzebię przy tym w domu. Tam mam lepszy sprzęt.

Kiedy Róża odprowadziła Solańskiego do drzwi, z wieży Urzędu Miasta rozbrzmiewał hejnał. Wybiło południe.



Ho, ho, doczekałem upragnionej chwili! Wróg wyszedł z ukrycia. Po wizycie w „Chorzowskich Nowinach” ruszyliśmy w stronę domu. Łaskawie przestało chwilowo padać. I dobrze, bo już mnie zaczęły kości łamać od tej wilgoci. Siedziałem z przodu na fotelu pasażera, a Solański otworzył okno na oścież, żebym sobie mógł wywietrzyć paszczę. Zahamowaliśmy na skrzynce elektrycznej i od razu go zobaczyłem. Pinczerek tkwił tym swoim kościstym dupskiem na obleczonej w poszewkę z kory poduszce i gapił się na nas. Obok niego, na kołdrze od kompletu, spoczywała jego właścicielka – Brygida Buchta.

Tu jestem zmuszony wtrącić niezbędną dygresję. Bo czy wy też zauważyliście tę prawidłowość? Typowy element na śląskim horyzoncie, czyli kobieta z psem w oknie, podlega pewnym uregulowaniom. Z badań, które przeprowadziłem na własny użytek, wynika, iż im grubsza baba, tym mniejszy obszcymur tkwiący przy jej boku. Sto kilo żywej wagi ma zawsze pod pachą wypierdka. Szkieletor, sama skóra i kości, występuje w parze z wilczurem, a czasem nawet i rottweilerem. Może to odgórne wytyczne wojewódzkiego architekta krajobrazu? Albo po prostu równowaga w przyrodzie musi być zachowana.

W każdym razie pinczerek sterczał na widoku. Już miałem wyskakiwać łukiem przez otwarte okno. Już miałem doskoczyć do sralucha. Już mu nawtykać za wsze czasy. Ale w sumie dobrze, że się w porę powstrzymałem. Staliśmy się z Solańskim niemymi

świadkami dramatycznych wydarzeń, które potoczyły się zbyt szybko jak na moją zaćmioną i zacopowaną woskowiną uszną percepcję.

Pod bramę nadjechał ze swoim wózkiem ze złomem Rom, sąsiad z kamienicy obok. Dał nura do śmietnika ustawionego pod ścianą w słusznym przekonaniu, że tutejsi mieszkańcy lekce sobie ważą durnoty o segregacji odpadków. Miał pewnie nadzieję znaleźć w pojemniku na plastik jakiś solidny kawał żelastwa, który dałoby się spieniężyć razem z trzema kratkami ściekowymi, które zgarnął już tego poranka z osiedla Pod Arkadami mieszczącego się nieopodal, tuż przy granicy z Bytomiem.

Na to Brygida Buchta uderzyła w alarm. A zawtórował jej pinczerek.

– Ty pieroński podciepie, kaj mi sam sznupisz w tym hasioku! – darła ryja, a ta podróbka psa piszczała do rytmu i taktu. – Śmierdzący kradzioku! Idź se nazod, skąd żeś przyložł, i mi tu gupich af nie ciep, bo cie mój pies bajsnie!

Pinczerek najwyraźniej zrozumiał, że o nim mowa, bo stanął na poduszce, odwrócił się zadkiem do widowni (czyli nas i ustawionego na swe nieszczęście w pierwszym rzędzie Cygana). Podniósł nogę i wysikał się przez okno. No, proszę państwa, na takie atrakcje to ja nie liczyłem, otwierając dzisiaj z rana swe zaspane oczęta. Musiał trafić w męczyznę, bo ten z kolei zaczął się wydzierać i wyzywać Buchtę od najgorszych. Przerwał mu dzielnicowy, który pojawił się po prostu znikąd.

– Panie władza, pan biere do ciupy tego hasiomaszketnika! – poczęła domagać się Buchta.

Policjant wyjął z kieszeni bloczek do wypisywania mandatów. Pstryknął długopisem. I począł coś gryzmolić, przygryzając czubek języka. Rom ze spuszczoną głową stał z boku i nawet nie próbował uciekać.

– Ja, bo tela tych wulców sie szwendo, nieroby jedne ino by kradły, pra? – Baba przybrała familiarny ton.

Już chciałem iść nadać dzielnicowemu o haniebnym zachowaniu pinczerka. Może jemu też by wlepił mandat. Ale, jak się okazało, nie musiałem się wysilać.

– Pani Buchtowa, to już nie pierwszy raz jest – rzekł policjant, wyrrywając karteczkę z notesika. – Zaraz tam pani przyniosę mandat i będzie pani musiała zapłacić.

– A za co?! – ryknęła nasza sąsiadka.

– Już wcześniej sąsiedzi składali na panią skargi, że pani pozwala swojemu psu sikać przez okno.

– A kaj łon mo pulać, jak jo klusków i rolada musza pilnować w garach? – Buchtowa przeniosła pinczerka razem z poduszką do wnętrza mieszkania i z furią zatrzęsnęła okno.

Dzielnicowy westchnął i wszedł do bramy, żeby wręczyć Buchtowej mandat. A ja uznałem, że przy takim obrocie spraw zostawię pyskowanie na pinczerka na inną okazję. Przyjemności trzeba sobie dawkować.

Rozdział 6

KOCIOKWIK

Solański w samych bokserkach siedział w swoim wyświechtanym fotelu i przerzucał kartki *Tajemnej historii* Donny Tartt. Nie mógł się jednak skupić. Z dołu dobiegały go niemiłosierne ryki. Jak na jego słuch, pochodziły z mieszkania Brygidy Buchty, która musiała włączyć radio na cały regulator. Detektyw zastanawiał się, czy to możliwe, żeby kobieta była aż tak głucha. Pod nogami Solańskiego piętrzył się stos książek, oczekując cierpliwie na zainteresowanie ze strony właściciela. Gdyby mocno przycisnąć nos do wypłowiałego pluszu siedziska, na którym Szymon usadowił swoje kościste ciało, wciąż można by poczuć jej zapach. Albo tylko sobie to wmawiał. Marzył, ale nie chciało mu się grzebać w plecaku w poszukiwaniu czystego ubrania. Jeszcze się nie rozpakował. Postawił tylko na parapecie ramkę ze zdjęciem. Ładna szatynka o miłej twarzy, w widocznej już ciąży, stała na tle drewnianego góralskiego domu i uśmiechała się do fotografa.

Pies leżał u jego stóp. Krople wrześniowego deszczu znów uderzały o brudną szybę. Solańskiego przeszedł dreszcz. Nastroszyły się czarne włoski na jego chudej kłacie. Przy każdym wdechu skóra się napinała. Jakby chciał, mógłby sobie policzyć żebra. W sumie całkiem byli do siebie podobni: on i Gucio. Z tymi wystającymi kośćmi i czarnymi kłakami. Spojrzał pod nogi. „Że pies ma tylko człowieka, to normalne. Ale kiedy człowiek ma już tylko psa, co wtedy?” – zastanawiał się.

W mikrofalówce zagotował wodę nalaną do brązowej, podobno nietłukącej szklanki. Dosypał pięć miarek kawy rozpuszczalnej, dodał tyle samo cukru. Zamieszał ołówkiem. Spojrzał na ekran laptopa, na stronę swojej agencji. Sprawdził pocztę. Zobaczył piętnaście nieodebranych wiadomości. Tytuły niektórych brzmiały zachęcająco, jeśli ktoś chciał być zachęcony: „zlecenie”, „propozycja pracy”, „dorwij mojego starego”. Zatrzasnął pokrywę komputera, nie bawiąc się w zamykanie systemu. Siorbnął kawowego ulepku.

Z letargu wyrwało go pukanie do drzwi. Pies spał tak mocno, że nawet nie zareagował. Szymonowi przebiegła przez głowę myśl, że wybitnego sobie sprawił stróża. Naciągnął na siebie pogniecioną koszulkę z napisem „Lady Pa_k” i otworzył.

W progu stał ubrany w szary garnitur, który musiał zakupić w Smyku albo 5, 10, 15, Tadeusz Polaczek. Zagapił się na gołe, kościste nogi Szymona. Ocknął się po chwili i spojrzał w górę. Ze swojego metra pięćdziesięciu miał najmniej czterdzieści centymetrów do podkrążonych oczu Solańskiego.

– Panie Szymonie, ja chciałem przeprosić – zaczął miękkim głosem
– za to, jak pana zostawiłem w tej piwnicy – znów zrobił pauzę – tak bez słowa.

– Nie ma za co. – Solański nie zamierzał bawić się w wizyty towarzyskie. Polaczek nie chciał jednak sobie pójść.

– Mogę wejść? – Wepchnął się do środka.

– Jestem zajęty.

– A ja jestem nauczycielem – powiedział bez związku. – U nas w gimnazjum. I wie pan, dlatego się martwię – ciągnął Polaczek, nie zwracając uwagi na niechęć Solańskiego – o dzieci. Bo jeżeli tutaj krąży morderca, to co z dziećmi? Pan coś wie? – Podniósł głos. Pies z kolei podniósł głowę i wyjrzał spod stołu.

– Co niby mam wiedzieć? – Detektyw miał dosyć tego

przedwojennego elegancika, który zapomniał stanąć w kolejce po wzrost, kiedy go rozdawali.

– To morderstwo? Ktoś ją zabił?

– A jak pan sądzi? – Solański westchnął i przeszedł do sypialni, żeby jednak poszukać jakichś spodni.

– Bo wie pan – dobiegło go z kuchni – tu u nas to nie jest wprawdzie jakieś Miasteczko Wilanów, ale morderców jeszcze nie mieliśmy – nauczyciel pstryknął czymś dwa razy, a potem kontynuował dość niewyraźnie – więc... dobrze by było... wiedzieć...

Szymon najpierw usłyszał to pstrykanie. Później poczuł papierosowy dym. Sekundę potem, z krępującymi mu ruchy, pozwijanymi wokół kostek dżinsami, doskoczył do Polaczka. Bez ostrzeżenia przywalił mu pięścią w ryj. I wepchnął zapalonego papierosa do rozdziawionej ze zdziwienia gęby. Tadeusz przewrócił się na stół. Stracił opróżnioną w połowie szklankę z kawą. To nie było nietłukące szło.



Adam Gierloch podniósł do ust wypełnioną w połowie szklankę herbaty, w której wciąż pływała, niczym boja ratunkowa, torebka z żółtą etykietką wystającą ponad powierzchnię. Nic nie mówił, ale ręka mu drżała tak, że brunatne krople napoju zachlapywały blat stolika.

Przyszliśmy do bliźniaków zobaczyć, z jakiej to przyczyny dochodzą od nich straszne łomoty, które zaczęły uatrakcyjniac nam popołudnie tuż po tym, jak przestała Buchtowa. Nie żeby u nas panowała cisza, spokój i harmonia ze wszechświatem. Wszak Solański (*I didn't see that coming* – jak powiedzieliby na amerykańskich filmach) przywalił Tadeuszowi. A potem zamiast przeprosić, to go jeszcze wziął za wszarz i wywalił za drzwi. Otworzył je ponownie i rzucił

nauczycielowi na odchodne, że zakaz jest, kurwa, palenia w miejscach publicznych. Nie wiedziałem, że taki z Szymusia ortodoks. Ale może naczytał się napisów na paczkach papierosów, że umrze, dostanie raka czy innej paradontozy i się biedak przestraszył. Każdemu wolno. Polaczek zwiął w każdym razie, odgrządzając się policją, prokuratorem i wszystkimi świętymi.

A teraz staliśmy w progu i patrzeliśmy na istne wariactwo. Podczas gdy Adam rozlewał swoją siekierę, Hubert przyklejał do podłogi srebrną taśmę izolacyjną.

– Jest pośrodku? – spytał nas z udawanym spokojem w głosie.

– Zapragnąłeś mieć Mdwa? – Solański podniósł brew i splótł ramiona na klatce piersiowej.

– Pół na pół! – wydarł się Gierloch. – Tak chciał tatuś. I mamusia!

Prowadził linię demarkacyjną od okna do drzwi wejściowych. Na lewo od taśmy walały się karimata i śpiwór, królestwo Huberta. Wersalka została przesunięta na prawą część pokoju, należąca do Adama. Ten siedział teraz na skraju mebla i do piersi przyciskał zdjęcie, które przy naszej wcześniejszej wizycie wisiało na ścianie. To ta wersalka musiała narobić takiego rabanu. Najwyraźniej w trakcie transportu oderwała się skrzynia na pościel i teraz światło dzienne ujrzały brudne bety. Zza nogi Adama, niczym wyrzut sumienia, wystawała łososiowa kołdra niedokładnie odziana w zszarzałą poszewkę.

Stół za to został ustawiony pośrodku, równo dzieląc się pomiędzy oba rewiry.

– A co z łazienką? – zainteresował się Solański. – Kibel przerąbałeś siekierą? Po kawałku dla każdego?

– Nie wtrącaj się! – warknął Hubert i kleił dalej. – Już tu była taka jedna, która wtykała nos w nie swoje sprawy.

Jak na zawołanie ktoś załomotał do drzwi wejściowych.

Warknąłem ostrzegawczo, bo mi się nie spodobało to, co wywąchałem przez szparę przy podłodze. Solański otworzył. Mógł tego nie robić – dla dobra ogółu. W progu stała właścicielka pinczerka, Brygida Buchta. Pozbawiony talii kadłub przewiązała sobie nylonowym fartuchem ozdobionym pstrokatym szlaczkiem, który prezentował się tak, jakby jej kto na to wdzianko narzygał. Może pinczerek? Na stopach miała rozdeptane papcie, a na głowie siwe kłaki zawinięte na wałki. W ręku dzierżyła mopa. Z oczu błyskały jej iskry nienawiści.

– Kierzy memłok odzistoł mi sień?! – chciała wiedzieć. – Jo tu niby robia za gospodynia, ale po wos nie beda ino durś tyj ciaplyty, tego cołkiego marasu pucować! Dziękować Ponbóckowi, że sie te koty wyniosły!

Zamurowało nas na tę przemowę. Nikt nie chciał się odzywać, bo baba wyglądała groźnie. I miała mopa, którego mogła przecież użyć w celach zaczepno-obronnych.

– To nie my. – Hubert zebrał się na odwagę.

– Zawrzyj gymba! – nakazała mu Buchtowa. – Abo nie. Godej, co to za klajster? – Wskazała na taśmę, nagle zainteresowana wydarzeniami, jakie rozgrywały się w lokalu Gierlochów. – Ipi mosz? Same gupieloki! – Odwróciła się na swoim narzędziu pracy i (dam sobie za to głowę uciąć) odleciała na nim w siną dal.

I my w zaistniałej sytuacji poszliśmy sobie precz.



Został kwadrans do osiemnastej. Tego dnia szarzyzna ulicy 11 Listopada była bardziej dotkliwa niż zazwyczaj. Brzydota wyzierała z każdego zakamarka, z każdego piwnicznego okienka umorusanego sadzą, z każdej śmierdzącej moczem bramy i każdego zawalonego śmieciami podwórka. Te podwórka stanowiły zresztą skarbnicę

wiedzy wszelakiej. Zarówno biologicznej (przegniłe żarcie), jak i historycznej (kanapa, na wpół żywy świadek czasów Polski Ludowej), a także geograficznej (porzucony globus z dziurą na wysokości Jukatenu, do którego załatwiały się miejscowe koty) czy wreszcie lingwistycznej (tworzone niebieską farbą na ceglanych ścianach komunikaty w postaci piktogramów przedstawiających trzy literki: G, K i S dyndające na szubienicy).

Solański wracał do domu pieszo, z przezroczystą reklamówką pod pachą. Wicher, który teraz zastąpił ulewę, szarpał za rogi jego torby, wdzierał się pod poły lichej jak na tę pogodę kurtki detektywa, gwizdał w prześwitach między familokami. Jedynym jasnym punktem w tym półmroku była jarząca się ciepłym światłem witryna księgarni Wyrazy. Szymon już miał wejść do środka, gdy z głębi podwórka doszły go jakieś hałasy. Wszedł w bramę. Przeciąg uderzył go w twarz. Oczy zaczęły mu łzawić. Przy kontenerze na śmieci zobaczył dwóch mężczyzn. Jeden ubrany był w policyjny mundur, a wysokie buty wyglancowane miał na błysk. Szarpał za i tak już obdarte ubranie i posklejaną, siwiejącą brodę niższego i drobniejszego od siebie Roma. Ten próbował się wyrwać, ale nie miał wystarczająco dużo siły.

– Puszczaj, psie! – wrzeszczał. Pod jego nogami leżały dwa czarne foliowe worki, związane ze sobą sznurkiem. Wysypały się z nich zgniecione puszki po piwie. – Niczego nie ukradłem! To wyrzucone! – argumentował, jednak słyhać było w jego głosie ton rezygnacji.

– Zamknij się! – warczał mundurowy, próbując założyć Cyganowi kajdanki. – Tylko cię przesłuchamy – zapewnił, po czym zasadził mężczyźnie kopniaka w krocze.

Rom osunął się z jękiem na ziemię.

– A w jakiej sprawie – z bramy wyłonił się Solański – będziesz pana przesłuchiwał, Barański?

Noga aspiranta wymierzająca ofierze kolejnego kopniaka zatrzymała się w pół ruchu. Barański spłonął się jak młode dziewczę. Spróbował jednak zachować pozory hardości.

– Chuj cię to, Szymuś – syknął i aż się sam wystraszył swojego chamstwa. Postanowił więc nieco poprawić złe wrażenie i wysilił się na wyjaśnienia: – Brygida Buchta złożyła na niego skargę, że kradnie i wprowadza nieporządek.

– Co kradnie? Śmieci? – zainteresował się Solański.

– No tak – przyznał aspirant. – I że kradł je też, jak tu było morderstwo. Buchtowa widziała. Więc może ten szmaciarz sam tego morderstwa dokonał. Muszę go przesłuchać.

Solański podszedł do wciąż leżącego na ziemi mężczyzny i pomógł mu się podnieść. Starszy pan oparł się o ramię Szymona. Jęknął. Czubek buta Barańskiego musiał być twardy.

– To jest polecenie Matusiaka czy twoja samowolka? – zainteresował się detektyw. Dobrze przecież pamiętał, że podkomisarz uznał śmierć Marianny Biel za nieszczęśliwy wypadek.

– Sam umiem myśleć. – Barański postukał się palcem w skroń. – Podam podkomisarzowi rozwiązanie na tacy. I zajmę twoje biureczko, Szymuś. Podczas gdy ty nadal będziesz tkwił w tej koziej dupie – wskazał na bramę kamienicy – i prosił się urzędu pracy o zasiłek!

– Może masz rację. – Solański pokiwał głową. Aspirant zerkał na niego podejrzliwie. Przemknęło mu przez myśl, że coś za łatwo detektyw przełknął te inwektywy. – Sprawdź, czy ten pan nie zostawił czegoś w kontenerze – poradził aspirantowi Solański. – To mogą być kluczowe dowody w sprawie.

Barański z głupawą miną gapił się na Szymona. Nie potrafił ocenić, czy detektyw mówi poważnie. Przesząpił z nogi na nogę.

Wreszcie odwrócił się, wspiął na palce i zajrzał do wnętrza kontenera.

– Nic tu chyba nie ma. – Zabrzmiało to jak głos dochodzący ze studni.

Solański tylko czekał na ten moment. Podszedł do Barańskiego od tyłu, chwycił go za nogi i sprawnym ruchem wepchnął do pojemnika na śmieci.

– Co jest?! – zawył aspirant i wylądował głową w odpadach.

– Chuj cię to – odparł Solański z satysfakcją i zatrzasnął klapę. – Zaczep mojego sąsiada jeszcze raz, mały fiutku, a zanurkujesz w końskim gównie. Mogę pożyczyć? – zwrócił się do Roma, pokazując na sznurek łączący jego worki. Szybko odwiązał go i zaczepił o uchwyt wjazdu kontenera, a potem splótł z rączką służącą śmieciarzom do przesuwania pojemnika. – I nie mów do mnie Szymuś, baranie – rzucił jeszcze.

Poszedł w stronę Wyrazów, zastanawiając się, ile czasu zajmie Barańskiemu wydostanie się z kontenera. Był więcej niż pewny, że aspirant nie zgłosi zajścia w firmie. Zjedliby go na przystawkę. Od kpin nie uwolniłby się aż do emerytury.

Szymon otworzył drzwi księgarni, uruchamiając przymocowany nad nimi dzwoneczek, który miał informować właścicieli o przybyciu nowego klienta. Wewnątrz było całkiem przytulnie. Ściany po sam sufit zastawiono regałami. Pośrodku ustawiono okrągły stolik, wokół którego ściśnięto cztery obite czerwonym sukrem fotele.

Z zaplecza wyszła Anna Polaczek.

– To pan. – Podała Szymonowi dłoń.

Przy tych powitalnych manewrach Solańskiemu wypadła na podłogę wepchnięta pod pachę siatka.

– Och, przepraszam. – Anna schyliła się, by pomóc mu pozbierać dobytek.

Z reklamówki wystawały grzbiety trzech oprawionych w folię

książek. Ich ceny zostały zaklejone kodami paskowymi z napisem „MBP Chorzów”.

– Duży ma pani wybór. – Solański przyglądał się półkom.

– Moja wymarzona księgarnia. – Anna zasiadła w jednym z foteli.

– A klienci? – Szymon ulokował się naprzeciwko niej. – W tej okolicy chyba o nich trudno.

– Przez takich jak pan mam mniejsze obroty. – Zaśmiała się, wskazując na biblioteczne tomy.

Siedzieli w milczeniu. Anna co rusz poprawiała spadający jej na twarz kosmyk blond włosów. Oczy miała zaczerwienione.

– Ma pani może przygody Tomka Wilmowskiego? – Popatrzył na regał, na którym piętrzyły się książki używane. – Szukam pierwszego wydania *Tomka w krainie kangurów*, z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku.

– Wieczny chłopiec? – rzuciła Polackowa, kręcąc przecząco głową.

Solańskiemu nie chciało się jej tłumaczyć, że seria dziewięciu powieści Alfreda Szklarskiego to jedno z niewielu miłych wspomnień z jego dzieciństwa. Że dzięki tym opowieściom (często pożyczanym od posiadającej w domu rodzinnym sporą bibliotekę Róży) przenosił się z szarego, smutnego Śląska lat dziewięćdziesiątych do krain, które dotąd mógł zwiedzać tylko palcem po mapie. Że razem z Tomkiem mógł przeżywać przygody, zamiast wysłuchiwać zrzędzenia matki. Mógł zapomnieć, że tęskni za ojcem. Chciałby jeszcze raz wziąć do ręki takie samo wydanie, jakie jego matka w furii spaliła w piecu kaflowym za to, że w wigilijny wieczór uciekł z domu i poszedł szukać taty po zaśnieżonych chorzowskich ulicach. Był niewdzięczny, teraz zdawał sobie z tego sprawę. Ale Wilmowskiego chciał odzyskać.

– Znała pani Mariannę Biel? – spytał Solański, przeglądając pobieżnie jakiś tom traktujący o sieci wojennych podziemnych bunkrów na terenie województwa śląskiego.

– Przychodziła tu czasem. Popatrzeć. Nic nie kupowała.

– Jaka była?

– Próbowwała być wytworna. Ale czuć ją było naftaliną.

– Nie zdziwiło pani, że zniknęła?

– Mogła pojechać do sanatorium.

– Miewała jakichś gości?

– Nie prowadzimy rejestru wejść i wyjść. – Tadeusz wszedł do księgarni niepostrzeżenie, od zaplecza. Ubrany był w garnitur. Czuć było od niego wodę kolońską. – A pan nie jest tu mile widziany. – Stał za ladą, w bezpiecznej odległości od Solańskiego.

Stukał palcami o obudowę komputera. Nieznacznie podrygiwał w miejscu. Ściągnął ze stojącego w kącie wieszaka czarny płaszcz i zarzucił go sobie na ramiona.

– Wychodzisz znowu? – Anna zmrużyła oczy.

Mężczyzna w odpowiedzi poprawił sobie krawat pod szyją. Solański wstał i ruszył w jego kierunku. Tadeusz cofnął się o krok, ale za nim był już tylko zastawiony książkami regał. Jego nos wciąż był zsiniały po spotkaniu z pięścią Solańskiego. Detektyw wyciągnął rękę. Polaczek uskoczył w obawie przed kolejnym ciosem.

– Przepraszam – wychrypiał detektyw. – Poniosło mnie.

Nauczyciel podał mu dłoń bardziej ze strachu niż przekonania. Przycisnął się plecami do półek.

– Ku-u-puje pan to? – wyjąkał, wskazując na książkę, którą Solański wciąż ścisnął w lewej ręce.

– Wezmę – zdecydował detektyw raczej z chęci zadośćuczynienia niż faktycznej potrzeby.

– Podobno pod naszą ulicą też biegły podziemne korytarze – poinformował go Polaczek, przyjmując gotówkę. – Ale chyba je szwaby zasypały.

– Gdyby coś się państwu przypomniało *à propos* Marianny Biel –

Solański położył swoją wizytówkę na stosie książek – proszę dzwonić. Albo wpaść na górę.

Wiatr zatrzęsął za detektywem drzwi z podwójną siłą.

Rozdział 7

ZABAWA W KOTKA I MYSZKĘ

Sezon grzewczy oficjalnie jeszcze się nie rozpoczął, ale zimno było w naszym mieszkaniu prawie jak w mojej budzie w schronisku. Powiedziałbym Solańskiemu, żeby ruszył chudy tyłek, wziął metalowe wiadro i poszedł do piwnicy po węgiel, a potem rozpałił w kafloku, jak okoliczna ludność nazywała oklejone ceramiką piece, wciąż wygrywające w tych rejonach walkę z centralnym ogrzewaniem. Powiedziałbym, ale chyba nie było sensu, bo Solański popadł w dziwny stupor. Mój pan rozpakował się wreszcie, wywalając wprost na podłogę zawartość plecaka. Dużo tam tego nie miał. Kilka ciuchów zwiniętych w kłębek, jednorazowa maszynka do golenia, przetarty od częstego używania plażowy ręcznik z mapą Szczawnicy. Kto tak głupio nazwał miejscowość, nie miałem pojęcia. Chciałem nawet zaśpiewać na tę okoliczność utwór, który usłyszałem w radiowej Trójce. Jakiś pan zwierzał się tam: „piłem w Spale, spałem w Pile”, a ja bym dodał: „piłem w Szczawnicy...”, a w piwnicy to sami wiecie co. Powstrzymałem się jednak.

Solański wyciągnął z tej swojej sterty czarny sweter zrobiony na drutach. Sądząc po precyzji wykonania, ten, kto go sztrykował, musiał być ślepy i nie mieć przynajmniej jednej ręki. Szymon naciągnął toto na grzbiet, a ja wtuliłem się w rękodzieło. Siedzieliśmy na fotelu. Z laptopa cicho pogrywała jakaś piosenka, której wykonawca zastanawiał się, na co komu dziś wczorajsza miłość. Obok komputera leżały stosy książek, do których

przytwierdzono nalepki z różnymi nazwami miast. Był tam Bytom, były Katowice, dojrzałem też Tarnowskie Góry i Chorzów. Część z nich Solański przyniósł dzisiaj z biblioteki. Powiedział, że tam psów nie wpuszczają, więc nie może mnie ze sobą zabrać. To ja się pytam, po co chodzić w takie podejrzane miejsca? Przecież to trzeba jakąś ogólnopolską akcję protestacyjną przeprowadzić. I zażądać, żeby w trybie natychmiastowym zamknięto wszystkie przybytki, do których ja i mnie podobni wpuszczani nie jesteśmy. Można by na przykład wynająć autokar, pojechać z kilofami pod sejm i rozbić kilka płyt chodnikowych politykom pod nosami. Podobno to zawsze działało w przypadku pewnych grup zawodowych. To może i psy zostałyby wysłuchane.

Takie marzenia śmigały mi pod kopułą, a Szymon zamiast tej kopuły głaskał zdjęcie, które ściągnął z parapetu. Wełna ze swetra gryzła mnie w skórę nawet przez bujne kudły. Pachniała przytulnie, domowo.

I że też ta cholera musiała przerwać nam błogie chwile. Rąbnęła w drzwi, bo dzwonek nie działał. Potem zaczęła gmerać w zamku. Zerwałem się z kolan pana z dzikim ujadaniem. Czego nie lubię, to natrętów. Zaraz po pijakach. Zacząłem drapać i tak już odłaząca z framugi farbę. Solański otworzył. I jak tylko zobaczył, kto przylazł, od razu chciał zamknąć.

– A pani co? – Oniemiał. – Ma swój klucz? Do mojego mieszkania?

– My som tu wszyscy jedno familia – oznajmiła Brygida Buchta i wlaźła do środka. – No richtig, że mom. Do wszystkich mom. Jakby ci sie, synek, co stało, to kto by dochtora wpuścić? Tyn twój kudlok? – Wskazała na mnie.

Nie chciałem nic mówić, ale fryzurę miałem bardziej wytworną niż Buchtowa, więc po co z tymi inwektywami od razu wyjeżdżać? Poza tym o jakiej familii ta poczwara mówiła? Ja tam pokrewieństwa

między nią (a tym bardziej pinczerkiem) a sobą nie zauważyłem. Prędzej mógłbym się poczuć kuzynem orangutana.

– Dlatego dobrze, że Biel kofnęła – zawyrokowała Buchta i rozsiadła się w naszym fotelu.

– Dobrze? – Szymon nadstawił uszu, co i ja uczyniłem.

– Ja. Bo łona myślała, że jest lepszko niż my. Wywyższała się – rozgadała się gospodyni.

– Niby jak?

– Ło, ciup, te! Łona godać ze mną nie chciała. Ino się zamykała w tym swoim mieszkaniu i sam kisiła ogóra całe dnie – rozwinęła myśl. – Nikt jej nie lubił!

– Nie? – Solański uniósł swoje krzaczaste brwi.

– To była staro oma, kierej się zdowało, że kiedyś beła kimś. Ale wszyscy downo już to mieli w lufcie. – Brygida wstała. – No, to tyle zech chciała pedzieć. A ty sie, pieroński giździe, posprzątej, bo jak w chlewiku tu wyglądo.

Zakończyła rozmowę i zniknęła tak nagle, jak się pojawiła.



Nie mógł spać. Leżał przykryty śpiworem na rzuconym na ziemię materacu. Obok pies machał łapami i poszczekiwał przez sen. Pewnie śniły mu się uciekające kotlety. Przyglądał się sufitowi, z którego odłaziła stara farba, odsłaniając przed nim kolejne swoje warstwy. Kładli je tu inni ludzie. W innym życiu. W świecie, w którym te dzisiaj zepchnięte na margines społecznej hierarchii ściany stanowiły dla kogoś prawdziwy dom. Pełen luksusu w postaci wodociągu i kanalizacji, z wychodkiem na korytarzu. Ogrzewających plecy pieców kaflowych. Ustawionej na podwórzu prywatnej komórki dla każdej rodziny. Był pewny, że wtedy sąsiedzi znali się, przyjaźnili. Obchodzili razem urodziny. Starszym mieszkańcom młodszy przynosili

węgiel z piwnicy. Wpadali do siebie z niezapowiedzianą wizytą po robocie. Wieczorami grali w skata i popijali wódeczkę.

Wtedy starsza kobieta nie mogłaby zniknąć na długie tygodnie niezauważenie. Zastanawiał się, jak mieszkańcy mieli dostrzec nieobecność aktorki, skoro za jej życia nie przyjmowali do wiadomości, że istnieje. Już nawet nie chodziło o to, że ktoś ją mógł zamordować. Może faktycznie sobie to uroił? W tęsknocie za dawnym życiem, za policyjną robotą? Tak naprawdę nie dawała mu spokoju samotność Marianny Biel. Bolała go do żywego. Ponieważ on sam był równie opuszczony jak aktorka. Tyle że on w pełni sobie na swoją samotność zasłużył.

Zaprzagnął choć odrobinę poznać tę kobietę. Czuł, że jest jej to winny, choć nigdy się nie spotkali. Wysunął się ze śpiwora. Cicho, by nie obudzić psa, wyszedł na korytarz. Stał naprzeciw drzwi mieszkania Marianny Biel. Pokrywająca je farba musiała mieć kiedyś czerwony odcień. Teraz spłowiała, a spod jej warstwy wyzierały gołe placki surowego drewna. Nie było tu nawet tabliczki z nazwiskiem. Solański przeciągnął dłoń po nierównej powierzchni. Zrobiło mu się zimno. Przytknął oko do wizjera. Było za ciemno, by zobaczyć choć rozmazane przez odwróconą soczewkę kształty. Przyłożył ucho do skrzydła drzwi. Wstrzymał oddech. Z początku nie był pewny, czy nie mylą go uderzenia własnego serca. Tik-tak, tik-tak. To musiał być zegar. Staromodny, może nawet z kukułką, drewniany, wieszany na ścianie w miejscu reprezentacyjnym salonu, tak żeby goście mogli go podziwiać. Jeśli jacyś tu w ogóle przychodzili. Nacisnął klamkę. Zimny metal nie chciał ustąpić. Znów dosłyszał tykanie.

Przerwał je rumor, który sprawił, że wnętrzości podskoczyły Solańskiemu do gardła. To musiało być trzaśnięcie wejściowej bramy. Usłyszał kolejny huk, a potem jakieś zmięte przekleństwo rzucone w noc.

– Następnym razem dzwoń se do konkurencji, degeneracie – dodał ktoś poirytowanym tonem.

Solańskiego doszedł odgłos zamykanych drzwiczek samochodu i charkot zapalanego silnika.

Posadzka ziębiła go w boscie stopy. Niewiele się zastanawiając, szedł po sfatygowanych stopniach. Poskrzypywały oskarżycielsko. Nie zapalał światła. Zatrzymał się na półpiętrze. W dole zobaczył potężną sylwetkę wdrapującą się na czworakach po schodach.

– Hubert? – zdziwił się.

– Huba, buba – wybełkotała sylwetka, ustawiając się jako tako w pionie tylko za sprawą ściany. Szymona uderzyła fala przesiąkniętego alkoholem powietrza.

– Aleś się zaprawił – ucieszył się Solański. – Uważaj, żebyś nie przekroczył granicy. Tej z taśmy – uściślił.

Gierloch zatoczył się wreszcie pod swoje drzwi. Już po trzeciej próbie wygrzebał z kieszeni klucze. Wycelował jednym do dziurki. I zatrzymał się nosem w judaszu.

– Pomóżże mi – zwrócił się błagalnie do Szymona.

Solański wyjął mu klucze z wielkiej, zgrubiałej dłoni nawykłej do fizycznej pracy i sprawnie otworzył drzwi. Z wnętrza dochodziło równomierne pochrapywanie Adama. Pozbawiony nagle oparcia Hubert runął bezwładnie do przodu. Padł jak długi na panele w swoim mieszkaniu i tak już został. Szymon wsadził klucze do zamka od wewnętrznej strony drzwi i zamknął je za Hubertem, szturchając go w wyciągnięte nogi.

Nadepnął gołą piętą na coś śliskiego. Schylił się i podniósł kartkę. To była wizytówka, na której niebieskie litery ułożono w napis: „Blue Box. Night Club. Katowice”. Musiała wypaść Hubertowi z kieszeni, gdy próbował znaleźć klucze.

Solańskiemu wydało się dziwne, że Gierloch jeździł aż do Katowic,

by pooglądać panienki wyginające się na rurze. Wszak całkiem niedaleko stąd, po drugiej stronie czteropasmówki, tuż nad sklepem monopolowym o wdzięcznej nazwie i równie wdzięcznym hasłem reklamowym: „Hala Alkoholi Wielbłąd. Człowiek nie wielbłąd, napić się musi”, mieścił się przybytek też o afrykańskich, a jakże, inspiracjach. Sphinx nie pozostawiał złudzeń co do charakteru działalności mieszczącej się w nim instytucji. Napisy: „go go” i „night club” na przyciemnianych szybach stanowiły jasny przekaz dla spragnionej rozrywek klienteli. Po co więc jeździć do Katowic? Taksówka musiała Huberta drogo kosztować.



Tym razem nie pozwoliłem się porzucić. Stałem przy drzwiach wejściowych i wlepiłem gały w Solańskiego. Na tyle wymownie, że zrozumiał, iż jeżeli odważy się zostawić mnie samego w domu raz jeszcze, już ja mu zademonstruję, co to jest prawdziwa jesień średniowiecza.

Pomijałem milczeniem fakt, że gdyby wykazał się choć odrobiną inteligencji, mógłby skorzystać z mojego nieodpartego uroku osobistego. Solański może i był przystojny, ale, jak to mówią, na swój sposób. Czyli jednym mógł się podobać wysoki, chudy, czarny i zarośnięty mruk, innym wręcz przeciwnie. Inaczej sprawa wyglądała z moją skromną osobą. Nie przechwalałem się, moja uroda biła po oczach, powalała na kolana, a niedowiarkom dawała po pysku już przy drugim spojrzeniu. Miałem brązowe ślepia, nie jakieś tam zszarzałe jak Szymon. Dysponowałem czarnym niczym węgielek, wpisującym się w kopalnianą tradycję Śląska, nosem. Uszka miałem jak haczyki. Klapnięte, jednak w razie potrzeby mogłem je postawić na sztorc. Jasnobrązowe były moje łapy, krawatka i brzuch. Reszta futra lśniła czernią. Ogon miałem

karbowany i wcale nie musiałem w tym celu używać prostownicy ze specjalną nasadką. Tyle o mnie. Nie chciałbym, żebyście wzięli mnie za narcyza.

W każdym razie byłem zdania, że Solański mógłby mnie wykorzystywać jako przynętę na dziewczyny. Nawet te, które nie gustują w takich jak on patyczakach, byłyby mną zachwycone. Daję gwarancję. Piałoby, że taki słodki, taka mordeczka, oj tam, oj tam, i od razu łaskawszym okiem spoglądałyby na Solańskiego.

Dzisiaj Szymon chyba wreszcie pojął, jaką mocą dysponuję, bo zabrał mnie ze sobą do baru. Podjechaliśmy tramwajem do Rynku. Podeszliśmy w górę, wzdłuż przerytych przez trwający wieki remont torów, do Albion Pubu. W drzwiach przywitał nas brytyjski policjant odziany w mundur i wysoką czapę.

– Najeźdźca! – rozdarłem się.

Wprawdzie nie doszły mnie słuchy, żebyśmy przeszli pod jurysdykcję Angoli (to raczej oni na swoich Wyspach jedli z wymytych przez nas talerzy), ale może umknęły mi jakieś polityczne newsy? Dopadłem do nogawki pana pały i wbiłem w nią zęby z okrzykiem: „Za wolność waszą i naszą! Za Ojczyznę!”. Jednak zamiast poczuć pod kłami ciało, zakrztusiłem się kawałkiem plastiku.

– Zostaw manekina. – Solański wciągnął mnie do wnętrza pubu, który może nie był zbyt duży, ale całkiem przytulny.

W Albionie mieściło się zaledwie kilka stolików i bar, nad którym telewizor buczał koncertem Stinga. Rozejrzałem się za tymi łaskami, które mógłbym pomóc Solańskiemu poznać, ale żadnej nie było.

W rogu przyciemnionej sali samotnie siedział jakiś rudzielec. Wyglądał na stałego klienta, taki był tu zdomowiony. Sądząc po zapachu, musiał być dentystą. Za tymi też nie przepadałem, więc ucieszyłem się, że Szymon zajął miejsce z dala od faceta. Usiedliśmy przy stoliku pod oknem. W szybę zaczął walić deszcz. Pewnie po to,

żebyśmy poczuli się jak w Wielkiej Brytanii. Za barem uwijał się łysy koleś, który musiał być tu jakimś big bossem, bo rozstawiał dwie kelnerki po kątach i tłumaczył niczym krowie na miedzy, jak się efektywnie rozcieńcza guinnessa. Solański chyba to usłyszał, bo zamówił książęce czerwone. Butelkowane. Ułożyłem się pod stołem i zapadłem w drzemkę.

– Solan. – Błogi sen o górze sznycli przerwał mi wysoki męski głos.

– Witebski. – Szymon przywitał się z facetem, który musiał się schylić, by zmieścić się w drzwiach. Wszereż też miał problem, więc wsunął się do pubu bokiem.

Obwąchałem mu buty. Te to dopiero śmierdziały! Trupami!

– Morderca! – rozkrzyczałem się, przezornie nurkując głębiej pod stołem.

Ależ byłem z siebie dumny! Wykryłem zabójcę Marianny Biel! A mówiłem, żeby mnie zawsze zabierać na wieczorne wyjścia. Kto wie, czego jeszcze dokonam. Solański jakoś nie przejął się moimi rewelacjami, za to wepchnął mi do pyska psiego kabanosa. Z niechęcią muszę przyznać, że udało mu się na kilka chwil uśpić mą czujność. Bo musicie wiedzieć, że ja nad wszystko przedkładam jedzenie. Nad wszystko! Głaskanie, spacerki, leżenie na kanapie, wysłuchiwanie tego, jaki to jestem piękny, a nawet spanie. Jakbyście musieli szarpać się z tym cholernym beagle'em Frankiem o jakiś suchy szajs marketowy, żeby uciszyć burczenie w brzuchu, tobyście więcej nie grymasili przy szczawiowej.

Tymczasem Waligóra i Wyrwidąb w jednym przyniósł sobie Krwawą Mary. Założył jedną nogę kłodę na drugą. Pomacał się po brodzie zwisającej mu do mieszczących się w miseczce D cycków. Klepnął się w wygoloną na glanc łysinę. I znów zapiszczał.

– Nie muszę mówić, stary, co będzie, jak się ktoś dowie, że przekazuję ci informacje o śledztwie. – Solański się skrzywił.

– Po starej znajomości – rzekł Witebski i jednym haustem wychylił zaprawiony sok pomidorowy.

Oblizując się, wylażłem spod stołu. Nie mógł mi umknąć żaden szczegół. Ten wielki, piskliwy śmierdziuch, który okazał się patologiem przeprowadzającym sekcję zwłok Marianny Biel, zdradził nam, że aktorka zginęła od uderzenia ciężkim, tępym przedmiotem w potylicę. Całkiem było jednak możliwe, mówił Witebski, że po uderzeniu pożyła sobie jeszcze trochę, zanim na dobre odmeldowała się z tego świata. Znacząco, wnioskowałem, dogorywała w piwnicy w zupełnej samotności.

– Mogła tam leżeć ze trzy tygodnie. – Patolog skubał skórki wokół paznokci. – Trudno dokładnie określić czas zgonu. Pod koniec sierpnia był upał. Do tego szczury się najadły.

Na dźwięk słowa „szczury” aż zawyłem z przerażenia. Nikt mnie jednak nie pocieszył, bo przy stole rozważano kwestie najwyższej wagi.

– Raczka miała wątroby – dodał Witebski. – Nieleczonego. Prędeż czy później i tak szlag by ją trafił. A to był...

– Nieszczęśliwy wypadek? – dokończył Solański z powątpiewaniem.

– Mógł być – przyznał patolog. – A mógł i nie.

Rozdział 8

JAK MYSZ KOŚCIELNA

Dzwony Józefki biły na sumę. Hordy ubranych odświętnie chorzowian podążały zgodnie w jednym kierunku. Solański podziwiał ten prowincjonalny pokaz mody. Wyciągane raz na tydzień garnitury, lata temu zakupione na targowisku przy Barskiej z okazji ślubów, teraz na większości mężczyzn pękały w szwach. Stanowiły więc namacalny (mierzony porostem tłuszczu na ciele) dowód na dobrobyt. Uwieszone na męskich ramionach żony ciągnęły za sobą woń lakieru do włosów, którym spryskały obficie trwałe ondulacje tuż przed wyjściem. Jaskrawe garsonki odprasowane miały, że mucha nie siada. Stukały szpileczkami o wyszczerbione chodniki. Gromady dzieci biegały wkoło swych protoplastów, ubrane na ich wzór i podobieństwo. Panowie podkręcali wąsy. Panie wyciągały puderniczki z lusterkiem i szybkim ruchem pokrytych francuskim manikiurem paznokci w ostatnim momencie ściągały grudki tuszu z rzęs.

Już za chwilę wszyscy mieli wysłuchać wygłaszanych przez farorza rad dotyczących tajników życia w rodzinie. Mieli dowiedzieć się, na kogo głosować w nadchodzących wyborach parlamentarnych, bo w prezydenckich już należycie wypełnili swój obowiązek. Planowali wrzucić co łaska na remont dachu kościoła do koszyka przymocowanego na końcu kija od miotły, metodycznie wsuwanego i wysuwanego w każdy rząd ławek przez kościelnego. Kiedyś koszyk wędrował wśród wiernych swobodnie z rąk do rąk, ale najwyraźniej

rachunki przestały się zgadzać, bo wprowadzono pewniejsze rozwiązanie z kijem. Potem żony miały wrócić do domów, by przygotować obiad, dzieci wyfrunąć na plac, aby usmarować swoje odświętne ubranka, a mężowie skrzyknąć się po paru i zdążyć jeszcze przed rosołem wyskoczyć wspólnie na szybkie piwko do Olimpu. Ot, niedziela jak każda.

Solański wybierał się w przeciwną stronę niż wszyscy, znaczy do domu. Zrobił zakupy w spożywczaku na rogu. Kupił bochenek chleba, kawałek żółtego sera, ogórki kiszane i worek psiej karmy. Do koszyka włożył jeszcze butelkę dzinu i chciał zapłacić kartą.

– Ma pan inną? Albo gotówkę? Bo odrzuca. – Sprzedawczyni wzniosła oczy ku niebu i tupnęła nóżką. Ludzie stojący w kolejce za Szymonem zaczęli wyciągać szyje z ciekawości i w oczekiwaniu na skandal.

– Proszę spróbować jeszcze raz – poradził kobiecie Solański.

– Trzy razy już próbowałam. – Dziewczyna pokazała Szymonowi stos druczków, które wyszły z terminalu.

– Może nic pan nie ma na koncie – z nieskrywaną satysfakcją podpowiedziała Solańskiemu przyklejająca mu się do pleców baba z kolejki.

Szymon wsadził ręce w kieszenie. Wydobył zaskórniaki i zapłacił. Odprowadzany pełnymi nagany, a zarazem radości ze wstydu, jaki spotkał bliźniego, spojzeniami, poszedł w kierunku swojej kamienicy.

Finanse zaczynały się sypać. Rezerwy pustoszały. Czas był najwyższy, by wreszcie odpowiedzieć na któreś z proponowanych zleceń, a nie wtykać nos w nie swoje sprawy. Wczorajsza rozmowa z patologiem nie przyniosła jednoznacznych odpowiedzi. Solański nie potrafił jednak przestać myśleć o umierającej w piwnicy aktorce.

Już od wejścia do klatki uderzył go zapach pieczonego mięsa

i kiszony kapusty. Zatrzymał się na wysokim parterze. Drzwi do mieszkania Brygidy Buchty były uchylone. Musiała je tak zostawić przypadkiem, bo w szparze na podłodze widać było porzuconą reklamówkę z Biedronki, która blokowała skrzydło drzwiowe. Wciągnął powietrze. To stąd dochodziły te zapachy.

Buchta podśpiewywała, krzątając się w kuchni. Solańskiemu co rusz migał przed oczami jej nylonowy fartuch. Kobieta wyciągnęła z szafki dwa talerze. Odcedziła kluski śląskie na sitku i nałożyła po porcji. Uchyliła piekarnik. Włożyła rękawice i wyjęła brytfannę. Z niej widelcem o długich zębach wyciągnęła po roladzie i ułożyła je obok klusek. Do tego była zasmażana kapusta i skwarki, którymi okrasiała kluski. Solański przełknął ślinę. On planował spożyć na niedzielny obiad kanapki z serem i ogórkiem kiszonym, a całość popić dżinem rozmieszonym z kranówką.

Zastanawiał się, jakiego to gościa ma Buchtowa. Żadne głosy, prócz zawodzenia samej Brygidy, nie dobiegały do niego z wnętrza mieszkania. Chyba nie zamierzała tego wszystkiego zjeść sama? Po co miałyby w takim wypadku kłaść porcje na dwóch talerzach?

Zapach kiszonki podrażnił mu nozdrza. Kichnął, zanim zdążył odskoczyć od szpary w drzwiach, przez którą podglądał gospodynię.

– Kto tam? – Kobieta odłożyła patelnię ze skwarkami na gaz. Dopadła do drzwi. Solańskiego jednak już tam nie było.



Do czego to doszło, żeby być takim patentowanym leniem i własnego, osobistego psa na spacer wyprowadzać na podwórko! I ani kroku dalej. A gdzie parki miejskie? Gdzie pola pokryte łanami zbóż? No gdzie, ja się pytam i nie otrzymuję odpowiedzi. Wprawdzie mnie trochę kikut poboлеwał, ale cóż z tego? Miałem nadzieję, że Solański nie zauważy. A ten coś tam dojrzał, obmacał i zaraz

zadzwoił do tego konowała Dłutki, żeby się skonsultować.

– Masz tyle nie łązić – zreasumował mi rozmowę.

I (o zgrozo) na ten podwórkowy spacerek zniósł mnie ze schodów na rękach. Jak ja bym był jakąś lebiegą! Panie, co za wstyd! Dobrze, że nas nikt nie zauważył, boby nie mógł spojrzeć sobie w oczy.

Tego wieczoru nad Chorzów postanowiły nadejść arktyczne mrozy. Wyglądało mi to na zaawansowany listopad, a nie jakiś tam środek września. Solański, który wylazł na dwór li i jedynie w tej swojej koszulce, którą wyprał wczoraj ręcznie nad zlewem w kuchni, skulił się i został w klatce. Poinstruował mnie, żebym poszedł łać na plac, jak raczył się być wyrazić.

– Mięczak – rzuciłem mu prosto w twarz i pokuśtykałem na tył familoka.

W ciemności widziałem niewiele przez tę całą zaćmę, co mi ją wyróżył z fusów oprawca. Nie dziwota więc, że potknąłem się o porzucone na ziemi kubki po jogurtach. Do jednego nawet wlałem łapą i z taką przyczepioną ozdobą podleciałem do tylnej ściany szeregu garaży. Stanowiła ona jedną z granic podwórka. Węszyłem za zaczepką pozostawioną tu dla mnie przez pinczerka. Musiał jednak znowu sikać przez okno, bo mimo że sprawdzałem teren metodycznie, przesuwając się krok za krokiem wzdłuż muru, nie mogłem namierzyć informacji. Podniosłem więc kikut byle gdzie i zostawiłem wiadomość. Wam mogę zdradzić, że był to komunikat o konieczności likwidacji pinczerków poprzez smażenie ich na rożnie, polewanie keczupem i zżeranie na śniadanie. Jak przeczyta wypierdek jeden, to dopiero będzie miał stracha.

Dumny z siebie, wytarłem łapy o smętne resztki trawnika. Jakiś błysk zwrócił moją uwagę. Facet stał w cieniu śmietnika. Czerwony ogarek papierosa zmieniał pozycję od ust do boku nogi. Machał tym żywym źródłem ognia tak, jakby chciał nas zaraz wszystkich puścić

z dymem. Ubrany był w welurowy czarny dres, ciasno opinający jego postawną sylwetkę. Głowę miał zadartą. Gapił się w okno na wysokim parterze. Światło było w nim zapalone, więc obaj widzieliśmy kuchnię Brygidy Buchty jak na dłoni.

Bokiem do nas przed zawieszoną na ścianie szafką stał na oko trzydziestoletni mężczyzna. Był solidnej budowy. Dłuższe włosy miał zaczesane do tyłu. Im dłużej mu się przyglądałem, tym bardziej wydawało mi się, że gdzieś już go widziałem. Wyciągnął właśnie z gara kawałek jakiegoś żarętka i wpakował je sobie do ust. Zerknąłem na mężczyznę przy śmietniku. Nie mógł oderwać oczu od tego podżerającego. Przestał nawet palić. Po chwili syknął. Sparzył się końcówką peta. Zastanowiłem się, kto to mógł być, ten gość Buchtowej. Pewnie ktoś bliski, skoro czuł się na tyle swobodnie, żeby podjadać po nocy.

Jednak w tym momencie do kuchni weszła Brygida. Z jej rozdziawionej paszczy wywnioskowałem, że ma pretensje do faceta o to wyżeranie. Zgasiła światło, więc nic już więcej nie dojrzałem. A najbardziej ciekawiło mnie to, co tam ugotowała dobrego.

Usłyszałem gwizd Solańskiego. Też miał manieri. Pytałem go już kiedyś, czy na kelnera w restauracji też gwizdże, nie raczył mi jednak odpowiedzieć. Zmarzył mi już tyłek, więc postanowiłem nie stroić fochów. Podyrdałem do bramy, a za mną ten spod śmietnika. Solański stał na schodach i dygotał. Teraz to mu zimno, a napalić w piecu to nie łaska. Ominiąłem go, dając mu do zrozumienia, że jeśli spróbuje wziąć mnie na ręce, to go zeżrę żywcem, i udałem się na górę. Usłyszałem jeszcze, jak Szymon pyta faceta z podwórka:

– Kac już minął?



W sypialni było zupełnie jasno, za co winę ponosił księżyc w pełni.

Solański mógł dostrzec każdą nierówność tynku na ścianie, każde niedociągnięcie malarskiego pędzla. Stara przyjaciółka bezsenność znów zawitała w jego progi. Po tym, gdy to wszystko się wydarzyło, lekarz przepisał mu tony prochów, ale on spuścił je w toalecie. Nie chciał spać. Chciał pamiętać.

Wiatr przedzierał się przez okienne okucia. Szymon nakrył głowę śpiworem. Było przeraźliwie zimno. Musiałby napalić w piecu, ale kończył mu się węgiel. A jedynym sposobem na zdobycie większej jego ilości, jaki w tej chwili mógł rozpatrywać, było udanie się wraz z okolicznymi pijaczkami na tory kolejowe, zatrzymanie pociągu i podebranie kruszcu z wagonu towarowego. Musiał zacząć zarabiać, a nie żyć mrzonkami.

Mimo pozamykanych okien dosłyszał z dołu podniesione głosy. Przewrócił się na bok. Trzaśnięcie drzwi. Wysunął się ze śpiwora i podszedł do okna. Teraz słyszał już każde słowo.

– Fanaberie?! – wrzeszczała jakaś postać stojąca pod witryną księgarni.

Chmury przysłoniły księżyc. Ustawiona pod familokiem latarnia znów nie świeciła. Pewnie urzędnicy w magistracie doszli do wniosku, że tej części miasta i tak już nie warto oświetlać. Albo dzieci z bloku naprzeciwko bawiły się w rzucanie kamieniami. Miały cęla, małe gnojki. Do tego Polaczkowie w ramach oszczędności wyłączali na noc neon z nazwą księgarni. Solańskiemu w pierwszej chwili trudno było się więc zorientować, czyja to sylwetka.

– Moje fanaberie dokładają się do twojego pseudointeresu! – Rozpoznał głos Polaczka. – Księgarnia. Ja pierdolę! – Pijany jak bela nauczyciel zakończył przemowę i rzucił garścią żwiru w szybę wystawową.

Kamyki odbiły się od tafli i rozprysły po chodniku na wszystkie strony. Polaczek wszedł do domu. Drzwi od księgarni zatrzasnęły się

w tej samej chwili, w której huknęła brama kamienicy.



Ziarenka kawy rozpuszczalnej z szelestem wpadły do kubka z odłupanym uchem i wymalowaną mordą uśmiechniętego psa. Na naczyniu widniał napis: „Przyjaciel zwierząt”. Solański wylicytował tę skorupę na facebookowym fanpage’u mojego schronu, by wesprzeć zakup aparatu USG. Za stówę. Spojrzałem na niego z wyrzutem. No bo przecież miałem oczy i widziałem te kanapki z serem w charakterze obiadu i poprzecierane, trzymające się na słowo honoru T-shirty. Miałem uszy i słyszałem hulający w piecu wiatr.

Gdy tylko przyszła paczka oklejona taśmą z logo firmy kurierskiej, kazałem wyjąć sobie to cudo i powąchałem je z pełną podejrzliwością. Zleciał mi cholernik na posadzkę i się to uszko odkleiło, temu kubku. Solański podniósł naczynie i z westchnieniem nasypał kawy na dno. Głupio mi się zrobiło. Usiadłem więc w kącie pyskiem do ściany, żeby poużalać się nad samym sobą oraz swą niezdarnością.

Do drzwi zadzwoniła Róża.

– Masz – rzekła i jeszcze w progu wetknęła mi do pyska pęto kiełbasy śląskiej. – Dla ciebie też coś mam – zwróciła się do Szymona, który wyciągnął drugi kubek dla Róży. Zażerałem dar i podsłuchiwałem w najlepsze.

Kwiatkowska wysypała na stół jakieś kolorowe guziki. Mimo iż jestem przychylny ideologii gender, pomyślałem, że to dziwny prezent dla faceta. Chyba że Solański – w ramach podreperowania budżetu – postanowił zostać krawcem.

– Da się to wymienić na jakiś szmal? – Róża przesypywała w rękach plastikowe badziewie.

Zadziwiłem się nad światem pełnym niespodzianek. Najpierw drogocenny kubek, teraz guziki. Skoro tak się sprawy mają, to może moglibyśmy wymienić na mamonę nasz przeciekający kran kuchenny? Albo oberwany karnisz bez firanki? Może jesteśmy milionerami, tylko o tym nie wiemy? Szybko jednak zostałem pozbawiony złudzeń. Okazało się, że to wszystko nie tak, nie tak. No a jeśli, jeżeli nie tak, nie tak, spytacie, to jak? Otóż okazało się, że na naszym stole leżą żetony, które dostaje się w kasynie, kiedy się wygra w ruletkę, pokera albo inne wymysły szatana.

Solański z obojętną miną przyjrzał się różnobarwnemu stosikowi.

– Ja wiem? Skąd to masz?

– Leżało na chodniku pod bramą.

– Zobaczymy potem. – Solańskiemu zaiskrzyło w oczach. – Teraz idziemy.

Wyszli z mieszkania, a ja za nimi, połykając ostatni kawałek śląskiej. Zakrztusiłem się przez ten cały pośpiech. Czułem, że szykuje się jakaś draka. A kogo jak kogo, ale mnie nie mogło zabraknąć w centrum wydarzeń.

Za daleko nie zalecieliśmy. Stanęliśmy naprzeciwko drzwi do mieszkania Marianny Biel. Szymon wyciągnął z kieszeni kawałek zakrzywionego drutu.

– Włamanie? – ucieszyła się Kwiatkowska.

Zaskomlałem ze strachu. Bandziorem to ja bym dobrym nie był, bo aż mnie ciary przechodziły na samą myśl o złamaniu prawa. A jak nas złapią? Pobiją? Porwą? Zamkną do mamra? Byłem przekonany, że zaraz padnę na zawał od tych niewesołych prorocत्व.

Solański pogmerał żelastwem w zamku. Zachrobotąło, trzasnęło i mieszkanie stanęło przed nami otworem. Weszliśmy do środka. Od progu zemdlił mnie unoszący się w powietrzu smród naftaliny. Kichnąłem z mocą starszego sierżanta sztabowego. Gdyby wzrok

mógł zabijać, już bym nie żył, tak Szymonek na mnie wywalił gały. Wrażliwy się zrobił na hałasy.

W przedpokoju po lewej stał wieszak na ubrania, a na nim wisały wygrzyzione przez mole płaszcz i futro. Dосkoczyłem do tego drugiego przyodziewku, żeby sprawdzić, którego z moich kamratów zamordowano, by pławić się w wątpliwym luksusie noszenia czyjejs sierce na własnym grzbiecie. Wetknąłem nochała we włosie i... odetchnąłem z ulgą. To było jakieś sztuczydło, całe szczęście. Do tego wyliniałe tu i tam. Zastanowiłem się, po kiego grzyba Biel trzymała na wierzchu zimowe mantle, skoro ostatnio była w swoim mieszkaniu w sierpniu. W upały też w tym paradowała? Pseudoelegancja za wszelką cenę? Pod tymi okryciami w równym rządku stały buty. Rozdeptane kłapcie. Na górnej półce wieszaka leżało kilka kapeluszy, których data przydatności modowej minęła jakiś wiek temu.

W przywieszonym obok lustrze kolejno odbiły się nasze ciemne sylwetki: cienka i długa, niższa i przysadzista, a na koniec dwa sterczące ponad czubkiem głowy haczyki. Sami zgadnicie, które odbicie należało do kogo.

Weszliśmy do salonu. Nawet chciałem się wrócić po te laczki z korytarza, bo pomieszczenie wyglądało mi na dawne muzeum, w którym trzeba wkładać filcowe bambosze. Ściany obwieszono fotografiami Marianny Biel. Na tych po lewej była jeszcze młoda i piękna. Szczupła, wysoka, z blond kokiem upiętym nad karkiem. Potem, wraz z kolejnymi zdjęciami oglądanymi zgodnie z ruchem wskazówek zegara, rozkład wyraźnie postępował. Twarz aktorki kurczyła się, marszczyła, szarzała. Powieki opadały, włosy przybierały nienaturalne odcienie farb, a twarz stawała się coraz bardziej rozczarowana. Biel była odpicowana, poubierana w kapelusze, woale i peniuary (oraz cały szereg innych przedmiotów

nazywanych słowami, których znaczenia nie rozumiem). Część fotografii zrobiono podczas przedstawień, w których występowała Marianna. Strzelała na nich dramatyczne miny, robiła wyszminkowany dzióbek, a błysk w jej oku dowodził, że była w swoim żywiole. Na jednym zdjęciu na oko dwudziestoparoletnia Biel stała na pokładzie statku i machała do fotografa wraz z grupą innych ludzi poprzebieranych w teatralne stroje. Łajbę przycumowano u brzegu rzeki o dość szerokim korycie.

– Ale arsenał. – Róża szturchnęła Szymona w bok.

Na przywieszonym nad kanapą regale stały w rzędku statuetki. Solański sięgnął po pierwszą z brzegu, kielich wypełniono pobrzękującymi monetami. Szymon wziął w ręce następną. Kurz wzbił się w powietrze. Tym razem Róża nie wytrzymała i kichnęła na cały regulator. Mówię wam, sądziłem, że jeszcze chwila i cały garnizon śląskiej policji zwali nam się tu na łeb i zamknie nas w jakimś Alcatraz.

– Pierwsze miejsce w konkursie Przeglądu Piosenki Aktorskiej we Włocławku. Włocławek, tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt – odczytał Solański napis na tym obelisku.

– To nas jeszcze na świecie nie było – skomentowała Kwiatkowska.

Smarkacze, pomyślałem. Ja niby urodziłem się później od nich, ale przecież w celach porównawczych psie lata mnoży się razy siedem. I dopiero wtedy można się dowiedzieć, ile taki jak ja ma krzyżyków na karku w przeliczeniu na ludzkie.

– Z szacunkiem mi tu – przemówiłem do tego przedszkola, gdy tylko pi razy drzwi policzyłem sobie na łapach i ogonie, ile to już mi wiosen minęło. Nawet zsumowani Róża i Szymon byli w porównaniu ze mną sraluchami.

Chyba wzięli sobie do serca moje słowa, bo grzecznie pomaszerowali za mną do kuchni. Na pokrytym ceratą stole, pod

który wsunięto taboret, stał samotny talerzyk z niedojedzonym spleśniałym kawałkiem chleba. Była też jedna pusta filiżanka. Jedna łyżeczka. I jeden kieliszek do jajka z resztkami potłuczonej skorupki. Nad stołem zawieszono w antyramie plakat ze spektaklu *Ślady* Józefa Szajny. Zakryłem łapą me skromne oczęta. Bo żeby takie bezceństwa w kuchni wywieszać, trzeba wstydu nie mieć. Przez rozchylone ze zżerającej mnie ciekawości pazury dojrzałem na tym plakacie kilka gołych kobitek. Pełny negliż, drodzy państwo. Jeśli wierzyć podpisowi, jedną z nich musiała być Marianna Biel.

– Niezła z niej była dupa – rzekła Róża.

Solański skrzywił się tylko. Otworzył na chybił trafił jedną z kuchennych szafek. Na podłogę wysunęło się czternastokilogramowe opakowanie whiskasa. Ledwo napoczęte. Wciągnąłem w nozdrza powietrze. Wołowina z marchewką. Szymon wepchnął suchą karmę z powrotem na miejsce i przeszedł do łazienki. Tam wszystko było ułożone niczym na wystawce w Ikei. Ręczniki równo i pod kolor. Mydełka od najmniejszego do największego. Perfumy Pani Walewska obok dezodorantu w spreju tej samej marki. Harmonię tego królestwa pedantów burzyły jedynie rajstopy smętnie zwisające ze sznurka do bielizny rozciągniętego nad wanną. Podczas gdy one przez te długie tygodnie schły na wiór, ich właścicielka gniła w piwnicy.

– Zobacz se to. – Dostłyszeliśmy dochodzący z salonu głos Kwiatkowskiej.

Róża siedziała na dywanie. Przed nią walał się stos albumów ze zdjęciami, które musiała wyjąć z za otwartych teraz dolnych drzwiczek meblościanki.

– Jednak miała jakieś prywatne zdjęcia prócz tej całej cepeliady. – Machnęła ręką w kierunku obwieszonych ścian.

Róża przewracała strony w albumie, a my oglądaliśmy Mariannę

Biel uwiecznioną głównie na czarno-białych fotografiach. To w objęciach rodziców, to z jakąś lokatą rówieśniczką na parkowej alejce, to z przerażoną miną na kucyku. Potem już starszą, przed bramą naszej kamienicy – z koleżanką, to znowu pod planetarium w Parku Kultury z amantem stanowiącym podróbkę Elvisa Presleya. Nieudaną.

Róża schowała sobie jeden z albumów do parcianej siaty, która robiła za jej torebkę, mamrocząc pod nosem jakieś przysięgi o tym, że odniesie później. Już mieliśmy wrócić do domu, kiedy Szymon wpadł na szatański pomysł.

– Idź do piwnicy i wołaj – rozkazał Róży.

– Co? – Kwiatkowska spojrzała na niego podejrzliwie.

– Najlepiej ratunku.

– Zgłupiałeś? – rzuciła dziennikarka, a ja niemo przyłączyłem się do jej pytania.

– Zobaczymy, czy słyhać. I czy ktoś zareaguje – objaśnił swój plan Solański.

Cóż było robić. Pan każe, sługa musi. Poszedłem z Różą na dół, żeby dziewczyna czuła się raźniej w tych kazamatach. Zleźliśmy do wciąż otwartej dla spragnionej kryminalnych sensacji publiczności piwnicy należącej do Marianny Biel. Zamknęliśmy za sobą drzwi. I Róża rozdarła się jak stare gacie.

– Ratunku! – wrzeszczała. – Mordują!

Mimo woli zawtórowałem jej wyciem. Nie żebym się bał, ale tak jakoś wczułem się w klimat.

– Pomocy! – ryczała Róża.

Nasze duo ochrypło już od tego nawoływania, ale jakoś nikt nie przychodził z odsieczą. „Ładne kwiatki” – pomyślałem i zadumałem się nad własną niedolą. A gdyby tak coś mi się stało? Nie daj Boże miska by mi zaświeciła pustką? Łapa utknęła przytrzaśnięta w puszcze

na ciasteczka? Wpadłbym do wuce głową w dół podczas rutynowej kontroli miejsc strategicznych w naszym lokum? Co ma począć pies w pustym mieszkaniu, się pytam? Mógłbym tak wyć do grudnia popołudnia i na nic by się to zdało. Wtuliłem mordę w łydkę Róży, szukając ukojenia. Drzwi od piwnicy zaskrzypiały i otworzyły się z jękiem. W progu stanął Solański.

– Nawet słychać – przyznał.

– Ale gdzie jest, do psiej kostki, odsiecz? – zapytałem po swoim.

– Ale gdzie jest, kurwa, odsiecz? – wsparła mnie Róża.

Solański nie miał dla nas odpowiedzi.

Rozdział 9

ŁGAĆ JAK PIES

Kobieta siedziała na brzegu kuchennego krzesła. Starła się niczego nie dotykać. Wąską wełnianą spódnicę w kolorze niezapominajek będzie musiała oddać do prania. Chemicznego. Nie żeby było tu brudno, ale jakoś tak... ziemiście. Miała wrażenie, że ta szarość, bo to było odpowiednie słowo na określenie atmosfery panującej w tym mieszkaniu, wdziera się pod jej ubranie. Przenika przez pory w skórze. Wlatuje w płuca z każdym oddechem.

Zastukała w blat stołu polakierowanym na czerwono paznokciem i od razu wytarła rękę w spódnicę. Bo ta przecież i tak już była na zmarnowanie.

Prawdopodobnie to był błąd, że tu przyszła. Ale z drugiej strony, może agencja detektywistyczna powinna tak wyglądać? Taka z prawdziwego zdarzenia? Nie żadne tam wyciąganie forsy od nadzianych i zdradzanych żon (tak, to o niej) w marmurowych wnętrzach przy kawie z ekspresu ciśnieniowego, tylko prawdziwa robota. I szybkie efekty. Tak zresztą reklamował się w prasie ten cały Solański. Siedział teraz po drugiej stronie obtłuczonego stołu i nie zwracał na nią uwagi. Napisała do niego kilka maili z propozycją zlecenia, ale na żaden nie odpowiedział.

Sprawa nie powinna być trudna. Kobieta chciała tylko, żeby nakrył tego parszywca, jej męża, jak puszcza się z którąś z tych lafirynd. Nawet podała mu namiary na hotele. Miał trzasnąć kilka fotek, nagrać jakiś filmik z orgietek, które organizował sobie z kurewkami

jej ślubny, żeby ona miała później w sądzie podkładkę. I żeby mogła wyrwać temu sukinsynowi majątek z gardła. Po dobroci nic by jej nie dał. A adwokat powiedział, że jak będą dowody, będzie hajs. Przejrzała więc ogłoszenia. Agencja detektywistyczna Solan zrobiła na niej najlepsze wrażenie. Teraz nie potrafiła sobie przypomnieć dlaczego.

Skoro detektyw nie odpowiadał na maile, postanowiła go odwiedzić i porozmawiać z nim osobiście. Wcześniej próbowała z telefonem, ale facet nie odbierał. Może dlatego, że miała zastrzeżony numer? Pewnie się bał, że to któryś z tych akwizytorów, co to chcą opchnąć człowiekowi przez telefon kredyt hipoteczny albo abonament w sieci komórkowej. Wsiadła więc w swojego SUV-a, wpisała w GPS-ie adres, który znalazła na stronie agencji, i ruszyła, spoglądając na swoje szpilki ułożone na siedzeniu pasażera. Do jazdy wkładała zwykłe trampki, bo w nich było jej najwygodniej, a po pantofle sięgała dopiero na miejscu. Żeby była Francja-elegancja.

Chciała już nawet dzwonić z pretensjami pod numer infolinii producenta tego całego ustrojstwa gadającego do niej głosem Krzysztofa Hołowczyca, by zawiadomić, że badziewie znów wywiodło ją w pole. Przecież detektyw nie mógł mieszkać w takich slamsach. Dobrze, że zawsze nosiła w torebce gaz łzawiący, a w bagażniku miała kij bejsbolowy, bo bez tego nie wystawiłaby nogi na ten rozkopany chodnik. Okolica przypominała jej obrazy z krajów Trzeciego Świata. Kobieta wprawdzie nigdy w nich nie była, ale wyobrażała sobie, że właśnie w takich warunkach żyją wszystkie te biedne Murzyniátka z zaokrąglonymi brzuskami, które pokazują w telewizji. Swoją drogą, jakim cudem one są takie głodne, skoro mają wydęte brzuszki? Pewnie te wszystkie organizacje charytatywne chciały oszukać takich jak ona bogatych ludzi

i wyłudzić od nich pieniądze na dzieci, które wcale nie są niedożywione. Ale ona ich rozgryzła.

Solański nawet jej się spodobał. Był z niego taki trochę David Tennant, ten z serialu *Broadchurch*. Jej stary wrzeszczał na nią, że stanowczo za dużo gapi się w telewizor, ale co on tam wiedział. Przynajmniej na małym ekranie mogła sobie pooglądać prawdziwych mężczyzn, a nie takie rozlazłe i skąpe ciepłe kluchy jak on. Ten tutaj też do rany przyłoż nie był. Wyzierał z niego jakiś mrok. Pociągało ją to. Wpadło jej do głowy, że mogłaby go uwieść. Na złość temu skurwysynowi. I dla własnej przyjemności.

– To jak? Weźmie mnie pan? – Zakasłała speszona. – To znaczy... weźmie pan moje zlecenie?

Solański milczał, wpatrzony w jakiś punkt za nią. Odwróciła się nawet, by sprawdzić, czy nikt tam nie stoi, ale oprócz tego wyliniałego kundla, który zezował na nią zamglonym wzrokiem, nikogo nie dojrzała.

– Panie Szymonie – użyła najbardziej przymilnego z zestawu tonów, za pomocą których sterowała swoim mężem (dopóki był jeszcze sterowalny).

– Co? – Detektyw ocknął się wreszcie.

– Pytałam, czy wysledzi pan mojego męża. Zapłacę podwójnie.

– Nie.

– Potrójnie? – spytała niepewnie.

– Nie. I żegnam. – Solański wstał od stołu i otworzył drzwi na oścież.

– Ale dlaczego? – Łzy wściekłości stanęły jej w oczach.

Już widziała samą siebie, jak siedzi okrakiem na tym krzywym stole, nie zważając na to, czy jest czysty, czy nie, i daje się ujeżdżać temu stalowemu kowbojowi. A teraz nic z tego miało nie wyjść?

– Nic z tego – powiedział Solański i machnął ręką, jakby oganiał

się od komarzycy.

Wyszła z tej nory z przekonaniem, że wszyscy faceci to świnię. Nawet jeśli wyglądają jak gwiazdy ekranu.



Zaraz po wizycie paniusi, która chciała zlecić nam wyśledzenie jej niewiernego męża, Solański wykasował adres agencji ze strony internetowej. Z potencjalnymi klientami postanowił spotykać się na mieście. Nie chciał, by znowu jakaś półidiotka wkroczyła w nasze progi z tym swoim taksującym każdy kąt i wydającym wyroki wzrokiem. Nie chcę się wymądrzać, ale mnie się lalunia nie spodobała od pierwszego kopa. Widocznie Solański też miał psią intuicję, bo wywalił lampucereę za drzwi. Z drugiej strony, pomyślałem sobie, że jak tak dalej pójdzie, to niedługo będziemy musieli przejść na świeczki zamiast żarówek, a zęby zaczniemy wbijać w ścianę miast w produkty żywnościowe.

Teraz, mimo przymocowanego do drzwi białego znaku z przekreślonym na czerwono czarnym kształtem psa, wleźliśmy na pocztę. Na zewnątrz lało jak cholera, więc kto by tam chciał sterczeć i moknąć na Wolce, jak mawiano na ulicę Wolności, główny deptak Chorzowa, przy którym stał urząd. Nawet podziwianie neogotyckiego budynku poczty nie wchodziło w takich okolicznościach przyrody w rachubę.

Solański zaparkował mnie tuż przy wejściu i poszedł ustawić się do ogonka. Okienek było sporo, pazurów jednej łapy by mi nie starczyło na ich zliczenie. Ale otwarto tylko dwa. Ludzie tłoczyli się w kolejkach, przestępując z nogi na nogę. A z zaplecza dochodził, uwierzcie mojemu nosowi, zapach parzonej kawy i gorącej szarlotki. No to już wiedziałem, gdzie się podziała reszta pracowników. Przyszła wreszcie pora na Solańskiego. Stał do mnie plecami. Widziałem

tylko, jak mu się łopatki trzęsą pod kurtką. Całym ciałem zaangażował się w tłumaczenie pani, z czym do niej przyszedł. W rezultacie dostał kluczyk do skrytki pocztowej. Postanowił ją sobie założyć, żeby tu przychodziły listy, a nie pod nasz familokowy adres. Pewnie obawiał się, że mu ta jędza, Brygida Buchta, która jako gospodyni miała przecież wstęp do wszystkich mieszkań, będzie łamać tajemnicę korespondencji.

Z mojego stanowiska widziałem, jak Solański staje przy ścianie, w którą wbudowano rzędy schowków. Szymon zaczął gmerać kluczykiem przy jednym z nich. Obok, tyłem do niego, ustawił się jakiś równie chuderlawy jak Solański jegomość i wyciągał coś ze swojego schowka. Z tego, co udało mi się dostrzec, był to malutki, prostokątny przedmiot. Za brak precyzji winię zaćmę i smog wiszący nad Chorzowem. Koleś obracał toto w dłoni. Patrzył gdzieś za okno. Myślni musiał być bardzo daleko stąd. Schował wreszcie to coś na powrót do skrytki i ruszył w moją stronę. Znałem tego pana aż za dobrze.

Solański nie miał jeszcze czego odbierać ze swojej skrytki, więc tylko zajrzał do środka, sprawdził, czy klucz działa, i przyszedł w najbardziej odpowiednim momencie, żeby mnie odparkować. Właśnie stanęła nade mną jakaś ubrana w biało-granatowy mundurek pocztowy wiedźma i zaczęła się drzeć jak trąba jerychońska.

– Czyj to kundel?! – Rasistka robiła aluzje do mojego pochodzenia.
– Tu nie wolno wchodzić z psami. – Dopadła odwiązującego smycz Solańskiego.
– Chce pan dostać mandat? – Podskakiwała przed Szymonem jak zapaśnik wagi koguciej tuż przed kolejną rundą. W kącikach ust ostały się jej jeszcze okruchy szarlotki, a z paszczy dawało kawowym wyziewem.

Solański odwiązał mnie i wyszedł, zatrzasnąjąc ciężkie drewniane

drzwi z metalowymi okuciami tuż przed rozdziawionym dziobem awanturniczki.



Jakaś cholera skrzypiała mu pod maską. Na każdym wertepie, każdej dziurze, których na ulicy Katowickiej w Chorzowie nie brakowało. Swoją drogą w Katowicach była ulica Chorzowska. Taka wymiana międzymiastowa. Porozumienie ponad podziałami. On też się porozumiewał. Z podobnymi mu frajerami wetkniętymi w blachy samochodowych puszek i sterczącymi w popołudniowym korku. W smrodzie spalin. W zatykającym pory kurzu nagle cieplejszego, kapryśnego wrześnieowego dnia. W skrzypieniu tej jakiejś cholery pod maską. „liii-chrrr, iii-chrrr” – pukało mu w skronie. Koszulka lepiła się do pleców. Wystające znad spodni gołe nery, których nie zdołał zakryć podwinięty T-shirt, przyklejały się do skajowego siedzenia.

Wracając do porozumiewania... Uznawał, że warto było w takich okolicznościach transportowych uzmysłować czasem jednemu czy drugiemu, co się sądzi o nim i o jego matce. Odkorkować emocje w tym korku. Żeby zupełnie nie zwariować. „Tłumienie szkodzi” – mówili.

Ledwo minął stację benzynową, znów musiał dać po hamulcach. Na środku czteropasmówki stał on. I blokował ruch. Stare, z pewnością śmierdzące łachy w kolorze chodnika zwisały smętnie z jego wychudzonej postaci. Żelówki butów kłapały, uśmiechając się bezzębnie do gapiów. Tłuste kłęby siwych włosów przykrywała litościwie czapeczka z daszkiem z dumnym, acz nieco przybrudzonym napisem „adidos” na froncie. A spod daszka świdrowały przenikliwe błękitne oczy, opalizujące na tle zszarzałej, pooranej bruzdami cery. W prawej, wystrzeliwującej w górę ręce trzymał nadłamany

plastikowy lizak, który musiał buchnąć z jakiegoś radiowozu. Machał nim to na prawo, to na lewo, włączając między dźwięczące wspólną nutą klaksonu samochodu. A za sobą ciągnął karton uwiązany do sznurka, którym obwinął sobie lewy nadgarstek. Sznurek wbijał mu się w skórę, zostawiając na pamiątkę czerwone pręgi. Czort raczył wiedzieć, co miał w tym kartonie. Pewnie stare gazety, obwieszczające światu newsy, które nikogo nie obchodzą już co najmniej od tygodnia. Jego z kolei obchodziło teraz tylko jedno: musiał – w swoim chorym postanowieniu – kierować ruchem. I kierował.

Mężczyzna zgasił silnik. Wysiadł ze swojego skrzypiącego auta. Trzasnął drzwiami, by dodać sobie animuszu. Ruszył labiryntem wyznaczanym przez fordys, citroeny, a nawet betoniarkę obracającą w swoich wnętrznościach cement z przyległościami. Złapał obdartusa za łokieć.

– Chodź, tato. Zrobił się korek – powiedział.



Solański odprowadził ojca do samochodu i wpuścił na przednie siedzenie. Mężczyzna ułożył sobie karton z makulaturą na kolanach. Wnętrze auta wypełniło się zapachem dawno niemytego ciała.

– Jak ma na imię? – Ojciec odwrócił się i pogłaskał po łbie siedzącego na tylnej kanapie psa.

– Gucio. – Detektyw westchnął i skręcił w ulicę Stabika.

Zahamował pod barem Olimp.

– Nareszcie coś rozsądnego zrobiłeś. – Starszy pan z uznaniem pokiwał głową.

– Odprowadzić cię? – Szymon trzymał się kierownicy tak mocno, jakby to miało być jego koło ratunkowe.

– Ani mi się waż – warknął Solański senior.

Detektyw patrzył za ojcem, gdy ten wchodził do bramy swojego familoka. Karton szurał po chodniku, moknąc w resztkach kałuż, które po kilkudniowym deszczu nie miały jeszcze szans wyschnąć. Ruszył z piskiem opon. Zajechał drogę jakiejś beemwicy. Rzucił kilkoma łujami, doprawił łojami, zaakcentował ciulami.

Zjechał z estakady w ulicę Dąbrowskiego. Zaparkował pod liceum Słowaka, które nie wiedzieć kiedy przemianowano na nobliwy Akademicki Zespół Szkół Ogólnokształcących. Wsiadł i przypiął psa do smyczy. Przeszedł przez skwer, na którym ustawiono pomnik Fryderyka Chopina. Skręcił w lewo w pokrytą kocimi łbami drogę i wszedł na teren okolonego ceglany murem cmentarza, należącego do parafii Świętej Jadwigi.

Psu łapy, a jego panu buty grzęzły w błocku, które nagromadziło się między grobami. Zmierzch opadał na pomniki, wchłaniał najmniejszy nawet detal cmentarnego krajobrazu. W nozdrza drapał zapach palących się zniczy. Wylewający się z plastikowych pojemników wosk skwierczał w zetknięciu z granitowymi płytami. Zamknięte w żółtych bądź czerwonych kloszach świece migotały. Nad grobami pochylały się starsze panie. To było ich królestwo. Tu zawsze ostatnie słowo należało do nich. Oporządzały swoje poletko ze znanstwem i wprawą. Do reklamówek wsadzały przepalone znicze, wyrywały chwasty wyrastające wokół pomników. Namoczonymi jeszcze w domu szmatkami ocierały groby swoich mężów, rzadziej dzieci. Były też takie, które przeżyły już wszystkich i na cmentarz przychodziły jak w odwiedzinach do starych, dobrych znajomych. Albo jak na niedzielny obiad przy gwarnym stole. Siadały na zamontowanych przed grobami składanych ławeczkach. Poruszały ustami w niemej konwersacji z najbliższymi. Nie oczekiwały odpowiedzi.

Solański skręcił w jedną z alejek. Rozejrzał się. Wokół cmentarnych

murów, wysoko ponad ich krańcem, górowały budynki szkół. Iście oświatowy horyzont. Była tam jedynka – podstawówka, do której chodził tak Solański junior, jak i senior. A także babka Szymona, która urodziła się w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim roku, dokładnie wtedy, gdy otwarto szkołę. Obok jedynki stała szkoła muzyczna, z której dochodziło teraz rzępolenie jakichś przygłuchych bachorów, zarzynających na skrzypcach Mozarty czy inne Bachy. Pomnikowy Chopin na wspomnianym skwerku, choć z betonu, musiał dostawać drgawek obrzydzenia. Z drugiej strony cmentarza straszły ciemne kształty budynków gimnazjum i chorzowskiego ekonomika. Uczęszczające do tych przybytków dzieci nieraz w trakcie przerwy musiały przyglądać się przez okno konduktom żałobnym, wzywającym wszystkich wokół niskim głosem trąbki pogrzebowej. To dopiero była lekcja życia poprzez obraz śmierci.

Solański stanął nad usypanym z ziemi grobem. W niewielki kopczyk wbito drewniany krzyż. Pod nim rosły dwa krzaki róż, a obok ustawiono goły znicz. Jego płomień piął się w górę i rozświetlał mrok, rzucając cienie na zapadniętą w sobie twarz detektywa. Na krzyżu zawieszono białą tabliczkę z czarnym obramowaniem i napisem: „Joanna Solańska 1984–2014”.

Solański nachylił się nad zniczem i zdmuchnął ogień. Parząc sobie palce, wsadził lampkę do wyjętego z kieszeni foliowego worka. Podszedł do krzyża, zatapiając w błocie trampki, i pogłaskał tabliczkę.

W drodze powrotnej wrzucił siatkę ze świeczką do kosza.



Róża zaprosiła nas na obiad. Solański wzbraniał się, ale wałnąłem go łapą w pizczel, żeby nie gadał głupot, i wreszcie się zgodził. Chyba jednak zapomniał, na którą się umówił, bo kiedy zapukaliśmy do drzwi mieszkania numer cztery, nikt nam nie otworzył. Dobiegły

nas za to ze środka jakieś rockandrollowe rytmy. Solański ścisnął pod pachą wino, a w ręce trzymał pudełko czekoladek Toffifee. Próbując nie spuścić tego balastu na ziemię, nacisnął klamkę. Drzwi uchyliły się. Zadudniło całkiem wyraźnie, że *you can stand under my umbrella*. Dość rozsądne stwierdzenie, biorąc pod uwagę fakt, że po jednym dniu przerwy znów zaczęło łać. Piosenka prezentowała się w innym wykonaniu, o niebo lepszym niż pienia tej jakiejś Rihanny, które zazwyczaj dochodziły do mnie, gdy w schronisku Jarek z Markiem umilali sobie sprzątanie klatek włączonym na full radiem.

Weszliśmy do środka. Podeptaliśmy Róży rozwalone po korytarzu buty w rozmiarze czterdzieści jeden i uchyliśmy drzwi do pokoju. Dziennikarka siedziała plecami do nas, wpatrzona w laptopa. To z komputera dobiegała ta pieśń. Oparłem się przednimi łapami o udo stojącego z otwartą gębą Solańskiego, żeby lepiej widzieć. Na monitorze trzech chłopaków ubranych w kraciaste koszule, dżinsy i skórzane czarne kurtki odczyniało jakieś hołubce. Dłuższe włosy mieli zaczesane do tyłu na żel, boki wygolone, a gdy się obrócili, było widać, że każdy ma na plecach naszywkę z napisem „The Baseballs”.

To jednak nic. Znacznie ciekawsze widowisko było obok. Róża sunęła od krawędzi do krawędzi biurka, ślizgając się na obrotowym krześle. Chwiała się na wszystkie strony. Wywijiała rękami w powietrzu, a sadełko zwisające z jej ramion trzęsło się rozkosznie. Darła się przy tym wniebogłosy niczym te wszystkie głuchoty z telewizji próbujące udowodnić, że mają talent albo inny x faktor.

Aż dziw, że szyby w oknach nie popękały od tego fałszu. Jej akcent bardziej przypominał rumuński niż angielski. W każdym razie wiele pozostawiał do życzenia. W repertuarze miała też najwyraźniej piruety. Właśnie chciała wykonać jeden z nich, gdy zobaczyła nas.

– Aaa! – wrzasnęła i stoczyła się z krzesła.

– Elvis żyje! – wydarłem się i ja. Doskoczyłem do Róży, by ją na dzień dobry polizać w nos.

Solański stał w progu i miał bardzo dziwną minę. Zagryzał policzki, a w jego oczach błyskały iskry. Bynajmniej nie stalowe.

– Co tak wcześniej? – Róża zebrała się już z podłogi.

– Nie Kelly Family? – wydukał Solański zduszonym głosem. – Przyjdziemy później. – Wycofał się do przedpokoju.

– W życiu! – oznajmiła Kwiatkowska i już działała na polu kuchennym.

Całkiem tu u niej było przytulnie. Niby bajzel miała jeszcze większy niż my, ale dzięki niemu człowiek, czy też pies, czuł się tak... po domowemu. Było widać, że tu się mieszka i pracuje, a jeśli komuś bałagan nie leży, to już jego problem. Solański usiadł przy rozkładanym stoliku – takim, jaki się zabiera na działkę pracowniczą, żeby napić się przy nim herbaty z termosu po całym dniu pielienia grządek i koszenia trawy – a ja wepchnąłem się pod spód. Stąd miałem niezły widok na kolekcję kolorowego żelastwa, które Róża rozwiesiła na gwoździach wbitych w ścianę. Zastanawiałem się, ki diabeł. Róża gmerała w zamrażalniku. Wsadziła w niego rękę aż po łokieć. Wreszcie z triumfem wyciągnęła wór mrożonych frytek i parówki.

W kwestiach kulinarnych facebookowa Chujowa Pani Domu mogłaby Róży buty lizać. Jednak choć Kwiatkowska prezentowała wybitny antytalent w tym względzie, to nie traciła zapału i wiary we własne możliwości. Szczyt jej osiągnięć stanowił wybryk, który potem skwapliwie opisała na portalu społecznościowym. Nie dla rozgłosu czy liczby polubień. Róża zrobiła to ku przestrodze.

„Co właśnie wydarzyło się w mojej kuchni?” – zagadnęła swoich wirtualnych znajomych. A potem dała trzy odpowiedzi do wyboru:

„A – mój mikser próbował mnie zabić. B – odpaliłam racę na kuchennym blacie. C – obie odpowiedzi są prawidłowe”. Szybko też sama rozwiązała tę łamigłówkę, pisząc: „Zaznacz odpowiedź C, czyli jak zrobić domowe masło orzechowe”.

Własnoręczna produkcja nutelli o mało nie zakończyła się dla Róży śmiercią. Kwiatkowska zaraz jednak pognęła do Tesco i zakupiła trzy słoiki upragnionego rarytasu, raz na zawsze dając sobie spokój ze slow foodem.

– Może być? – Zerknęła teraz na Szymona.

Solański bez słowa sięgnął po jeden z tych tajemniczych metalowych przedmiotów i z jego pomocą otworzył wino. Muszę z przyjemnością zaraportować, że skonsumowałem większość wcześniej wspomnianych parówek. A i na frytki się załapałem. Zupełnie nie rozumiem, o co chodzi z tym całym narzekaniem na szybkie żarcie. Przecież nie ma co jeść powoli, bo zawsze znajdzie się jakiś lepszy cwaniak z boksu obok, który zawczasu zeżre twoje własne szamanko.

Róża otarła rękawem usta umazane keczupem. Wstała, przewracając swoje krzesło. Nie przejęła się tym jednak zbyt. Pozwoliła siedzisku leżeć, bo stare porzekadło mówi, że skoro przewróciło się, niech leży. A jak coś wylało się, to nie szkodzi.

– Chodź zobaczyć – powiedziała i przeszła do pokoju, a my za nią. Odsunęła firankę. Zza kaloryfera wyjęła coś, co przypominało mi rowerowe lustro. I w rzeczy samej nim było. Sterczało na długim plastikowym pałku. Róża nasadziła to na kij od mopa, który stał w rogu.

– Nareszcie się na coś przyda – wyjaśniła, wskazując na porzuconą w kącie, jeszcze zafoliowaną i zupełnie nieśmiganą, materiałową końcówkę urządzenia.

Otworzyła okno. Wychyliła się przez nie na maksa, wbijając sobie

w brzuch krawędź parapetu. Nawet przez chwilę wystraszyłem się, że chce przez nie skoczyć na główkę. Wystawiła własnoręcznie skonstruowany przyrząd na zewnątrz i zwiesiła go nisko.

– Teraz ty – nakazała Szymonowi, podając mu lusterko.

– Zwariowałaś?

– No już. – Róża popchnęła go w stronę okna.

Grzebał się tam niemiłosiernie. Ustawiał, przekręcał, aż nie wytrzymałem. Wziętem rozpęd i wskoczyłem na parapet. Ostrożnie wyjrzałem poza krawędź gzymsu. Wstrzymałem oddech. Powtarzałem sobie w myślach, że to tylko pierwsze piętro, to nie wieża Eiffla ani żaden sky tower, ale i tak zakręciło mi się w głowie. Na szczęście Róża zdjęła mnie z parapetu i osadziła bezpiecznie na podłodze. Panika ścisnęła mi gardło, ale swoje i tak zdołałem zobaczyć.

W lusterku, które najwyraźniej służyło Róży do podglądania mieszkającej piętro niżej Brygidy Buchty, zobaczyłem scenę, która mnie nie zdziwiła wcale a wcale.

Buchtowa w swoim nieodłącznym fartuchu, pod którym (o zgrozo!) miała wyłącznie bieliznę (być może wyglądałoby to filuternie, ale u niewiasty o parę dekad młodszej i o wiele deka chudszej), krzątała się po kuchni. Nałożyła po porcji klusek na talerze, dołożyła po roladzie, postawiła dania na stole w kuchni i zniknęła nam na chwilę z pola widzenia. Potem wróciła, pobrzękując kluczami zawieszonymi na ściskanej w rękę smyczy z logo firmy udzielającej szybkich pożyczek, a za nią, powłócząc nogami, wszedł facet. Dla mnie to żaden surprise nie był, bo przecież ja już tego delikwenta – grzebiącego w garze w kuchni Buchtowej – widziałem. Ale Szymon i Róża nie widzieli, więc się teraz wielce dziwowali, gdy oboje, Buchtowa i chłop, zasiedli do posiłku.

– Kto to jest? – spytał Solański.

– Może ma gościa.

– I go gdzieś zamyka na czas przygotowywania posiłku? Poza tym jak ona jest ubrana? – Szymon zamknął okno, bo się straszny ziąb zrobił.

– Cholera wie, o co chodzi – zastanawiała się Róża. – Najlepiej jej spytajmy.

No i spytaliśmy. Zleźliśmy na parter całą, bynajmniej nie świętą, trójcą. Załomotaliśmy do drzwi. Przystawiłem ucho do framugi. W środku panowała absolutna cisza. Róża rąbnęła ponownie. Teraz dało się słyszeć pośpieszne szuranie krzesłami, tupanie, a potem trzask odryglowywanego zamka. Po chwili w progu stanęła Brygida Buchta odziana w pluszowy szlafrok.

– No co? – przywitała nas wytwornie.

Za bardzo nie przygotowaliśmy sobie odpowiedzi na to „no co”, więc trzeba było improwizować.

– Dzień dobry – zaczęła Kwiatkowska przymilnie.

– Jo tam nie wiem – wyraziła swoje wątpliwości Buchtowa.

– Zaprosiłam naszego nowego sąsiada na obiad. – Róża szturchnęła Solańskiego w żebra, aż się skrzywił. – I tak sobie pomyśleliśmy, czy by pani z nami nie zjadła. Nic przyjemnego samemu przy stole siedzieć.

Popatrzyłem na Różę z podziwem. Ta to umiała zmyślać na poczekaniu! Kiedy ja próbowałem naściemniać Solańskiemu, że ta skonsumowana pasztetowa to nie moja sprawka, za nic nie chciał uwierzyć.

– Chyba że ma pani gościa – dodał chytrze Szymon.

– Ni mom! – warknęła Buchtowa. – Lubia sie sama nafutrować – rzekła i zatrzasnęła nam drzwi przed nosami.



1988 rok

Brama kamienicy uchyliła się z przeciągłym jękiem zawiasów. Tę chwilę wykorzystał wiatr, który lodowatym podmuchem sypnął do sieni kupkę śniegu. Przez szparę precyzyjnie się młoda, szczupła kobieta, ciągnąc za sobą walizkę, której nie była w stanie podnieść. Zatrzasnęła za sobą drzwi i zatonęła w ciemności. Otuliła się szczelnie płaszczem. Gdzieś w oddali zawyła milicyjna syrena. A może to była karetka? Kobieta strzepnęła płatki śniegu z ufryzowanych w fantazyjny kok blond włosów. Odszukała na ścianie włącznik światła. Pstryknęła, ale nie doczekała się rezultatu. Na oślep dotarła do schodów. Tutaj żarówka zapaliła się z pewnym ociąganiem, wyławiając z ciemności zmurszałe schody i pokryte drobnym wzorkiem zielone ściany z odłóżczym tynkiem. Kobieta chwyciła się wyslizganej poręczy i rozpoczęła żmudną wspinaczkę z ciężącą jej walizką.

Resztę bagaży mieli przywieźć następnego dnia furgonetką należącą do teatru. Ze sobą wzięła tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Gdy odebrała klucze do mieszkania, chciała tu przyjść jak najprędzej. Dobiegała już trzydziestki, a to były jej pierwsze własne cztery kąty. Wynajmowane, bo wynajmowane, ale tylko jej. Dzielnica nie była może najciekawsza, a mimo to ucieszyła się z lokalizacji. Tutaj się przecież wychowała. Jako dziecko mieszkała parę domów dalej. Tu chodziła do szkoły. Znała każdą dziurę w chodniku, każdą kryjówkę w ciemnych podwórkach familoków. Być może artystce jej rangi wypadałoby zamieszkać w nowym mieszkaniu w bloku na osiedlu Irys albo na Tysiącleciu, ona jednak nad wygody przedkładała atmosferę tych pamiętających początek wieku murów. Czuła, że tu toczy się prawdziwe życie. Bez retuszu kolorowych farb czy pstrokatych tapet.

Wspięła się na wysoki parter. Nagle zza drzwi ulokowanego

na półpiętrze wychodka wyskoczyła jakaś niewielka postać. Podciągnęła spodnie i pognęła schodami w dół, potrącając jej walizkę. Spojrzała za nią i za toczącym się stopień po stopniu bagażem.

– Pieronie jedyn, co to za larmo? – W progu mieszkania, na drzwiach którego smętnie wisiła przekrzywiona tabliczka z napisem „Buchta”, stanęła młoda kobieta.

Pulchna niewiasta z loczkami do ramion zaparła się pod boki i czujnym okiem zlustrowała korytarz. Znała tę sylwetkę, która od szkolnych lat niewiele się zmieniła. Brygida już w siódmej klasie podstawówki zrobiła się mamuszkowata, przysadzista, taka swojska baba. Po tych kilkunastu latach przybyło jej parę siwych nitek we włosach, dłonie jej się wysuszyły i zgrubiały w stawach od codziennego obierania ziemniaków. Przytyła jeszcze bardziej, a jej oczy straciły blask. Oczy, w których kiedyś można było wyczytać oczekiwanie na wielką zmianę. Ten wyraz nadziei połączonej z lekką ekscytacją na myśl o nieznanym jutrze zniknął. Wielka zmiana nie nadeszła. Buchtowa mieszkała tam, gdzie mieszkała. Robiła to, co robiła. Powielala życie swojej matki i babki, jakby to była tradycja, od której nie ma zmiłowania.

– Dzień dobry. – Uśmiechnęła się do Brygidy, próbując ponownie wciągnąć swoją walizkę do góry.

– Ja, teraz to dzień dobry – sarknęła Buchtowa i cofnęła się do swojego mieszkania.

Kobieta stała chwilę, wpatrując się w zatrzaśnięte drzwi. Wreszcie wzruszyła ramionami i wspięła się na drugie piętro. Z kieszeni płaszcza wyciągnęła pęk kluczy. Dopasowała jeden z nich do zamka i otworzyła czerwone drzwi.

Rozdział 10

JAK ZBITY PIES

Solański przepuścił tramwaj, narażając się na wściekłe trąbienie jakiegoś niecierpliwca siedzącego za kierownicą toyoty rav4, który zamiast zmienić pas na lewy, zahamował, mało nie wjeżdżając detektywowi w tyłek. Facet walił teraz w kierownicę rozczapierzonymi palcami, błyskał światłami i zaplawał sobie jadem przednią szybę. Szymon z miną Sfinksa przeczekał, aż przejedzie czerwony Helmut, jak nazywano tramwaje pamiętające lata siedemdziesiąte minionego wieku, zakupione od Niemców. Przewoźnik naraził się tym samym na uwagi pasażerów, że „ten złom się ino na hasiok nadaje” albo „trzeba by to żelastwo w pizdu wyciepnąć”. Solański skręcił w wijącą się serpentynami drogę prowadzącą na osiedle Pod Arkadami. Wjechał w ulicę Miłą. Mimowolnie nacisnął mocniej pedał gazu. Zahaczył podwoziem o próg zwalniający. Zaklął. Wreszcie zatrzymał się na Okrężnej.

Jednakowe domki szeregowe miały już dobrych dwadzieścia parę lat. Wypadały dość blado w porównaniu z powstającym tuż obok osiedlem apartamentowców z drewnem na kremowej elewacji i z przeszklonymi balkonami. Tu każda z szeregówek miała inny kolor, od wściekłego rózu poczynając, na bieli gołych silikatów, których właściciele dotąd nie zdążyli pokryć styropianem, kończąc. Garaże ukryto pod arkadowymi kolumnami, wspierającymi budynki od frontu. Stąd też zapewne pochodziła dumna nazwa osiedla. W przydomowych ogródkach żaden architekt krajobrazu w życiu nie

postawił nogi. Panoszyły się w nich głównie chaszczce, które tylko przy dużej dawce dobrej woli można było nazwać ogrodem angielskim.

Solański ruszył wolno i odszukał numer szósty. Zaparkował na chodniku i nacisnął dzwonek przy podrdzewiałej furtce. Adres właściciela mieszkania, które Marianna Biel wynajmowała przez ponad dwadzieścia siedem lat, znalazła dla niego Róża. Solańskiemu wydawało się, że widzi cień w oknie na parterze domu. Poruszyła się firanka. Lustracja musiała wypaść pozytywnie, bo po dobrych pięciu minutach drzwi wejściowe uchyliły się wreszcie, a ze szpary wychynęła siwa głowa.

– Nie mam resztek jedzenia – rzekł niepewnie mężczyzna. – Piątką też nie! – oznajmił. Nie przestawał gapić się na detektywa.

– Pan Wilczyński? – Solański wsparł się na płocie. – Mieszkam na Jedenastego Listopada. Chciałem pogadać o pana mieszkaniu.

– A co z nim? – zainteresował się facet.

Otworzył szerzej drzwi. Stał na podeście, odziany jedynie w przetarte bokserki, siateczkową koszulkę typu „żonobijka” i rozdeptane lacie. Z kącika ust zwisał mu tłący się pet.

– Marianna Biel nie żyje. – Solański przeszedł do rzeczy.

– Kto? – Wilczyński rozdziawił gębę, aż papieros wypadł mu na pokryte lastrikiem schody.

– Lokatorka, której pan wynajmował mieszkanie. – Szymon miał już tego dosyć. Czy naprawdę nikt nie przyjmował do wiadomości istnienia Marianny Biel?

– No co pan powiesz! – Neandertalczyk podrapał się po tyłku. – To kto mi teraz będzie płacił czynsz? – zmartwił się.

– Wpuści mnie pan? – Solański przestąpił z nogi na nogę.

– Co mam nie wpuścić? – Wilczyński wylazł z kluczem w dłoni i otworzył furtkę. Domofon, jeśli tu kiedyś był, już dawno przestał

działać. – Zastanawiałem się, czy panu otworzyć, bo nie wiedziałem, czyś pan nie jest menello – usprawiedliwił się, prowadząc Solańskiego do wnętrza domu.

– Kto? – Tym razem Solański nie zrozumiał.

– Łażą tu tacy i na wodę zbierają. Ale częściej to żarcia chcą. A ja sam ledwo mam na chleb, pan patrzy. – Ręką zatoczył koło ponad swoim dobytkiem.

Solański patrzył i widział typowy barłóg starego kawalera. W wąskim, obitym przybrudzoną boazerią przedpokoju piętrzyła się góra sfilcowanych, pośmierdujących kapci. Z wieszaka zwisała płatanina starych płaszczy przesiąkniętych tytoniowym smrodem. Z kątów wyglądały kłęby kurzu. Przeszli do salonu, w którym było jeszcze gorzej. Na skajowej popękanej kanapie leżał brudny koc. A na nim, jakby wyjęty z innego świata, zestaw pilotów do telewizora, anteny satelitarnej, kablówki, odtwarzacza DVD i jasna cholera wie, czego jeszcze. Tył wersalki stanowiła pozrywana tu i ówdzie luźna szmata, za którą widać było upchniętą nieobleczoną kołdrę. Wspierająca się o ścianę meblościanka była żywym świadkiem zdechłej już dawno epoki Polski Ludowej. Szklany pożółkły żyrandol musiał swego czasu sporo kosztować na Barskiej. Z jego kielichów o wymyślnych kształtach padało światło na pięćdziesięciocalowy ekran telewizora usytuowanego naprzeciw legowiska.

– Pan usiądzie – zaoferował Wilczyński.

– Postoję. – Szymon podszedł do drzwi balkonowych.

Stąd miał widok na tył ogrodu. Nie było tam ani źdźbła trawy, same głązy rozrzucone nierównomiernie po nie tak znowu wielkim terenie.

– Ze starości jeszcze raczej nie zmarła. – Wilczyński bardziej stwierdził, niż zapytał.

Rozkraczył się na kanapie, ukazując detektywowi więcej, niż ten chciałby zobaczyć.

– Nie zauważył pan, że zniknęła? – Solański zastanawiał się, który już raz zadaje to pytanie kolejnym osobom.

– Nie, no. Czysz wpłacała mi na konto stałym przelewem. To skąd miałem wiedzieć?

– Odwiedzał ją pan czasem?

– Iii, no kiedyś tak. Jak jeszcze znana była. Mogłem się kumplom na rybach pochwalić, że znam gwiazdę Uciechy.

– A teraz?

– Teraz to i po co? Ona zresztą nie była towarzyska. Mało kto do niej wpadał.

Solański przyglądał się człękokształtowi, który właśnie pociągał zębca z puszeki.

– A jej sąsiadów pan zna?

– Banda skurwysynów, panie. – Wilczyński nie miał wątpliwości. – Wszystkich w dupie mają, ino o własny interes każdy się trzęsie. To, że się stamtąd wyprowadziłem, to była najlepsza decyzja w moim życiu. Tam jakbym złamał nogę na środku klatki schodowej, toby mnie zdeptali, ale nie pomogli. Znieczulica, panie! Napijesz się pan piwka? – Nagle postanowił być gościnny.

Solański się wzdrygnął. Od odpowiedzi uwolnił go dzwonek do furtki. Wilczyński poderwał się z kanapy. Truchtem pobiegł do kuchni, gdzie – jak Solański już wcześniej podejrzewał – ukrył się za ufajdaną firanką. Wyjrzał zza niej. Zmrużył oczy. I konfidencjonalnym szeptem poinformował Solańskiego:

– Patrz pan. Tym razem to już na stówę menello.



Lipiec 2015 roku

W zoomie widać było każdą zmarszczkę. Każdą wątrobową plamę. Worki pod rozwodnionymi oczami i siwiznę tuż przy skórze. Włosek wyrastający z pieprzyka na lewym płątku nosa drżał w rytm jej oddechu. Gruba warstwa pudru w niczym nie pomagała. Cienkie, pojedyncze rzęsy zlepily się tuszem, choć producent zapewniał z opakowania, że przy użyciu jego specyfiku nigdy jej tego nie zrobią. Jaskraworóżowa szminka wystawała poza kontur ust. Jej smugi połyskiwały na pożółkłych zębach. Od wszechogarniającego upału fryzura osiadła, po misternie ułożonych falach nie było śladu.

– Jestem stąd. – Kobieta mówiła bez przekonania. – Tu wychowałam się i dorastałam. To w chorzowskim teatrze zagrałam swoje największe role. – Spuściła wzrok. – To nie ma sensu. – Zgarbiła się.

– Świetnie ci idzie! – Hubert poprawił ostrość w kamerze. – Dawaj jeszcze raz.

Kobieta otarła kropelkę potu spływającą jej po nosie. Nabrała powietrza.

– Nie, weź lepiej porozmawiaj z naprawdę znanymi mieszkańcami Chorzowa. Z Kuczokiem. Albo którymś z tych piłkarzy. Co to za promocja przez starą babę?

Hubert Gierloch nie spodziewał się takich kłopotów. Przecież z daleka było widać, że ta zużyta aktorka cierpi na przerost ego i najchętniej pląsałaby po scenie nawet wtedy, gdy będzie już jeździć na wózku inwalidzkim i srać w pampersy dla dorosłych.

Hubert wziął udział w konkursie na film promujący Chorzów, bo uznał, że to niezły start do rozpoczęcia nowej kariery. Z warsztatem samochodowym w Niemczech nie wyszło. Po latach splajtował i musiał wrócić z podkulonym ogonem w rodzinne pielesze. Teraz chciał urządzić się na nowo. Najpierw zamierzał wyrzucić Adama

z mieszkania po rodzicach, a potem rozkręcić biznes filmowo-fotograficzny. Wesela, komunie, pogrzeby, wyjazdy integracyjne, co kto woli. Będzie to wszystko uwieczniał i zbierał gruby hajs. Kupił już kamerę i aparat. Potrzebował jednak jakiegoś portfolio. I ten konkurs ogłoszony przez chorzowski Urząd Miasta spadł mu z nieba. Szczególnie że jego sąsiadką była dawna gwiazda Teatru Uciecha. Pewnie w jury, gdzieś tam na urzędniczych posadkach, znalazłyby się jeszcze jakieś stare ramole pamiętające ją z czasów świetności. Oni tam przecież pierdzą w stołki dożywotnio. A Marianna Biel nadawała się znakomicie do tematu jego projektu: „Osiągnąłem sukces, bo jestem z Chorzowa”.

Ale Biel, nie wiedzieć czemu, stawiała opór. Czyżby zdawała sobie sprawę z tego, że jej gwiazda nie świeci już tak jasno na chorzowskim firmamencie kultury? Nie rozumiał baby. Miała szansę znów zabłysnąć, a stroiła fochy. Nie zamierzał jednak ustąpić.

– Jedziemy od początku! – zarządził.

I zrobił jeszcze większe zbliżenie na twarz aktorki.



Miejsce zbrodni przyciągało. Jakby ktoś w posadzkę piwnicy wmontował jakiś cholerny magnes. Zeszliśmy do podziemi niby po to, żeby uporządkować naszą piwnicę i pozbyć się starych gratów po poprzednich lokatorach. Ale wyszło na to, że tylko ja tropiłem kocie (jakże niepożądane) ślady w naszym kwadracie, podczas gdy ta łajza Solański gapił się na plamę krwi pstrzając podłogę w kanciapie Marianny Biel. Może sądził, że ona mu podpowie, ta plama, co tak naprawdę wydarzyło się w tych kazamatach? Pewnie obawiał się też tego, że wkrótce piwnica zostanie zamknięta. Wilczyński nie będzie czekał na zbawienie. Czym prędzej wynajmie komuś mieszkanie. A nowy lokator na zawsze zatrze te nieliczne ślady, które zostały

po Mariannie Biel. Solański bał się, że zbrodnia ujdzie mordercy płazem. Psia intuicja szeptała mi do mojego klapniętego ucha, że Szymon dopóty nie ruszy z własnym biznesem, dopóki nie rozwikła tej zagadki.

Wyczułem nowy trop. Może jednak te cholerne kociska gdzieś się przede mną chowają? Musiały tu mieszkać przez dłuższy czas, bo ich smród wsiąkł w pokryte surowym tynkiem ściany na dobre. Nigdzie nie było jednak widać żadnego wąsatego paniska. Ruszyłem z kopyta na tył piwnicy, bo wydawało mi się, że coś tam śmignęło. Sekundę potem usłyszałem jęk Solańskiego. Zawróciłem, rzeźbiąc pazurami rowki w posadzce.

– Guccio, *to the rescue!* – zawyłem w przestworza i ruszyłem na ratunek swemu panu.

Solański leżał na ziemi. Zwinął się wpół i trzymał obiema rękami za głowę. Postękiwał, co w jego wykonaniu nie brzmiało jak jakieś aj, aj, aj, tylko było stekiem wyzwisk wszelakich, na dźwięk których nawet profesor Miodek by się zadziwił. Mógłby zbadać ich etymologię i nagrać nowy filmik popularnonaukowy, który biłby jeszcze większe rekordy oglądalności niż ten o pochodzeniu słowa „kurwa”.

Kątem zaćmionego oka ujrzałem stopy na szczycie stopni prowadzących na klatkę schodową. Zaraz potem trzasnęły drzwi. Po chwili rozległo się jakieś szuranie. Stałem nad Szymonem, nie wiedząc, co robić. Kombinowałem tak: jeśli go polizę, poczuje się niemęsko. Pomyśli, że uznałem go za mazgaja. Może więc naszczekać? Tak, uznałem, że na niego naszczekam.

– Wstawaj, żołnierzu! Musimy gonić zbója! – krzyczałem mu nad uchem.

Zadziałało. Przestał się wreszcie użalać nad sobą i wyprostował patyczakowate ciało. Ruszył biegiem do wyjścia. Ja za nim. Z rozpędu

wpadł na drzwi. Odbił się od nich i wylądował na tyłku w piwnicznym korytarzu. Zdziwił się, znów używając tych wszystkich neologizmów-wulgaryzmów, i ponowił próbę sforsowania drzwi. Bezskutecznie. Nie były zamknięte na klucz, bo dało się je odsunąć, tworząc milimetrową szparę przy futrynie. Napastnik musiał przystawić z drugiej strony coś ciężkiego, co blokowało nam wyjście. Swoją drogą docierał stamtąd straszny smród.

No to byliśmy uziemieni. „Przecież ten chudzielec nas stąd nie wydostanie” – pomyślałem, zezując na Solańskiego. Nie mógł nawet wyleźć przez okno, bo było zakratowane. Szymon wziął się jednak na sposób i począł walić pięściami w drzwi. Że też sobie nie uświadamiał bezsensu przedsięwzięcia. Wszak nie dalej jak parę dni temu przeprowadzaliśmy podobną próbę z Różą i nikt z szanownych sąsiadów nie pofatygował się, by nam pomóc.

– Halo! – Solański wołał niezwykle oryginalnie. – Jest tam kto?!

– Jasne, Jean-Claude Van Damme. I wszyscy czterej rzucą nam się z odsieczą – zgrzytnąłem resztkami pokrytych kamieniem zębów.

Położyłem się w kącie i zakryłem oczy przednimi łapami.

– Pali się! – okłamał potencjalną publikę Solański.

Musiał się nacytać porad dla kobiet w „Życiu na Wrząco”, które jasno przedstawiały smutną prawdę, że w razie ataku gwałciciela zamiast „ratunku!” lepiej wołać „pożar!”. Stwarzało to większe szanse na czyjaś reakcję.

– Szymuś, to ty? – Usłyszeliśmy zza drzwi.

– Róża! – W głosie Solańskiego pobrzmiwała ulga.

– Dlaczego zabarykadowałaś się w piwnicy kontenerem na śmieci?
– chciała wiedzieć Kwiatkowska.

– Co? Dasz radę go przesunąć? – Na twarz Solańskiego wypłynął rumieniec wstydu. Podrapał się po głowie. Z sykiem odsunął rękę.

Na palcach zostały mu ślady krwi.

Z klatki schodowej dało się słyszeć straszny szurgot. Róża postękiwała, sapała i klęła.

– Jeszcze kawałek. Czekaj chwilę – uspokajała.

Wreszcie dobiegł nas metaliczny brzęk i Róża otworzyła drzwi.

– I Guciunia ze sobą zabrałeś? – dodała z naganą w głosie. – Jesteś ranny! – Zauważyła zakrwawiony czerep Solańskiego. – Sam się tak urządziłeś? – Kwiatkowska chyba zaczynała powątpiewać w jego inteligencję.

– Nie sam, tylko ktoś mnie zaszedł od tyłu i mi przywalił. – Solański był rozdrażniony. – A potem zwiął i zablokował wyjście.

– Uuu. – Róża weszła na schodek i z góry przyglądała się głowie Szymona. – Trza to zalepić jakimś klajstrem. Idziemy do mnie – zarządziła.

Solański rozsiadł się na taborecie w kuchni Kwiatkowskiej. Rozłożyłem mu się na stopach. Rodzina powinna trzymać się razem w trudnych chwilach. Wspierałem więc mojego pana ciepłym sadełką, które niepostrzeżenie wyrastało wokół moich sterczących dotąd żeber.

Róża pogrzebała w kuchennej szafce i wyciągnęła wodę utlenioną, której data przydatności do użycia, jak odczytała z opakowania, minęła na początku tego stulecia. Uznała jednak, że to nic nie szkodzi, i wylała pół butelki Szymonowi na łeb. Ten zagryzł wargi, ale nie kwiknął z bólu, choć widziałem, że ma ochotę. Zgrywał przed Różyczką twardziela. Potem dziennikarka, z braku innego pomysłu, owinęła mu głowę bandażem i stwierdziła, że dosyć już tej Leśnej Góry.

– Naprawdę nie widziałeś, kto cię zaatakował? – spytała Róża, jednocześnie wyciągając z lodówki dwie butelki piwa o smaku tequili. Rozprawiła się z nimi jednym z tych swoich kolorowych

otwieraczy uwieszonych na ścianie.

– To musiał być facet. W końcu ten kontener nie tak łatwo przeciągnąć z podwórka do klatki – rozważał Solański.

– Ja dałam radę.

Nadepnąłem Solańskiemu na stopę, żeby nie palnął żadnej głupoty w stylu, że Róża z jej posturą mogłaby spokojnie robić za faceta. Albo i dwóch. Na szczęście Szymuś w porę zdołał przymknąć dziób.

– To mógł być każdy.

– Każdy, komu nie spodobało się, że weszysz na miejscu zbrodni. – Róża miała zamyśloną minę.

– Morderca – rzekł jakby od niechcenia Solański.

A ja znów zakryłem oczy łapami.



Solański był przekonany, że zaatakował go któryś z sąsiadów. Ergo – w jego kamienicy mieszkał morderca. Do takiego wniosku przychylił się też dlatego, że do piwnicy mógł wejść tylko ktoś, kto miał do niej klucz, bo przy zamku nie było żadnych śladów włamania.

Szymon postanowił przejść się od drzwi do drzwi. Poparadować przed ludźmi ze swoim owiniętym w bandaż łbem. Przyjrzeć się reakcjom. Aktorką była ofiara, a nie zabójca. Miał więc nadzieję, że zdradzi go jakiś fałszywy grymas. W sumie sam do końca nie wiedział, czego szuka.

Zszedł na pierwsze piętro. Przez uchylone drzwi mieszkania Gierlochów dochodziły jakieś hałasy. Zajrzał do środka. Wzdrygnął się. Za każdym razem, gdy odwiedzał braci, ci jakby na niego czekali z nowym przedstawieniem gotowym do odegrania. Tym razem stali naprzeciw siebie. Każdy po swojej, wyznaczonej przez linię demarkacyjną, stronie pokoju. Patrzyli sobie prosto w oczy. Hubert

w wyciągniętej wysoko nad głową ręce trzymał ramkę ze zdjęciem.

– Oddawaj! – zapiszczał żałośnie Adam. – To jedyne, na którym są razem.

Niezauważony przez braci Szymon wpatrywał się w scenografię tego dramatu. Istne pobożowisko. Wyglądało na to, że Hubert przeprowadził konfiskatę mienia. Poprzeciągał na swoją stronę większość rzeczy z części hipotetycznie należącej do Adama. Zabrał nawet kanapę, łaskawie zostawiając bratu swoją karimatę i rozbebeszony śpiwór.

– Chciałem je tylko powiesić w innym miejscu, braciszku – cedził Hubert.

Wciąż z wyciągniętą wysoko ręką podszedł do okna.

– Chyba mam do naszych staruszków takie samo prawo jak ty? – Odchylił firankę. Skrzypnął okienną ramą. – Pomyślałem sobie, że najlepiej będzie wyglądało tutaj. – Do pomieszczenia wdarł się podmuch chłodnego, wilgotnego powietrza. Hubert wyrzucił zdjęcie na podwórko.

Adam dopadł do okna. Wychylił się przez nie, wspierając się biodrami o parapet. Odwrócił się gwałtownie. Zaplątał się w sięgającej podłogi firance i szamotał jak ryba wyrzucona na brzeg. Hubert stał z boku z drwiącym uśmiechem. Adam wreszcie wyplątał się z pułapki. Ruszył do drzwi i wpadł na stojącego w progu Szymona.

– Adaś zasmucił się, bo mu mamusię z tatusiem przez okno wyrzuciłem. – Hubert wyszczerzył się do Solańskiego zza pleców bliźniaka.

– Tobie co? – Wskazał na bandaż.

Adam przepchnął się obok detektywa. Wybiegł na klatkę schodową i zakłapał kapciami o drewniane stopnie. Usłyszeli trzask prowadzącej na podwórko bramy.

– Ktoś mnie napadł w piwnicy. – Solański obserwował twarz Huberta.

– Było się nie szwendać, gdzie nie trzeba – odparł lekko Gierloch. A widząc wzrok Solańskiego przesuwający się po poprzestawianych meblach, dodał szybko: – Czas najwyższy, żebym dostał, co mi się należy! I nic nikomu do tego! Co to w ogóle za piekielna kamienica? Każdy jeden wpierdala się w nasze sprawy, jakby to była jego brocha! – darł się już na całego.

– Myślisz, że wasze małe wojenki są aż tak interesujące? – Solański zmrużył oczy.

– Dla tej cholery staruchy z góry i owszem! – Twarz Huberta miała buraczany odcień, z kącików ust ciekła mu ślina. Trząśł się. Łaził z kąta w kąt, przewracając wszystko, co mu stanęło na drodze. – „Adasiowi się mieszkanko należy” – przedrzeźniał Mariannę Biel wysokim głosem. – „Adaś całe życie opiekował się rodzicami, a ty gdzie wtedy byłeś?” A chuj ją obchodzi, gdzie byłem! – Gierloch szarpał za oparcie kanapy, chyba nie zdając sobie w ogóle sprawy z tego, co robi. – „W razie czego poświadczę w sądzie, jak było”. Wyobrażasz sobie?! – Spojrzał dzikim wzrokiem na Szymona.

Na swoje szczęście Solański został zwolniony z odpowiedzi. Z podwórka dobiegł ich głuchy huk, a zaraz potem piskliwe zawodzenie Adama. Hubert i Szymon podeszli do okna. Było na co popatrzeć.

Gierloch musiał trafić zdjęciem wprost do kontenera na śmieci. Tego samego, który posłużył do uwięzienia Solańskiego w piwnicy. Jego kłapa zazwyczaj była uchylona, racząc najbliższą okolicę piekielnym smrodem. Adamowi, po bezskutecznym przeszukaniu popękanej betonowej posadzki podwórka, nie pozostało nic innego, jak zajrzeć do śmietnika. Solański widział teraz wystające z otworu kontenera, odziane w bambosze, nogi chudsze z braci Gierlochów.

Nogi wywijały się na wszystkie strony, a ich właściciel próbował złapać równowagę. Nie było to proste, ponieważ głowę aż po ramiona Adam miał zanurzoną w odpadkach.

Szymon z westchnieniem zniecierpliwienia ruszył Adamowi na ratunek. Za sobą zostawił zaśmiewającego się Huberta.



Solański wyszedł, zostawiając mnie na pastwę losu. Na szczęście drzwi były uchylone, więc wybiegłem na klatkę schodową, żeby z góry poobserwować, co też będzie się działo w naszym pięknym familoku.

Najpierw Solański wszedł do Gierlochów. Po dłuższej chwili spod trójki, jak z procy, wyleciał Adam i w samych kapciach pognął na dół. W ślad za nim udał się Szymon, a bandaż na jego czuprynie powiewał niczym flaga pokoju. Biegi sobie odstawiali i nawet nie zauważyli tego, co mnie było dane oglądać.

Zbliżyłem się do krawędzi schodów. Wetknąłem pysk między bariery poręczy. Jak się dobrze wychyliłem, byłem w stanie dojrzeć parter. A gdy poprzekrzywiałem odpowiednio łeb, mogłem zobaczyć podest na każdym piętrze. Na przykład ten na wysokim parterze, na którym właśnie objawiła się postać faceta. Tego samego, którego ostatnio obserwowaliśmy z Różą przez lusterko od roweru. Ubrał się w strój moro rodem z jakiegoś festynu dla wielbicieli militariów. Za to dla kontrastu na nogach miał damskie różowe papcie. Dałbym sobie kolejną łapę uciąć, że wcześniej widziałem je u Buchtowej. Koleś rozejrzał się ostrożnie. W rękę trzymał Iniany woreczek, w którym przy każdym ruchu coś pobrzękiwało.

Facet wszedł na pierwsze piętro. Wyciągnął z woreczka klucz, do którego był przyczepiony kolorowy breloczek. Sprawdził coś na tym breloczku. Widocznie mu się nie spodobało to, co zobaczył,

bo schował klucz z powrotem i na nowo zaczął gmerać w worku. Druga próba okazała się trafiona. Wsadził klucz w zamek drzwi Róży i wszedł do mieszkania.

Targnęło mną święte oburzenie! Żeby się tak w biały dzień do Różycki włamywać? Ona biedna haruje w tej swojej redakcji i nawet nie wie, że jakiś zniewieściały, niedorobiony marine zakłóca jej mir domowy. Ruszyłem do boju. Z lokalu Gierlochów dochodziły wesołe pokrzykiwania Huberta wydzierającego się przez okno. Nie miałem teraz czasu na te wygłupy. Musiałem ratować mieszkanie Róży przed złodziejem. Pchnąłem nosem drzwi. Ten głupek nawet ich za sobą nie zamknął. I cóż ujrzały me piękne oczęta? Pokraka moro stała w kuchni Kwiatkowskiej i przewieszala z miejsca na miejsce jej kolekcję otwieraczy do butelek i korkociągów. Facet wystawił język na wierzch i przygryzał go w skupieniu. Wyraz ryła miał taki, jakby siedział w latrynie. Wreszcie wybrał jeden z otwieraczy, taki z fioletową końcówką, i wpakował go do swojego woreczka. Wycofałem się na korytarz, żeby mnie nie zauważył. Wariatów bałem się bardziej niż Al-Kaidy. Mogłem sobie jednak darować tę konspirę. Facio wyszedł z mieszkania. Zamknął drzwi na klucz. Przeszedł obok i nawet na mnie nie spojrzął. „No tak – pomyślałem – starych psów się nie zauważa”. Co innego słodziutkie szczeniaczki. Mogłem się zapisać do klubu niewidzialnych. Razem z Marianną Biel oraz innymi kobietami w wieku średnim i wzwyż.

Mężczyzna, ku mojemu przerażeniu, skierował się na drugie piętro. Nie mogłem pozwolić na to, żeby teraz okradł nas. Dokuśtykałem na górę w momencie, gdy wojak od siedmiu boleści pakował się do mieszkania Marianny Biel. Tym razem zatrzasnął za sobą drzwi. Byłem więc w kropce. Walić w nie łapą, aż się otworzą? Na Szymonie wypróbowałem ten numer, zarówno gdy chciałem wyjść z pomieszczenia, jak i do niego wejść. Wystarczyło podrapać

we framugę, a Solański wstawał i otwierał mi wrota. Podskórnice czułem jednak, że w przypadku tego dziwaka sztuczka mogłaby się nie udać.

Stałem więc rozdarty i z nerwów powarkiwiałem pod nosem. I nagle (o zbawienie!) na schodach pojawił się Solański.

– Co tu robisz? – zwrócił się do mnie.

Nie zdążyłem jeszcze, niestety, nauczyć go gadać po psiemu, więc musiałem mu na migi przekazać, jak wygląda sytuacja. Stanąłem pod czerwonymi drzwiami i zawarczałem znacząco.

– Tak, tu mieszkała ofiara. Mądry piesek – pochwalił mnie ten nic nierozumiejący gamoń.

Złapałem go więc zębiskami za nogawkę i pociągnąłem w stronę lokalu Marianny Biel. Wydawałem przy tym groźnie dźwięki prosto z trzewi.

– Czego chcesz? – Przyjrzał mi się uważnie.

Podszedł do drzwi i przyłożył do nich ucho. Lekko nacisnął klamkę. Ustąpiła.

– Zostań – nakazał mi szeptem.

Wcale nie zamierzałem go słuchać. Przejrzałem plan cwane go Szymonka. Teraz to zostań, a potem on zgarnie mnie należną chwałę za złapanie kleptomana. Nie ze mną te numery! Ruszyłem za panem i wyteżyłem zmysły. A raczej te ich resztki, którymi pozwalała jeszcze dysponować matka natura.

Weszliśmy do salonu, w którym na pierwszy rzut oka nic się nie zmieniło od czasu naszej ostatniej wizyty. Nie zdążyliśmy jednak rozejrzeć się zbyt dokładnie, bo nagle z łazienki wyskoczył facet z Inianym woreczkiem w dłoni i rzucił się ku klatce schodowej. Solański ruszył w pogoń. Pech jednak chciał, że nie zauważył mnie, a stałem za jego plecami. Potknął się o me jestestwo i wylądował na ziemi jak długi. Nie powinien jednak, uważałem, mieć do mnie

zbyt wielkich pretensji, bo jego upadek zamortyzował turecki dywan.

Zaklął szpetnie pod mym adresem, co zamierzałem mu wypomnieć przy stosownej okazji. Pozbierał się wreszcie, ale wtedy mógł już szukać wiatru w polu. Na półpiętrze spotkał tylko opłakującego zmiętolone zdjęcie rodziców Adama.

Byłem lekko obrażony, nie śpieszyłem się więc do domu. Usiadłem sobie na mięciutkim dywanie i rozejrzałem się wkoło. I wtedy to zobaczyłem. Puste miejsce po jednej z fotografii przedstawiającej Mariannę Biel na scenie. Na ścianie został tylko jaśniejszy prostokąt nieprzybrudzonej kurzem codzienności farby, który przez lata krył się pod zdjęciem.

Rozdział 11

ZEJŚĆ NA PSY

Jaśniejsza plama na ścianie dawała do zrozumienia, że musiało tu wisieć coś całkiem sporych rozmiarów. Przez długie lata. Obraz, a może plakat. Przyrdzewiały gwóźdź wystawał jeszcze z tynku. Solański utkwiał w nim wzrok. Patrzył w skupieniu, jakby chciał zostać zahipnotyzowany. I nie widzieć tego syfu. Sterty starych kartonów po nie wiadomo czym, zgromadzonych tu nie wiadomo po co. Kłębow zmiętych szmat, służących za garderobę, rozrzuconych po podłodze. Skarbów w postaci niespieszonych jeszcze w skupie metalowych kratek ściekowych, kawałków prętów zbrojeniowych czy reklamówek z Biedronki pełnych zgniecionych puszek po piwie. Rarytasów, zebranych bądź ukradzionych, dających się wymienić na żywą gotówkę lub flachę wody.

Zapomniał, że miał oddychać ustami, i zaraz tego pożałował. Bogactwo aromatów było tu jeszcze większe niż metali nie nazbyt szlachetnych. Słodkawy odór gnijących resztek jedzenia. Kwaśny smród moczu. Zatechła woń niewietrzonego poddasza. Mimo że nie wpuszczano tu świeżego powietrza, w pomieszczeniu panował przenikliwy chłód. Piec kaflowy stał w kącie, a zza jego otwartych drzwiczek w niemym wyrazie oskarżenia wyzierał czarny otwór.

Solański oderwał wreszcie wzrok od gwoździa. Przesunął go w dół, aż do podłogi. Na szerniałych deskach parkietu leżał stos papierów, pośród których rozpoznał druki z biblioteki z nakazem zapłaty kary za przetrzymanie książek. Na nich spoczywało oprawione

w antyramę zdjęcie. Szkło było rozbite. Pęknięcia odchodziły promieniście od małej dziurki pośrodku, która wyglądała jak ślad po wystrzelonej z pistoletu kuli. Jednak samo zdjęcie nie było przedziurawione. Czarno-biała fotografia sporego formatu przedstawiała grupę młodych mężczyzn ubranych w milicyjne mundury. Stali w zwartym szeregu na tle kominów Huty Kościuszko. Obejmowali się i zaśmiewali pewnie z jakiegoś dowcipu opowiedzianego tuż przed zwolnieniem migawki.

Na końcu rzędu, po prawej stronie, Solański zobaczył samego siebie. Ciemne włosy, stalowy wzrok. Tylko oczy tego wysokiego mężczyzny, inaczej niż u niego, śmiały się. Poza tym wszystko się zgadzało. Szczupła do przesady sylwetka. Przykrótkie spodnie od munduru, który ciężko było dopasować do tak niewymiarowego funkcjonariusza. Wydatny podbródek, z którego wyrastał nieposkromiony zarost. Szymon zastanowił się, czy matce bywało przykro, że jej jedyny syn nie był do niej podobny ani trochę.

Z mężczyzny ze zdjęcia nic już nie zostało. Wystarczyło spojrzeć w kąt pokoju. Leżał tam, na przytarganym ze śmietnika materacu, w pełnym rynsztunku. Okutany łachmanami, na głowie wełniana, przeżarta przez mole czapka. Na jednej stopie but z rozklejoną podeszwą. Na drugiej skarpetka, spod której wyglądały na światło dzienne duży palec i pięta. Twarz rumiana, czerwony nos. Broda jak u Świętego Mikołaja, do pasa. Tyle że zapluta, zarzygana, poklejona. Krzaczaste, siwe brwi stroszące się nad na wpół otwartymi oczami. Zawsze tak spał. Jak żywy trup.

Gdy Szymon był małym chłopcem, bał się, że ojciec wcale nie śpi. Że raczej nie żyje. Na to by wskazywały otwarte, patrzące, ale niewidzące oczy. Podobne zobaczył kiedyś u prawdziwego nieboszczyka. A miał dopiero sześć lat. Pojechał wtedy z ojcem na wezwanie. Major Solański nie miał z nim co zrobić. Jego żona

była w pracy, sąsiadki nie zastał w domu. Posadził więc smarkacza na tylnym siedzeniu radiowozu i nakazał mu tam zostać. Ale gnojek nie posłuchał. Poczłapał za ojcem do meliny na ulicy Powstańców i ujrzał to, czego nawet dorośli nie powinni oglądać. Jeszcze długo po tym zdarzeniu budził się w nocy z pełnym paniki okrzykiem.

Solański senior chrapał donośnie. Alkoholowa woń wybijała się ponad wszystkie. Szymon nie miał na to siły. Ale nie miał też wyboru. Nie sądził, że sprawy zaszły aż tak daleko. Że tu takie dno.

– Tato! Obudź się! – Szarpnął mężczyznę za rękaw, choć wiedział, że to bez sensu. Potrzebne były radykalne rozwiązania.

Dał więc spokój. Wszedł do malutkiej łazienki z mikroskopijną umywalką, toaletą, przy której te na dworcu kolejowym to higieniczny standard na miarę Hiltona, kabiną prysznicową, osłoniętą ceratową zasłonką w kwiatki (za cholere nie pasowały do okoliczności). Solański sprawdził, czy leci woda. Zimna, bo zimna, ale była. Wrócił do pokoju. Sprawnym ruchem przerzucił sobie ojca przez ramię. Ależ był lekki!

– Daj pan na wino – dobyło się całkiem wyraźnie z ust Janusza Solańskiego.

Szymon posadził go na zamkniętej muszli klozetowej. Uważając, by nie wysunął mu się z rąk, rozebrał do naga. Próbował nie patrzeć, ale widział ruinę. Człowieka, ojca, mężczyzny. Janusz nie protestował. Nie zdawał sobie sprawy z tego, co się z nim dzieje. Mlaskał tylko i wydawał z siebie nieartykułowane dźwięki. Szymon podciągnął go za ramiona i usadził w brodziku prysznicowa. Puścił na ojca strumień wody.

– O ja pierdolę! – Janusz się ocknął.

Zaczął wierzgać, łapać powietrze. Próbował się podnieść, ale nie dawał rady.

– Siedź! – rozkazał Solański. Jak psu.

Z braku wyboru sięgnął po butelkę ludwika ustawioną pod zlewem. Wylał na ojca całą jej zawartość. Znalazł też jakąś szmatkę i zaczął pocierać nią ciało Janusza. Stary Solański na zmianę wrzeszczał, że boli, to znowu chichotał, podrażniony obcym dotykiem, jakiego nie zaznał od dawna. Szymon znów oblał ojca wodą. Wytarł go jakimś brudnym ręcznikiem. Z plecaka wyciągnął swoje stare ubranie, które w przebłysku świadomości zabrał ze sobą z domu. Ubrał ojca w dżinsy, które smętnie na nim zawisły, czarną koszulkę i rozpinaną bluzę od dresu. Otworzył klapę sedesu i nad muszlą obciął ojcu brodę. Janusz nic już nie mówił. Przyglądał się tylko synowi wzrokiem przywodzącym na myśl uwięzione w klatce dzikie zwierzątko.

– Idziemy! – zarządził Szymon.

I wypchnął ojca z tego zadżumionego schronu.



Nie wiem, co Szymon tyle robił w mieszkaniu tego miłego pana, którego ostatnio podwieźliśmy do domu, ale gdy wreszcie wyszedł z bramy, to skierował się dwa kroki w prawo do mieszczącego się na parterze kamienicy baru Olimp. Ten pan (jego ojciec, z tego co zrozumiałem) szedł za Solańskim ze spuszczoną głową. Miał na sobie koszulkę z napisem „Lady Pa_k”.

Ponieważ miałem dosyć notorycznego pozostawiania mnie na marginesie wydarzeń, skorzystałem skwapliwie z uchylonego w samochodzie okna. Oparłem się łapami o jego krawędź i stękając, wydostałem się na wolność. Rażnym krokiem wdarłem się do wnętrza przybytku bogów. W końcu na żółtej tablicy wywieszanej nad drzwiami było napisane, że bar Olimp zaprasza. Ani słowa o tym, że psów nie.

Stałem w progu i łapczywie wciągnąłem powietrze. No, tu to

dawali dobrze zjeść! Tata Szymona siedział przy stoliku i zanurzał łyżkę w rosole. Kelnerka postawiła przed nim kompot.

– Wareczkę, szefowo – negocjował Janusz.

– Kompot! – Solański trzasnął pięścią w stół, aż wiśnie zakołysały się w mętym płynie. – Schabowy z ziemniakami i surówką. – Położył dwie dychy na blacie baru. – Pani dopilnuje, żeby zjadł.

Kelnerka tylko pokiwała głową, a Solański ruszył do wyjścia.

– A ty tu co? – przywitał mnie niezbyt wylewnie.

Cały był jakiś taki rozdrażniony. Ślepią mu strzelały na wszystkie strony. Trzy razy próbował trafić kluczykiem do zamka, zanim wreszcie wsiedliśmy do samochodu. Przejechaliśmy przez tory tramwajowe. Teraz, dla odmiany tortur, jakim mnie poddawano, poczułem zapach świeżo pieczonych pączków. Z konfiturą z róży. Wystawiłem łeb przez okno. Po lewej mijaliśmy fabrykę Stoksona, producenta tych dobroci. Po stawie położonym na tyłach hali produkcyjnej pływał samotny łabędź. Temu to dopiero musiała ślinka cieknąć. Przy brzegu równie samotny rybak moczył wędkę w nadziei na kilka chwil świętego spokoju. Skręciliśmy w lewo. Na rogu uderzył nas smród kanalizacji. „No to ja już wolę te pączki” – pomyślałem i schowałem się we wnętrzu auta.

Solański poskręcał jeszcze parę razy i zaparkował wreszcie przed domkiem szeregowym, przy którym stał znak z niebieską tabliczką. Napisano na niej: „ulica Miła”. Już się ucieszyłem, bo to pewnie znaczyło, że sami mili ludzie tu mieszkają. Szybko jednak moje naiwniactwo zostało sprowadzone do parteru. Wsiedliśmy, a tu znikąd wyskoczył na mnie wielki pies. Mówię wam, taki wielki! Kły miał do ziemi. Sierść zmierzwioną. Zezował na mnie złowrogo. Machał ogonem, dodając sobie rozpędu. A jego pan dzierżył w ręku gruby kij!

– Matko z córką! – zakrzyknąłem.

I spróbowałem schować się pod podwozie skody. Niestety, udało mi się wepchnąć tylko głowę i przednie łapy. Zad mi sterczał na zewnątrz, narażony na ugryzienia, którym pewnie zaraz miałem być poddany.

– Gutek, nie rób wstydu. – Usłyszałem głos zażenowanego Szymona.

– Guciuniu, mój przyjacielu! – zagadał przyjaźnie ten pan od kija.

Zacząłem zastanawiać się, czy to przypadkiem nie zasadzka. Chcą mnie nabrać, przekabacić, a potem mnie tu załatwią na cacy.

– No chodź, przywitaj się z Cosą – rzekł.

„Jaką kozą?” – zastanawiałem się. Stwór wyglądał mi na bardzo dużego, ale jednak psa. Czy mogłem się aż tak mylić? Kroczek za krockiem wyczołgałem się spod samochodu. Łypnąłem na tego potwora, który zdecydowanie był psem. A ponieważ mam ponadprzeciętnie wysokie IQ, sklasyfikowane przez psią Mensę, zrozumiałem, że ona ma na imię Cosa. Przez „c” i „s”. Jak ta mafia. I chyba jednak nie chciała zeżreć mnie żywcem. Przy bliższym poznaniu nie wyglądała już tak strasznie. Uśmiechała się do mnie i puszczała oko! Załapałem się na podryw! „Ma się jeszcze ten wdzięk” – uznałem. I polizałem Cosę prosto w nos. Jej pan pogłaskał mnie po łbie i poszli dalej na spacer.

Stanęliśmy z Solańskim przed furtką, nad którą po drabince pięła się róża. Szymon nacisnął dzwonek. Po paru chwilach coś zabzyczało i weszliśmy do środka. Wąską ścieżką, a potem schodami wkroczyliśmy do domu. Na progu przywitała nas niezwykle elegancka pani w średnim wieku.

– Psa masz? – zwróciła się do Szymona ostrym tonem. – I guza. – Wskazała na dyndający Solańskiemu wokół głowy bandaż.

– To nic – wyjaśnił detektyw, choć kobieta nie wyglądała na zaintrygowaną.

Poczułem, że nie jestem tu jakoś specjalnie mile widziany. Schowałem się za Solańskim i postanowiłem obserwować z ukrycia rozwój wypadków. Przeszliśmy przez przedpokój do salonu. Wszystko tu było gustowne i w dobrym stylu. Na ścianach wisiały w rzędzie teatralne maski, a dalej jakieś olejne bohomazy. W ramce tkwił dyplom, na którym ozdobnym drukiem napisano: „Pani Leokadii, najlepszej Kierownicze Biura Obsługi Widzów, na pamiątkę publiczność Teatru Uciecha w Chorzowie”.

Szymon i ta pani, cała obwieszona wisiorami z bursztynu, pobrękująca złotymi bransoletkami, pachnąca Diorem, ubrana jak Jacqueline Kennedy, zasiedli na białej skórzanej kanapie.

– Mogłeś chociaż wytrzeć mu łapy – powiedziała pani.

Fakt faktem, trochę jej zdeptałem długowłose dywan w kolorze écru, ale żeby mi zaraz uwagę zwracać? Chyba nie znała staropolskiego porzekadła, które mówiło, że pies w dom, Bóg w dom. Skupiłem się na chodniku, który pachniał mi kotem. Zakopałem nos w jego kłakach i zacząłem powarkiwać.

– Czego chcesz? – Pani klepnęła się w udo wytipsowaną dłonią.

– Muszę czegoś chcieć, mammo?

Mammo? Jaka mammo? To ta elegantka była matką Szymona? Znaczący moją babcią? Nie wierzyłem. To się po prostu nie działo. Pasowała do nas i do pana Janusza jak, no... jak ten... no wcale nie pasowała!

– A nie chcesz? – Zdaje się, że mogli jeszcze długo przerzucać się półsłówkami.

– Chodzi o ojca – skapitulował Solański.

– Wykluczone! – przerwała kobieta.

– Jest gorzej. On naprawdę potrzebuje twojej pomocy. Ja nawet nie mam drugiego pokoju.

– Janusz ma dokładnie to, na co sobie zapracował. – Solańska wstała. – Jeżeli to wszystko, to pozwolisz, że zajmę się swoimi

sprawami.

Szymon skurczył się, zapadł w sobie. Aż mi się go żal zrobiło. W odruchu solidarności wygryzłem kawałek kociego dywanu i wyplułem szczątki w kąt.

– Jeszcze jedno. – Posłusznie przeszedł za matką do korytarza, a ja za nim. – Znałaś Mariannę Biel?

– Jasne. Gwiazda Uciechy. Wiedziałybyś, gdybyś interesował się kulturą, a nie bandytami.

Leokadia rozpoczęła tyradę typową chyba dla wszystkich matek pod każdą szerokością geograficzną. Przestałem łapać, o co konkretnie jej chodzi. Wyłuskiwałem tylko pojedyncze słowa, takie jak: odpowiedzialność, uczciwa praca, ten cap, twój stary, ogarnij się, wydoroslej. Solański chyba też nie za dużo kumał z tego bełkotu. Minę miał taką, jakby w ogóle nie słuchał rodzicielki, a tylko wyliczał sobie w myślach w kolejności alfabetycznej nazwiska kolegów z licealnej klasy.

– Nie żyje – powiedział wreszcie.

– Biel? Taka stara chyba nie była?

– Młodsza niż ty – odgryzł się Solański. – Została zamordowana.

– Policja tak twierdzi? – Widziałem, że oczy wyszły jej z orbit.

– Ja tak twierdzę.

– Ty już nie jesteś policja. Zająłbyś się lepiej czymś pożytecznym. Dać ci jakąś kasę? – W jej głosie znów usłyszałem ten ton. Początkowo wziąłem go za ironię, ale to była pogarda.

Solański nie powiedział nic. Nawet nie trzasnął za sobą drzwiami.



Wyszedł ze skody. Obojętnie minął przestawioną skrzynkę elektryczną, o którą znów zahaczył błotnikiem. W bramie zderzył się z jakąś kobietą.

– No i jak pan chodzisz? – zwróciła się do Szymona, taksując go spojrzeniem ukrytym za okularami w modnych oprawkach. Stojącego za detektywem mężczyzny zdawała się nie zauważać.

Cała była modna. Markowa i oficjalna. Ubrana w garsonkę niczym w mundur, ścisnęła pod pachą skórzaną teczkę. Na oko miała około trzydziestki, blondyna, wysoka i z atutami, o ile mógł ocenić. Przemknęła mu pełna zdziwienia myśl, co taka kobieta może robić w ich familoku.

– Pani mecenas Chojarska, pani poczeka! – Na klatkę wybiegł Hubert Gierloch.

– Potomek-Chojarska – poprawiła kobieta. – Tak mam na nazwisko.

– Potomek, no tak... bo ja zapomniałem jeszcze pani dać to. – Hubert wyciągnął zasznurowaną teczkę.

Mecenas pobieżnie przejrzała dokumenty.

– Mogli iść z tym do notariusza. – Wykrzywiła się. – Ale i tak sprawę mamy wygraną.

– Rodzice wyraźnie napisali, że mieszkaniem mamy się podzielić. – Gierloch się zdenerwował. – To niech on się wreszcie sprawiedliwie ze mną dzieli! Tyle lat na wygnaniu. – Zmienił ton na bardziej płaczący.

– Da pan spokój. – Potomek-Chojarska szybko go usadziła. – Zacznę działać, gdy tylko zobaczę na koncie pierwszą ratę od pana. Do widzenia się z panami – zwróciła się do wszystkich trzech mężczyzn ściśniętych na klatce. – Ładny piesek. – Puściła oko do Szymona.

I tyle ją widzieli.

– Zaciągnę go do sądu! – ryknął Hubert i ruszył po schodach za Solańskim i jego towarzyszem.

– Nie drzyj się, Gierloch, bo muszę tekst skończyć. – W drzwiach swojego mieszkania stanęła Róża. – O, Szymuś, a kto to? – Wskazała

na kryjącego się za Solańskim mężczyzną.

– Mój ojciec. – Szymon patrzył martwym wzrokiem gdzieś przed siebie. – A to moja koleżanka Róża Kwiatkowska. Pamiętasz ją, tato? Chodziliśmy razem do szkoły – zwrócił się do Janusza.

– Najfajniejsza z całej klasy. Pewnie, że pamiętam Różyczkę – rzekł stary Solański i można było nawet uwierzyć, że nie zmyśla.

– Będziemy razem mieszkać. – Oczy Szymona zaświeciły czystą stalą.

– O! – zdziwiła się Róża. – A gdzie? W tej twojej klitce?

– Mhm – sapnął Solański.

Nie mógł przecież nic poradzić na to, że w ich kamienicy każde mieszkanie miało inny układ, metraż i liczbę pokoi. Ani na to, że jemu przypadła w udziale najmniejsza (ale i najtańsza) dziupla. Znaczący mógłby – wziąć się na przykład do detektywistycznej roboty – ale jakoś nie miał teraz do tego serca. Powlókł się więc na piętro, prowadząc ojca przed sobą.

A za nimi poczłapał trzynogi pies.



Róża zastała nas przy śniadaniu. Jedliśmy kanapki z kiełbasą, znaczący głównie kiełbasę. Chlebem dzieliłem się z bliźnimi. Z braku laku i powierzchni życiowej w trójkę zasiedliśmy na materacu. Żarło rozłożyliśmy na chusteczkach higienicznych. Szymon ciągle stękał, bo noc spędził na linoleum ze stertą książek pod głową w charakterze poduszki, oddał bowiem ojcu swoje poślanie. Janusz upierał się, że przecież on ma mieszkanie, i nie rozumiał, po co cały ten cyrk. A cyrk był po to, jak mu wyjaśnił Solański, że trzeba Janusza pilnować, żeby jadał regularnie, mył się raz kiedy i nie chlał, bo był zatraconym pijaczną. (Nie dodał, że do tego jeszcze tatuś miał ewidentnego świra, bo co to miało być z tym zatrzymywaniem ruchu

na czteropasmówce?) Trzeba więc Januszka mieć stale na oku, zanim zapisze się go na jakąś profesjonalną terapię AA. To nie była nawet sprawa pieniędzy (bo emeryturę milicyjną miał całkiem sporą), tylko dyscypliny.

Takie niewesołe przemyślenia nad kawałkiem kiełbasy śląskiej (którą właśnie zamierzałem mu świsnąć z kromala) przerwała Szymonowi Kwiatkowska. Zapukała i nie czekając na zaproszenie, weszła do środka.

– Wiedziałam, że tak będzie! – powiedziała, zlustrowawszy to, co sobą prezentowaliśmy.

Jeszcze wczoraj Solański wytłumaczył jej z grubsza sytuację. Teraz Kwiatkowska stała nad nami jak cerber.

– Pan się pakuje, panie Janku – poinformowała starego Solańskiego. – Ja mam drugi pokój, wynajmę go panu. Za kasę, żeby żadnej łachy nie było.

– Ale... – zaczął Szymon.

– Nie będę słuchać żadnych bzdur – warknęła Kwiatkowska. – No już! – Sama zabrała się do pakowania rzeczy.

– Ale taty trzeba pilnować – stwierdził niepewnie Solański.

– To się popilnuje. Raz ty, raz ja. I jeszcze się pana Solańskiego na terapię zapisze i będzie po sprawie. Idziemy? – zwróciła się do Janusza. – A na twoim miejscu, Szymuś, to zajrzałabym do Buchtowej. Bo sama widziałam, jak polazła z torbami na zakupy. A mimo to przez podłogę słyszę, że ktoś się tam u niej tłucze. Ten jej wypierdkowaty pinczerek nie narobiłby tyle rabanu, choćby nie wiem jak się wysilał – zakończyła. – A tak przy okazji, nie świsnąłeś mojego fioletowego otwieracza? – Popatrzyła na Solańskiego podejrzliwie. Ten minę miał jednak niewinną jak Boże Dziecię, Róża więc odpuściła i wyszła razem z Januszem z mieszkania.

A my ruszyliśmy do detektywistycznej roboty.

Rozdział 12

NI PIES, NI WYDRA

Wytrych wszedł jak w masło. Solański wślizgnął się do mieszkania Brygidy Buchty. Powietrze stało tu smrodem stołówkowego żarcia. Przypomniały mu się studenckie czasy, kiedy podczas okienek między zajęciami chodzili z kolegami na tanie obiady, a po powrocie na wydział z oddali można było wyczuć, kto odwiedził jadłodajnię. Jedynym sposobem na zlikwidowanie zapachu była wizyta w palarni umiejscowionej w piwnicach budynku i nasiąknięcie tytoniowym dymem.

Solański porzucił wspomnienia i rozejrzał się po przedpokoju. Wszystko było tu wypolerowane na błysk. Buty, ubrania, bibeloty ułożono w równych rzędach, których nie powstydziliby się wojsko. To samo w kuchni. Zajrzał do pierwszej z brzegu szafki. Kubki ustawione uszkami w jednym kierunku.

Za jego plecami rozległo się walenie do drzwi. Dochodziło gdzieś z głębi mieszkania. Pies u stóp zawarczał ostrzegawczo. Solański przeszedł do salonu. Stare, drewniane, ciężkie meble całkowicie wypełniały pomieszczenie. Jedynym elementem niepasującym do tego skansenu był stojący na komodzie laptop. Dalej znajdowała się sypialnia. To stamtąd dochodził hałas. Szymon stanął przed wielkim małżeńskim łóżem przykrytym haftowaną narzutą. U jego podnóża ustawiono kozetkę, teraz zawaloną stosem ubrań do prasowania. Przyjrzał im się. Męskie koszule, T-shirty, spodnie od dresu. Po lewej stała dębowa szafa, a obok niej zobaczył niższe

od pozostałych drzwi prowadzące do jakiegoś pomieszczenia. Wyglądało to na komórkę przerobioną zapewne na garderobę. Skrzydło zatrzęśło się od kolejnej serii uderzeń.

Solański sięgnął po wytrych. Niepotrzebnie. W zamku tkwił klucz, u którego dyndała kolorowa tasiemka. Szymon przekręcił go dwa razy i nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się z wolna w rytm skrzypienia zawiasów. Na tle posegregowanych na wieszakach ubrań, naprzeciwko detektywa, stał dorównujący mu wzrostem mężczyzna. Ten sam, którego Szymon widział wcześniej w kuchni Buchtowej. Głowę miał spuszczoną. Solański nie mógł dostrzec jego twarzy. Facet miał na sobie granatowy dres z białymi paskami biegnącymi wzdłuż nogawek. Był słusznej postury, na którą jednak składał się raczej tłuszcz niż mięśnie. Obcięte jak od garnka włosy kłębiły się w nieładzie. Nieśpiesznie uniósł głowę. Solański spojrzał mu prosto w oczy. Poczul ciarki na plecach.

Detektyw nie zdążył zareagować. Facet zawył jak zarzynane zwierzę i rzucił się na Szymona. Upadli na ułożony tuż przy łóżku dywanik. Solański zdrętwiał. Leżał na plecach z rękami wyciągniętymi w geście kapitulacji i w milczeniu wpatrywał się w napastnika. Ten chwycił Szymona za klapy płóciennej kurtki i dyszał mu prosto w twarz. Pies kręcił się wokół nich, poszczekiwał, walił faceta łapą w ramię, jakby chciał powiedzieć: „daj spokój”.

Solański miał dziwne uczucie, że gdzieś już widział tę twarz, tylko w trochę innym wydaniu.

– Co tu się, do cholery, wyrabia? – W progu sypialni stanął obładowany siatkami z Tesco Hubert Gierloch. – Kto to jest?

Solański przekrzywił głowę. I w tym momencie wszystko stało się jasne.



Wieczorny spacer znów miał charakter podwórkowy. Ponieważ do pogodowych szykan, obok wiatru i deszczu, dołączyła także jakaś taka zmrożona krupa waląca z nieba i dająca po nosie, Solański uznał, że on dziękuje, postoi. I stanął we wnętrzu bramy, a ja wkroczyłem na podwórko. Nie zgadnicie, kogo spotkałem! Pinczerek właśnie obsikiwał śmieci rozrzucone pod jedną z wybudowanych w rzędzie komórek, gdy na jego drodze stanąłem ja. Nareszcie sam na sam! Oko w oko! Ząb za ząb! Na gołe klaty! Pinczerek zmartwiał. Przyłgnał do ziemi i wyszczerzył te swoje krzywe zęby. Uszy położył po sobie, ogon schował między nogi, a oczka mu latały na wszystkie strony w poszukiwaniu wybawienia.

– Ja ci pokażę! – zakrzyknąłem i w trzech susach doskoczyłem do wroga.

Przykucnąłem w tej samej pozycji co on. Nos przystawiłem do jego nosa. Zawarczałem z głębi trzewi. No i skończył mi się repertuar groźnych zachowań. Pinczerek (co za kompromitacja!) zsiąkł się w gacie na to moje przedstawienie. Wstyd mi się zrobiło. Niby w czym on mi zawinił, że go straszę? Wprawdzie leje przez okno, ale co mi do tego? Brzydki jest i nie najlepiej mu z oczu patrzy, jak i z pyska zalatuje, lecz to przecież nie powód, żebym się znęcał nad takim maluchem. Przy mnie toto wyglądało jak niedożywiony karakan. Buchtowa musiała skąpić mu tych swoich klusek.

Pomyślałem, że co mi szkodzi, i liznąłem go w nos. Pinczerek zbaraniał. Zamachałem ogonem na znak zgody. Mały wybałuszył ślepią i nieśmiało odmachnął. No to już byliśmy zbratani. Ucieszyłem się, że będę mógł mu pokazać, w którym kącie naszego podwórka najlepiej śmierdzi. I że wymienimy informacje o lokalizacjach najlepszych ochłapów, które można wszamać w chwili kryzysu żywieniowego. A co najważniejsze, może pinczerek pomoże mi rozwiązać zagadkę, gdzie podziały się te cholerne koty!

Mój nowy kolega nie był jednak specjalnie rozmowny. Wstydnął taki. Pisnął tam coś po swojemu i czmychnął w róg, w którym stał kontener na śmieci. Poczłapałem w jego stronę jeszcze pełen nadziei na jakąś wspólną drakę. Zatrzymałem się jednak w porę, by za śmietnikiem zdążyć dostrzec migdalącą się parę. Faceta nie widziałem, bo stał w cieniu. Jednak dziewczynę, skąpaną w blasku lampy zamontowanej nad bramą, poznałem od razu. Bardzo chciałem zobaczyć jej kochasia, ale Solański zaczął wołać mnie jak ten głupi i, chcąc nie chcąc, musiałem zawrócić.

W drodze powrotnej zamierzaliśmy odwiedzić Różę, żeby zobaczyć, jak miewa się Janusz. Kwiatkowska nie dość, że udostępniła mu pokój, to jeszcze musiała nieźle przetrzebić swoje alkoholowe zapasy, żeby ich stary Solański nie nadwątlił pod jej nieobecność. Wyniosła więc całą baterię do piwnicy.

Na razie ojciec Szymona zachowywał się wzorowo, co wzbudziło tym większą podejrzliwość detektywa. Janusz nie pił. Nie kierował ruchem drogowym aglomeracji górnośląskiej. Pozwolił nawet zaprowadzić się na spotkanie AA organizowane przy parafii Świętego Józefa. Solańskiemu coś tu śmierdziało.

Zapukaliśmy i czekaliśmy, aż Janusz albo Róża raczą nam otworzyć. Z dołu klatki dało się słyszeć pośpieszne kroki. Po schodach gnała Anna Polaczek.

– Pan tak chodzi z tym psem. – Wskazała na mnie. – Nie widział pan ostatnio Ewy? Mojej córki?

– Ja widziałem – rzekłem. – I to nie raz. – Nie zostałem jednak zrozumiany.

A Solański, jak zwykle, pod względem poziomu obczajki tego, co się wokół niego wyprawiało, mógłby wystąpić w programie *Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie* jako wzorcowy eksponat, który nic nie widział i nic nie wie.



Piotr bawił się złotym kolczykiem w kształcie niewielkiego kółka zdobiącym jego poczerwieniałe ucho. Syknął z bólu. Założył nogę na nogę. Odepchnął się od biurka i podjechał na fotelu pod przeciwległą ścianę. Był z siebie dumny. Zajęło mu to więcej czasu, niż zakładał, ale wreszcie materia ustąpiła. Ktoś próbował skasować nagranie z płyty. Jednak Piotr znał sztuczki, które pozwoliły mu odzyskać utracone dane.

– Już leci? – dopytywał się Solański, waląc myszką o podkładkę. Przysiadł na biurku informatyka i nachylał się nad monitorem.

– Kliknij tylko w play – poinstruowała go Róża.

– Czyli gdzie?

– W trójkąt! – Dziennikarka przytknęła serdelkowaty palec w odpowiednim miejscu na ekranie.

Szymonowi udało się uruchomić playera. Okienko było czarne, szumiało. Wreszcie obraz się wykrystalizował. Na tle burych cegieł familoka stała Marianna Biel jak żywa. Operator zrobił przybliżenie na jej twarz. Drgała jej powieka. Usta wykrzywiały się w mimowolnym tiku.

– Jestem stąd – oznajmiła zachrypniętym głosem. – Z Chorzowa. Tu wychowałam się i dorastałam. To w Teatrze Uciecha zagrałam swoje największe role. Publiczność kocha...ła mnie. – Zająknęła się między czasem terażniejszym a przeszłym. – Osiągnęłam sukces, bo jestem z Chorzowa – dokończyła speszona.

Kamera odjechała, ukazując całą sylwetkę aktorki. Ubrana w długą, falbaniastą spódnicę w pstrokaty wzorek i tanią bawełnianą koszulkę na ramiączkach, pod którą rysowały się obwisłe piersi, wyglądała, jak wyglądała. Jeśli już miałyby przypominać gwiazdę, to upadłą. Teraz kąt nachylenia obiektywu

zmienił się, a na ekranie widać było popękany beton i chwasty wyrastające spomiędzy jego szczelin.

– Jest dobrze – powiedział męski głos. – Filmik będzie rewelacja. Dzięki tobie wygram konkurs – perorował mężczyzna, który najwyraźniej zapomniał o wyłączeniu nagrywania.

– To bez sensu – odezwała się Biel. – Nie wyglądam jak gwiazda. I nią nie jestem. Mógłbyś jednak nie wysyłać nigdzie tego nagrania? – poprosiła.

– Coś ty, Marianka! – Mężczyzna się obruszył. W drżącej kamerze było teraz widać jego wyglancowane półbuty i kobiece sandały z rzemyków. – Wyszło znakomicie. Nie będę z tego rezygnował. – Ostatnie zdanie zabrzmiało twardo.

– Nie chcę, żeby mnie ktoś zobaczył w takim stanie. Błagam cię. – W głosie Marianny zadźwięczały łzy.

– Nie przesadzaj – zirytował się facet. – Przesuń się.

Najpierw dobiegł ich zdziwiony jęk kobiety. Potem na obrazie z rozhuśtanej kamery zobaczyli brudne drewniane stopnie klatki schodowej. Wreszcie wszystko znikło. Solański i Kwiatkowska popatrzyli po sobie. Oboje doskonale wiedzieli, czyj był męski głos z nagrania.



Naukowe badania dowodzą, iż każdy szanujący się pies powinien przesypiać szesnaście godzin na dobę. Mnie jednak biednemu nie było dane zaznać takich luksusów. Wszak siedziałem na tykającej bombie. Nie miałem wątpliwości, że na którymś z pięter pode mną mieszkał morderca. Jak więc tu zamknąć oczęta i śnić o górze schaboszczaków? To się nie godziło. Szczególnie że, moim kaprawym okiem na to patrząc, Solański w swoim nieudolnym śledztwie nie posuwał się do przodu wcale a wcale. Róża też żadnych

przełomowych dla dochodzenia nowin nie przynosiła. A o policji to już w ogóle szkoda gadać. Musiałem więc wziąć sprawy w swoje łapy.

Noc była wietrzna. Kościelny zegar chwilę temu wybił godzinę drugą. I choć Solański wreszcie napalił w piecu, to zimno przenikało mi przez futro do kości. Szymon mamrotał coś przez sen z twarzą zatopioną w poduszce. Zastanawiałem się nawet, czy on mi się w takiej pozycji nie udusi. Oderwałem grzbiet od letnich już tylko kafli pieca i pokuśtykałem pod drzwi. Czy Solański miał mnie za dobermana? Albo innego Jerzego Killera? Bo znowu w pełnej ufności w moje zdolności zaczepno-obronne nie zamknął nas na noc na klucz. A że drzwi były badziewiaste, wystarczyło pchnąć je z zada, aby ustąpiły.

Wyszedłem na korytarz. Usadawiłem się w mojej dopracowanej już do perfekcji pozycji śledczej, z głową między szczeblami poręczy. Ciemno tu było jak u Afroamerykanina w czterech literach. Jedyne światło wpadało do kamienicy przez zabrudzone okna na półpiętrach, a pochodziło z ulicznej latarni, która akurat tej nocy postanowiła zaprezentować okolicznej ludności swą pożółkłą moc. Ciągnęło od podłogi. Wicher przedzierał się przez mikroszczeliny między cegłami sklejonymi zaprawą murarską na słowo honoru. Krople deszczu uderzały o pokryty papą dach. Wytężyłem wszystkie posiadane zmysły, aż mi się odbiło obiadem.

Musiałem przysnąć, bo ocknąłem się nagle na odgłos trzaskającej bramy. Ktoś wszedł na klatkę i stąpał ociężale po schodach, a potem wywalił się na nie z hukiem. Wyciągnąłem łeb, żeby zobaczyć więcej, ale w tych egipskich ciemnościach czubka własnego nosa nie dostrzegałem. Ten typek na dole nie zdążył się jeszcze pozbierać, gdy brama trzasnęła ponownie. Tym razem dało się słyszeć lekkie kroki.

– Ojciec, to ty? – Tę pannicę to ja znałem.

– Ewunia – rzekł Tadeusz Polaczek. A potem dodał z przesadną dbałością o artykulację, charakterystyczną dla osób nawalonych jak dzikie żbiki: – Co ty tu robisz?

– Dżizas, wygrałeś chociaż? – zapytała dziewczyna.

Wychyliłem się jeszcze bardziej za krawędź schodów z narażeniem mego psiego życia. Ryzyko opłaciło się, bo dojrzałem, jak Ewa pomaga Tadeuszowi złapać pion.

– Przerznąłem – przyznał się Polaczek. – A ty gdzie byłaś? – Oparł się na ramieniu córki. Swoją drogą zastanawiałem się, po kim Ewa jest taka wysoka i niesmacznie wręcz chuda. Bo na pewno nie po rodzicach. – Czuć cię wodą kolońską – poskarżył się Tadeusz.

– Nie będę się tłumaczyć pijakowi – rzekła twardo. – I hazardziście! Lepiej módl się, żeby nas matka nie zobaczyła.

Wdrapali się na swój podwyższony parter. Modły mogli sobie jednak darować. W momencie gdy Ewa dotknęła klamki, drzwi otworzyły się na oścież. Stała w nich wystrojona jak do wyjścia Anna Polaczek.



Śniło mu się, że stoi całkiem nago na brzegu Bałtyku. W morzu pływają kawałki kry. Jest zima. Fale zalewają mu stopy. Wiatr chłószcze go po czerwonym z zimna ciele. A on nie może się ruszyć.

– Cholerne łajdaki! – wrzasnęło morze.

Na to stanowcze oświadczenie otworzył oczy. Leżał spętany śpiworem. Milimetr od jego twarzy tkwił nos świdrującego go ślepiami Gucia. Podniósł się. Drzwi na korytarz były otwarte. W mieszkaniu panowało przenikliwe zimno. Fluorescencyjne wskazówki jego zegarka wskazywały kwadrans po drugiej.

– Ty to otworzyłeś? – Popatrzył z wyrzutem na psa.

– Z tobą wezmę rozwód! A ciebie oddam do domu dziecka! –

Dobiegły go kobiece wrzaski.

Wydawało mu się, że to Anna Polaczek. Nie miał jednak siły sprawdzać, o co chodzi. Najpierw trzasnęły jedne drzwi. Chwilę potem drugie. A później trzecie. Familokowi przy 11 Listopada nie można było odmówić intensywności życia nocnego. Budynkiem wstrząsnęło coś na kształt cwału arabów po służewieckim torze wyścigowym. To musiała być Róża. Stała teraz w progu w sięgającej ziemi, przypominającej wór na kartofle koszuli nocnej, a minę miała przerażoną.

– Szymon – szepnęła. – Ojciec zniknął.

Solański w jednej chwili wygrzebał się ze śpiwora i poderwał na równe nogi. Stanął w pół kroku i spojrzał na Różę, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu.

– Jak to zniknął?

– Nie ma go w pokoju. Jego buty... – urwała Kwiatkowska. – Też ich nie ma.

– Od kiedy? – Solański już wciągał džinsy i bluzę.

– O północy, jak szłam spać, to jeszcze był. A teraz go nie ma. – Róża była bliska płaczu. – Obudziły mnie te trzaski od Polaczków. Dlatego się zorientowałam.

– Idę! – Narzucił na siebie kurtkę. – Ty zostajesz. – Nie było jednak wiadomo, czy uwaga jest skierowana do psa, czy do dziennikarki.

– Ja z tobą! – Róża dopiero teraz dostrzegła swój strój. – Pół minuty! – Zbiegła do swojego mieszkania.

Wybiegli z bramy z impetem. Deszcz wzmagął się z każdą chwilą.

– Dokąd? – spytała niepewnie Róża.

– Chyba wiem. – Solański ruszył w lewo. Skręcili w Polną. Detektyw sadył długie kroki. Róża ocierała zalewające jej twarz strugi deszczu, z ledwością za nim nadążając. – Popełniłem błąd. – Solański szarpnął za bramę prowadzącą na działki pracownicze,

jednak była zamknięta na kłódkę. – Powinienem go oddać do szpitala. Alkohol przeżarł mu mózg. Górą. – Wskazał na betonowy, typowo cmentarny płot.

W trzech ruchach przesadził ogrodzenie. Kwiatkowska przyglądała się temu z wyrazem rezerwy na twarzy. Czuła jednak, że to wszystko jej wina. Nie dopilnowała Janusza, nie mogła się więc teraz wycofać. Wepchnęła czubek stopy w dziurę w płocie w kształcie rombu. Wczepiła się dłońmi nieco wyżej. Podciągnęła się. I wylądowała kuprem w błocie.

– No dawaj! – popędzał ją detektyw.

Dopiero czwarta próba została zakończona sukcesem. Połowicznym, ponieważ część Różanego odzienia zawisła na szczycie płotu. Obdarta Kwiatkowska popędziła za Solańskim ścieżką między działkowymi parcelami.

– Sześćdziesiąt osiem – przekrzykiwał ulewę detektyw. – Tam mieli melinę jego kumple od jabola – uściślił.

Zatrzymywali się co chwilę, by sprawdzić numerację mijanych ogródków.

– Tutaj! – Róża wskazała na zarośnięty skrawek ziemi otoczony zardzewiałą siatką, którą porastały bujnie chwasty wszelkiej maści.

Z sięgającej klatki piersiowej furtki zwisała brązowa tabliczka z wyblakłym numerem 68. Było otwarte. Zawiasy wydały z siebie przeciągły pisk. Wbiegli do środka. Błotnista dróżka, którą próbowały zagarnąć trawska, doprowadziła ich do tak zwanej lauby, czyli działkowej chatki. Akurat w tym wydaniu bardziej przypominała kontener, w którym kryją się bezdomni lub narkomani. I w rzeczy samej tym właśnie była. Okna zabito płachtami dykty, dach wyglądał na dziurawy. Z jednej jego połąci wyrastały jakieś krzaki. Błękitna farba odłaziła z elewacji płatami.

Solański kopnął w drzwi. Uderzyła go fala smrodu, na który

składały się przetrawiony alkohol, pot i mocz. Punktowe światełko rozjaśniło pomieszczenie. Odwrócił się. Róża trzymała w ręce latarkę. Wewnątrz zobaczyli zarwany tapczan, na którym kłębiła się kupa szmat. Zepsuta lodówka marki Polar stała otworem i ziała pustką. Były tam jeszcze składany stolik i dwa taborety. A po podłodze walały się puste butelki z wszelkimi możliwymi etykietami, od denaturatu po wodę brzożową.

– Nie ma go. – Kwiatkowska miała łzy w oczach.

Nogi się pod nią ugięły. Przysiadła na barłogu i równie szybko odskoczyła.

– Aaa! – wrzasnęła, chwytając się oburącz za tyłek.

– Co jest, kurwa? – dobyło się spod sterty szmat.

Solański rzucił bety na podłogę, odkrywając pod nimi ludzką postać. W ciemności świeciły dwa białka utkwionych w nich oczu.

– Nie mam ani kropelki – oznajmił facet z wersalki. – Susza, panie. – I wyszczerzył szerniałe resztki zębów w poczuciu satysfakcji, że nikt, nawet jakby chciał, już mu żadnych trunków nie podprowadzi.

– Janusz tu był? – warknął Solański.

– Nie znam – zaparł się menel.

– Janusz ze Stabika. Nad Olimpem. – Szymonowi kończyła się cierpliwość.

– Nie miałem przyjemności.

– Gadaj, skurwysynu! – Róża dopadła do faceta.

Chwyliła go za łachmany i uniosła tak, by jego twarz znalazła się na wysokości jej twarzy. – Bo ci utnę jaja i przykleję do twojego własnego czoła – zagroziła.

– Kierowniczką się nie denerwuje. – Pijaczyna zmiękł. – Janek poszedł na cmentarz. Dokończyć flaszkę z Rubym i Grzałą. Tu też trochę popiliśmy. Senny się zrobiłem i mi się nie chciało już do umarlaków. – Facet nagle zrobił się rozmowny.

Szymon już był przy wyjściu.

– A na chlib by szefowa dała piątaczka? – Menel złożył Kwiatkowskiej propozycję nie do odrzucenia.

Dziennikarka pokręciła głową, rzuciła stekiem wyzwisk. Pogrzebała w kieszeni i zostawiła dychę na stoliku.



Pobiegli przez działki do wyjścia przy ulicy Krzyżowej. Tu brama też okazała się zamknięta, powtórzyli więc wcześniejsze akrobacje. Tym razem Róża poszło nieco sprawniej. Nawet nie próbowali dostać się na cmentarz od frontu. Proboszcz zamykał wszystko na noc, żeby zmniejszyć ryzyko kradzieży zniczy z wbudowaną pozytywką wygrywającą piosenkę zespołu Ich Troje *Wstań, powiedz nie jestem sam*, tak modnych w tym sezonie. Stanowiły one nie lada łup, bo można było potem sprzedać je powtórnie pod bramą cmentarza.

Solański zaprowadził Różę do wyrwy w płocie, przez którą przecisnęli się na teren nekropolii. Słabnąca wreszcie ulewa nie zdołała pogasić wszystkich zniczy. To one wskazywały im teraz drogę.

– Ale gdzie? – Róża machnęła ręką, by oddać ogrom cmentarnych połaci.

Na bieganiu od grobu do grobu i szukaniu Solańskiego seniora zeszłoby im co najmniej do śniadania. Szymon ruszył plątaniną ścieżek, nurzając się w błocie po kostki. Kwiatkowska pstryknęła włącznikiem latarki, ale ta zamigotała i zgasła. Dziennikarka chwyciła Solańskiego za kurtkę, by nie zgubić go w tym śmiertelnym labiryncie. Szymon zatrzymał się tak gwałtownie, że Róża wpadła mu na plecy.

Na niskim, dosyć szerokim grobie siedziało w kucki trzech facetów. Nie zauważyli, że mają gości. Podawali sobie z ręki do ręki flaszkę

bez etykiety, a tym bardziej bez banderoli. Po kolei pili łąpczywie po pięć łyków. Sprawiedliwie. Pięć chluśnieć i butelka szła w ręce następnego spragnionego.

– Idziemy! – Solański wynurzył się z cienia i chwycił ojca za łokieć.

– Pieronie, a co to za mymłok, Januszek? – zapytał ten, którego, sądząc po wyglądzie przesuwnej szafy z Ikei, musieli zwać Rubym.

– Szymuś, chcesz se gołnąć? – zaoferował Janusz. – I Różyczka! – ucieszył się na widok Kwiatkowskiej.

Solański bez słowa wziął ojca za ramię i pociągnął za sobą. Janusz nie protestował. Rzucił jeszcze tylko na odchodne:

– Do następnego, chłopaki!

Róża łyknęła okiem na dwóch meneli, którzy przystąpili do osuszania butelki, uradowani, że pozostała zawartość flaszki należy już tylko do nich. W świetle latarki Kwiatkowska zauważyła, że siedzieli u wezgłowa grobu, na którym złotymi literami wyryto napis: „Ryszard Solański. 1958–1991. Pokój jego duszy”.

Rozdział 13

JAK RZEP PSIEGO OGONA

Rynek w Chorzowie wyglądał jak po wybuchu bomby atomowej. Jeśli to pobojuwisko, przez które puszczono w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku estakadę, można było w ogóle nazwać rynkiem. W środku miasta, kilka metrów nad głowami przechodniów, pędziły sznury samochodów, racząc lokalną społeczność zdrową dawką spalin każdego dnia.

W ostatnich latach chorzowska estakada nabrała wymiaru politycznego. Obecny prezydent wygrał wybory ze swoim konkurentem, zasiedziałym na stołku od niepamiętnych czasów, między innymi obietnicami pozbycia się owego ustrojstwa i wybudowania obwodnicy. Po czym, po ogłoszeniu będących po jego myśli wyników głosowania, ochoczo przystąpił do... remontu estakady. Stała więc dalej, wzbogacona o ekrany wygłuszające, i nie pozwalała zrozumieć przybyszom z innych krain, że ten plac budowy, na który cienie rzuca betonowy wiadukt, i przez którego środek jeżdżą tramwaje, w istocie stanowi rynek.

Nie dziwcie się, że jestem taki obeznany z sytuacją geopolityczną województwa śląskiego. Wiem to wszystko, bo na bieżąco zapoznaje się z codzienną prasą. Podkradam Solańskiemu „Dziennik Zachodni” albo „Wyborczą” i targając gazetę, a potem wypluwając na ziemię strzępek po strzępku, próbuję zrozumieć, na czym stoi ten świat. Podczas weekendu w jednej z gazet wyczytałem na przykład, że te wykopki porównywalne z wykopaliskami archeologicznymi

na Krecie mają związek z nowym projektem rynku, który notabene ma robić za centrum przesiadkowe. Jednym słowem, budują nam w środku miasta zajezdnię tramwajową. Tylko czemu przy tej okazji wyrznięli rząd starych platanów, które rosły tam od lat, tego nie pojmowałem.

Solański chyba upadł na głowę albo z głupim się widział, bo przyparkował mnie do barierki pod Urzędem Miasta. Żebym sobie stał w tym warkocie koparek, w zatykającym mi dziurki od nosa pyłe i czekał, aż on jakieś biznesy pozałatwia.

A swoją drogą prezydent Chorzowa powinien wziąć przykład z Roberta Biedronia, swojego kolegi po fachu ze Słupska. Wiecie, jaką akcję przeprowadził mój ulubiony polityk? Na drzwiach urzędu wywiesił plakaty wołające: „Wejdz ze zwierzakiem! Ratusz jest otwarty dla wszystkich”. Innym zaś razem nie wpuścił do miasta cyrku, bo tam męczą zwierzęta. Jeśli mnie spytalibyście o zdanie, to Biedroń powinien zostać prezydentem Polski. Albo i królem!

Tak sobie rozmyślałem i sterczałem przez dobre pół godziny, aż wreszcie Solański wyleciał z urzędu jak poparzony, z czerwoną facjatą i błyskiem szaleństwa w oku. Bardzo chciałem się dowiedzieć, co doprowadziło go do takiego stanu. Skoro już prawie dymiło mu z uszu, ktoś musiał nadepnąć na wszystkie jego odciski naraz.

A ten cholerny poniedziałek dawał się Solańskiemu we znaki od samego rana. Zaraz po śniadaniu Szymon zapakował ojca do samochodu i zawiózł do jakiejś kliniki odwykowej. Od powrotu nie odezwał się ani słowem, więc musiało być grubo.

Z kolei o szczegółach zajścia w urzędzie dowiedziałem się dopiero późnym popołudniem, gdy odwiedziła nas Róża. Przyniosła po piwku dla człekokształtów, dla mnie paczkę psich kabanosów i zażądała relacji.

Solański udał się do tego królestwa biurwokracji, by wyjaśnić

sprawę nagrania, które znalazł w piwnicy braci Gierlochów. W Internecie sprawdził, że jakiś miesiąc temu zakończyło się przyjmowanie zgłoszeń konkursowych na film promujący Chorzów. Zwycięzców podobno jeszcze nie wyłoniono. Szymon stanął w holu urzędu i nie bardzo wiedział, w którą stronę ma się udać. Dopiero portier pokierował go do biura rzecznika prasowego.

Do pokoju 221 wchodziło się jednak przez ten o numerze 220. A do rzecznika można się było dostać jedynie poprzez bufor, jaki stanowiła jego sekretarka. Na pierwszy rzut oka kobieta wyglądała na gimnazjalistkę, która tylko na chwilę podsiadła swoją mamę za biurkiem. Miała jakieś półtora metra wzrostu, nie więcej. Nogi dyndały jej w powietrzu, nie była w stanie sięgnąć nimi podłogi. To pewnie dlatego, że podwyższyła sobie obrotowe krzesło, by blat biurka wrzynał jej się nieco niżej niż w klatkę piersiową. Krótkie włosy wstękały jej na wszystkie strony. Ubrana była jak babochłop. Granatowe sztruksy musiała sobie kupić na dziale dziecięcym, do tego przywdziała T-shirt Fruit of the Loom i do kompletu koszulę sztruksową. Drobnymi paluszkami o krótko przyciętych paznokciach postukała teraz w oparcie fotela.

– Czego... – zrobiła znaczącą pauzę – pan chciał? – Dodała sobie animuszu, zasłaniając twarz kubkiem z kawą zbożową.

– Do rzecznika. – Solański czuł się głupio, tłumacząc się przed jakimś dzieckiem. – W sprawie konkursu na film promocyjny. – Ponieważ nadal nie doczekał się reakcji ze strony sekretarki, poczuł się w obowiązku wyjaśnić szczegóły. – Dzwoniłem.

– Nie pan jeden. – Zgryźliwość wypływała uszami z tego karakana. – Myśli pan, że sobie pan zadzwoni i już panu wszystko wolno. Rzecznik to nie telefon zaufania, żeby pan do niego dzwonił.

– Chcę zobaczyć listę prac dopuszczonych do kon...

– Wykluczone! – weszła mu w słowo kobieta.

– To informacja jawna. – Solańskiemu zaczęło podnosić się ciśnienie.

Sekretarka bez słowa zsunęła się z krzesła. Podreptała do metalowej szafy na dokumenty. Wspięła się na palce. Z wysiłkiem ściągnęła z górnej półki opasty segregator, tylko cudem nie zrzucając go sobie na głowę. Wciąż nie patrząc na Szymona, zasiadła za biurkiem. Pośliniła palec i poczęła przewracać kartki w segregatorze. Chyba znalazła to, czego szukała, bo wreszcie odezwała się z nieukrywaną niechęcią.

– No dobrze. Niech będzie, że jawna. Ale rzecznik jest teraz na spotkaniu! – Znalazła wymówkę.

– Więc pani mi pokaże tę listę.

Solański bez pytania przysunął sobie od drugiej strony biurka stojące pod ścianą krzesło. Skrzyżował ramiona na piersi. Śledził poczynania kobiety, która z prędkością szanującej się muchy w smole poczęła grzebać w komputerze. Minęło dobrych dziesięć minut, nim wydrukowała mu spis zakwalifikowanych projektów. Przejrzał je. Nie było tego dużo. I nie było wśród nich filmu podpisanego przez kóregokolwiek z braci Gierlochów.

– A projekty niezakwalifikowane?

– Oho! Tego to już na pewno panu nie zdradzę!

W tym momencie rozdzwonił się stojący na biurku telefon.

– Biuro rzecznika. Halooo! – rzekła przeciągle do słuchawki kobieta.

– Nooo. Nooo. Taaa. Nooo. Pa, pa, pa!

Rozłączyła się.

– Muszę wyjść. A to znaczy, że pan też.

Wyjęła z szuflady zawieszony na tasiemce klucz i skierowała się do wyjścia. Stała w progu. Poczekała, aż Solański opuści gabinet, i zamknęła drzwi. Szymon spojrzał na kobietę z góry. Gdyby wyciągnął wyprostowaną rękę, mógłby sobie sekretarkę zmieścić

pod pachą. Dopiero teraz zauważył, że nie była wcale taka młoda. Jej szpecinowate włoski poprzeplatane były siwymi pasmami. W kącikach oczu czaiły się zmarszczki. Solański zastanowił się, czy to norma, że sekretarka zostawia rzecznika w gabinecie zamkniętym na klucz. Bo przecież, siedząc w jej pokoju, doskonale słyszał odgłosy przesuwanego krzesła czy przyciszonych rozmów telefonicznych, jakie dobiegały z gabinetu jej pryncypała.

Ruszył z wolna korytarzem. Kobieta odprowadziła go wzrokiem i potuptała w przeciwnym kierunku. Solański zawrócił. Otwarcie tak prostego zamka wytrychem, który tkwił w gotowości w jego portfelu, nie zajęło mu więcej niż pół minuty. Wszedł do pokoju i jak najciszej zamknął za sobą drzwi. Komputer na szczęście nie był wyłączony. Posługując się wyszukiwarką w pasku zadań, do której wpisał hasło „konkurs”, szybko odnalazł interesujący go plik. Przejrzał go dokładnie.

Wyszedł, nie zamykając za sobą drzwi. Niech się kurdupelek zastanawia, czy to sam rzecznik nie salwował się ucieczką.

– Więc to był pomysł Huberta. – Róża oglądała już dno w butelce po piwie. – Nie dziwię się, że przerznął. Filmik był żałosny. Stara, zapomniana eks gwiazda miałaby promować Chorzów?

– Wysłał to wbrew woli Marianny. – Solański drapał mnie za uchem.

– Kanalia. – Kwiatkowska z niedowierzaniem kręciła głową.

A ja przyznałem jej w duchu rację. I sam sobie wyciągnąłem kolejnego kabanosa z paczki, bo nikt jakoś się nie kwapił, żeby mnie w tym wyręczyć.



– Wiedziałeś o tym? – Solański podetknął Adamowi Gierlochowi płytę z nagraniem pod sam nos.

Gierloch stał na klatce schodowej zgięty wpół i próbował wciągnąć po schodach zwinięty w wielki rulon i oklejony firmową folią materac. Przy drzwiach do mieszkania poustawiał w stosach kartony z meblami do poskręcania. Zakończył wreszcie robotę. Obrócił płytę w palcach.

– Co to? – zainteresował się.

– Film promujący Chorzów z Marianną Biel w roli głównej. Nagrany przez Huberta na konkurs Urzędu Miasta.

– I co, wygrał?

– Marianna nie chciała, żeby to nagranie ujrzało światło dzienne. Nie wypadła na nim korzystnie, delikatnie mówiąc. A twój brat mimo to posłużył się tym materiałem.

– Nie dziwi mnie to specjalnie. To troglodyta, który ma gdzieś uczucia innych. – Adam się skrzywił.

– Dlaczego Hubert kłamał, że nie znał Biel?

– Jego o to zapytaj.

– O co? – Zza pleców Solańskiego wyłonił się jak na zawołanie drugi z braci Gierlochów. – Coś tu naznosił? – To pytanie było skierowane do Adama.

– Meble. Nie będę spał na podłodze.

– A skąd miałeś na nie hajs?

– Co to jest? – wtrącił się Solański. Pokazał Hubertowi płytę.

Gierloch stał nieruchomo i wpatrywał się w krążek. Wreszcie wykrzywił się w złośliwym grymasie.

– Tobie nic nie mam do powiedzenia. Nie jesteś już gliną. Tak jak Biel nie była już aktorką – rzucił i przepchnął się do mieszkania.

– Wykorzystałeś ją – rzucił za nim Solański.

Hubert zawrócił. Staął twarzą w twarz z Szymonem.

– Wyświadczyłem jej przysługę – syknął. – W teatrze jej nie chcieli. Nawet na te swoje przedszkolne chałtury nie miała już chętnych. Ja

dałem tej raszpli szansę, żeby znowu gdzieś zagrała!

– Wbrew jej woli.

– Nawet próbowała straszyć mnie adwokatem, kretynka. – Roześmiał się. – Ale jury konkursu nie poznało się na jej talencie. – Wyszczrzył zęby. – Skąd masz, kurwa, hajs?! – wydarł się na szurającego kartonami po nierównej podłodze Adama.

– Dostałem rolę w Uciesze – przyznał Gierloch nie bez dumy. – Główną – dodał. – I zaliczkę.



Pewnie słyszeliście o psie, który jeździł koleją. Ale czy obito się wam o uszy, żeby pies chadzał do pubów? Na wyjście namówiła nas Róża. Zadzwoniła, że siedzi w Albionie, bo umówiła się z koleżanką, ale ta wystawiła ją do wiatru, więc może my byśmy chcieli zająć jej miejsce. Solański rozejrzał się po naszych zawalonych zakurzonymi książkami czterech ścianach. Zapiął mi smycz i poszliśmy na tramwaj.

Wysiedliśmy przy rynku na przystanku, który z powodu tych całych wykopków przesunięto na wysokość służbowego wejścia do Teatru Uciecha. Przeszliśmy przez jezdnię. Zatrzymaliśmy się przy słupie ogłoszeniowym przed teatrem. Zachodziłem w głowę, co jarał grafik, gdy projektował te plakaty. Każdy jeden był czarno-biały. W zasadzie niczym się od siebie nie różniły. To smętne coś miało przyciągnąć uwagę publiczności? Powodzenia życzyłem biurze obsługi widzów. W każdym razie na jednym z tych arcydzieł reklamy zapowiadano spektakl *Mamma Mia!*, którego premiera miała odbyć się w grudniu. I wiecie, kto wystąpi w roli Sama Carmichaela? Tego, co go w filmie grał Pierce Brosnan? Nie kto inny jak Adam Gierloch!

Róża już czekała na nas z dwoma guinnessami. Dla mnie pan łysy, właściciel, przyniósł miskę z wodą. (To się nazywa obsługa!) Rudy dentysta siedział samotnie w swoim kącie i gapił się na telewizor. Tu

wszystko było po staremu, czas stał w miejscu. Albion był swego rodzaju dziurą w czasoprzestrzeni.

– Myślałem, że Adam gra same ogony – rzekł na powitanie Solański.

– A nie? – Róży zrobił się biały wąs od piwnej piany.

– Na tym plakacie z *The Rocky Horror Show*, który znalazłem w piwnicy Gierlochów, był wymieniony w balecie. A teraz dostał jedną z głównych ról w *Mamma mia!*

– Należy się chłopakowi. – Kwiatkowska popiła zdrowy łyk i stłumiła beknięcie.

Ledwo się mieściła w szparze między ławką a stołem. Przyjrzałem jej się uważnie. Dzisiaj wyglądała jakoś inaczej. I dopiero po chwili pojąłem, o co chodzi. Róża zrobiła sobie fryzurę! Upięła włosy w fantazyjny kok. I wykonała makijaż. Niezbyt wprawny, trzeba przyznać, ale jednak. Do tego musiała wylać na siebie wiadro perfum, które tak mi zakręciły w nosie, że zacząłem kichać. Solański zdawał się nie zauważać tych jej zbyt różowych policzków i rozmazanego pod okiem tuszu do rzęs. Pomyślałem, że może to nie jakaś tam koleżanka ją wystawiła, tylko potencjalny narzeczony. Dorwałbym gnojka i powiedział mu coś do słuchu.

– Czemu Hubert nie wyrzucił tej płyty? – zastanawiała się Róża.

– Skasował film, więc pewnie sprawę uważał za załatwioną. A krążek musiał mu się zaplątać w stercie innych – snuł domysły Szymon.

– Myślisz, że to Hubert zabił Mariannę? – zapytała.

I się zaczęło. Wróżenie z fusów. Roztrząsanie, kto z naszych sąsiadów może być mordercą, a kto nigdy w życiu. Aż mi się gęsia skórka zrobiła na przednich łapach, kiedy znów do mnie dotarło, że śpię pod jednym dachem z zabójcą! Szymonowi najbardziej nie podobał się Hubert Gierloch. No bo wykorzystał Mariannę. Mimo jej

prósb wysłał nagranie na konkurs. Biel postraszyła go sądem, to się pewnie wnerwił i ją zabił, tak argumentował mój pan. Byłem skłonny się z nim zgodzić, gdyż całkiem nieprzyjemny typek był z tego Gierlocha.

Róża zaś wskazywała na Brygidę Buchtę.

– Trzyma pod kluczem jakiegoś kolesia. Ona nie jest normalna! – upierała się Kwiatkowska.

– Kolesia, który łądząco przypomina Huberta Gierlocha – dodał Solański.

– E, ja tam w nich żadnego podobieństwa nie widzę. Mieni ci się w oczach od tych bliźniaków. Sądzisz, że kto to jest dla Brygidy, ten chłop?

– Syn? Kochanek? Co to w ogóle za *deal*? Ona go bije? Wykorzystuje seksualnie? Pasie tymi swoimi kluskami do oporu? Najdziwniejsze jest to, że on w ogóle nie wychodzi z domu. – Solański się zamyślił. – A jak Buchtowa znika na zakupach czy w kościele, to facet siedzi zamknięty w garderobie.

– Psychole – podsumowała Róża.

Zapadło milczenie. Nastrój siadł od tych morderczych dywagacji.

– Jesteś. A potem cię nie ma. – Kwiatkowska pobladła. – I już nigdy nie będzie. Myślisz o tym czasem?

– Nieraz budzę się w nocy i ze strachu nie mogę złapać tchu. Szczególnie po tym, jak Joanna... – Solański chyba zawstydził się tej chwili słabości, bo wstał i zamówił jeszcze po kolejce.

– Wniosek jest jeden. – Róża uśmiechnęła się, gdy postawił przed nią pełny kufel.

– Wszystkich nas trafi szlag?

– To też. Bardziej myślałam, że *carpe diem* i tak dalej. Dlatego, Szymuś, mam znakomity pomysł!

– Nie.

- Co nie?
- Cokolwiek kombinujesz.
- Zrobisz parapetówkę. Jako nowy lokator.
- Zdurniałaś?

Róża wyjaśniła Solańskiemu, że nie zdurniała. I że celem imprezy wcale nie ma być udzielanie się towarzysko. Plan miała chytry. Chciała zebrać wszystkich podejrzanych w jednym miejscu i ich poobserwować. Komuś mogło się wymyślnie coś ciekawego.

- U mnie nie ma miejsca. - Solański bronił się ostatkiem sił.
- Ale u mnie jest. - Róża najwyraźniej podjęła już decyzję.

Mnie z tego wszystkiego najbardziej interesowały dwie kwestie. Po pierwsze, czy będzie dużo przekąsek, które zdołam zwinąć z talerzy. A po drugie, czy mój nowy kolega pinczerek też otrzyma zaproszenie. Bo razem moglibyśmy zorganizować jakąś chryję.

- Ta koleżanka czemu nie przysłała? - zapytał od niechcienia Szymon.

- Dziecko jej się rozchorowało. - Przez róż na twarzy Kwiatkowskiej przebiła naturalna czerwień. - Albo mąż. Nie pamiętam. A bo co? - zaperzyła się.

- Nic, tak pytam.

- Pokrzyżowałam ci może plany na piątkowy wieczór? - Róża się nabzdyczyła.

- Ja nie mam planów - rzekł Solański - na piątkowy wieczór. Ani na żaden inny.

Ze smutkiem musiałem potwierdzić, że była to żalosna prawda.

Rozdział 14

NAJLEPSZY PRZYJACIEL CZŁOWIEKA

– Ale które? – szeptał Solański. Świecił latarką po rzędzie zdjęć zawieszonych na ścianie salonu Marianny Biel. – Na pewno nie ma nic w necie?

Nie chcieli, by ktoś usłyszał, że zakradli się do mieszkania aktorki. Nie zapalili nawet światła, by nie wzbudzić podejrzeń. Róża wpadła na szatański pomysł założenia Mariannie Biel fałszywego profilu na Naszej Klasie. Twierdziła, że skoro nikt w realu nie zauważył jej zniknięcia, to może ujawni się chociaż jakiś wirtualny przyjaciel. Dawny znajomy, który rzuci nieco światła na życie artystki.

Potrzebowała zdjęcia profilowego, a w Internecie znalazła tylko kilka starych, niewyraźnych fotografii ze spektakli. Casy świetności Marianny Biel przypadały na erę przedinternetową.

– Najlepiej takie, gdzie jest sama twarz – uściśliła Kwiatkowska. – I bez tych wszystkich teatralnych koafiur.

Róża zabrała ze sobą laptopa i mały, przenośny skaner. Rozłożyła to wszystko na stoliku kawowym w salonie. Sama zasiadła na kanapie. Szymon wybrał wreszcie odpowiednie zdjęcie. Biel była na nim nieco młodsza niż tuż przed śmiercią, ale powinno się nadać.

– Zeskanuj je.

– Sama zeskanuj – odparł Solański obrażonym tonem.

Róża zachodziła w głowę, jak można być takim technologicznym analfabetą w dwudziestym pierwszym stuleciu. W wieku trzydziestu dwóch lat. W dużym mieście. W środku Europy. Szydła w myślach

z Solańskiego, któremu wypadałoby, jej zdaniem, pozaklejać taśmą gniazdko elektryczne w mieszkaniu, bo jeszcze gotowy był wsadzić w nie palce, by sprawdzić, co to.

Bez słowa zrobiła kopię zdjęcia. Gdy Szymon odwieszał je na miejsce, utworzyła konto na Naszej Klasie. Uznała, że ten portal będzie stosowniejszy od Facebooka. Być może czuć go naftaliną, ale dlatego korzysta z niego więcej starszych ludzi. Poza tym daje możliwość odnalezienia kolegów Marianny ze szkolnej ławy. Wujek Google na szczęście dał Róży odpowiedź na pytanie, do jakich szkół, a nawet klas uczęszczała Marianna. Dziennikarka wypełniła więc teraz stosowne rubryczki.

– Chodziła do tego klasztoru? – Solański zajrzał Róży przez ramię i wykrzywił się na widok Liceum Ogólnokształcącego imienia Marii Skłodowskiej-Curie.

Dwie szkoły: Słowak (który, może bez fanfar, ale jednak ukończyli tak Szymon, jak i Róża) i Curie, stojące po przeciwnych stronach wąskiej uliczki Zjednoczenia, toczyły ze sobą odwieczną walkę. Społeczność Słowaka uważała, że do Curie chodzą same baby zapowiadające się na zakonnice. Curie odwdzięczała się przekonaniem, iż w Słowaku są tylko bufony. I pewnie każda ze stron miała trochę racji.

Róża dodała Mariannę jeszcze do uczniów Szkoły Podstawowej nr 4 i Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie. Załadowała zdjęcie. Zaprosiła do znajomych wszystkie osoby z klas Marianny.

- I co teraz? – Solański podrapał się po zmierzwionej czuprynie.
- Teraz czekamy.



Czerwiec 2015 roku

Marianna Biel zajrzała do lodówki. Urządzenie świeciło wmontowaną w środku lampką. I pustkami. Do czasu, aż emerytura wpłynie na konto, zostało jeszcze kilka dni. A w jej portmonetce było równie pusto jak w lodówce. Wygrzebała z chlebaka kawałek bagietki. Położyła ją na złożonym po brzegach talerzu. Ściągnęła z przybitego do ściany gwoźdźca pęk kluczy i wyszła z mieszkania.

Schodziła po schodach ostrożnie, stopień za stopniem. Niewiele trzeba, by się poślizgnąć. A odkąd zaczęło jej dokuczać biodro, musiała uważać jeszcze bardziej. Kurczowo trzymała się poręczy. Na pierwszym piętrze minęła tę dziennikarkę, która tak głupio się nazywała. Jakoś tak florystycznie. Wchodziła właśnie do mieszkania, a w reklamówce pobrzękiwały jej butelki. Nie przywitała się z Marianną. Biel słabo znała swoich sąsiadów, żeby nie powiedzieć wcale. Jakoś nie było okazji ani ochoty. Lokal naprzeciwko jej mieszkania od wielu lat stał pusty. Nie znalazł się nikt chętny, by zamieszkać w starej, zawilgoconej kawalerce.

Na schodach minęła tego nieprzyjemnego typu, brata Adama Gierlocha. Dopiero niedawno sprowadził się na stare śmieci. Aż dziw brał, że to bliźniacy. W ogóle nie byli do siebie podobni. No, może trochę z twarzy, ale ich charaktery to raczej przeciwne bieguny. Hubert, bo tak miał na imię, potrącił ją i nawet nie przeprosił. Była przyzwyczajona.

Na parterze spotkała wracającą z zakupów Brygidę Buchtę. Dziwiła się, jak ta kobieta mogła sama pochłaniać takie ilości jedzenia. Zawsze szła dziarskim krokiem z wypchanymi po brzegi siatami z Tesco, a potem przez okno docierał do Marianny swąd rozgotowywanych potraw.

Na widok sąsiadki gospodyni ostentacyjnie odwróciła się plecami.

Biel zeszła do piwnicy. Miała tam zgromadzoną całą baterię zapasów. Ogórki, maliny, buraczki, papryka. Nie potrafiła tak od razu

zdecydować się, co wziąć. Stała i stała. Czas mijał. Wreszcie wybrała dwa słoiki na kolację. Coraz częściej miewała takie chwile zawieszenia. Przystawała w pół kroku i patrzyła nieprzytomnym wzrokiem w przestrzeń. Trwało to długie minuty. A gdy się ocknęła, nie miała pojęcia ani o czym myślała, ani co się wokół niej przez ten czas działo. A przecież nie była jeszcze taka stara. Zaledwie w średnim wieku. Jednak w porównaniu z tylko nieco młodszymi Gierlochami wydawała się stetryczną babcią. To przez tę cholerną, szowinistyczną biologię!

Otworzyła drzwi. Zahaczyła łokciem o framugę i wypuściła na ziemię słoik z kiszonymi ogórkami. Nie rozbił się, ale poturlał gdzieś w kąt. Na korytarzu obściskiwali się para kochanków. Nawet nie zwrócili uwagi na te ogórki. Marianna od razu poznała dziewczynę. To była Ewka od tych goroli przesiedlonych tu z Sosnowca, Polaczków. Pyskata i niewychowana. A do tego brzydka. Facet, na oko z dwa razy starszy od Ewy, jej zdaniem podobny był zupełnie do nikogo.

– Co się tu wyprawia?! – zaskrzeczała, bo zaschło jej w gardle.

Po latach scenicznej kariery zupełnie zdarła sobie głos. Dziewczyna i facet nic nie mówili, tylko jej się przyglądali. Mężczyzna nie raczył nawet zdjąć łapska z wątlęj piersi Ewy.

– Żeby mi to było ostatni raz – zagroziła – bo wszystko powiem twojej matce!

Marianna wcale nie miała ochoty donosić, ale szkoda jej było dziewczyny. Żeby się z jakimś starym ramolem, do tego ubranym w dres, po piwnicach szwendała. Ona w jej wieku... Marianna znów odpłynęła myślami.

Gdy wróciła do rzeczywistości, po Ewie i jej absztyfikancie nie było już śladu.



W ogromnym, sięgającym sufitu lustrze, które zdobiło ścianę na półpiętrze marmurowej klatki schodowej, odbijała się sylwetka mężczyzny. Aż dziw, że zwierciadło nie rozsypało się w drobny mak na ten widok. Od razu było wiadomo, że nijak tu nie pasował. Taki chudy, wysoki i zszarzały. To nie był jego świat. Tych żyrandoli, miękkich wykładzin, granatowych, nowoczesnych kanap, szkła, metalu i drewna. Tego wszystkiego, czym pysznił się Teatr Uciecha po wielkim remoncie, jaki zafundowano mu parę lat temu.

Mężczyzna wszedł na pierwsze piętro. Ominął rozmawiającą przez telefon kobietę, wyłapując z potoku słów tylko pojedyncze wyrazy. Obiło mu się o uszy „za drogo”, dosłyszał „chyba oszalałeś”, zarejestrował „to ma być szantaż”. Skręcił w lewo i odnalazł wejście do niewielkiej salki bankietowej.

– Pan jest krewnym Marianny? – zagadnęła go ta od telefonu.

Skończyła już rozmawiać. Była elegancka, mogła mieć około sześćdziesiątki, choć starała się to ukryć pod warstwami pudru i dawkami botoksu. Chwiała się na wysokich obcasach przywodzących na myśl szczudła.

– Sąsiadem – odparł Solański i przyśpieszył kroku w nadziei, że kobieta da mu spokój.

Rozejrzał się po pomieszczeniu. Czuł się fatalnie. Wszystko szło nie tak, jak powinno. Właśnie dowiedział się, że śledztwo w sprawie śmierci Marianny Biel zostało umorzone. Policja nie sądziła, by w sprawę zamieszane były osoby trzecie. Uznano, że to nieszczęśliwy wypadek. Wydano ciało. I tak już stanowczo zbyt długo przeleżało w chłodni zakładu medycyny sądowej. Nie mówiąc o tym czasie, który zmarnowało, gnijąc w piwnicy własnego domu. Żaden krewny, o ile w ogóle istniał, nie zgłosił się, by zorganizować

Mariannie pochówek. Pogrzeb sfinansował więc Teatr Uciecha. W ostatnim hołdzie aktorce, która poświęciła przecież zawodowi całe swoje życie.

Ceremonia odbyła się dzisiaj z rana. Mariannę Biel pochowano z honorami na cmentarzu, na którym Solański bywał tak często. Tym razem zagościł tu służbowo. Stał z tyłu konduktu i skupił się na obserwowaniu żałobników. Przekonywał sam siebie, że policja się myli. To było morderstwo. A on udowodni temu staremu capowi, podkomisarzowi Matusiakowi, że jest w błędzie.

Znad wysoko postawionego kołnierza kurtki obserwował zgromadzonych. Miał nadzieję, że pojawi się tu także zabójca. Pokusi się, by obejrzeć ukoronowanie swego dzieła. Tę kropkę nad i. Większą część nie tak znowu licznej grupy przybyłych na cmentarz w ten bezwietrzny poranek stanowili pracownicy teatru. Był wśród nich Adam Gierloch. Doniósł Szymonowi, gdy w przelocie natknęli się na siebie pod bramą nekropolii, że dyrektorka Uciechy, Milena Świerszcz, kazała wszystkim przyjść na pogrzeb. Zorganizowała nawet minibusy, które zawiozły ich na miejsce, choć z ulicy Konopnickiej nie było przecież wcale tak daleko. Świerszcz uznała, że każdy, począwszy od krawcowej, a skończywszy na młodych piosenkareczkach importowanych ze stolicy, występujących gościnnie w tutejszych musicalach, ma obowiązek pożegnać gwiazdę, jaką niewątpliwie była Marianna Biel. Dawną, bo dawną, lokalną, bo lokalną, ale naszą. Żeby być dobrą aktorką, nie potrzeba do tego Warszawy – twierdziła Świerszcz.

Mało kto wyglądał Solańskiemu na przepełnionego smutkiem. Żałobnicy podzielili się na podgrupy. Starsze panie, pewnie te z administracji czy garderobiane, stały pod drzewem i plotkowały w najlepsze. Paru ubranych w robocze stroje mężczyzn, wyglądających na montażystów lub oświetleniowców, w oddali

strzelało pod nogi niedopałkami papierosów. Młode aktoreczki, chórzystki i tancerki chichotały, szepcząc sobie coś na ucho. A na czele, tuż przy samej trumnie, przy odprawiającym nabożeństwo żałobne księdzu ustawily się nieodzowne pogrzebowe płaczki. Nie stanowiło dla nich problemu, że w życiu nie widziały nieboszczki na oczy. Równo wydmuchiwały nosy w bawełniane chusteczki i poprawiały sobie krzywiznę beretów. Z zazdrością przyglądały się tej imprezie, zastanawiając się, czy same będą miały równie huczną.

Babiny otoczyły próbującą precyzyjnie się na przód dyrektorkę. Milena Świerszcz zadawała szyku. Jej czarny kostium był najlepszej jakości. Perłowy naszyjnik odcinał się bielą na tle ciemnego materiału. Lakierowane szpilki z każdym krokiem dyrektorki robiły z ziemi sito. I tylko długie, połyskujące niestosowną do sytuacji czerwienią kolczyki drażniły Solańskiego w tym perfekcyjnym obrazie.

Dyrektorka wyciągnęła z torebki haftowaną chusteczkę i otarła z kącika oka łzę. Solański przeniósł wzrok na tłumek stojący po drugiej stronie wykopanego przez grabarza dołu. Znał te twarze. O kamienny krzyż jednego z grobów opierała się Brygida Buchta. Minę miała nieprzeniknioną. Hubert tkwił samotnie z krzywym uśmiechem pod nosem. Kilka kroków za nim stanęła w komplecie rodzina Polaczków. Tadeusz i Anna poważni, Ewa znudzona. Nieletnia sąsiadka wydała się Szymonowi wyjątkowo nieproporcjonalna, nawet jak na nastolatkę. Była przeraźliwie chuda, a jej cerę znaczyły widoczne z daleka pryszcze. Raczej nie mogła liczyć na powodzenie wśród rówieśników.

– Ominęło mnie coś? – Ziajana Kwiatkowska pojawiła się obok Szymona. – Nie mogłam wyrwać się wcześniej z redakcji. Myślisz, że to ktoś z nich? – zapytała nieco zbyt głośno.

Dziennikarka wstrzeliła się ze swą uwagą akurat w przerwę

w modłach. Zdumione twarze żałobników zaczęły obracać się w jej kierunku. Chwilę konsternacji przerwała Milena Świerszcz, rzucając kupkę czarnej ziemi na trumnę, która już spoczęła w dole.

Teraz podczas bankietu, na którym wszyscy zdawali się zapominać, że miał być stypą, tę garstkę ziemi jako żywo przypominał Solańskiemu kawałek ciasta brownie. Dyrektorka dłubała w nim widelczykiem.

– Dlaczego Marianna odeszła z teatru? – zapytał Szymon.

– Miała już swoje lata. – Świerszcz przełknęła kawałek. – Brakowało nam etatów, a trzeba było zrobić miejsce dla młodych. To była ogromna strata dla zespołu, może mi pan wierzyć. Ale niestety – na talerzyku dyrektorki nie został najmniejszy okruszek – taka jest kolej rzeczy. A teraz wybaczy mi pan.

Ruszyła pomiędzy gości. Tłumek pracowników teatru łokciami torował sobie drogę do kanapek, tartuletek i lampek wina z wyraźną nutą siarkowodoru. Rzedł, w miarę gdy stoliki z jedzeniem pustoszały. W Solańskim wywołało to dość smutną refleksję, że nikt tu nie przyszedł żegnać Marianny Biel. Oni przyszli się nażreć.



Lipiec 2015 roku

Walenie było rytmiczne. Zrazu nieśpieszne, potem coraz szybsze, aż w końcu przybrało formę turkotu pociągowych kół uderzających o niezmodernizowane szyny kolejowe.

– Otwieraj, suko!

Hubert Gierloch potarł krawędzią dłoni o spodnie. Czerwona, odłóżka z drzwi farba pozostawiła smugę na jego skórze. Zamek zazgrzytał. Drzwi uchyliły się na szerokość łańcucha. W szparze pojawiła się zaspiana twarz Marianny Biel. Aktorka miała włosy

nakręcone na wałki. Pod oczami cienie.

– Ty mnie będziesz straszyć sądem?! – Z ust Huberta trysnęła fontanna śliny. – Mnie?!

– Prosiłam, żebyś nie wykorzystywał tego nagrania – odparła Biel słabym głosem.

Chciała zamknąć drzwi, ale Hubert wsunął nogę w szczelinę.

– Prześdowe wezwanie do zapłaty?! – Wymachiwał świstkiem papieru przed twarzą kobiety. – Niczego nie będę ci płacił, stara krowo!

– Nie musisz. – Biel wsunęła się w głąb mieszkania. – To miała być rekompensata za użycie mojego wizerunku bez mojej zgody. Ale jeśli wycofasz film z konkursu, uznam, że sprawy nie było.

– Po moim trupie! – Hubert napierał na drzwi.

Marianna zniknęła na chwilę gdzieś w czeluściach swoich czterech ścian. Gierloch wetknął rękę do środka i zaczął majstrować przy łańcuchu, jednak nie zdążył się z nim uporać. Solidne nożyce do kurczaka zacisnęły się na jego palcach. Dziki wrzask odbił się echem od ceglanych murów kamienicy. Dopiero gdy ostrza popuściły, zdołał wyszarpnąć rękę. Stoczył się po schodach, przyciskając dłoń do brzucha. Pomiędzy jego pokrzykiwaniami, z którymi cenzura miałaby wiele do roboty, dało się słyszeć miarowe dźwięki. Najpierw zatrzasnęły się drzwi. Potem szczękniętą zasuwaną łańcuch. A na końcu zazgrzytał przekręcany w zamku klucz.



Próby przed premierą trwały w najlepsze. Wracaliśmy właśnie z Szymonem z porannego spacerku, gdy natknęliśmy się na wybiegającego z kamienicy Adama. Powiedział, że już jest spóźniony, a w teatrze huk roboty. Reżyser *Mamma mia!* podobno wpadł w szal i zwyzywał wszystkich od półdebili nieobdarzonych

nawet krztyną talentu. Asystentka reżysera w każdej wolnej chwili zamykała się w kiblu i popłakiwała z nerwów. Z kolei kierownik muzyczny obwieścił aktorom, że nadają się co najwyżej do kina niemego, ale na pewno nie do musicalu. Nie zazdrościłem Adamowi.

Uczciwie muszę jednak przyznać, iż ja nie miałem wcale lepiej. Wczujcie się, proszę, w mój dramat. Otóż Solański zakupił nową suchą karmę. Oznajmił mi przy tym, że przeczytał w Internecie, iż ta marketowa, którą dotąd podawał mi zupełnie nieświadom, co się w niej kryje, jest niczym innym, tylko badziewiastym gównem. Tak się wyraził. A przecież mnie to całkiem smakowało. Ta lepsza miała podobno wszystkie witaminy, minerały, milion procent mięsa, jagody, jaja od kur zielononózek i co tam jeszcze byście nie wymyślili. Szkopuł jednak w tym, że smakowała jak, cytując klasyka, badziewiaste gówno właśnie. Poza tym chciałem zapytać Solańskiego, odkąd to wielbiciel rozpuszczalnej kawy z dodatkiem kilograma cukru martwi się odpowiednim odżywianiem.

Ten cukier musiał mu zaszkodzić na zwoje mózgowie. Przyznacie mi rację, gdy tylko usłyszycie, co takiego uczynił. Wróciliśmy z parku. Ja począłem wykrzywiać zęby nad miską tego nowego rarytasu. Sądziłem, że się Szymon ulituje i da mi coś ze swojego talerza. Choćby suchy chleb dla konia. Wybredny nie byłem. Stosowałem się tylko do jednej zasady – to, co jedzą ludzie, na pewno było lepsze niż to, co miałem we własnej misce. Spotkał mnie jednak srogi zawód. Solański udawał, że nie kapuje, co mu próbuję powiedzieć. Położył się na podłodze w kuchni, z twarzą w moim naczyniu, i zaczął bredzić.

– Mmm, jakie dobre kuleczki – mówił, a ja przecierałem oczy ze zdziwienia. – Mniam, mniam, mniam. Zaraz wszystko zjem.

Przyjrzałem mu się podejrzliwie. Niemożliwe, żeby ta sieczka nagle okazała się taka dobra. Musiał ściemniać.

– Pyszności! – gadał dalej Solański z przerwami na mlaskanie.

Wkurzyłem się, nie powiem. Bo co to jest, żeby ktoś mi do mojej osobistej miski mordę wsadzał? Mogę sobie tam przetrzymywać największe świństwa. Ale to są moje kozie bobki i nic nikomu do tego.

– Tfu, tfu! Moje! – zakrzyknąłem i rzuciłem się do michy, w której Szymon już gmerał łapą.

Odepchnąłem tego nienazartego patyczaka i wbiłem zęby w to kanadyjskie, jak mnie raczył poinformować, cudo żywieniowe. Ani się obejrzałem, a pół porcji gdzieś zniknęło. Pewnie mi Solański wyżarł, jak tam tak stękał i sapał nad moim talerzem. Popiłem wodą i obejrzałem się na zachłannego typka z wyrazem triumfu na pysku. Stał pod oknem, a minę miał, jakby w portki zrobił.

Reszta dnia upłynęła nam już w pełnej zgodzie. Solański zamieszczał w Internecie nową ofertę swojego tak pręźnie (myślicie, że psa nie stać na ironię?) funkcjonującego biura detektywistycznego. Po akcji z paniusią, która pragnęła ścigać niewiernego męża, zlecenia jakoś przestały się sypać.

Ani się obejrzałem, a nastał wieczór. Pochrapywałem sobie słodko, warując przy pustej misce, gdy nagle poczułem, że w brzuchu maszeruje mi orkiestra dęta. Kręciła się w nim na wszystkie strony, żgała mnie we wnętrzości i koniec końców doprowadziła do wybuchu.

– Co jest grane? – chciałem wiedzieć, bo obudził mnie jakiś huk.

Podniosłem łeb i obejrzałem się za siebie. Solański wysunął głowę zza laptopa i popatrzył na mnie z dezaprobatą.

– Gutek, ty świnió – próbował mnie obrazić. Ale ja tam do świń nic nie mam, więc mu darowałem.

Powęszyłem. I zrozumiałem, w czym rzecz. Mój układ pokarmowy zaprotestował przeciwko tym wynalazkom zza oceanu. A nie

mówiłem, że obce mi szkodzi? A nie mówiłem, że dobre, bo polskie? Już nie zdążyłem wspomnieć tego, o czym jeszcze nie mówiłem, bo poczułem, że teraz będzie tylko gorzej. Dopadłem do drzwi i zacząłem drapać w futrynę.

– Spacererek! – rozdarłem się. – Natychmiast! Ogłaszam alarm dla miasta Chorzowa!

Solański zwlekł się z fotela. Naciągnął na grzbiet kurtkę. Wziął smycz i wyszliśmy. Ja to raczej wyprułem. Jeszcze nigdy tak szybko nie zbiegałem po schodach. Niejeden czterołapy by mnie nie dogonił. Nawet Szymon za mną nie nadązał. Wyleciałem z bramy w ciemną noc i pognałem w prawo. Najważniejsze było znalezienie odpowiedniego miejsca. Bo nawet w takich podbramkowych sytuacjach nie można byle gdzie, byle jak i byle komu. Doleciałem do metalowego płotu otaczającego apartamentowiec, ten co nam wtrynili, próbując upiększyć krajobraz naszego Trzeciego Świata. Okręciłem się w kółko. Pięć razy w prawo. Trzy w lewo. Wypiąłem się na płot i... sami wiecie co.

Wracałem do domu cały w skowronkach. Teraz to Solański mknął jak strzała, bo się bał, że ktoś z „ekskluzywnych” mieszkańców zwróci mu uwagę, że ma posprzątać po swoim pupilu. Jeśli o mnie chodzi, to nawet chętnie bym zobaczył, jak Szymonek zbiera moje odchody. Wtedy chyba ostatecznie stałoby się jasne, kto tu jest panem, a kto sługą. Solański jednak nie zamierzał używać woreczków, łopatek i całego tego oprzyrządowania. Zwyczajnie się brzydził. Delikatniś.

W podskokach doczłapałem do pierwszego piętra. I ujrzałem scenę dowodzącą różnorodności tego świata. Na schodach stali dwaj mężczyźni i się w najlepsze całowali.

– Hubert? – Głos Szymona wyrwał mnie z odrętwienia.

– Hubert?! – ryknęła za naszymi plecami Brygida Buchta.

Całą piątką zamarliśmy na kilka sekund. Nie wiadomo było, co z sobą począć. Ja tam bym się chętnie zapoznał z kolegą Gierlocha, ale ten ocknął się pierwszy i uciekł gdzie pieprz rośnie. Albo gdzie raki zimują (tak na marginesie, czy to jest to samo miejsce?).

– Sylwek! – wrzasnęła znów Buchtowa.

W progu jej mieszkania stanął ten facet, co się go napodglądaliśmy już w różnych konfiguracjach, ale nigdy oficjalnie nie został nam przedstawiony. Teraz przynajmniej wiedzieliśmy, jak ma na imię. Więc Sylwek wziął nogi za pas i uciekł w ślad za chłopakiem Huberta. Buchtowa rzuciła się w pogoń, ale zaraz zmieniła zdanie i ruszyła w drugą stronę. Wreszcie nie wytrzymała i wrzasnęła, aż szyby zatrzęśły się w oknach naszego familoka. Jak i pewnie wszystkich innych budowli w promieniu kilometra.

– Gejem?! Tyś jest gejem! Jo nie strzymia!

– Jestem – odparł twardo Hubert i wycofał się do swoich włości.

Buchtowa zamknęła się u siebie. Solański i ja staliśmy dalej bez słowa.

– Nie mówcie, że czekacie na mnie od rana – zażartował Adam, który nagle pojawił się na klatce schodowej. – Będzie hit! Będzie, będzie hiit! Będzie! – zaśpiewał na melodię najbardziej znanej piosenki z musicalu *Mamma Mia!*

Zakręcił się wokół własnej osi. Przeskakiwał po trzy stopnie naraz. Próby przed premierą trwały w najlepsze.

Rozdział 15

KOTA NIE MA, MYSZY HARCUIĄ

Przed drzwiami stała Brygida Buchta. Tuliła do łona naczynie żaroodporne po brzegi wypełnione mieszaniną klusek śląskich i rolad. Pod jej nogami szwendał się pinczerek.

– Mówiłam, żeby pani nic nie przynosiła. – Róża odebrała pakunek. – Mamy wszystkiego pod dostatkiem. Szymon nakupił.

Na to „pod dostatkiem” składało się kilka skrzynek piwa, tyleż wina, gotowe kanapki zamówione w barze Olimp, kabanosy, jajka (Kwiatkowska ugotowała je na twardo i jeszcze w skorupkach po prostu wrzuciła do miski). Były też rolmopsy, herbatniki, pączki od Stoksona i napoje gazowane.

– A swojego... hm... Sylwka pani nie wzięła? – spytał Solański.

Został jednak zignorowany. Nie mógł podrażnić tematu, bo zaraz pojawili się Polaczkowie z ociągającą się Ewą. W tym samym momencie uchyliły się drzwi z naprzeciwka. Stanęli w nich bracia Gierlochowie – ubrani elegancko, jakby wybierali się do teatru, a nie do sąsiadki na piwo. Róża wcześniej wydrukowała imienne zaproszenia i kazała je Solańskiemu roznieść po sąsiadach. Upierała się, że pomysł z parapetową trzeba zrealizować dla dobra ich śledztwa.

– To jest twoja impreza? – Solańskiego zaczepiła Ewa.

– No. – Szymon nie za bardzo wiedział, jak rozmawiać z ludźmi. A już na pewno nie miał pojęcia, jak to się robi z pryszczatymi nastolatkami.

– To czemu jest u niej? – Wskazała na zagadującą gości Różę.

– U mnie jest za mało miejsca.

Ewa cofnęła się o krok. Zlustrowała Solańskiego.

– Niezłe z ciebie ciacho. – Zupełnie zbiła go z pantałyku. – Mógłbyś trochę przypakować, ale i tak niezłe. – Odwróciła się na pięcie i podeszła do stołu, gdzie uraczyła się kabanosem. Kilka kroków dalej Anna wychwalała właśnie Różę za zorganizowanie przyjęcia.

– Że też nikt wcześniej na to nie wpadł, żeby zrobić wspólną imprezę – mówiła. – Znaczący była jedna, razem z tymi tam. – Machnęła w nieokreślonym kierunku. – Pamięta pani. Ale to co innego.

Róża kiwała głową, ale widać było, że w ogóle nie słucha Polaczkowej.

– To straszne, co się stało z tą aktorką – zagaiła, bo to był jedyny temat, który ją naprawdę interesował.

– Wypadki chodzą po ludziach – skwitowała Anna i poprawiła blond grzywkę. – To smutne, że umarła, ale ja jej w ogóle nie znałam.

– My tylko na chwilę. – Koło Polaczkowej zmaterializował się jej mąż. Postukał palcem w zegarek.

– A pan co sądzi o śmierci Marianny Biel? – przycisnęła go Kwiatkowska.

– Czyjej? A... to straszne – odparł mechanicznie. – Tak za kwadrans? – zwrócił się do żony.

– Gdzie się panu tak śpieszy? – chciała wiedzieć dziennikarka.

Tadeusz wycofał się jednak w kąt kuchni. Stał przy oknie i co rusz sprawdzał godzinę.

Solański był zdziwiony, że wszyscy sąsiedzi zjawili się bez protestów. Spodziewał się niechęci, w najlepszym razie obojętności. W tej chwili myśl, że ktoś z nich miałby być mordercą, wydawała mu się absurdalna. Przesuwał wzrokiem od osoby do osoby. Jedni

gawędzili, inni podjadali, jeszcze inni wzięli się do opróżniania butelek. Szymon podszedł do Huberta i odciągnął go na bok.

– To, co widziałem... – zaczął.

– Nic nie widziałeś – odwarknął Gierloch.

Solański nie mógł skupić się na rozmowie, bo ponad ramieniem Huberta widział stojącą przy stole Ewę, która to wsuwała sobie do ust kabanosa, to powoli go wysuwała gestem zrozumiałym ponad podziałami. I cały czas wymownie spoglądała na Solańskiego. Szymonowi zrobiło się niedobrze.

– Pewnie jesteś dumny z brata? Że dostał rolę – zagadnął.

Podszedł do nich Adam.

– Hubert nie szanuje aktorstwa jako zawodu. Uważa, że to fanaberie – dodał ze smutkiem.

– A co tu jest do szanowania? – Gierloch się zaśmiał. – Robisz z siebie głupa przed setkami ludzi i jeszcze oczekujesz oklasków. Jak misie w chorzowskim zoo. To samo ta stara prukwa Biel. – Zarechotał.

Nikt mu jednak nie zawtórował, więc szybko dodał:

– Tak, tak, świeć panie nad jej duszą. Srały muchy, będzie wiosna.

– Możesz się nabijać – przerwał mu zimnym głosem Adam – ale kiedyś Marianna Biel była w Uciesze kimś. Numerem jeden. Wszyscy jej zazdrościliśmy. Publiczność ją kochała. Pracownicy teatru za nią przepadali. Była ważniejsza nawet od dyrekcji.

Solański popatrywał na Adama z powątpiewaniem. Szum rozmów, a także rockandrollowe dźwięki ulubionej kapeli Kwiatkowskiej, które dziennikarka zaserwowała gościom w wersji dla słabosłyszących, zagłuszył nagły huk z pokoju obok. Róża i Szymon wkroczyli ramię w ramię do pomieszczenia, w którym jeszcze niedawno pomieszkiwał Janusz Solański. Na dywanie siedziała Brygida Buchta, a jej szeroko otwarte oczy były wpatrzone w album ze zdjęciami. Musiała go ściągnąć z górnej półki regału, która teraz

ziała pustką. Na ziemi walały się porozrzucone notesy i książki.

– To ni jo! To sie samo wyepiło! – rzekła Buchta i wymknęła się z pokoju.

Solański nachylił się nad wciąż otwartym albumem, tym samym, który Róża zabrała z mieszkania Marianny Biel. Na pożółkłym ze starości zdjęciu, które Brygida wyjęła zza foliowej osłonki, dwie na oko dwunastolatki stały przed kościołem Świętego Józefa. Obejmowały się i uśmiechały do fotografa. Jedną z nich była Marianna Biel. Drugiej, tej z kręconymi włosami, nie znał.

– Jak chcesz, to sobie zostań. – Dobiegł go z kuchni podniesiony głos Tadeusza.

Zaraz potem trzasnęły drzwi. Szymon wszedł w momencie, gdy Anna wybiegła za mężem na klatkę schodową.

– Kto gra w karty, ten ma łeb obdarty – rzekła Ewa.

Szymon odwrócił się od dziewczyny, bo w salonie znów zrobił się raban. Widok był opłakany. Poplamiony napojami obrus wraz ze skorupami potłuczonych talerzy i z resztkami jedzenia leżał na ziemi. A dwaj sprawcy tego zamieszania, Gucio i pinczerek, zgodnie wyżerali z pobjowiska co smaczniejsze kąski.



Terror roku szkolnego rozhulał się już na dobre. Tabuny okolicznej smarkaterii co rano wlekły się do budy. Uznałem, że nastąpiła wreszcie jakaś sprawiedliwość. Powinni zmienić będące w powszechnym użyciu powiedzenie na „bachorowi na budę”. Nie to, żebym nie lubił dzieci, ale... Chcesz do mnie podejść? Najpierw okaż dowód osobisty. Uwierzcie mi, że nie ma nic miłego w ciągnięciu za ogon, w próbach jazdy na oklep na moim steranym grzbiecie czy w ryczeniu mi do ucha. A takie to praktyki były kiedyś na mnie skutecznie przez pewnych nieletnich, których nazwisk z czystej dobroci serca tu nie

wymienię.

Skoro ruszyła szkoła, dla Tadeusza Polaczka zaczęła się orka na ugorze. Tego poranka znów gnał na złamanie karku do gimnazjum. Podobno na tym etapie nauczania jest gorzej niż w *Skazanych na Shawshank* albo innym *Locie nad kukułczym gniazdem*. Moja łapa z pewnością by nie powstała w takiej placówce oświatowej z własnej, nieprzymuszonej woli.

Polaczek natomiast był człowiekiem na nieustającej wojnie. Z gówniarzami, ale i z samym sobą. Dziś nie wyglądał zbyt uroczo. Przypominał wszystkich członków *Rodziny Addamsów*, skoro już jesteśmy przy filmowych porównaniach, razem wziętych. Nie można go było podejrzewać o to, że przespał chociaż godzinę. Musiał w kasynie spędzić nie tylko sobotnią noc, ale i całą niedzielę. A wnioskując po tym, co zobaczyłem przez szybę wystawową Wyrzów, byłem pewien, że nie poszczęściło mu się w ruletce, pokerze czy w co on tam ciupał.

Wracaliśmy właśnie z obsikiwania parku pod kościołem. Solański zniknął już w bramie, a ja przystanąłem jeszcze, żeby odczytać informację, którą zostawił dla mnie na murze pinczerek. Mówił, żebym wpadł któregoś wieczoru na podwórko, bo ma ze mną sprawuchę do obgadania. Powiedział, że wie, z kim romansuje Ewka Polaczek, ale nie może mi wyznać tak wprost, bo a nuż ktoś niepożądany przechwyci wiadomość. Siknąłem odpowiedzią, że OK, widzimy się. I wtedy właśnie mignęła mi przed ślepiami jakaś postać we wnętrzu księgarni. Zdziwiłem się, bo przecież Anna otwierała dopiero za dwie godziny. Przytknąłem nos do szyby. Tadeusz stał za ladą i gmerał przy kasie fiskalnej. Wysunął szufladkę. Wyjął ją i ustawił obok na blacie. Przechylił do góry dnem. Na biurko posypały się pieniądze. Głównie monety, ale też trochę banknotów. Wrzucił to wszystko do otwartej torby. Zamknął kasę. Wycofywał się

na palcach i zapuszczał żurawia, sprawdzając, czy nie widzi go ktoś z zewnątrz. Zerknął na mnie, ale ja się przecież nie liczyłem. Już prawie dotarł do drzwi, gdy nagle o coś zahaczył. Odwrócił się i stanął oko w oko z własną żoną. Anna wyciągała przed siebie otwartą dłoń w geście, który mówił jasno: „oddawaj kasę, gnoju”. Skąd wiem, że gnoju? Gdybyście widzieli złowróźbny błysk w jej oku, już byście mnie więcej nie posądzali o przeinaczenia. Na takie ultimatum Polaczek ze złością strzelił torbą o podłogę, a potem się rozpłakał. Nie mogłem patrzeć na tę beksę-lalę. Zdegustowany wróciłem do domu.

Przez okno w kuchni zobaczyłem jeszcze, że Tadeusz biegnie w stronę szkoły. Zapomniał zabrać ze sobą teczki.



Lipiec 2015 roku

Odkąd Gierloch złożył jej niezapowiedzianą wizytę, nie otwierała już nikomu. Zresztą powinna przyjąć taką zasadę dawno temu, w chwili, gdy się tak zawiodła. Mężczyźni nie byli godni zaufania. Nawet jeśli widziała przez wizjer, że to listonosz, kazała mu wsuwać listy przez szparę między drzwiami a podłogą. To samo tyczyło się druczków, które trzeba było podpisać przy odbiorze listu poleconego. Wchodziły dołem. Marianna zostawiała na nich swój autograf i zwracała je tą samą drogą. Woląta więcej nie ryzykować. Następnym razem może nie mieć wystarczająco dużo czasu, by chwycić za kuchenne nożyce.

Kiedy więc tego popołudnia rozległ się dzwonek do drzwi, odstawiła dymiący jeszcze czajnik na piecyk gazowy. Ostrożnie przystawiła oko do judasza. Znowu Gierloch, tyle że ten drugi. Może i miły, ale zastraszonego przez brata. Hubert mógł go zmusić, by stanął przed jej drzwiami, a sam pewnie czaił się gdzieś na klatce.

W momencie gdy ona uwolni skobel zamka, Gierloch wedrze się do środka. Woląta nie myśleć o tym, co by się z nią wtedy stało. Musiała przyznać, że trochę ją poniosło z tymi nożycami. Jednak trudno jej było się winić. Mógłby się Hubert skarżyć, gdyby mu ten palec odcięła, ale tego nie zrobiła. Tylko go poharatała. Musiała się mieć na baczności.

– Pani Marianno, to ja, Adam. – Dobiegło ją z klatki schodowej. – Chciałem panią przeprosić. Za brata.

„Tak, akurat” – pomyślała sobie. Nie wierzyła w tę zasłonę dymną.

– Nie powinien się tak zachowywać – tłumaczył Adam. – Wstyd mi za niego. Dlatego przyniosłem pani to nagranie.

Marianna nadstawiła ucha. Nagranie? Jeśli je odzyska, sprawa będzie załatwiona. Nikt jej nie zobaczy takiej postarzałej, nieprzypominającej siebie.

– Przecież on już wysłał zgłoszenie – powiedziała w dziurkę od klucza – na ten konkurs.

Stała skulona przy drzwiach. Przyciskała się do nich całym ciałem. Głowę miała tuż pod klamką.

– Jego projekt został odrzucony. Sam sprawdziłem – przekonywał Gierloch.

– No i co? Ci tam w urzędzie i tak mogą sobie mnie oglądać. W takim stanie... – Poczuła rosnącą w gardle gulę. Do oczu napłynęły jej łzy.

– Niezakwalifikowane prace są kasowane. Zgodnie z regulaminem.

Wzięła głęboki oddech. Wyprostowała się. Tłumaczenia bliźniaka brzmiały mało wiarygodnie. A może? Nie mogła ryzykować otwierania drzwi. Jeszcze raz spojrzała przez wizjer. Adam wciąż stał na wycieracze. Miał skruszoną minę. W ręku trzymał kwadratową kopertę.

– Proszę ją wsunąć przez szparę – zażądała.

Widziała, że mężczyzna zmarszczył brwi.

– Tę na dole, pod drzwiami – uściśliła.

Przykucnął i przepchał zawiniątko na jej stronę.

– Jest pani już bezpieczna – powiedział.

Marianna pochwyciła płytę. Czekwała. Słyszała, że Adam też czeka. A po chwili zbiega schodami. Wyjęła DVD z opakowania. Obejrzała je pod światło. Tęczowa tafla krążka połyskiwała w świetle żarówki. Chwyciła płytę mocno w obie dłonie i przełamała ją wpół.



Piętro niżej dokładnie w tej samej chwili bliźniacze DVD wkładał właśnie do napędu Hubert Gierloch. Nie mógł znaleźć nigdzie drugiej płyty, na którą skopiował film dla pewności. Szukał wszędzie, ale bezskutecznie. Musiała gdzieś się zapodziać. Wzruszył ramionami. Był naprawdę wkurzony, że nic nie wyszło z tego konkursu. Ta Biel rzeczywiście do niczego się nie nadawała. A co się namarudziła, że źle wypadła, że nie chce, że nie pozwoli. Co go nastraszyła sądami i adwokatami. I na co to było? Wszystko gównie. A to przez tę kurwę bez talentu. Po co taka jędra chodziła po świecie i zabierała ludziom tlen? Nie chciał mieć z nią już nic wspólnego. To ona w całości ponosiła winę za jego porażkę. Baba przynosiła pecha. Zastanawiał się nawet, czyby nie skoczyć do apteki po jakąś maść na blizny, żeby czym prędzej pozbyć się śladów po nożycach, którymi go potraktowała. Żeby mu ta czerwona pręga już więcej nie przypominała o Mariannie. Powinna zresztą beknąć za to okaleczenie.

Uruchomił program usuwający zawartość z płyt DVD-RW. I kliknął w okienko z napisem erase. Trzasnęły drzwi wejściowe. Wyjął płytę z komputera i rzucił ją na stos innych.



1984 rok

Więc jednak marzenia się spełniają! Marianna nie do końca jeszcze sama w to wierzyła. Zamykała się w toalecie i stawała przed lustrem. Zakrywała sobie usta dłońmi i darła się w nie, ile sił w płucach. Dostała swój pierwszy angaż. W spektaklu Trala Trala Tralalińscy. To była pierwsza premiera, jaką miał zrealizować Teatr Uciecha w Chorzowie. Na taki właśnie przemianowano Music Hall, dotąd istniejący w budynku dawnego hotelu Reden. I właśnie ona, świeżo upieczona adeptka krakowskiej Szkoły Teatralnej, prosto ze studenckiej ławy wkroczyła na deski teatru. Na razie mieli występować na scenie Teatru Miejskiego przy ulicy Sienkiewicza. Póki nie zakończy się remont siedziby Uciechy, co najpewniej miało nastąpić w przyszłym roku. Poza tym reżyser mówił, że będą też prowadzić teatr objazdowy. Planowali zorganizować spływ Odrą z całą ekipą zaangażowaną w spektakl. Zatrzymywać się w mijanych miasteczkach i tam pokazywać przedstawienie.

Taki zawód sobie wymarzyła. Kiedy panie w przedszkolu pytały dzieci, kim chcą być, gdy dorosną, mała Marianka odpowiadała, że aktolką. Z czasem jej wymowa zmieniła się na lepsze, poglądy na karierę nigdy.

Tego wieczoru po próbie wyszła ze swoimi nowymi kolegami – aktorami – na piwo do Deltę. Szli przez ulicę Wolności wesołą, kolorową gromadą. Ona prowadziła rower Wigry 3, który kupiła za pierwszą pensję. Przekomarzali się, żartowali i wygłaszali kwestie ze spektaklu na cały głos. Przechodnie spoglądali na nich dziwnym wzrokiem. Niektórzy kręcili znaczące kółka przy skroniach. Inni się uśmiechali. Do Uciechy zaangażowano aktorów z całego kraju.

Najbardziej imponował jej Janek. Wysoki, dobrze zbudowany, z falą włosów do ramion. Typ casanovy. Miał już kilkuletnie doświadczenie zawodowe, był od niej trochę starszy. Przyjechał z Wrocławia. Stał się niepisany przywódcą ich paczki. Błyszczały jej oczy na jego widok. On jednak niespecjalnie zwracał na Mariannę uwagę. Wydawało jej się, że chociaż cały okres studiów spędziła w Krakowie, dla niego wciąż pozostawała zwykłą dziołką z Chorzowa. Prowincjuską. Nie miała mu czym zaimponować. Nie był wobec niej niemiły. Przeciwnie, nawet uprzejmy. Ale nic poza tym. Postanowiła sobie, że zdobędzie jego serce. Podobno zaliczał jedną panienkę za drugą, ale wiedziała, że z nią będzie zupełnie inaczej. Kiedy już ją pozna, nie spojrzy na inną. Przekona go, że nie jest żadną szarą myszką.

Doszli już na ulicę Powstańców. Tuż za rogiem, u zbiegu z Sądową, mieściła się legendarna kawiarnia Delta. To tu podawano sławetne jajko w szklance i koniaczek na śniadanie po ciężkiej nocy spędzonej na trwającej do rana imprezie. Klienci Deltę byli jak jedna wielka rodzina. Kelnerki podawały stałym bywalcom zamówienia bez wcześniejszych konsultacji. Dobrze wiedziały, w czym kto gustuje. Wśród odwiedzających Deltę nie brakowało artystów: malarzy, piosenkarzy i aktorów. Marianna postanowiła swoim nieobeznany z lokalnymi zwyczajami kolegom pokazać to magiczne miejsce. A szczególnie Jankowi.

Szła przodem. Obracała się ciągle do towarzyszy i paplała radośnie. Ubrała się na dzisiejszy wieczór z wielką starannością. Włożyła samodzielnie farbowaną sukienkę. Podkręciła włosy. Opłaciło się. „Jak to jednak niewiele trzeba” – pomyślała. Mężczyźni byli tacy nieskomplikowani. Szczególnie duży dekolt zrobił swoje. Janek zerkał na nią z zainteresowaniem. No dobrze, może nie na nią, a na jej poruszające się pod sukienką piersi bez stanika. Ale to na jedno wychodziło.

– Tadam! – obwieściła gromko. – To tu!

– Ło cie, pieronie, Marianka, jo cie całe wieki nie widziała! – Usłyszała za plecami.

Zmartwiła. Akurat jej, akurat dzisiaj wolałaby nie spotkać. Nie w tym towarzystwie.

– Pódź sam, frelka, dom ci kusika. Pokoż no gymba. Aleś ty cały fet kajś straciła. Jak jaki utopiec wyglondosz – rozwijała się stojąca pomiędzy nimi a drzwiami Delty baba.

Bo choć kobieta była w wieku Marianny, wyglądała jak wielka zmęczona życiem kwoka. Nawet fryzurę miała babciną – zakręcone tuż przy skórze loczki w kolorze burgunda. Ubrana w sukienkę, której bliżej było do fartucha, a do tego w kapciach. Może zapomniała je zmienić na buty, wychodząc z domu? W rękę tachała parcianą siatkę, z której posypały się na chodnik ziemniaki. A w sam ich środek spadła butelka wódki i rozprysnęła się na drobne. Kobieta przykucnęła, żeby pozbierać warzywa.

– Kurna belans, patrz sie, ale sie bajzel narobił – skwitowała. – I halba mi pizła o zol. Edek mie zabije. Weź mi pomóż, bo nie beda miała z czego mojemu staremu nawarzyć łobiodu.

– Przepraszam, ale chyba mnie pani z kimś pomyliła – odparła Marianna.

Czerwona na twarzy ominęła kobietę i wbiegła do Delty. Baba została z rozdziawioną nad kartoflami gębą. Koledzy podążyli za Marianną. Przez cały wieczór śmiali się z akcentu kobiety i dopytywali się, co dokładnie powiedziała, bo nie byli w stanie zrozumieć wszystkich słów. Czuła też, że nie uwierzyli w jej kłamstwo. Bo niby jakim cudem kobieta zwróciła się do niej po imieniu? Co gorsza, ta cholera chyba poczuła się urażona. Po upływie godziny miała czelność pojawić się w Delcie. Tym razem jednak już nie zaczepiała aktorki. Wypiła za to dużo za dużo koniaku i cały czas

wlepiła gały w Biel i jej towarzystwo. Do czasu, aż nie zainteresował się nią równie pijany jak ona wysoki i postawny facet. Poszła z nim w tany i dopiero wtedy Marianna mogła jako tako skupić się na rozmowie, która toczyła się przy jej stoliku.

Wstyd było wypierać się najlepszej przyjaciółki z dzieciństwa, jednak zdecydowanie bardziej zależało jej na nowych znajomych. Na Janku, który niestety zupełnie stracił zainteresowanie dekoltem Marianny.

Rozdział 16

WIESZAĆ NA KIMŚ PSY

Przyglądał się równomiernie rozłożonej siatce żyłek. Natura musiała dysponować jakimś własnym centymetrem krawieckim. Liść powoli zsuwał się po mokrej szybie ku zewnętrznemu parapetowi. Obok przykleiło się kilka mu podobnych, zagnanych tu przez zacinający na wszystkie strony deszcz. Te pożółkłe, szcerwieniaste lub złociste plamy stanowiły jedyny element kolorystyczny w szarzyźnie popołudnia. Nad ulicę 11 Listopada znów nadciągnęły ciemne chmury i kładły się cieniem na bure familoki. Wiatr pohukiwał, próbując przedostać się przez niezaklitowane szpary we framugach.

– I co? – Odwrócił się w stronę ślęczącej nad komputerem Róży.

– Czekaj, bo mi się Aero nie ładuje.

– Aero? – powtórzył. – Zresztą nie chcę wiedzieć.

Zalał dwie kawy. Przesłodził.

– Mam! – huknęła Róża. – Jest! Jeden!

– Przestań wrzeszczeć. Co jeden?

– Znajomy. A raczej znajoma.

Nachylił się nad laptopem. Róża otworzyła stronę Naszej Klasy, by sprawdzić, czy ktoś zareagował na zaproszenia do znajomych wysłane rzekomo przez Mariannę Biel. Solański nie wierzył w ten trop. Sam nigdy nie założył sobie konta na Facebooku czy innym Twitterze. Znał nazwy tych portali, ale nie miał pojęcia, czym się od siebie różniły. I co było w nich tak pociągającego, że ludzie wybierali je zamiast życia w realu. Że chodzili po chodnikach

z nosami utkwionymi w telefonach, umawiali się do knajpy i zamiast ze sobą rozmawiać, dalej gapili się w aparaty. Ze swojej starej nokii mógł co najwyżej wysłać esemesa.

Kiedy jeszcze pracował w policji, portale społecznościowe były pierwszym miejscem, w którym funkcjonariusze poszukiwali zbiegłych bandziorów. Najbardziej zapadł mu w pamięć przypadek złodzieja samochodów, który zwoził do Polski kradzione fury z Niemiec, a potem rozkręcał je i sprzedawał na części. Facetowi ktoś musiał donieść, że mają na niego oko. Dzień przed tym, gdy chcieli go zapuszkować, rozpłynął się w powietrzu. Wyszorował mieszkanie tak dokładnie, że technicy mieli trudności ze znalezieniem porządnego odcisku palca. Znajomi i rodzina złodzieja twierdzili, że nie utrzymują z nim kontaktu. Jego rodzona matka gotowa była potwierdzić, także pisemnie, że nie ma pojęcia, kim jest Sebastian Witczak. Pierwszy raz słyszała takie nazwisko, a pokazywanego jej na zdjęciu człowieka nie widziała nigdy dotąd.

Śledczy załamywali już ręce, gdy podkomendna Solańskiego, sierżant Kamieńska, odnalazła na Facebooku – ku swemu wielkiemu zdziwieniu – konto niejakiego Sebastiana Witczaka, zamieszkałego w Chorzowie, jak głosiła ulokowana po lewej stronie profilu metryczka. Zdradzała ona zresztą więcej tajemnic. Począwszy od ulubionego zespołu Witczaka (Weekend), przez miejsce pracy (szlachta nie pracuje), po ukochany program telewizyjny (*Sędzia Anna Maria Wesołowska*). Poza tym pragnący dzielić się ze światem swoim bogatym wnętrzem złodziej samochodów tego dnia zamieścił na tablicy całą serię tak zwanych selfie, na których prezentował własną kostropatą gębę na tle Bałtyku. Żeby nie było wątpliwości, podpisał je: „ja we Świni”. Jedna z fotek przedstawiała spieczonego na raka Witczaka z grubym, złotym łańcuchem na tle owłosionej jak u goryla klaty, pozującego przed hotelem Hampton by Hilton. Widać

juma niemieckich mercedesów była całkiem opłacalna.

Włączono w akcję świnoujską policję i już następnego dnia dzięki mediom społecznościowym Witczak siedział za kratami.

Solański opowiedział Róży tę historię, podczas gdy ona przeglądała profil niejakiej Frelki. Podająca się za ową Frelkę osoba przyjęła zaproszenie do znajomych wysłane przez Kwiatkowską. Nie dodała, niestety, zdjęcia profilowego.

– Kto to? – chciał wiedzieć Solański.

– A bo ja wiem? Jest mądrzejsza od tego twojego Witczaka. Nie zdradziła imienia ani nazwiska. To co robimy?

– Napisz do niej, że się chcesz spotkać. Znaczący, że Marianna chce.

– Dyktuj. – Róża otworzyła odpowiednie okno.

– Może wyskoczmy na kawę? – Solański ważył słowa. – Co to? – Wystraszył się, bo na ekranie coś przeskoczyło.

– Odpisała! – emocjonowała się Róża. – Musi być online, ale w ukryciu.

– Gdzie w ukryciu?

– Hentnie. – Róża odczytała z ekranu, zupełnie ignorując Solańskiego. – Przez samo h i en.

– Pisz – zarządził. – Następna niedziela o osiemnastej w Patermanie?

– Beda – przeczytała Kwiatkowska. – No, mistrzynią ortografii to ona nie jest.

Popatrzyli po sobie. Byli umówieni. Być może z mordercą.



– Ty mnie już chyba nie kochasz – szantażowałem Solańskiego, mierząc go wzrokiem zbitego kundla, którym przecież byłem. No, tyle że nie zbitym. – Udowodnij, że tak nie jest, i daj mi żreć! – Właśnie opuściła nas Róża. Szymon szykował się do spania, a ja

miałem jeszcze nadzieję na małe co nieco.

Przedstawiałem argumenty, a ślina ciekła mi strumieniem na podłogę. Szymon na szczęście nie naoglądał się za dużo *Psich psychologów* i innych tego typu szkodliwych społecznie programów telewizyjnych, które pozbawiały mnie i moich kolegów możliwości manipulowania niewykształconymi dwunożnymi. Dał mi wreszcie gryza kanapki i rzekł:

– Chodź, idziemy spać.

Oczy same zaczynały mi się kleić, ale taki byłem rozżalony, że zasnąć nie mogłem. No bo ja tu z sercem na łapie, życie swoje dla niego narażam, a ten mi tylko okruszynę chleba oferuje. Nawet bez masełka. Czyżby nie zauważył, że gdyby nie ja, toby już dawno umarł? Zostałby zamordowany przez... niech tu wymienię w kolejności alfabetycznej: firankę, foliową torebkę, gałąź kasztanowca, krople deszczu, listonosza, świadka Jehowy oraz wróbla. Wszyscy oni czyhali na życie Solańskiego! A mówię tylko o zeszłym tygodniu. Jeślibym na nich nie naszcekał, to sam już nie wiem, co by to dzisiaj było. Wdzięczności jednak nie doczekałem się żadnej. Taki psi los.

Z niewesołymi myślami, z pyskiem pod poduszką Solańskiego, wreszcie zasnąłem. Mało mi serce z klatki piersiowej nie wyskoczyło, gdy rozdzwonił się telefon. Było już grubo po północy, jeśli wierzyć zegarowi. Szymon wreszcie nacisnął zieloną słuchawkę w swojej komórce.

– Halo? – wychrypiał.

Nadstawiłem ucha. Najpierw po drugiej stronie nie było nic słychać. Nawet Solański zdążył już odstawić telefon od ucha i przyjrzeć się mu podejrzliwie, sprawdzając, czy przypadkiem się nie rozłądował. Ale nie, połączenie wciąż trwało.

– Czego? – warknął.

– Dobrze, że ta stara bździągwa zdechła. – Usłyszeliśmy kobiecy głos. – Wścibska kurwa! Niech ją zeżrą robaki! – wrzasnęła nasza rozmówczyni i się rozłączyła.

– Dobrej nocy, Ewuniu – powiedział Solański, ale odpowiedział mu już tylko przerywany sygnał zakończonej rozmowy.



2010 rok

Tafla białego obrusu nie miała ani jednej zmarszczki. Gładko służyła ze stołu w salonie. Ustawiła na nim dwa nakrycia. Użyła odświętnej porcelany – tej, którą wyciągała tylko na Boże Narodzenie. Zapaliła świeczkę. Przechyliła ją i nakapała woskiem na podstawkę, a potem przycisnęła końcówkę świeczki do roztopionej czerwonej parafiny. Zdmuchnęła płomyk i całość ustawiła pomiędzy talerzami. Wyjęła też serwetki. Nigdzie nie mogła znaleźć odziedziczonych po babci złotych obrączek, którymi czasem je spinała. Musiały się gdzieś zawieruszyć. Z kuchni dochodziły zapachy pobudzające zmysły. Przygotowała swoje popisowe danie: gulasz na czerwonym winie. Kiedyś już go dla kogoś gotowała. Przez żołądek do serca i tak dalej. Przeszła do przedpokoju i przejrzała się w lustrze. Dawno nie wyglądała tak dobrze, bo nie miała dla kogo. Teraz to się zmieni. W całym mieszkaniu przygasila lampy, te zdrajczynie, które ujawniały labirynt jej zmarszczek. Dzisiaj im na to nie pozwoli.

Wiedziała, że nie powinna tego robić. Przecież on był żonaty. Jednak skoro do niej przychodził, to znaczyło, że mu się nie układa w małżeństwie. Czy nie mądrzej by więc zrobił, gdyby rozstał się z żoną? Każdy poszedłby w swoją stronę i znalazł szczęście. On mógłby znaleźć ją, Mariannę. Sama w to nie wierzyła. Była przecież

od niego o całą dekadę starsza. A mimo to okazywał jej zainteresowanie. Najpierw myślała, że przyciąga go popularność. Wielu mężczyzn Ignęło do aktorek takich jak ona tylko po to, by ogrzać się przez kilka chwil w blasku ich sławy. Ale on był inny. Kazał sobie opowiadać o spektaklach, w których grała. Nigdy ich nie widział. Nie przepadał za teatrem. Wolał literaturę.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła szósta. Powinien być za pięć minut. Jego żona wyjechała z dzieckiem do teściów do Sosnowca, więc mógł wyjść bez niepotrzebnych pytań. Ponownie zapaliła świeczkę. Z kuchni przyniosła żaroodporne naczynie z potrawą i ustawiła je na podkładce, do kieliszków nalała wina. Usiadła na krześle w wystudiowanej pozie.

Kiedy minęło kolejnych piętnaście minut, wciąż się jeszcze pocieszała, że to taki kwadrans akademicki. Przeszła się po salonie. Zajrzała do innych pomieszczeń. W sypialni przetrzepała fantazyjnie ułożone poduszki. Wróciła na swój posterunek. Za dwadzieścia siódma przestała oszukiwać samą siebie. Nałożyła sobie gulaszu i niechętnie zjadła zimne już danie. Resztki zanieś kotom, które dokarmiła w piwnicy. Wypiła pół butelki wina. Przebrała się w wygodniejsze, domowe rzeczy. W telewizji obejrzała jakiś idiotyczny kryminalny program, w którym grali sami naturszczycy. Wreszcie położyła się do łóżka.

Z płytkiego snu obudziło ją łomotanie do drzwi. W pokoju unosił się mdły zapach kadzidełka, które zapaliła, by stworzyć nastrój. Hałasy na klatce schodowej nie ustawały. Narzuciła na siebie szlafrok i bosy przeszła do przedpokoju. Spojrzała przez wizjer. To był on! Lekko pijany, w rozchełstanej koszuli, z naderwaną kieszenią marynarki i w ubłoconych na kolanach spodniach. Ale jednak on.

– Przerznąłem wszystko, kochana! – powiedział, gdy otworzyła mu drzwi.

*– To teraz przerznij mnie – odparła i wpuściła Tadeusza do środka.
Drzwi zabezpieczyła łańcuchem.*



O mało nie przydzwonił w betonowy płot, usmarowany przez kibiców jaskrawymi literkami G, K i S. Mogła to być wina zużytych klocków hamulcowych. Albo jego zszarganych nerwów. Trudno jednak sobie tych nerwów nie zszargać, gdy dzwoni pielęgniarka z informacją, że rodzony ojciec tylko cudem uniknął śmierci pod kołami tira, ponieważ uznał za stosowne uciec z wariatkowa. A dokładniej z oddziału dziennego Centrum Psychiatrii w Katowicach. Zdołał się wydostać ze swojego pokoju nad ranem, podczas gdy trzech jego współlokatorów jeszcze słodko spało, podobnie jak mająca ich pilnować pielęgniarka. Bez trudu wyszedł z budynku, a następnie z ogrodzonej szpitalnej posesji. Wszystkie te manewry wykonał przyodziany jedynie w piżamę oraz kapcie. W takim stroju, przy pięciu stopniach powyżej zera, przeszedł pół kilometra do alei Roździeńskiego, jednej z najbardziej ruchliwych arterii Katowic. Po drodze zaopatrzył się w przydrożnych krzakach w sporych rozmiarów gałąź. I za jej pomocą postanowił kierować ruchem na drodze ekspresowej S86.

Kierowca tira jadącego wprost na Janusza Solańskiego w ostatniej chwili zdążył wykonać manewr swojego życia. A raczej życia, które podarował Januszowi. Tirowiec przednimi kołami wylądował w przydrożnym rowie. Zdołał wydostać się z szoferki i oberwawszy tylko kilka razy w łeb wspomnianą już gałęzią, dał radę unieruchomić Solańskiego seniora. Potem zadzwonił na policję.

– Tato. – Szymon uklęknął przy ojcu.

Janusz siedział na wózku inwalidzkim i patrzył przed siebie pustym wzrokiem.

– Podaliśmy mu leki uspokajające – odezwała się stojąca w progu lekarka. – Powinien być w zakładzie zamkniętym. My nie mamy takich środków. Sam pan widzi.

Niby widział, ale nie zgadzał się na oddanie ojca do domu bez klamek. Jego problemem był przecież tylko alkohol. A w tym ośrodku mieli świetne wyniki w leczeniu uzależnień od procentów, medykamentów czy hazardu. Szymonowi terapia mgliście kojarzyła się z jakimiś zajęciami w podgrupach, jak na koloniach letnich. Chciał wierzyć, że ojcu to pomoże, a ten incydent z tirem był wypadkiem przy pracy. Więcej nie mógł się powtórzyć.

– To już się nie powtórzy – wypowiedział na głos swoje myśli. – Nie chcę go oddawać... – Spuścił wzrok.

Lekarka wpatrywała się w detektywa.

– To jest ostatnie ostrzeżenie – ucięła. – Następnym razem będzie go pan musiał przenieść.

Wyszła, pozostawiając po sobie mocną woń piżmowych perfum. Wreszcie stukot jej chodaków ucichł. Solański usiadł naprzeciwko ojca.

– Tato, nie możesz... – Dalsza część zdania ugrzęzła mu w gardle.

Janusz nie reagował. Patrzył przez okno, za którym kołysały się na wietrze iglaki. Zdawało się, że nie ma pojęcia, iż ktoś oprócz niego jest w pomieszczeniu.

– No, kochanieńki, czas na drzemkę. – Ciszę przerwała pielęgniarka. – Pan przyjdzie innym razem. Teraz nie pogadacie – zwróciła się do Szymona.

Odblokowała hamulec przy kołach wózka i potoczyła wózek w czeluście szpitala.

Solański szedł ponurym korytarzem i zastanawiał się, czy dostanie mandat. Niedoceniane i nadambitne skurwysynki ze straży miejskiej czaiły się po katowickich krzakach, polując na ofiary ignorujące

parkomaty. A Solański nie zdążył nawet się za nimi rozejrzeć, gdy wybiegał w popłochu z samochodu. Gdzieś z głębi budynku dochodziły do niego okrzyki i przeciągłe jęki. Nad głową posłyszał tupot stóp. Ktoś uciekał, ktoś inny go gonił.

Otworzył drzwi wyjściowe i stanął oko w oko z Tadeuszem Polaczkim. Wyglądał na przerażonego.

– W odwiedzinie? – zagadnął go detektyw.

Tadeusz ocknął się dopiero po chwili.

– Odwiedziny? – wychrypiał. – A, tak. Odwiedziny! – powiedział z naciskiem.

Wyminął Solańskiego. Stanął w holu i tkwił tak, zapatrzony w pustą recepcję, dopóki za Szymonem nie zamknęły się drzwi.

Rozdział 17

SAMOTNY JAK PIES

Solański zostawił mnie pod opieką Kwiatkowskiej i zniknął. Wyglądał nietępo po wizycie u Janusza. Róża zaproponowała mu wspólny wypad do Albionu, ale nawet nie raczył odmówić. Po prostu wyszedł bez słowa.

Róża oznajmiła, że skoro tak, to będziemy mieć pizama party, i przywdziała tak zwanego onesie. Zawarczałem, gdy toto zobaczyłem, w pierwszej chwili byłem bowiem przekonany, że zaatakował mnie tygrys. Wielki i gruby najprawdziwszy tygrys. Dосkoczyłem do niego i powąchałem mu nogę. Pachniała piwem, potajemnie podpalanymi fajkami, podjadanymi czekoladkami i kiełbasą śląską.

– Róża! – ucieszyłem się.

Nie ukrywam, że mi ulżyło. Z wnętrzości tygrysa dobiegły radosne pokwikiwania.

Faktycznie, ubaw po pachy. Naburmuszyłem się, wychodząc ze stanu przedzawałowego. Okazało się, że to jest właśnie ten cały onesie – pluszowy kostium w rozmiarze człowieka. Jej był w kształcie tygryśka z *Kubusia Puchatka*. Róża miała nawet na głowie kaptur przypominający mordę tygrysa. Powiedziała, że to jest jej strój na chandrę i że zaraz mi przedstawi dalsze plany na ten wieczór. Czułem w koniuszkach łap, że odpowiedzialność za kaprawy nastrój mojej towarzyszki ponosi gbur Solański.

Róża tymczasem wystawiła na stół same rarytasy. Były tam chipsy

paprykowe, orzeszki w czekoladzie, popcorn na słodko i delicje z galaretką pomarańczową. Załadowała to wszystko na tacę, dołożyła piwo, i tak zaopatrzeni udaliśmy się na jej łóżko. Puściliśmy sobie *Małą miss* i zaczęliśmy podżeranie.

Musiałbym się chyba przebadać na okoliczność cukrzycy, bo zaskakująco często zdarzało mi się zasypiać w najmniej oczekiwanym momencie. Czasem nawet, wstyd się przyznać, dochodziło do tego w miejscach publicznych. Tym razem też się zdrzemnąłem, mimo że historia brzydkiej i grubej dziewczynki, która zapragnęła wziąć udział w wyborach miss, była naprawdę wzruszająca. Jakbym widział Różę w miniaturce.

Obudził mnie harmider z góry. Róża też się przebudziła. W laptopie włączył się już wygaszacz ekranu, na kołdrze pełno było żgających w tyłek resztek czipsów.

– Ki diabeł? – odezwała się Kwiatkowska, gdy znowu coś walnęło.

Wygramoliliśmy się z wyra i wyszliśmy na klatkę schodową. Nawet się cieszyłem z tego nietypowego outfitu mojej przyjaciółki. Zawsze rażniej jest stawiać czoło przeciwnościom losu z tygrysem u boku. Według naszych ustaleń źródło hałasów znajdowało się w mieszkaniu Marianny Biel, zakradliśmy się więc na drugie piętro. Róża odziana w te pluszowe łapy poruszała się bezszelestnie.

Czerwone drzwi stały przed nami otworem, dlatego weszliśmy do środka. Podłogę w przedpokoju zaścielały płaszcze zrzucone z wieszaka. Na nich leżały odłamki stłuczonego lustra. Sądząc po odgłosach, wandal skutecznie swoją działalność w salonie. Wleźliśmy tam jak te półgłówki, nawet nie pomyślawszy, że przecież to może być morderca uzbrojony w topór albo giwerę.

Ujrzeliśmy przed sobą istną Sodomę i Gomorę. Obrazy i zdjęcia były pozrzucone ze ścian, ten sam los spotkał teatralne trofea Marianny. Ze stolika kawowego oderwano dwie nogi. Na kanapie

ktoś (nie uwierzycie mi, ale przysięgam, że to prawda) zrobił kupę. Wszystkie szafy były wyprute, a na ścianie czarną farbą wypisano krzywymi drukowanymi literami: „kurwa”. Bandziora nie było już w pokoju. Musiał przejść do kuchni, a z niej do przedpokoju, bo stamtąd usłyszeliśmy jakieś szmery. Zawróciliśmy, by zobaczyć tylko uciekający cień człowieka.



Mężczyzna długo zastanawiał się nad tym, co właściwie powinien zrobić. I czy jego podejrzenia są uzasadnione. W głębi duszy wiedział, że miał rację. Próbował przywołać w pamięci wydarzenia sprzed lat. Tę jedną pijaną, letnią noc spędzoną w Delcie, gdy wszystkie furtki stały jeszcze otworem. Ten jeden incydent, który się nigdy później nie powtórzył, dzięki Bogu zresztą. Mógł zaważyć na jego życiu, jednak tak się nie stało. A teraz sam nie wiedział, czy to dobrze, i kogo powinien winić za tę sytuację. Bo na pewno nie siebie. Już prędzej tę stukniętą Brygidę.

Siedział w nowo zakupionym fotelu swojego brata. Jakiś czas temu przez pół dnia leżał na kanapie i obserwował, jak Adam męczy się z milionem śrubek, wkrętów, niepasujących do niczego dziurek i instrukcją dla analfabetów, w której zamiast rzeczowo napisać, co połączyć z czym, zastosowano niezrozumiałe pismo obrazkowe. Hubert nie miał zamiaru pomagać bliźniakowi w skręcaniu mebli. Wkurzało go samozadowolenie Adama z tych gratów i z tej swojej roli w zafajdanym spektaklu. Jednak sukcesami bliźniaka Gierloch zamierzał martwić się później.

Teraz z przyjemnością zapadł się w obitym chropowatą, szarą poszewką siedzisku. Drewniana rama zaskrzypiała. Hubert splótł ręce w koszycek niczym wytresowany polityk w programie Moniki Olejnik. Od tego główkowania rozboleł go już łeb. Spojrzał

na zegarek. O tej porze powinna być w kościele. Wstał i zdecydowanym krokiem opuścił mieszkanie.

Zbiegł po schodach i delikatnie zapukał do drzwi lokalu pod dwójką.

– Otwórz, Sylwek. To ja.

Miał nadzieję, że mężczyzna był w środku i że go słyszał. Nie było jednak odzewu, prócz powarkiwania tego szpetnego wypierdka. Przypomniawszy sobie ostatnią swoją wizytę u Buchtowej. Ten dumny detektyw siłował się wtedy z Sylwkiem na dywanie, po tym jak uwolnił go z zamknięcia. Czy to możliwe, że ta psychopatka pod swą nieobecność trzymała chłopaka w garderobie? Po co miałyby w ogóle to robić? Czy Sylwek był niebezpieczny? A może to Brygida znęcała się nad nim w jakiś sposób? I dlaczego żaden z mieszkańców tej upiornej kamienicy nie reagował? Bo przecież musieli sobie zdawać sprawę z sytuacji. Hubert podejrzewał, że po prostu nie chcieli się wtrącać. A nuż wynikłyby z tego dla nich jakieś nieprzyjemności. Gierloch wiedział jedno – ten ich układ, niezależnie od przyczyny, był chory. Cholernie chory! Musiał dowiedzieć się, o co chodzi. Zobaczyć go. Popatrzeć mu w oczy. Tylko czy Sylwek będzie chciał z nim rozmawiać? Po tym, co widział wtedy na schodach?

Klamka nie ustępowała. Niewiele myśląc, rozpędził się i całym, niemałym przecież ciężarem swojego ciała naparł na drzwi. Za trzecim razem coś w nich zgrzytnęło. Odskoczyły. Hubert z impetem wpadł do przedpokoju. Będzie musiał Buchtowej zapłacić za zniszczony zamek, ale to nic w obliczu szansy zdobycia odpowiedzi, których tak bardzo potrzebował.

Wraz z plątającym się pod nogami psem przeszedł od razu do sypialni. Tych drzwi nie musiał już wyważać. Przekręcił pozostawiony w dziurce klucz.

– Synu – powiedział do mężczyzny skulonego pod stertą

zwisających z wieszaków ubrań.



Pozostawiony na blacie ołówek przesuwiał się krótkimi zrywami w stronę krawędzi stołu. Siedziałem na fotelu i gapiłem się na niego jak zahipnotyzowany. Jeszcze trochę i będzie katastrofa. No, może przesadziłem z tą katastrofą, ale nadawanie dramatycznego rysu wydarzeniom było moją specjalnością. Łup, łup, łup i wreszcie bach! Ołówek spadł na podłogę i poturlał się pod lodówkę.

– Ho, ho! – powiedziałem do Szymona. – Dzieje się u Róży, że ho, ho!

Chyba był skłonny przyznać mi rację. Nasza podłoga wibrowała, a stół razem z nią. Od stołu zaś ołówek – ten, co pod lodówką. Nawet gdybyśmy głusi byli jak te pnie, toby nas decybele, które dochodziły z mieszkania Kwiatkowskiej, dopadły. Wprawiały w drgania całą kamienicę. Miałem obawy, czy się familok nie rozpirzy w drobny mak. Co ona tam wyprawiała, ciężko było stwierdzić. Zdaje się, że w Solańskim zaległy się podejrzenia, iż Róża obraziła się na niego za wczoraj, i teraz w ramach zemsty urządziła imprezę, nie zapraszając go. Docierające do nas bity nie miały jednak nic wspólnego z gustem muzycznym Róży. Rąbanka to była jak na ordynarnej dyskotece w remizie, takiej co to dresy na głośnikach tańczą i białe maski sobie na gęby zakładają, nie wiedzieć po co.

– Halo! – zakrzyknął Solański do swojej zdezelowanej nokii. – Pizzeria Pod Metalową Jaskółką? – darł się, by zagłuszyć łomoty. – Dużą cztery sery! – Złożył zamówienie i podał nasz adres.

Już się oblizywałem na wyzerkę. Pomyślałem, że mógł chociaż dodać salami, ale zdążyłem się przyzwyczaić, że moimi kulinarnymi preferencjami nikt się tu nie przejmuje. Kiedy u progu naszego mieszkania stanął wysłannik Metalowej Jaskółki, Róża nadal

ogłuszała społeczność Chorzowa i okolic. Solański zapłacił. Gwizdnął na mnie i zeszedliśmy piętro niżej.

Ponieważ pukanie do drzwi tudzież używanie dzwonka zgodnie z jego przeznaczeniem nie dawało pożądaných rezultatów, wprosililiśmy się do środka bez zaproszenia. A coś mi mówiło, żeby tym razem tego nie robić. Tej tajemnicy Róży wolałbym nie poznać. A już na pewno Solański pożałował, że nie został w domu. Tańce przed laptopem w rytm piosenek The Baseballs to było wielkie nic w porównaniu z tym, co ujrzeliśmy teraz.

Muzyczna sieczka trzęsła szybami w oknach. Przerzywały ją, co teraz mogliśmy usłyszeć dokładnie, wykrzykiwane rozkazy, brzmiące jak dyrektywy pewnego malarza pokojowego o imieniu Adolf. Tyle że akurat ten Adolf był kobietą. A wrzeszczał mniej więcej tak: „Jeszcze dziesięć! Nie poddawaj się! Nic przez noc się nie wydarzy! Nowe džinsy czekają?”.

– Ty pieprzony cyborgu! – Stęknęcie Róży zabrzmiało niezwykle słabo.

Wychyliłem się z za nogi Solańskiego i wpadłem w popłoch. Czy Różyczka była chora? Dostała ataku padaczki? Czemu Szymon jej nie ratuje? Zadawałem sobie te wszystkie pytania, podczas gdy Kwiatkowska leżała na dywanie. Nogi miała zgięte w kolanach, ręce trzymała za głowę i próbowała dosięgnąć czołem do ud. Nic jej z tego nie wychodziło. Na domiar złego była ubrana w obcisłe gacie w panterkę, rozprute już tu i ówdzie, oraz w kanarkowożółty T-shirt, który mógłby być wykorzystywany przez ekipy alpinistów jako namiot rozkładany w bazach pod Mont Everestem. Włosy miała rozczochrane bardziej niż zwykle, tłuszcz wylewał się każdym porcem jej skóry. Zrobiła się czerwona na twarzy, jakbyśmy przeszkodzili jej właśnie w przechodzeniu wylewu krwi do mózgu.

„Zachowaj tempo! Nie zostawiaj mnie samej! Napnij brzuch!

Napnij pośladki!” – darło się to gestapo z laptopa.

– Stul ryło – odpowiedziała mu Róża, ale posłusznie ćwiczyła dalej.

Pod dyktando chudej szkapy z komputera dziennikarka przewróciła się na brzuch. Kazano jej podnieść nogi tak, by uda nie dotykały podłoża. Czy Kwiatkowska zapragnęła zatrudnić się w cyrku i ćwiczyła właśnie przed rozmową kwalifikacyjną? Aż tak źle płacili w tych „Chorzowskich Nowinach”? Zamiast podnieść nogi, Róża jęknęła przeciągle, po czym z całych sił walnęła pięściami w podłogę i się rozplakała.

– Nie rycz! – Dorskoczyłem do niej i polizałem ją po twarzy.

– Aaa! – wbrew moim życzeniom zawyła jak zarzynane prosię i zerwała się na równe nogi.

Pot spływał z niej strumieniami. Pod pachami miała dwa ciemne placki. Włosy przykleiły jej się do czoła.

– Co tu robisz?! – wydarła się na Solańskiego.

Nie zdążyła jednak zwyzywać go odpowiednio – choć było widać, że ma na to nieprzewartą ochotę – bo zwyczajnie zemdlała. Solański odłożył pizzę na bok i poszedł do kuchni. Wrócił z kubkiem, z którego wylał Różę na twarz zimną wodę. Podziałało.

– Chcesz mnie utopić? – warknęła. – Co tak pachnie? – Rozejrzała się po pokoju.

Róża węch miała nie gorszy od mojego. Szczególnie gdy chodziło o jedzenie. Namierzenie pizzy nie zajęło jej więcej niż sekundę. Zjadła dwie trzecie quattro formaggi rosso, co skutecznie odpędziło od niej osłabienie spowodowane wysiłkiem fizycznym.

– Mogłeś wziąć dodatkowe salami – upomniała Solańskiego.

A ja po raz kolejny przekonałem się, że Róża to moja bratnia dusza.



Mozzarella, roquefort, emmentaler, parmezan – to były słowa nie

do wymówienia. Jak i nie do strawienia. W każdym razie nie przez jego polski żołądek. Obudził się w środku nocy i już wiedział, że powinien pozostać przy edamskim i pomorskim. Połknął ranigast. Przesunął na brzeg parapetu zdjęcie kobiety w ciąży. Otworzył okno od podwórza. Do mieszkania wdarł się chłód, kradnąc resztki oddanego przez piec kaflowy ciepła. Wciągnął głęboko przesiąknięte węglowym pyłem powietrze. To był zapach jego dzieciństwa. Wzdrygnął się. Nie wiadomo, czy na wspomnienie młodości lat, czy tylko z zimna. Już chciał na powrót zamknąć okno, gdy z podwórka dobiegły go podniesione głosy.

Wyjrzał ostrożnie. Przy śmietniku stały dwie postacie. Zdenerwowane, sądząc po tonie rozmowy. W mroku nie było ich dokładnie widać.

– Edek był łojcem! – powiedziała kobieta. – I nic ci do tego!

– Doprawdy?! – Mężczyzna skakał wokół niej jak kogut szykujący się do walki. – Doprawdy?!

– Ja! Przeca ci godom! A teraz bier sie, bo ida do dom! – zażądała niewiasta.

Rozmówca jednak najwyraźniej jeszcze nie skończył. Zastawił jej drogę.

– Wszystko sobie dobrze policzyłem! Z kalendarzem w ręku! – darł się, nie zważając na domniemaną ciszę nocną. (Choć w tych rejonach nie znalazłby się taki, który śmiałby wymagać jej respektowania).

– W rzyci mom ciebie i coś porachował.

– Wtedy! Na imprezie w Delcie. W kawiarnianym kiblu. – Mężczyzna cedził zdania, jakby sobie przypominał dawno zapomniane szczegóły. – To był osiemdziesiąty czwarty rok. A Sylwek ile ma lat?

– Trzydzieści. I co z tego? – Kobieta straciła cały zapał do obrony.

– To mój syn!

– Ty mosz ipi!

– Ma moje rysy.

– Twoja rzyć chyba – odparła. – Nie fanzol – poradziła mu. – Ty mi nie bydziesz gańby robił i cis fleki, że jo mom syna z PEDAŁYM! – Ostatnie słowo wyrzeszczała w chorzowską noc jak oskarżenie w sprawie o morderstwo.

– Ja tam swoje wiem – powiedział przez zęby. – I tak tego nie zostawię.

Solańskim znów wstrząsnął dreszcz. Zimno wdarło mu się pod skórę. Potarł dłońmi ramiona, a przy tym łokciem zahaczył o fotografię.

– Nie!

Wciąż stojące na podwórku postacie usłyszały wrzask z góry. A potem u ich stóp roztrzaskała się ramka ze zdjęciem.



Jesień okazała swą łaskawość. Oznaczało to, że tej niedzieli nie tylko nie padało ani nie wiało, ale w dodatku chmury pozwoliły słońcu odkryć swoje blade oblicze. Obsługa Cafe Paterman pokusiła się nawet o wystawienie stolików na drewniany taras, który wychodził na ulicę Wolności. Dobrze się składało, bo dzięki temu i ja mogłem wziąć udział w tajnym spotkaniu, które Róża z Solańskim zorganizowali za pomocą portalu Nasza Klasa. Do środka, między te wszystkie ciastka, kawusie i skórzane kanapy, pewnie by mnie biednego nie wpuścili.

Bardzo byliśmy ciekawi, kim okaże się znajoma Marianny Biel. Z informacji na stronie wynikało, że chodziły razem do podstawówki. Ale czy utrzymywały kontakt? Takie długodystansowe przyjaźnie zdarzały się przecież bardzo rzadko.

Zasiedliśmy przy stoliku w rogu i zamówiliśmy po latte dla ludzi

i wodę dla psa. Widziałem, że Róża tęsknie zerkała na menu z deserami, ale przed nami udawała twardą. Co też się z nią porobiło, żeby słodkiego nie jadła, za to przez sport do kalectwa próbowała się doprowadzić, tego nie mogłem pojąć.

Wypatrywałem podejrzanej. Wcisnąłem łeb między szczeble otaczającej taras barierki i przyglądałem się przechodniom śpieszącym Wolką to w dół ulicy, to w górę. Środkiem pędził tramwaj, drąc się dzwonkiem na ciamajdy, które mu włąziły na tory. Smutnie wyglądała ta nasza ulica Wolności. Opisać by ją można następującą wyliczanką: bank, bank, salon sieci komórkowej, bank, sklep z tanim obuwiem, bank, bank, tania odzież, bank. Jeśli to ma być reprezentacyjny deptak, to ja nie wiem, kogo on reprezentuje. Gdyby miał mówić w moim imieniu, musieliby tu postawić same zoologiczne z bogatym asortymentem karmy (byle nie tej kanadyjskiej), kilka pijalni czekolady, mógłby też być sklep z materacami, których miękkość testowałbym do woli, i parę budek z hot dogami, jakkolwiek kanibalsko by to zabrzmiało. No ale jak się nie ma, co się lubi... i tak dalej.

W każdym razie chorzowianie wydawali się zadowoleni, bo łazili tam i z powrotem, doprowadzając mnie do oczopląsu i zeza rozbieżnego jednocześnie. Nie wiedziałem, kogo mam się spodziewać. Ksywka Frelka wskazywała raczej na kobietę, ale pewny być nie mogłem. Jeżeli faktycznie chodziła do klasy z Marianną Biel, musiała mieć teraz grubo po pięćdziesiątce. Czy to ta paniusia w średnim wieku, której szpilka utknęła właśnie w szynie torów tramwajowych? Bo nie sądziłem, żeby osobą, której poszukiwałem, była baba wlokąca się drugą stroną ulicy z siatami w rękach. Już byłem pewny, że namierzyłem cel w postaci wyfiokowanej kobieciny, która właśnie weszła na taras Patermana, gdy wyprzedziło ją to babsko z reklamówkami.

– Buchtowa! – stęknęła Róża ze zdziwieniem.

Solański nic nie powiedział. Wstał tylko i odsunął przed Brygidą jedno z krzeseł przy naszym stoliku.

– Ło cie pieronie, jak to? Sąsiady? – dziwowała się kobieta. – A jo żech myślała, że...

– Że co? – przerwał jej Szymon. – Marianna zmartwychwstała?

– No nie – przyznała. – Ale że to może tyn mordyrz, co ją zaciukał, włamał sie na jej konto. I jo żech chciała dorwać łonego.

Na tę deklarację wszyscy trzej muszkietierowie, czyli ja, Róża i Szymon, zamilkliśmy jak te niemoty. Solański pierwszy odzyskał język w gębie. Najpierw zamówił dla Buchtowej kawę i tiramisu, coby uśpić jej czujność, a potem wziął ją na spytki. Okazało się, że faktycznie Brygida i Marianna chodziły razem do podstawówki. Przyjaźniły się nawet, choć Buchtowa zapewniała, że ich znajomość umarła śmiercią naturalną. Przypomniały mi się zdjęcia z albumu Marianny Biel. Dwie uśmiechnięte dziewczynki pozujące do fotografii. Brygida oglądała je na parapetowie Solańskiego. Pewnie rozpoznała siebie sprzed lat. (Nie umknęło to mojej uwadze, mimo że wtedy wraz z pinczerkiem byliśmy zajęci plądrowaniem suto zastawionych stołów).

– Łona mie znać nie chciała – poskarżyła się Buchta. – Bo łona była wielka artystka, a ja ino zwykło baba z familoka – dokonała trafnej diagnozy społecznej.

Kwiatkowska i Solański popatrzyli na siebie znacząco. Ja też tak na nich zerkałem, ale nie zostałem dostrzeżony pod stolikiem. Dlatego z czystą premedytacją wlałem łapą w miskę i rozlałem wodę na but Solańskiego. Ten jednak otrzepał się tylko i kontynuował przesłuchanie.

– Marianna nie miała męża?

– Męża to nie. Ale chopa to ja – przyznała Brygida.

A potem zdradziła się z tym, że choć dawna przyjaciółka nie chciała mieć z nią nic wspólnego, ona pilnie śledziła losy Marianny. Fascynował ją sam fakt, że znała osobiście kogoś tak sławnego. Nawet kiedyś, jak przyznała z dumą, udało jej się udzielić wywiadu do gazetki spółdzielni mieszkaniowej, w którym to wypowiedziała następującą kwestię: „Jo jom znoła od takiej dziołszki. – Tu pomachała ręką na wysokości swojego pasa, by unaocznic dziennikarzowi, jak mała musiała być Biel, gdy ona – Brygida – zawarła z nią znajomość. – To był taki gupi podciep. Kto by pomyślał, że zostanie aktorką! Jo nie!” – zapewniła żurnalistę i sprawdziła jeszcze, czy wszystko prawidłowo zanotował.

I tak, wściubiając nos w życie prywatne Marianny Biel, Brygida Buchta zdołała dowiedzieć się, iż jej koleżanka miała kilkuletni romans z niejakim Janem Chrapkowiczem, również aktorem. Ten jednak najpierw rozkochał Mariannę w sobie, potem porzucił, a na końcu bezczelnie zginął w jakimś idiotycznym i mało romantycznym wypadku pociągu, w którego spowodowaniu duży udział miał nachlany do nieprzytomności dróżnik, bo nie opuścił na czas szlabanu na przejeździe kolejowym.

– I to tyle? – Róża wyglądała na rozczarowaną.

Jeden kochanek na całe życie pięknej i zdolnej aktorki nie stanowił imponującego dorobku.

– No nie. – Buchtowa się zamyśliła. – Był jeszcze ktoś. Pora lot nazod – uściśliła.

– Kto? – wyrwało się Szymonowi.

– A bo jo wiem? – zdenerwowała się Brygida. – Jo z nią nie godałach, skoro sie do mnie luftem obróciła.

Po dalszych naciskach i zamówieniu jeszcze jednej porcji tiramisu zdołaliśmy się dowiedzieć, że według Buchtowej Marianna miała jakiegoś tajemniczego kochanka, którego wolała ukrywać przed

światem. Brygida słyszała, że po nocy ktoś odwiedzał aktorkę, ale nigdy nie zdołała w porę dobiec do judasza, żeby przyjrzeć się gościowi. Nie miała przy tym wątpliwości, że był to facet, ponieważ przychodził w nocy, a która baba by się na plotki wybierała o tej porze. Poza tym Marianna nagle wypiękniała. Zaczęła ubierać się o wiele staranniej, zrobiła sobie nową fryzurę, malowała się. Odmłodziła.

– No to do kogo miałoby to być, jak nie do chopa? – Nasza sąsiadka zadała retoryczne pytanie. I ku zgrozie zgromadzonych wylizła talerzyk po deserze. – Musza już ciś – oświadczyła.

Szurnęła krzesłem. Róża chwyciła ją jeszcze za krawędź spódnicy.

– Sylwek to pani syn? I Huberta? – zapytała.

Co jak co, ale dyplomacja nie była mocną stroną Kwiatkowskiej.

– Nie wosz interes – fuknęła Buchtowa.

Pozbierała swoje siatki, zerknęła tęsknym wzrokiem na pusty talerzyk po tiramisu i już jej nie było.



2011 rok

W głębi duszy wiedziała, że to się kiedyś skończy. Nie sądziła tylko, że tak prędko. I że tak bardzo zaboli. A przecież obiecywała sobie, że to ona pierwsza powie dość. Że nie będzie więcej schadzek, że ma wracać do żony. Musiała to zrobić, żeby zachować twarz. Chociaż wcale nie miała na to ochoty. Zwlekąca i ponosiła karę za swą opieszałość. Ten gnojek, bo tak go teraz sama przed sobą nazywała, ośmielił się powiedzieć jej, że to nie ma sensu, że mogą zostać przyjaciółmi, banał na banale i banałem pogania. Wszystko potoczyło się tak, jak nie powinno. Nie zdołała nad sobą zapanować. Najpierw rzuciła w niego kryształowym wazonem. Gnojek uchylił się,

a naczynie trafiło w ścianę i rozprysło się na miliony kawałków. Potem rozpłakała się, doprowadzając do ruiny skrzętnie zrobiony na jego przyjęcie makijaż, i popełniła kolejny błąd. Zniżyła się do tego, by błagać. Chciała, żeby został, żeby jeszcze przemyślał sprawę. Żeby rzadziej, ale jednak, wciąż. Ale on zamienił się w skałę. Nie i nie, „to skończone” – powtarzał.

Zaprezentowała więc cięższą artylerię argumentów.

– Powiem o nas twojej żonie – rzekła, gdy już chciał zatrzaskać za sobą czerwone drzwi.

– Nie ważysz się – wyszeptał, wciąż stojąc do niej tyłem.

Jednak zapewniła go, że owszem. Zniszczy jego małżeństwo, tak jak on zniszczył te jedyne chwile przyjemności, jakie zostały w jej życiu. W głębi duszy nie wierzyła, że to robi, ale miło było patrzeć, jak gnojek cofa się do przedpokoju, zamyka drzwi i podejmuje dyskusję. Zmienił nagle front, zrobił się milutki, wręcz oślizgły. To ją rozwścieczyło jeszcze bardziej, bo dowodziło, że wciąż zależy mu na żonie. A ona, Marianna Biel, nic dla niego nie znaczyła.

W zasadzie mogłaby mu to wybaczyć, bo koniec końców okazał się jednostką szlachetną. Wybrał rodzinę zamiast kłamstwa i zdrady. Szalę przeważyła jednak inna kwestia. Sprawa zaginięcia, jak można by ją nazwać.

Po złotych obrączkach do serwetek zniknął gdzieś naszyjnik z niewielkim diamentem, który Marianna dostała od swojej matki na osiemnaste urodziny. Była przekonana, że klejnot leży w drewnianej szkatułce, którą trzymała w szufladzie z bielizną. Gdy jednak zajrzała do niej podczas porządków, okazało się, że biżuteria wyparowała. Serce Marianny ścisnęło się z żalu. Do dzisiaj pamiętała swój zachwyty, gdy odpakowywała kolorowy papier, w który matka zawinęła prezent. A teraz naszyjnika nie było.

Jednak puzzle zaczęły się składać w całość dopiero, gdy odkryła

kolejną zgubę. Komplet srebrnych sztućców, tym razem spadek po ciotce. Leżał zawsze w kuchennej szufladzie, aż pewnego dnia po prostu zniknął. „Do trzech razy sztuka” – pomyślała Marianna. Po remanencie, jaki przeprowadziła naprędce w mieszkaniu, musiała jednak zweryfikować obliczenia. Okazało się, że jej majątek znacznie się uszczuplił, odkąd wpuściła pod swój dach tego gnojka. Zrobiła nawet listę wszystkich skradzionych przedmiotów. Można było na niej znaleźć między innymi tysiąc złotych odłożone na czarną godzinę i upchnięte w kopercie między książkami, pierścionek zaręczynowy matki czy złote spinki do mankietów po ojcu.

Rzuciła tę listę winowajcy pod nogi, gdy ten skamlał, by nie mówiła jego ślubnej o ich „nic nieznaczącym romansie”, jak się raczył być wyrazić.

– Pieprzony złodzieju! – ryknęła, zupełnie jak nie ona.

Wtedy gnojek przestraszył się nie na żarty. Donos na policję mógł zniszczyć jego karierę. Gdyby do dyrektora gimnazjum doszły słuchy, że profesor od polskiego jest nałogowym hazardzistą, a w dodatku w celu zaspokojenia swojego uzależnienia okrada własną kochankę, byłby skończony. Takie résumé nie wyglądałoby dobrze w żadnych papierach, może z wyjątkiem tych sądowych.

Dlatego Tadeusz nawet nie próbował zaprzeczać, tylko od razu zapewnił, że odda wszystko, co do grosza, a nawet z procentami. I dorzucił kolejną tonę wazeliny. Padł na kolana i teraz to on błagał. By, po pierwsze, Marianna nie mówiła nic Annie. Po drugie, nie zawiadamiała policji. A po trzecie, aby mu wybaczyła, że jest takim gnojem, skurwielem i jakie tam jeszcze inwektywy zdołał wymyślić ten ograniczony w gruncie rzeczy lingwistycznie człowiek. W jednym miał rację: był gnojem. Którego Marianna zamierzała zastraszyć. Chciała patrzeć, jak się wije, jak pełza unurzany w czystym, zwierzęcym strachu przed demaskacją. Miało to być zadośćuczynienie

za jej krzywdy. Tyle jej się należało. Bo policji za żadne skarby świata nie mogła wezwać. Jak by to wyglądało? Już widziała te nagłówki w gazetach, te szeptu zawistnych sąsiadów, te dowcipy aktorów w Uciesze. Ekskwiazda naiwnie wierzyła w miłość, a zostały jej z tego puste szuflady. Taka stara, a taka głupia. Nie mogła sobie pozwolić na kompromitację. Chętnie pogrążyłaby Polaczka, ale tu chodziło o jej honor.

Obmyśliła więc zemstę.

Rozdział 18

PIES NA BABY

Rzucanie oprawionymi zdjęciami przez okno najwyraźniej stało się tradycją w kamienicy pod numerem sto trzynastym. Tym razem fotografia wyfrunęła z parteru. Poszybowała nad głową Szymona Solańskiego, który właśnie próbował wepchnąć worek z odpadkami do zasobnika, i wpadła wprost do kontenera na śmieci.

Tak celny rzut wykonała Brygida Buchta po tym, gdy w kartonie schowanym pod stertą ciuchów w garderobie znalazła owo zdjęcie, jak i stos innych przedmiotów, które z całą pewnością nie należały ani do niej, ani do jej syna. Choć Buchtowa była prostą kobietą, szybko dodała dwa do dwóch i zorientowała się, jak wyglądają sprawy. Przyjrzała się wieszakowi, na którym w rzędzie wisiały klucze do poszczególnych mieszkań w kamienicy, pozostawione u niej przecież tylko na czarną godzinę. Kolorowe breloczki z wypisanymi numerami lokali nie były ułożone w porządku, w jakim je tu zostawiła. Ktoś przy nich grzebał. A jedyną osobą, na którą mogło paść podejrzenie, był Sylwek. To jej pierworodny musiał ukraść sąsiadom te wszystkie rzeczy. Nic cennego, jednak policji mogłoby się to nie spodobać, gdyby ktoś złożył skargę. A na gliniarzy pod swoim dachem Brygida z całą pewnością nie mogła sobie pozwolić. Nie wolno im było rozmawiać z jej synem. Nie mogli nawet dowiedzieć się o jego istnieniu!

Sylwek szarogęsił się po zakamarkach familoka najpewniej pod jej nieobecność. Albo podczas gdy spała. To nasunęło jej na myśl jeszcze

jedną, o wiele bardziej przerażającą konkluzję. Za nic w świecie nie wypowiedziałaby jej jednak na głos. By nie zapeszać. Tak bardzo bała się, że to prawda! Oszukiwała samą siebie. Ale znała przecież przeszłość Sylwka. Wiedziała, czego się wtedy, lata temu, dopuścił. Nie było więc wątpliwości, że historia zatoczyła koło. Była jego matką, musiała go bronić. Za wszelką cenę.

Dlatego należało pozbyć się rzeczy z kartonu. Przeklęła samą siebie za impuls, który kazał jej wyrzucić zdjęcie Marianny Biel przez okno. Wściekłość nie była dobrą doradczynią. Brygida wyjrzała na podwórko. Pusto. W dole trzasnęła brama. Buchtowa przeszła do przedpokoju. Przytknęła oko do wizjera. Najpierw usłyszała kroki, a potem na półpiętrze pojawił się ten pieprzony detektyw. Zastanowiła się, czy mógł zauważyć zdjęcie. Postanowiła jednak odłożyć obawy na potem, teraz miała ważniejsze sprawy do załatwienia. Musiała pozbyć się dowodów. Trzeba było postępować rozważnie i metodycznie, a wtedy nic się nie wyda. Zaglądnęła do kartonu. Fioletowy otwieracz do butelek, szklanka z ciemnego, nietłukącego szkła, jakieś książki, żetony do gry w pokera, instrukcje składania mebli. Nie pojmowała, na jaką cholereę było mu to wszystko. Przez te jego wybryki mogli mieć tylko kłopoty.

Okleiła karton taśmą do pakowania. Wsadziła go do wielkiej reklamówki z logo najpopularniejszego w Polsce dyskontu spożywczego. Sylwek w milczeniu przyglądał się jej poczynaniom. Miał minę winowajcy. Wepchnęła syna do pakamery i przekręciła klucz. Tak było bezpieczniej. Dla niego i dla innych. Wyszła na długi spacer, z którego miała wrócić już bez cięższej jej torby.



– Johan Theorin – upierał się Solański. – Albo Ian Rankin.

Mógłby mi wreszcie przedstawić tych jegomości, a nie tylko o nich gadać, jacy to genialni pisarze. Chętnie bym się z nimi zakumplował, skoro Solański tak ich wielbił. Ale najwyraźniej nie mieli w planach przyjazdu do Chorzowa, a ja do innych krajów na razie się nie wybierałem, bo nie posiadałem paszportu. Niech żałują. Te inne kraje.

– Kiedy ja lubię Lingas-Łoniewską – przekonywała Róża. – I Bulicz-Kasprzak.

Siedzieliśmy przy stoliku w księgarni Wyrazy i toczyliśmy tę kulturalną dysputę o literaturze. Anna Polaczek czytała jakieś tomiszcze przy swoim biurku w oczekiwaniu na klientów. Na Solańskiego i Kwiatkowską oraz ich z reguły puste portfele raczej nie miała co liczyć, bo oboje zamawiali książki w jednej z księgarni internetowych, gdzie w porywach dostawali trzydziestopięcioprocentowy rabat.

– Nie mam pojęcia, kim one są. – Solański się skrzywił. – I czemu każda jedna ma podwójne nazwisko.

– A co ci to przeszkadza? – Róża się naburmuszyła. – One wiedzą, jak wygląda prawdziwe życie. A nie te twoje mordobicia. – Machnęła lekceważąco w stronę *Na krawędzi ciemności* Rankina, które właśnie przeglądał Solański.

Anna poszła na zaplecze, gdzie rozdzwonił się telefon stacjonarny. Hałas wytrącił mnie z letargu, w który zapadałem od natłoku nazwisk i argumentów. Gdyby dali mi do przeżucia jedną czy drugą książkę, tobym im zaraz powiedział, która lepsza. Już nie musieliby się biedzić z tymi swoimi recenzjami godnymi blogerek z gimnazjum, piszących zarówno o książkach, jak i o tajnikach makijażu.

– O, patrz! Anna też wie, co dobre. – Róża podniosła się z fotela. Podeszła do biurka i pomachała Szymonowi przed nosem książką, którą czytała jeszcze przed chwilą Polaczek. – *W niebie na agrafce* –

odczytała z okładki. – Iwona Grodzka-Górnik. Na dźwięk nazwiska autorki Solański wydał usta, co pewnie według niego miało przedstawiać ironiczny uśmieszek, a w rzeczywistości wyglądało jakby przez nieuwagę połknął środek do udrażniania rur i stwierdził, że jednak niedobry.

Skoro panowała moda na podwójne nazwiska, musiałbym zastanowić się, czyby za nią nie podążyć. Gustaw Solański-Kwiatkowski brzmiało całkiem dostojnie. Te onomastyczne rozważania przerwał mi podejrzliwy szept Róży.

– A co jeśli kochanek Marianny mieszkał w tej kamienicy? – wysyczała do Solańskiego, ni stąd, ni zowąd zmieniając temat.

– Skojarzyło ci się z romansami? – Szymon przyglądał się uważnie dziennikarce.

– Pytam tylko, co jeśli. Pomyślałeś o tym?

– I kto niby miałby nim być? – Słyszałem w głosie Solańskiego niedowierzanie. – Hubert gej?

– Syna jakoś zdążył spłodzić. – Kwiatkowska upierała się przy swoim. – Ale wtedy tu jeszcze nie mieszkał, więc powiedzmy, że odpada.

Róża nie oszczędziła nikogo. Przechadzała się od półki do półki i wymieniała potencjalnych podejrzanych o romans z aktorką. Oberwało się wszystkim przedstawicielom płci męskiej, którzy zamieszkiwali pod dachem familoka. Wciągnęła więc na swoją listę zarówno Adama Gierlocha, jak i Tadeusza Polaczka. Znaleźli się na niej nawet Sylwek (choć był o wiele lat młodszy od Biel) i stary Cygan z kamienicy obok, który nader często zakradał się pod sto trzynastkę w celu zawłaszczania znajdujących się tam metalowych odpadów, żeby je potem zamienić na żywy hajs. Dostało się też Wilczyńskiemu, najemcy mieszkania Marianny.

– No co? Mógł przychodzić do niej jak do siebie – przekonywała.

Róża uważała też, że potencjalny kochanek Biel był również jej mordercą. Sądziła, że Marianna odrzuciła jego konkury, w zemście za co ten ją zabił.

– Za dużo romansideł – droczył się z nią Solański. – Pokaż to! – Wyszarpnął Różę książkę Grodzkiej-Górnika.

Tom wyślizgnął mu się z dłoni i z głuchym uderzeniem spadł na podłogę. Wysunęła się z niego zakładka, dość nietypowa. Podszedłem, żeby obwąchać znalezisko, i zobaczyłem, a znad mojego łba zauważyli to też Solański i Kwiatkowska, że zakładkę stanowi fotografia przedstawiająca Mariannę Biel.

– A tej to po co? – zdziwiła się Róża.

Podniosła zdjęcie i obróciła je w dłoni. A potem odczytała nam wykonany czerwonym mazakiem napis: „Tadeuszowi, z wyrazami wiecznej miłości. Marianka”.



2012 rok

Wszystko zaczęło się od trylogii Millennium Stiega Larssona. Miała na zbyciu kilka zestawów w specjalnych kartonowych opakowaniach z twarzami Daniela Craiga i Rooney Mary. Choć od pierwszego wydania książek minęło już tyle lat, wciąż schodziły jak świeże bułeczki. A odkąd w styczniu pojawiła się amerykańska wersja filmu na podstawie pierwszego tomu, klienci przychodzili do Wyrzów i dopytywali o powieść.

Tym razem o trylogię poprosił jakiś chłopak, mógł mieć góra piętnaście lat. A mówili, że młodzież nie czyta, że to zgraja analfabetów wgapiona jedynie w ekrany komputerów. Ten tutaj zadawał kłam fałszywym oskarżeniom.

– Ściągnij sobie zestaw z samej góry – powiedziała Anna i wskazała

na ułożoną pod ścianą piramidkę z książek.

Otworzyła kasę, by wydać chłopakowi resztę. Tak bardzo chciałyby, żeby Ewa też czytała. Choćby to miało być Millennium. Albo nawet to badziewie o wampirach. Jej córka jednak wpisywała się doskonale w smutny obraz niezainteresowanych literaturą nastolatków. Być może na przekór ojcu poloniście.

– Proszę pani, a co to? – Młody klient przerwał jej niewesołe rozważania.

W ręku trzymał jakąś czarno-białą fotografię. Podał jej zdjęcie, z którego uśmiechała się znajoma twarz. Odwróciła je i zobaczyła czerwony napis grubym flamastrem.

– Skąd to wzięłeś? – spytała.

– Było w tym kartoniku. – Nastolatek wskazał na zestaw Larssona, który zdjął ze stosu.

Anna bez słowa wydała mu resztę ze stu złotych i schowała zdjęcie w jednej z tych książek, do których Tadeusz nigdy by nie zajrzał.

Jak się szybko okazało, to był dopiero początek. Wnętrze jej ukochanej księgarni stało się placem manewrów bojowych, co kilka dni natykała się na nową minę. Podejrzenia rozkwitły w niej na dobre. Jej mąż musiał stracić czujność.

Pewnej soboty układała poprzesztawiane przez jakiegoś niechlujnego czytelnika używane książki, wśród których była ulubiona seria reportaży Tadeusza. Otworzyła jeden z nich na stronach z fotografiami ciemnoskórych dzieci, obdartych i wychudzonych, biegnących za kabrioletem. Pociągnęła nosem. Co to był za zapach? Ciężki i mdlący. Kobiece perfumy? Ktoś spryskał nimi karty książki, którą Polaczek czytał już tyle razy, że jej treść mógł wyrecytować z pamięci.

A przecież Anna preferowała lekkie, kwiatowe zapachy.

Potem była sprawa tej szminki, która wypadła z torby Tadeusza,

a on nawet tego nie zauważył. Poturlała się pod ladę, skąd Anna wydobyła ją na klęczkach, brudząc sobie jasne spodnie. Pokręciła złotą oprawką, a z wnętrza wychynęła wgnieciona na kształt półksiężyca czerwona końcówka. Nie jej odcień.

W zasadzie nie miała już żadnych wątpliwości. Tadeusz ją zdradzał. Z tą aktorką, która mieszkała na ostatnim piętrze. W pierwszej chwili była bardziej zdumiona niż oburzona. Przecież ta baba mogła mieć od jej męża dobrą dekadę więcej! Anna coraz bardziej powątpiewała w swoją kobiecość. Początkowe oszołomienie ustąpiło poczuciu upokorzenia. Bo to nawet nie była zazdrość. Co za wstyd!

Anna próbowała nakryć Tadeusza na oszustwie. Polaczek budował wielowarstwowe kłamstwa, a ona już sama nie wiedziała, w co ma wierzyć. No i jeszcze ten hazard. Mówił, że ma zebranie w szkole, a szedł do kasyna. To był jego narkotyk. Czasem wychodził na tym naprawdę dobrze, dzięki czemu mogła prowadzić księgarnię. Dawał jej pieniądze, twierdząc, że dostał premię. Nawet w chwili sukcesu nie potrafił zdobyć się na szczerłość. Bywały też noce, podczas których lekką rączką przehulał całą swoją pensję. Dostawała szału, gdy na koncie bankowym widziała same zera. Ale bardziej od zer raniło ją to, że nie potrafił przyznać się przed nią do uzależnienia. A teraz tak bardzo pragnęła, by te wszystkie wywiadówki znaczyły jednak wizyty w kasynie. Ale one zamieniły się w długie zimowe wieczory, podczas których dwie kondygnacje wyżej jej mąż rznął Mariannę Biel. Nie mieli nawet na tyle przyzwoitości, by wybrać bardziej neutralne miejsce. Hotel, motel, wszystko jedno, byle nie pod jednym dachem z nią i ich córką.

Wiele razy kusiło ją, by po prostu wstać z fotela, zamknąć Wyrazy, wejść na drugie piętro i zapukać do czerwonych drzwi. Co by zrobili, gdyby zobaczyli ją w progu? Zatracała się w domysłach. Zastanawiała się, jak długo jeszcze wytrzyma. Kiedy wreszcie

wybuchnie. I w którą stronę pójdzie fala uderzeniowa.



Róża Kwiatkowska wlokła się w dół estakadą, w ogóle nie zważając na bombardujący ją deszcz. Płaszcz miała rozpięty, a jego pasek ciągnął się po ziemi jak psi ogon. Kwiatkowska miała gdzieś, że nurzał się w kałużach. Miała gdzieś, że ulewa przykleja jej włosy do czaszki, że w butach jej chlupie, a nogawki spodni przysssały się do ud i ziębią. Reasumując, Róża miała wszystko głęboko w dupie.

Ten, którego w dupie nie miała ani trochę, wybył gdzieś tego wieczoru, nie zostawiwszy jej nawet na osłodę psa do popilnowania. „Pewnie poszedł na randkę” – myślała Róża, sama zadając ciosy własnej duszy. Dziennikarka nie znosiła kłamstwa. Dlatego też nie potrafiła oszukać nawet Róży Kwiatkowskiej. Robić sobie złudzeń, że coś wreszcie po tylu latach mogłoby się między nimi wydarzyć.

– Nigdy! – masochistycznie zapewniła samą siebie.

Jakaś drobiąca w przeciwną stronę damulka pod parasolem obejrzała się za Różą. Kwiatkowska uświadomiła sobie, że znów gada na głos. Było jej już wszystko jedno. Powinna dać sobie spokój. Kiedyś była brzydka, ale młoda i głupia, a przez to naiwna. Teraz była już tylko brzydka. Mądrość przydała jej się o tyle, że potrafiła wytłumaczyć samej sobie, iż Szymon Solański, do którego przez wszystkie lata podstawówki, potem liceum, a nawet na studiach wzdychała potajemnie, nigdy nie odwzajemni jej uczuć. Zawsze był jej przyjacielem. I tak już miało pozostać. Jeśli tylko Róża nie wygłupi się i nie zdradzi przed nim ze swoimi durnymi porywami serca. Przecież by ją wyśmiał. A na pewno się spłoszył. I tyle by go widziała. To już wolała mieć go na wyciągnięcie ręki i cierpieć.

W szkole to była rutyna. Zgraja okrutnych z natury bachorów nabijała się z grubej i kostropatej Kwiatkowskiej właściwie każdego

dnia. Solański nigdy do nich nie dołączał. A gdy przesadzali, dawał w mordę, komu trzeba.

Zwieńczeniem upokorzeń Róży była ta cholerna studniówka. Solański pewnie sądził, że Róża o tym nie wie, ale Kwiatkowska nie na darmo hołubiła w sobie wścibską, dziennikarską naturę. Kiedy otrząsnęła się po katastrofie, którą kolejne pokolenia Słowaka jeszcze długo miały wspominać na przerwach w szkolnym sklepiku, przeprowadziła prywatne śledztwo. Dotarła do niejakiego Karola Szczygielskiego, kolegi z równoległej klasy, który pomagał montować kamerzyście film z balu. Grożąc wątłej budowy Szczygielskiemu, że w razie oporu mu zwyczajnie wleje, dowiedziała się, iż materiał filmowy prezentujący ją w wersji człowiek demolka tylko z jednego powodu nie znalazł się na kasetach z relacją ze studniówki, a tym samym w magnetowidach wszystkich stu sześćdziesięciu dziewięciu tamtorocznych absolwentów.

Powód ten nazywał się Solański. Szymon z własnej inicjatywy następnego dnia po studniówce udał się do mieszkania kamerzysty przy ulicy Gałęczki. Wszedł na śmierdzącą moczem klatkę, nacisnął dzwonek i nie czekając na żadne „dzień dobry, pan do kogo?“, wymierzył kamerzyście fangę w nos. „To była czysta prewencja” – poinformował operatora Solański, o czym potem opowiadał Róży przyciśnięty do ściany Szczygielski. Montażysta widział zajście na własne oczy, bo w tym newralgicznym momencie znajdował się w progu kuchni operatora. Przelał właśnie piwo do kufli i zaraz mieli przystąpić do montażu. Na szczęście mama nie nauczyła Karola, że nieładnie jest podsłuchiwać, więc później mógł powtórzyć Róży każde jedno słowo. Solański zapowiedział podobno kamerzyście, że jeżeli kompromitujący materiał ujrzy jednak światło dzienne, nie skończy się tylko na przetrąconym kinolu. Zastraszony operator wolał nie wnikać, na czym się mianowicie skończy. Uwierzył Solańskiemu

na słowo.

Róża miała wtedy dziewiętnaście lat, więc trzeba jej wybaczyć naiwność. Gdy usłyszała o heroicznym wyczynie swojego ukochanego, była przekonana, że teraz to już tylko kwestia czasu, żeby ona i Solański stanęli na ślubnym kobiercu. Sama do dziś zaplawała sobie ze złości brodę na wspomnienie swojej głupoty. Mina zrzędała jej już pierwszego dnia roku akademickiego. Nowi studenci Wydziału Nauk Społecznych, w tym ci z politologii i socjologii, mieli wspólne szkolenie BHP, które polegało na wysłuchiwanie w auli bełkotu jakiegoś leśnego dziada. Kwiatkowska umówiła się więc z Solańskim, że razem udadzą się na to walne zgromadzenie, a być może obalą nawet jakąś flaszkę spod stolika w ostatnim rzędzie. Tymczasem Szymon nie dość, że się spóźnił, to jeszcze przyszedł na spotkanie, trzymając za rękę jakąś chuderlawą szatynkę.

– To jest Joanna – przedstawił dziewczynę Róży z takim zdenerwowaniem, jakby prezentował ją własnej matce.

Róża zachowała zimną krew i nawet trochę pogawędziła z całkiem sympatyczną, niestety, Joanną, którą Solański poznał w czasie wakacji. Jednak podczas wykładu traktującego o odpowiedniej odległości myszki od klawiatury Kwiatkowska wymknęła się z sali. I w wydziałowej toalecie samotnie spożyła zawartość mieszanki wódki z herbatą, który to drink sporządziła własnoręcznie w domu, a następnie przelała go do butelki po coli.

Przez całe pięć lat studiów starała się unikać Szymona jak mogła, a jednocześnie łudziła się, że wreszcie zerwie z tą dziewczuchą i padnie w jej wytęsknione ramiona. Nic takiego jednak się nie wydarzyło.

Za to na piątym roku, tuż przed obroną pracy magisterskiej, Róża znalazła w skrzynce na listy zaadresowaną do niej ozdobną kopertę. Aż ją zmroziło, bo przeczuwała, co jest w środku. I nie pomyliła się

ani trochę. Na czerpanym kremowym papierze wydrukowano eleganckie zaproszenie dla „Róży Kwiatkowskiej wraz z osobą towarzyszącą” na ślub Joanny Dzewit i Szymona Solańskiego, który odbędzie się wtedy a wtedy, a po ceremonii hulaj dusza do białego rana za zdrowie państwa młodych w lokalu rozrywkowym. Kwiatkowska niezwłocznie udała się do pubu Rawa, gdzie wszechobecny papierosowy smród nie pozwalał na głębsze przemyślenia. Wybrała w komórce podany na zaproszeniu numer – specjalnie wykręciła ten Joanny. Rozmowy z Solańskim by nie zniosła. Wymigała się koniecznością wyjazdu na zarobek do Holandii, tłumacząc, że zakupiła już bilet lotniczy i, niestety, nie będzie mogła wodzić za nimi wzrokiem, gdy pójdą w kierunku ołtarza. Nacisnęła czerwoną słuchawkę, po czym uchłała się do nieprzytomności. Dwa dni później tylko cudem – i dzięki wielkiej życzliwości swojego promotora – obroniła pracę magisterską.

A potem było dorosłe życie. Praca, którą tak bardzo polubiła, że ukryła gdzieś głęboko w sobie tę nigdy niezaleczoną ranę. Kilka lat później dowiedziała się o pożarze. Nie zrobiła wtedy nic. Nawet nie zadzwoniła. Bo nie wiedziała, co powiedzieć.

Teraz Solański znów pojawił się w jej życiu, a ona zaczynała zachowywać się jak tamta, kilkunastoletnia Róża. Nienawidziła za to samej siebie. Na szczęście Solański pozostawał mężczyzną, z natury ślepym i głuchym na niuanse. Nigdy nie miał pojęcia o uczuciach targających jestestwem Róży. Traktował ją jak starego kumpla od wódy. I tak miało pozostać, inaczej Róża spaliłaby się ze wstydu.

Zeszła po schodach z estakady i znalazła się przy poczcie. Powłócząc nogami, szła w stronę jedyne miejsce, gdzie mogła teraz znaleźć pocieszenie, któremu na imię było Johnny. Zastanawiała się, jaki kolor etykiety wybierze. Przeszła na drugą stronę Katowickiej i znalazła się pod Teatrem Uciecha. Pomyślała, że powinni wreszcie

porozmawiać z aktorami o śmierci Marianny, choć szczerze wątpiła, by któryś z artystów maczał w tym palce. Intuicja podpowiadała jej, że morderca jest blisko. Tuż za ścianą.

Róża stanęła w ciemności przy kratkach, które zasłaniały witrynę Albionu. Z wnętrza padało ciepłe światło, zachęcające przechodniów do wpadnięcia na jednego w ten deszczowy wieczór. Kwiatkowska już chwyciła za klamkę, gdy coś ją powstrzymało. Przykleiła nos do szyby. Przy barze siedział on. Pieprzony Solański! A obok wdzięczyła się jakaś długonoga blondynka. Zakładała włosy za ucho, obciągała spódniczkę mini, choć na pierwszy rzut oka widać było, że najchętniej od razu by ją zdjęła. Perorowała z przejęciem.

Po twarzy Kwiatkowskiej spływała kropla za kroplą. I nie był to tylko deszcz.



Być może zabrzmieć jak zrzędliva żona, ale uwierzcie mi, że samotne włóczenie się po knajpach nie wychodzi mężczyznom na dobre. Przynajmniej takim jak ja i Solański. Skutkuje ono bowiem natychmiastowym atakiem bandy idiotek. Takich co to ćwierkają nad głową landrynkowym głosem, że łojezujezu, jaki ślicny piesek (w istocie, seplenią). A tak naprawdę myślą sobie, że weź odstaw tego kundla, to pójdziemy do mnie. Jestem w stanie rozpoznać taką flądrę z daleka. Charakteryzuje ją przede wszystkim zasuszenie, wynikłe z tego, że żywi się jedynie powietrzem, najchętniej odtłuszczonym. Ma nienaturalnie duży biust, który w wypadku wbicia szpilki, założę się, zrobiłby psyt! i zniknął. Z twarzy amantki spływa kilo makijażu, który musi nakładać szpachlą murarską. Innej możliwości nie widzę. Dysponuje też służbą, bo nie wyobrażam sobie, żeby mogła chociaż podrapać się własnoręcznie w tyłek z tej długości tipsami przyklejonymi do obgryzionych paznokci. I,

co najgorsze, to kaleczące język polski indywiduum nigdy nie ma nic ciekawego do powiedzenia. A mimo to jadaczka mu się nie zamyka.

Im usilniej Solański taką ignoruje, tym bardziej panienka jest przekonana, że on się tylko z nią droczy. Że udaje takiego niedostępnego. Ale gdyby spojrzała głębiej w jego oczy, to – tak jak ja – dojrzałyby w nich śmiertelne znudzenie. Szymonowi już się nawet nie chciało tych dziewczuch przepędzać. Ale z drugiej strony, czy należało je winić? Przynajmniej próbowały. Tak jak ta blondyna z Albionu. Solański za to nie zamierzał próbować. Już nigdy. Tak mi powiedział w zaufaniu.

Z pubu wróciliśmy w niewesołych nastrojach. Dochodziła północ, a deszcz nie przestawał siec. Cały przemokłem, bo tramwaje nie jeździły i musieliśmy drałować piechotą. Przez ostatni odcinek Solański niósł mnie na rękach. Jednak na trzech łapach nie dawałem rady pokonywać zbyt dużych odległości. Na olimpiadzie bym nie wystartował, chyba że para.

Swoją drogą, powinno się zorganizować, na przykład w Spodku, parawystawę psów. Zamiast tych wszystkich napuszonych, wyszczotkowanych, wykremowanych rasowców wystąpiłyby same kaleki. W kategorii pies bez łapy miałbym duże szanse na podium. Oprócz tego byłyby następujące konkurencje: pies bez oka, z odciętym ogonem, z wózkiem zamiast tylnych łap, głuchy, ślepy, niemowa, z wybitymi zębami. „Taka wystawa – myślałem sobie – byłaby sposobem na popularyzację skutków ludzkiej głupoty i okrucieństwa”. Bo to przecież ludzie psom zgotowali ten los.

Takie niewesołe myśli nawiedzały mnie, dopóki nie schowaliśmy się w cieniu naszej zasikanej bramy. I od razu zaczęło się dziać. Ta kamienica to istny Mordor. Drzwi do piwnicy były uchylone. Ze środka dochodziły przytłumione głosy. Nie po to natura obdarzyła nas uszami, żebyśmy teraz nie podsłuchiwali. Przysunęliśmy się więc

bliżej i rozpoczęliśmy detektywistyczną robotę.

Wyjrzałem zza winkla. Parę stopni niżej siedzieli tyłem do nas Sylwek i Hubert. Ten pierwszy był ubrany w dres i nie przejmował się, że pobrudzi go sobie na zakurzonych schodach. Gierloch rozłożył za to bawełnianą chusteczkę i usadowił się na niej.

– Ale dlaczego? – Hubert popatrywał na Sylwka z ukosa.

Ustawił się do nas profilem. Sylwek też się odwrócił bokiem. Widziałem zakrzywione w tym samym miejscu nosy i głęboko osadzone oczy. Nie było wątpliwości, że mężczyźni są spokrewnieni.

– Sylwek zrobił coś strasznego – rzekł ten młodszy.

– Brygida nie może trzymać cię w zamknięciu! – Hubert podniósł głos.

– Tak jest bezpieczniej.

– Bzdury. Pogadam z nią.

– Sylwek może wyjść, kiedy chce. – Głos Buchty nie brzmiał przekonywająco. – Ale woli nie. Tylko czasem.

Hubert ścisnął oburącz ramiona syna. W tym półmroku słabo widziałem. Jedynie pyłki unoszącego się z podłogi kurzu i bladość bijącą z twarzy mężczyzn. Gierloch wysilił się na prawdziwie ojcowskie kazanie. Tłukł Sylwkowi do głowy, że powinien wyprowadzić się od matki, znaleźć pracę, ożenić się, mieć dzieci, jeździć na wakacje. Jednym słowem: korzystać z tego, co przynosi życie. Czegokolwiek by się dopuścił w przeszłości, nie powinno go to skazywać na siedzenie pod kluczem w garderobie – przekonywał.

– Sylwek ma dziewczynę. – Uśmiechnął się. – Ale nikomu nie mów.

Z tym facetem było naprawdę coś nie tak. Miał trzy dychy na karku, a zachowywał się jak niedorozwinięty gimnazjalista. I co takiego mógł nawyrabiać, że go własna matka trzymała w areszcie domowym?

– Jak długo już tak żyjesz? – chciał wiedzieć Gierloch. Zdawało się, że nie dosłyszał wyznania Sylwka.

– Od piętnastego stycznia dziewięćdziesiątego roku – wyznał bez wahania mężczyzna.

– Miałeś pięć lat – policzył szybko Hubert. – Co się wtedy stało?

– Sylwek musi już iść. – Podniósł się, a my zamarliśmy za drzwiami.

– Czy to problem? – Gierloch złapał go jeszcze za kolano. – Że jestem... No wiesz?

– Nie, tato – odparł.

Rozdział 19

WYKRĘCIĆ KOTA OGONEM

Na ekranie iPhone'a widniała fotografia dawno już niemalowanej ściany. Krzywo i niezbyt sprawnie wypisano na niej czarną farbą słowo najbardziej obelżywe z obelżywych. Róża pokazała Annie następne zdjęcia. Połamane meble, rozbite trofea, zrzucone na podłogę obrazy. I te odchody na kanapie.

– Jakim prawem śmie pani twierdzić, że to moja córka? – Polaczek krzyczała na Kwiatkowską.

– Bo byłam w mieszkaniu Marianny w tej samej chwili co sprawca. I założę się, że to ona. – Wskazała na siedzącą w milczeniu przy stole Ewę.

– Ach, założy się pani? – Anna wzięła się pod boki. – A może to pani dzieło? A na kanapę nasrał ten kundel pani kumpla?!

– Radzę lepiej pogadać z córunią – odparła Róża. – Bo wezwę policję. Już oni będą potrafili znaleźć winowajcę.

Kwiatkowska wyszła z mieszkania Polaczków. Wcale nie była taka pewna, do czego doszliby gliniarze, gdyby zebrali ślady z mieszkania Biel. Przecież ona i Solański myszkowali tam już parę razy. Na nich też mogły paść podejrzenia. Była jednak przekonana, że w lokalu pod piątką nakryła Ewę. Dziewczyna nawet dzisiaj miała na sobie tę samą czarną bluzę co wtedy. Tyle że teraz kaptur nie zakrywał jej głowy. Róża ruszyła do siebie, ale z zaatrzaśniętych drzwi dobiegł ją jeszcze krzyk Anny.

– To ty?! – Polaczek stanęła nad córką z założonymi na piersiach

rękami. – Przyznaj się, bo jak Boga Kocham... – Głos jej się załamał.

– Może i ja! – wybuchła Ewa. I się rozpłakała.

– Dziecko! – Anna załamała ręce.

– Należało się starej kurwie! – wydzierała się przez łzy Ewa. – Chciała mi zabrać tatusia! – Wyglądała teraz jak diablątko. Targała sobie włosy, rozmazywała tusz do rzęs po twarzy.

– Skąd...? – Polaczek zadrżała.

Ewa wiedziała. O nocnych schadzkach ojca z aktorką. O kasynach. O każdym kłamstwie. Nie mogła pojąć, dlaczego Tadeusz postawił tę starą, samotną babę ponad własną rodzinę.

– Bardzo dobrze, że nie żyje! – chlupała Ewa.

– Coś ty najlepszego zrobiła? – zapytała Anna.

Ale tak naprawdę nie chciała poznać odpowiedzi.



No i nagle Róża przestała do nas wpadać bez zapowiedzi, jak to miała w zwyczaju. O dziwo, Solański się zaniepokoił. A już myślałem, że nic nie jest w stanie dotrzeć do jego zakutego łba. Zszedł piętro niżej, zapukał pod czwórkę. Kwiatkowska wprawdzie otworzyła, ale zaraz trzasnęła Szymonowi drzwiami przed nosem. Zdążył tylko usłyszeć, że Róża nie ma czasu i że do następnego. Widocznie Różyczce znudził się wreszcie ten mój gbur. Choć ja podejrzewałem, że są jeszcze inne powody dziwnego zachowania naszej przyjaciółki. Szymon nie wpadłby jednak na nie, nawet gdyby zatańczyły mu nago tuż przed nosem.

Solański tymczasem chciał pogadać o śledztwie. Nie to, żebym ja mu odmawiał usług w tym względzie. Uparł się jednak, że samo merdanie ogonem w odpowiedzi, lizanie po ręce i zostawianie futra na spodniach mu nie wystarczy. Podejrzenia i hipotezy dotyczące dochodzenia rozsadały mu czaszkę. Zafiksował się totalnie

na sprawie niewyjaśnionej śmierci Marianny Biel. Czułem, że jeśli nie rozwiąże tej zagadki, obaj rychło pomrzemy z głodu. Bo Szymon nie będzie potrafił wziąć się do płatnej roboty.

Tego zimnego jak w Suwałkach wieczoru udaliśmy się do siedziby „Chorzowskich Nowin” w nadziei na to, że zastaniemy tam Różę. Kwiatkowska siedziała za swoim biurkiem i mieszała kawę ołówkiem. Oprócz niej nikogo już nie było w redakcji. Zagryzła zęby na ubabranej końcówce z gumką.

– Żesz kurwa, nie wierzę! – ryknęła.

Na tę niespodziewaną deklarację szczerknąłem, dzielając jej oburzenie, czegokolwiek by dotyczyło. Z Różą zgadzałem się w ciemno. Zaraz po mojej wypowiedzi usłyszeliśmy trzask. To drewno otaczające grafit złamało się w zębach Róży. Dziennikarka z nerwów dostała szczękościsku.

– Co tu robicie? – Wypluła drzazgi.

Przetarła ręką usta, rozmazując sobie na twarzy szare plamy. Zerknąłem na monitor komputera. Cały ekran zajmował portret Róży, przy którym gruby zad Bridget Jones zjeżdżający ze strażackiej rury wprost w kamerę był widokiem całkiem przyjemnym. Na zdjęciu twarz Kwiatkowskiej była okrągła, czerwona, tłusta i upstrzona pryszczami. Do tego dziennikarka dostała wytrzeszczu, jakby postanowiła zahipnotyzować fotografa.

– Portret mi grafik umieścił! Na moim redakcyjnym blogu – wyjaśniła. – Dorwę skurwysyna. I zrobię mu kurs Photoshopa – zapewniła Róża i zminimalizowała stronę – który zapamięta do końca swoich dni.

– Musimy pogadać.

Solański zasiadł półdupkiem na krawędzi biurka. Róża wpatrywała się w niego z przestachem. Nie wiem, co ona tam sobie wyobrażała, ale gdy Szymon wreszcie się odezwał, widziałem, że jej ulżyło. Choć

z drugiej strony, dojrzałem w jej oczach cień zawodu.

– Już prawie go mamy. Mordercę.

– A – powiedziała inteligentnie Róża. – Bo ja myślałam...

– Co? – Solański nie za bardzo jej słuchał, pogrążony we własnych myślach.

– Jak tam było w Albionie? – zapytała i od razu zrobiła się różowiotka na twarzy, bo chyba poczuła, że palnęła o dwa słowa za dużo. Ale niepotrzebnie się martwiła. Szymon nic nie wyczął. Jego myśli krążyły wokół zabójstwa.

– Daj spokój, jakieś idiotki... – Nie dokończył zdania.

Popatrzył na Różę, a ta zrobiła się już buraczkowa. Naprawdę mogła wyluzować. Poziom inteligencji emocjonalnej Solańskiego zakrawał na kpinę.

– Masz tu archiwum? – zapytał. – „Chorzowskich Nowin”?

– Jasne! – Róża ucieszyła się ze zmiany tematu. – Który rok cię interesuje?

– Dziewięćdziesiąty. Piętnastego stycznia dokładnie – uściślił Solański.

– Uuu, to nie mam w komputerze.

Jak się okazało, numery „Chorzowskich Nowin” archiwizowano elektronicznie od dwutysięcznego roku. Wszystko, co wcześniejsze, pozostawało w wersji papierowej, pochowane w redakcyjnych piwnicach.

– A co? – chciała wiedzieć Róża.

Otworzyła szafę i zanurkowała w jej wnętrzu. Stękała przy tym, sapała i złorzeczyła, ale wreszcie odnalazła to, czego szukała.

– Tu jesteś, mały ćwoku. – Pokazała nam klucz, za pomocą którego można by zamykać księżniczki w zamkowych wieżach.

W drodze do piwnicy Solański zrelacjonował Różę podsłuchaną przez nas rozmowę Huberta z Sylwkiem.

– Coś ważnego wydarzyło się tego dnia. – Solański pstryknął włącznik światła. Weszliśmy do piwnicy. W porównaniu do tej naszej w familoku ta tutaj wyglądała jak apartamenty hotelu Monopol w Katowicach. Brudno było, i owszem. Ale przynajmniej podłogę wyłożono kafelkami, a ściany pomalowano na żywy, pomarańczowy kolor. – A wy mogliście o tym napisać – dokończył myśl.

– W dziewięćdziesiątym to ja jeszcze w zerówce kiblowałam – uświadomiła Solańskiego Róża. – A „Chorzowskie Nowiny” dopiero stawiały pierwsze kroki. Ale możemy spróbować.

Przeszliśmy wąskim korytarzem do samego końca. Kwiatkowska otworzyła jedno z pomieszczeń. Uderzył mnie w nozdrza smród stęchlizny i wilgoci. Weszliśmy do środka. Wokół nas przy wszystkich ścianach aż po sufit piętrzyły się metalowe regały, na których stosami zalegały kolorowe segregatory. Szymon podszedł do jednej z półek i przyjrzał się opisanym grzbietom teczek.

– Coś się tu nie zgadza – mamrotał.

– Pokaż. – Róża zajrzała mu przez ramię. Zerknęła na kilka innych półek.

– Jakiś gamoń to wszystko wymieszał! – oznajmiła z rozpaczą.

Segregatory wyglądały na powrzucone na chybił trafił. Czułem, że czeka nas katorżnicza robota. Uznaliśmy jednak, że nie będziemy się poddawać. Bo, jak nauczyliśmy się z Różą z filmu *Mała miss*, na tym świecie istnieją albo wygrani, albo przegrani. A przegrani to ci, którzy nawet nie próbują. Stwierdziliśmy, że podejziemy do sprawy metodycznie. Będziemy przeglądać teczkę za teczką, aż odnajdziemy tę właściwą. Znaczący oni będą. Ja zobowiązałem się warować przy drzwiach. Szybko jednak przysnąłem, więc umknęła mi najnudniejsza część operacji. Obudził mnie trzask. To Róży spadł na głowę segregator. Kwiatkowska rozcierała guza, międląc w ustach

wyzwiska, a ja rozejrzałem się po ciasnym pomieszczeniu. Te dwie łajzy zrobiły tu niezły bajzel. Na miejscu Róży nic bym nie sprzątał, tylko zamknął piwnicę, a klucz wrzucił do Rawy. Albo połknął. Pozostawała nadzieja, że przez najbliższe lata nikt nie będzie chciał zaglądać do archiwum i nie odkryje tego, co tu urządzili.

Solański sięgnął po teczkę, która zaatakowała Różę.

– Bingo! – ucieszył się, patrząc na przykurzoną okładkę.

Nie zdążyliśmy jednak sprawdzić szczegółów, bo – masz ci pech – zgasło światło. A potem gdzieś w oddali zazgrzytał klucz w zamku.

– Co, do cholery? – rzuciła Róża.

Nie czekała jednak na odpowiedź, tylko wymacała w torebce zapalniczkę. Pstryknęła. Żółty płomień przegonił ciemność. Twarze Kwiatkowskiej i Solańskiego wyglądały tak, jakby zabrali się właśnie do wywoływania duchów. Na tę myśl ścierpła mi skóra. Solański zamachnął się i wytrącił Róży zapalniczkę z ręki. Znów otoczył nas mrok.

– Psiakrew! – zawyła Róża, bo się poparzyła. – Sorry, Gutek – zwróciła się do mnie, sądząc pewnie, że psie przekleństwo uraziło moją wrażliwą duszę.

No bo sami powiedzcie, czym my, biedne psy, zasłużyliśmy sobie na taką litanię? Psia twoja mać. Pogoda pod psem. Nienawidzić kogoś jak psa. Zimno jak w psiarni. Zejść na psy. (Moim zdaniem niejednemu by się przydało). I najlepsze: Łże jak pies. Czy kto widział kiedyś, żeby jakiś pies kłamał? To było wbrew logice i rozsądkowi.

– To niebezpieczne – tłumaczył się ze swojego zachowania skrepowany Szymon. – W zamkniętym pomieszczeniu.

Tak więc znaleźliśmy się w czarnej dupie. Świecąc sobie telefonem Szymona (przeciwko temu Solański na szczęście nic nie miał), podążyliśmy do wyjścia. Solański ścisnął pod pachą odnaleziony

segregator. Doszliśmy do drzwi. Szymon szarpnął klamkę, ale ta nie ustąpiła. Nacisnął włącznik światła, lecz nie doczekał się rezultatu. Ktoś nas zamknął na klucz w piwnicy.

– Ten półgłówek, cieciu – wyjaśniła Róża.

Katastrofa była wielopoziomowa. Po pierwsze, wspomniany pan cieciu nie sprawdził nawet, czy kogoś nie ma w podziemiach, i zamknął drzwi na górny, rzadko używany zamek, do którego my nie mieliśmy klucza. Po drugie, ten sam nadgorliwiec musiał wyłączyć korki odpowiadające za prąd w tej części budynku. Oczywiście skrzynka z bezpiecznikami znajdowała się na zewnątrz, poza naszym zasięgiem.

– Wziął sobie do serca teksty starego o oszczędnościach. – Kwiatkowska zgłębiała meandry duszy stróża.

Byliśmy więc odcięci w tych kazamatach. I tu właśnie przyszedł czas na „po trzecie”. No więc po trzecie, ów cerber – według Róży – miał się tu zjawić dopiero rano, kiedy to przeprowadzał obchód przed powrotem do domu po zakończeniu swojej zmiany. Ryczeń po pomoc też nie mieliśmy po co, bo dziad był głuchy, a do tego pił na służbie, co skutecznie obezwładniało wszelkie jego zmysły.

– Wytrych! – Solański przypomniał sobie o zawartości swojego portfela, która mogłaby zainteresować niejedne organy ścigania.

Kazał Róży świecić sobie telefonem. Wetknął drut w ten drugi zamek. Przekręcił. I złamał wytrych w pół. No to pozamiatał. Wyciągnął uszkodzone żelastwo z zamka. Próby wyważania drzwi poprzez wpadanie na nie z rozbiegu całym ciężarem ciała również nie przyniosły pożądanego rezultatu.

– Weź zadzwoń po pomoc. – Szymona znowu olśniło.

Jednak Róża nie musiała nawet spoglądać na wyświetlacz komórki. Dobrze wiedziała, że w piwnicy nie ma zasięgu. Pozostawało nam rozgościć się tu na dobre i jakoś przetrwać do rana.

Nie ciągnęło nas jednak, żeby zwiedzać lochy, dlatego wybraliśmy najprostszą z opcji i po prostu usiedliśmy na ziemi pod ścianą.

– Ale ze mnie głąb! – stwierdziła nagle Róża i pacnęła się otwartą dłonią w czoło.

Poczęła gmerać w swojej komórce, aż wreszcie mrok rozjaśniło światło latarki.

– Takie wynalazki! – Poświeciła Szymonowi w oczy. – Zmieniłbyś wreszcie tego starego grzmota. – Skierowała snop światła na jego obtłuczoną nokię.

– Dawaj! – zażądał Solański. – Poczytamy.

W segregatorze bez trudu odnaleźli jeden z pierwszych numerów „Chorzowskich Nowin”, obejmujący opis wydarzeń z tygodnia, na który przypadał 15 stycznia 1990 roku. Gazeta pożółkła. Krzywa czcionka wyglądała tak, jakby zecer składał ją literka po literce. Zdjęcia były ziarniste, czarno-białe.

– Co tam jest? – dopytywała się Róża, bo jej Solański zasłaniał łokciem.

Detektyw przewracał ostrożnie strony. Nie wczytywał się w artykuły. Polował niczym jastrzęb na tę jedną informację.

– Jakies bzdzioly o Ruchu Chorzów – mamrotał.

Kibicem piłkarskim to on nigdy nie był.

– Samorząd, Solidarność, strajki – czytał dalej nagłówki. – Jest!

Rozłożył gazetę na ziemi. Nachyliliśmy się nad nią we trójkę. Solański czytał na głos krótką notatkę prasową. Nosila znaczący tytuł: *Śmierć sztygara*.

– „W zeszły poniedziałek, 15 stycznia, doszło do tragedii przy ulicy 11 Listopada w Chorzowie. W piwnicy domu pod numerem 113 został znaleziony martwy Edward Buchta (35 l.), sztygar pracujący w KWK Barbara-Chorzów. Ofiara zmarła od rany kłutej, najprawdopodobniej zadanej pogrzebaczem. Z pierwszych ustaleń policji wynika, że był to

nieszczęśliwy wypadek”.

– O ja cię pierdaczę! – Róża otworzyła na oścież buzię, co i ja uczyniłem. – Coś za dużo tych nieszczęśliwych wypadków pod jednym adresem.

– Od tego dnia Brygida trzyma swojego syna w komórce – dodał Solański.

Dostałem nerwowych drgawek, bo nagle uświadomiłem sobie, że przecież ja też znajduję się właśnie w piwnicy. Wprawdzie nie tej samej, ale jednak. Wlazłem Solańskiemu na kolana i odmówiłem ruszenia się stamtąd choćby o milimetr.

– Nie bój się. – Poklepał mnie po łbie.

Łatwo mu było mówić. On najwyraźniej nie miał tak wybujałej wyobraźni jak ja. Już widziałem zakradającego się do nas mordercę. Już mi błyszczało przed oczami ostrze wbijanego we mnie noża. Próbowałem uciekać, ale nie mogłem biec. Zupełnie tak samo, jak to się czasem w snach dzieje. Próbowałem krzyczeć, ale nie potrafiłem wydać z siebie najcichszego dźwięku. Wreszcie zawyłem.

I wtedy się obudziłem. Wciąż leżałem na wyciągniętych nogach Solańskiego. Mój pan pochrapywał równo, oparty o ścianę. Na jego ramieniu głowę wsparła Róża i też spała w najlepsze. Ślina spływała jej ciurkiem po brodzie. A morderca zbliżał się naprawdę! Słyszałem go za drzwiami! Z tych nerwów rozszczękałem się na całego. I brzmiałem naprawdę groźnie.

– Co za pieron? – Dobiegło mnie z korytarza.

Swoim brawurowym zachowaniem zwróciłem uwagę nie tylko zabójcy, ale i moich towarzyszy, którzy pobudzili się ze snu. Od razu było mi raźniej. Poderwałem się na równe nogi i dopadłem do drzwi. Za mną podążyła Róża. Zaczęła walić w nie pięściami.

– Panie Achimie! Otwieraj pan! To ja, Kwiatkowska! – darła się.

Pan Achim, zwany wcześniej cieciem, pobrzęczał kluczami

i wypuścił nas na wolność. Nie skomentował tego, co zobaczył, ani jednym słowem. Przetarł tylko oczy. Chuchnął sobie w dłoń i powąchał oddech.

– Więcej nie piję! – obiecał solennie.

Rozdział 20

JAK MYSZ POD MIOTŁĄ

Jeszcze bardziej niż brania udziału w konfrontacjach nie lubił stawać się ich mimowolnym świadkiem. Nawet gdy nie został zauważony przez żadną ze stron sporu, czuł się zażenowany. Tak było też i tym razem.

Przyszedł do Wyrazów w poszukiwaniu kryminałów Roberta Galbraitha, pod którym to pseudonimem ukrywała się Joanne Rowling, twórczyni przygód Harry'ego Pottera. Nie żeby chciał tu kupić jej powieści. Solański podpatrzył tę metodę – za którą pewnie zwolennicy ustawy o stałej cenie książki skazaliby go na szafot – u swojej koleżanki z dawnej pracy, sierżant Kamieńskiej. Tej samej, która wyśledziła na Facebooku złodzieja samochodów. Kamieńska to była niezła laska. Choć na co dzień musiała ubierać się w służbowe ciuchy, rekompensowała to sobie drogimi dodatkami. Szpilki, torebki, biżuteria. Laik pokroju Solańskiego nie odróżniłby ich od akcesoriów kupionych w sieciówce. Jednak gdy Szymon pewnego dnia stanął za plecami koleżanki, kiedy ta z zapartym tchem przeglądała jakąś stronę internetową, oniemiał. Był przekonany, że sprzedawcy powpisywali w rubrykach z ceną przynajmniej o dwa zera za dużo. Sierżant Kamieńska otworzyła jednak Solańskiemu oczy na kwestię handlu.

– Tu jest o parę stów taniej niż w zwykłym sklepie. – Popatrzyła na niego z pobłażaniem.

A potem wyjaśniła, jak wygląda procedura. Najpierw Kamieńska

szukała interesującej ją rzeczy w Internecie, wypatrując najniższej ceny. Następnie szła do firmowego butik, najczęściej w katowickiej Silesii, gdzie prosiła ekspedientkę o odpowiedni rozmiar. Przymierzała upragnione buty czy bluzkę. Jeżeli rzecz spełniała jej oczekiwania, oświadczała sprzedawczyni, że jest wręcz przeciwnie, i wychodziła ze sklepu z niczym. Potem, jeszcze na parkingu w samochodzie, przez iPhone'a zamawiała rzecz na aukcji. Nawet z kosztem dostawy wychodziło taniej, choć wciąż ceny były jak z kosmosu. Kamieńska mogła sobie jednak na taki kaprys pozwolić, ponieważ miała bogatego męża, przedsiębiorcę z branży budowlanej.

Solański nie marzył o nowych szpilkach ani o torebce, za to nałogowo kupował książki. Gdy zapragnął mieć jakiś niedostępny tytuł, wypożyczał go z biblioteki i nigdy nie zwracał. W większości śląskich placówek był już wpisany na czarną listę. A raczej nie on, tylko jego ojciec, którego dane personalne Szymon bezczelnie wykorzystywał przy rejestracji. Gdyby wreszcie któraś z bibliotek nastąpiła na Janusza Solańskiego windykatorka, ten z pewnością nic by nie wskórał u eksmilicjanta.

Solański miał swoje zasady. Kradł tylko te książki, których nie mógł kupić. Metoda Kamieńskiej przydawała mu się w przypadku tytułów, co do których nie miał pewności, czy przypadną mu do gustu. Nauczył się już nie ufać krytykom, a internetowe recenzje rzadko można było nazwać szczerymi opiniami. Szymon szedł więc do stacjonarnej księgarni, gdzie zapoznawał się z kilkoma rozdziałami książki. Jeśli czuł się usatysfakcjonowany, odkładał tom na półkę, po czym zamawiał go internetowo.

Dzisiaj postanowił rozstrzygnąć swoje wątpliwości dotyczące *Wołania kukułki* i *Jedwabnika* Galbraitha. Detektyw obawiał się, że lektura będzie infantylna, że przy czytaniu cały czas będzie miał przed oczami twarz Daniela Radcliffe'a w okrągłych okularkach.

Zszedł więc do Wyrazów, bo podczas ostatniej wizyty zauważył u Polackowej obie części przygód Cormorana Strike'a. Za ladą siedziała Ewa. Nie zwróciła uwagi na jego wejście, pogrążona we własnych, sądząc po kwaśnej minie, niewesołych myślach. Zapuścił się w labirynt regałów. Wygrzebał książkę z dolnej półki. Usiadł na stojącym w zakamarku pufie i pogrążył się w lekturze. Zupełnie stracił poczucie czasu. Od śledzenia akcji w mrocznych uliczkach Londynu oderwał go dopiero dzwonek nad drzwiami, który obwieścił przybycie nowego klienta. Solański ze swojej pozycji nie dostrzegł, kto to. Uświadomił też sobie, że sam nie był widziany z wnętrza księgarni. Już chciał powrócić do czytania, gdy usłyszał szybkie kroki, trzask wewnętrznych drzwi i zdecydowany głos Anny Polaczek.

– Gdzie są pieniądze?

– O co ci chodzi? – To był Tadeusz.

Solański ostrożnie przesunął jedną z książek na dolnej półce regału oddzielającego go od sklepu. Wyjrzał przez utworzoną szparę. Ewa wciąż siedziała za ladą. Wpatrywała się nienawistnym wzrokiem w rodziców. Ci stali naprzeciwko siebie, niczym zły szeryf i dzielny kowboj tuż przed ostateczną strzelaniną pod koniec westernu.

– Gdzie kasa na obóz dla Ewy? – rzuciła Anna.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparł Tadeusz, ale jasne było, że jest wręcz odwrotnie.

– Ja tam wcale nie chcę jechać! – Ewa huknęła pięścią w ladę.

– Właśnie że pojedziesz. – Zabrzmiało to jak wyrok. Bez apelacji. – A ty – wskazała na męża – może mi wyjaśnisz, co to jest?

Z plastikowej reklamówki wysypała na stół stos przedmiotów. Na blacie leżały sztucce.

– Widelce? – odparł głupio Polaczek.

– Srebrne. Z wygrawerowaną inskrypcją. – Anna cedziła słowa. –

Dla Rozalii i Pawła Bielów. Ty nie masz na imię Paweł! – Teraz już krzyczała. – A ze mnie żadna Rozalia! – W Annie coś pękło. Miarka się przebrała. – Nie dało się ich sprzedać? – Pchnęła stolik. Sztucce posypały się z brzękiem na posadzkę.

– Za mało dawali – poskarżył się Polaczek.

– Nie wierzę! – Anna chwyciła się za głowę. – To dlatego posuwałeś tę starą raszplę? Żeby ją okradać?!

Tadeusz próbował uspokoić żonę. Anna rzucała oskarżenia na ślepo, ale było widać, że celuje w sam środek tarczy. Krążyła po księgarni. Ściągała z półek co grubsze tomy i ciskała nimi z impetem o ziemię. Polaczek dreptał za żoną krok w krok i biadolił, żeby ciszej, że dziecko, że sąsiedzi.

– Teraz to dziecko?! – wrzasnęła Anna.

Stała niebezpiecznie blisko kryjówki Szymona. Solański wstrzymał oddech. Najchętniej zapadłby się pod ziemię, byle tylko nie został zauważony.

– Ona nic dla mnie nie znaczyła – rzucił banałem Tadeusz i chyba sam zdał sobie sprawę, że nie zabrzmiało to zbyt dobrze.

Szymonowi ścierpły już nogi. Kolana miał pod brodą. Pasek od spodni wrzynał mu się w miednicę. Puf był naprawdę niewygodny. A książka Galbraitha przegrała w konkurencji z rzeczywistością.

– Próbowałem się leczyć. – Polaczekowi załamał się głos. – Z hazardu. Byłem u specjalisty.

– A z kurewstwa? – Na Annie deklaracja męża nie zrobiła wielkiego wrażenia.

Ewa śledziła rozgrywkę między rodzicami. Jej oczy przypominały piłeczki do tenisa przeskakujące od zawodnika do zawodnika. Anna usiadła w fotelu. Schowała głowę w ramionach. Gdy ponownie się wyprostowała, jej głos był wyzuty z emocji.

– Pójdiesz na leczenie – oznajmiła Tadeuszowi. – Jeśli nie, z nami koniec.

Polaczek w odpowiedzi wytarł nos w rękaw swetra.

– A ty pojedziesz na ten pieprzony obóz – zwróciła się do Ewy.

Córka patrzyła na matkę ze swego rodzaju podziwem. Polaczkowa przejęła stery. Takiej jej Ewa nie znała.

– I przysięgam, jeśli któreś z was ma coś wspólnego ze śmiercią tej cholernej aktorki... – Nie wiedziała, jak dokończyć zdanie.

Jednak nie była taka twarda, na jaką pozowała.

Solański nie lubił udziału w konfrontacjach. Jednak z tej dowiedział się aż nadto o swoich sąsiadach.



„Wyprzedaż garażowa” – głosił napis na dykcie przymocowanej do kawałka deski, którą wbito w ziemię. Rozciągający się za garażami trawnik na tyłach naszego podwórka cały był zastawiony wszelkiej maści gratami. Meblami, naczyniami, ubraniami. Wydawało mi się, że część tych rzeczy już gdzieś widziałem. Na przykład ten szary fotel. Wyglądał na całkiem nowy. Postanowiłem złożyć swoją ofertę kupna. Podszedłem do mebla, wybrałem jedną z drewnianych płóz i podniosłem kikut.

– Solański, bierz tego kundla! – wydarł się Hubert.

Pojawił się znikąd. Oskoczyłem na bezpieczną odległość. „A ten tu co?” – zastanowiłem się. Może chciał kupić fotel i bał się, że go przelicytuję? Szybko jednak zweryfikowałem swój osąd. Gierloch chodził od bambetla do bambetla, ustawiał je według swojego widzimisię, poprawiał zawieszki z ceną. On tu robił za sprzedawcę! „Ładne kwiatki” – pomyślałem.

I wtedy o mało nie staranował mnie kolejny delikwent żywo zainteresowany wyprzedażą.

– Mój fotel! – Adam biegł w stronę mebla, który przed chwilą chciałem obsikać.

Zasiadł w nim, broniąc przed potencjalnymi kupcami. A miał się czego bać, bo chętni krążyli między prowizorycznymi stoiskami. Było ich całkiem sporo, gdyż przed kwadransem skończyła się msza w Świętym Józefie. Wierni prędko zwietrzyli okazję. Wieść gminna rozniosła się, zanim jeszcze wikary zdążył powiedzieć pożegnalne amen. Tłumy przydreptały tu prosto z kościoła. Jakaś starsza pani w długim beżowym płaszczu obracała w rękach błękitny wazon.

– To po ile? – zagadnęła Huberta.

– Jak dla pięknej pani dwie dyszki. – Gierloch wyszczerzył się w fałszywym grymasie wytrawnego handlarza.

Kobieta sięgnęła do torebki w poszukiwaniu pieniędzy. Zdobywczy fant dała na przechowanie mężowi. Nie zdążyła jednak zapłacić, bo w jej stronę rzucił się jakiś chuderlawy i żylasty jegomość. Szczupakiem wbił się między nią a jej ślubnego i wyrwał mężczyźnie wazon z objęć. Naczynie wyslizgnęło mu się jednak z rąk, wybiło w górę, poszybowało wysoko nad głowami zgromadzonych, po czym z brzękiem wylądowało na chodniku. Po wazonie została jedynie mozaika błękitnych odłamków.

– Mój wazon! – chlpał Adam.

– Panie, co pan? – Mąż tej beżowej wkurzył się i zasadził Gierlochowi kopniaka między żebra. Mężczyzna wylądował na ziemi obok wazonu.

Starsi państwo odeszli w swoją stronę. Szymon pomógł aktorowi się pozbierać.

– Nie wiedziałeś o tym... bazarku? – zdziwił się Solański.

Do Adama jednak nic nie docierało. Był w amoku. Wziął rozbieg i rzucił się na plecy stojącego do nas tyłem Huberta. Zawisł na bracie, wrzeszcząc mu do ucha:

– Moje meble! Ja je kupiłem!

Hubert z łatwością strząsnął z siebie bliźniaka.

– Pomyślałem, że przyda nam się gotówka – wyjaśnił jakby nigdy nic, nachylając się nad leżącym na plecach Adamem. – A na pewno przyda się ona mnie. Muszę z czegoś zapłacić mecenas Potomek-Chojarskiej za to, że pomoże mi cię wysiudać z mieszkanca.

– A to jest mamusi!

Adam podczołgał się do rozłożonej na ziemi ceraty. Leżały na niej oprawione w ramki ręczne wyszywanki. Przedstawiały egzotyczne pejzaże. Te wszystkie palmy i zachody słońca nad oceanem dla ich autorki były pewnie dostępne tylko w formie haftu krzyżykowego.

– Po pierwsze, mamusi jest już wszystko jedno. – Hubert z przekąsem wypowiedział tę „mamusię”. – A po drugie, i tak nikt nie chce tego szkaradztwa kupić, więc się nie gorączkuj.

Adam rzucał się od jednej rzeczy do drugiej. Próbował odstraszać gapiów, szczerząc na nich zęby i warcząc. Zupełnie się pogubił.

– Chodź, pomogę ci. – Solański pociągnął go za łokieć.

Szymon podniósł fotel, Adam wziął komplet naczyń. We dwójkę zanosili rzeczy do mieszkania Gierlochów. Brali po tyle, ile zdołali udźwignąć. Ja stałem na straży i gotowy byłem zagryźć każdego, kto chciałby kupić coś od Huberta. A on swojego brata może i by przegonił, jednak Solańskiemu z jakichś powodów wolał się nie stawiać. Przeliczył lichy plik banknotów, które już udało mu się zgarnąć, i zniknął gdzieś za garażami.

Tej wyprzedaży nie można było zaliczyć do udanych. Ani dla kupujących, ani dla sprzedającego.



Kupiła pronto do walki z kurzem. I nową ściereczkę z mikrofibry. Ściągała ze ściany każde zdjęcie, psikała w pokrywające je szkło płynem, przecierała szmatką. Przeglądała się we własnych odbiciach, już dawno nieaktualnych.

Od zeszłego poniedziałku czuła się jeszcze gorzej. Pani dyrektor zaprosiła ją na rozmowę do swojego gabinetu. Marianna od lat nie dostała porządnej roli. Pomyślała, że to teraz, że wreszcie będzie przełom. W końcu Milena Świerszcz wpuszczała aktorów do swojego centrum zarządzania tylko w ważnych sprawach.

Marianna weszła na czwarte piętro po schodach, zrezygnowała z windy. W ręku niosła słoik owinięty w kraciastą serwetkę i przewiązany kokardką. W środku był jej specjał: konfitury z malin. Przyrządzała je późnym latem i przechowywała w piwnicy. Na długie zimowe wieczory były jak znalazł. Wybrała największy słoik. Chciała go podarować dyrektor Świerszcz w podziękę za jeszcze jedną szansę. Naprawdę miała już dosyć grania ogonów. Nie dość że pojawiała się na scenie średnio trzy razy w miesiącu, to jeszcze dostawały jej się same tyły, chórki, zbiorówki. Dobrze, że Świerszcz to wreszcie zauważyła. Talent Marianny Biel nie powinien być marnotrawiony. Pewnie widzowie dopytywali, gdzie podziąta się ich ulubienica, i stąd decyzja pani dyrektor.

Sekretarka Jola na widok aktorki machnęła tylko ręką w kierunku wielkich, obitych skórą drzwi gabinetu. To znaczyło, że Świerszcz już na nią czeka. Marianna nie miała jak zapukać w miękkie obicie, więc nacisnęła klamkę. Wsadziła głowę przez szparę. Świerszcz siedziała za biurkiem. Wyglądała przez jedno z okien zabytkowej wieżyczki wznoszącej się u zbiegu ulic Katowickiej i Konopnickiej, którą dyrektorka zaanektowała na swoje biuro. Nogi obute w czarne szpilki z czerwonymi podeszwami ułożyła na blacie biurka.

– To ja. – Marianna przekroczyła próg.

– Proszę wejść i usiąść, pani Marianno. – Świerszcz zdjęła nogi ze stołu. – Napije się pani kawy? – zaproponowała.

Nie czekając na odpowiedź, nacisnęła guzik przy telefonie i zaordynowała:

– Jolu, przynieś pani Mariannie kawę.

Biel usiadła w fotelu. W rękach ścisnęła słoik z konfiturami. Kawa oznaczała, że wszystko szło po jej myśli. Nie proponuje się kawy komuś, kogo chce się odprawić z kwitkiem. To były takie małe znaki, które pozwalały przewidywać najbliższą przyszłość. A ta pisana jej zapowiadała się całkiem nieźle. Rozejrzała się po gabinecie. Skórzane sofy, reprodukcje impresjonistów w antyramach, plakaty z premierowych musicali Uciechy, czarno-białe zdjęcia Królewskiej Huty, jak niegdyś nazywano Chorzów. Na podłodze miękka, puszysta wykładzina w kolorze amarantu. Wszystko tu było urządzone elegancko i z klasą. Bo taka też była Milena Świerszcz. Ceniła tylko to, co najlepsze. Nic więc dziwnego, że i Mariannie postanowiła okazać szacunek.

– Nie sądzi pani, że to już pora? – zapytała z uśmiechem Świerszcz, gdy sekretarka opuściła gabinet z pustą tacą po kawie.

O dziwo, Jola nie podała mleczka ani cukru. Marianna jakoś musiała przełknąć gorzką czarną.

– Jak najbardziej. – Biel się uśmiechnęła. – Udowodnię, że jestem jeszcze warta miana gwiazdy. – Wiedziała, że to brzmi nieskromnie, ale który aktor przejmowałby się skromnością. – Dawno nie miałam okazji... – Trochę się jąkała. Mogła bez mrugnięcia okiem występować przed tłumami, a właśnie w tym małym gabinecie zżerała ją trema. – Ale jestem gotowa na dużą rolę! Co pani dla mnie ma?

Świerszcz wyprostowała się w fotelu. Patrzyła na Mariannę, a jej mina świadczyła o nieporozumieniu. Podrapała się z zażenowaniem w zmarszczone czoło.

– Proszę posłuchać – zaczęła niepewnie. – Chyba nie wszystko jest jasne.

– Nie? – Marianna dopiero teraz zorientowała się, że coś tu nie gra. Ta czarna kawa. I mina dyrektorki. Przepraszająca. Marianna nie chciała, żeby ją przepaszano.

– Myślę, że powinna pani przejść wreszcie na emeryturę – powiedziała Milena Świerszcz. – Oczywiście zwolnimy panią tylko na pani wniosek. Ale sama pani rozumie, jaka jest sytuacja.

Dyrektorka znów uśmiechnęła się ze skruchą. Mariannie Biel nie było jednak wcale do śmiechu. Konfitury zabrała z powrotem do domu.

Marianna polerowała teraz swoje portrety i rozmyślała o przemijaniu. Jej uroda dawno już zgasła. A jak było z talentem? Termin przydatności został przekroczony. Straciła ochotę na życie. Bo jak bardzo szara czekała ją egzystencja? Jedyne, co ją trzymało przy zdrowych zmysłach ostatnimi laty, to te nieliczne występy na scenie Uciechy. A teraz zabrano jej i to. Na początku jeszcze miała nadzieję, że emerytura nie oznacza całkowitego pożegnania się z teatralnymi deskami. Jednak Świerszcz doprecyzowała swoją decyzję: żadnego grania. Nie w Uciesze. Zbyt wielu młodych aktorów nie miało ról. Musiała zwolnić miejsce.

Marianna domyślała się, jak to teraz będzie. Gdy przestajesz wychodzić do ludzi, szybko o tobie zapominają. Nikt do niej nie zajrzy, no może z wyjątkiem listonosza i inkasenta. Nikt nie zadzwoni – prócz akwizytorów telefonii komórkowych. Nikt już o niej nie napisze w gazecie, nie zrobi jej takiego zdjęcia, jakie właśnie pucowała do połysku. Czekają ją jedno wielkie nic.

Z tego wszystkiego straciła nawet ochotę na dręczenie Polaczka. Od roku regularnie zachodziła do Wyrazów i podrzucała tropy. Ślady, które dla każdej kobiety byłyby oczywiste. Zostawiała je między

kartkami książek, pod ladą, między regałami. Ale Anna nie była spostrzegawcza. Albo wolała nie być. Nawet tę radość z zemsty na kochanku jej odebrano.

Jeszcze raz przetarła szmatką swój portret. Mogła mieć na tym zdjęciu z trzydzieści lat. Wyglądała zupełnie jak nie ona. Nie było porównania z dzisiejszym odbiciem w lustrze. Przycisnęła ścierkę mocno do szybki, aż pobielaty jej palce. A potem napluła sobie sprzed ponad dwóch dekad prosto w twarz.

Rozdział 21

NIE DLA PSA KIEŁBASA

Sierpień 2015 roku

Zapadał zmierzch. Ciepły, przesiąknięty zapachem odchodzącego już powoli w niepamięć lata. Wyliniały na co dzień i upstrzony psimi odchodami trawnik sprawował dziś reprezentacyjną funkcję. Rozstawiono na nim podłużne stoły przykryte obrusami. Na nich rozłożono jedzenie i picie. Chleb, warzywa, pojemniczki z dipami, miseczki z sałatką, kiełbaski, herbatniki, owoce, słodkie napoje i butelki wina. Z kilku przenośnych grilli dochodziły smakowite zapachy. Wokół palenisk gromadziły się biegające na bosy dzieci i okoliczne psy. Pewnie te same, które zazwyczaj zamieniały skwer w zwierzęcy szalet. Wokół na latarniach, ścianach garaży i metalowych stelażach porozwieszano lampiony. Ze specjalnie na tę okazję przyniesionych i podłączonych do przedłużaczy głośników płynęła spokojna muzyka. Tak elegancko w tym niewielkim kwartale na tyłach ulicy 11 Listopada nie było jeszcze nigdy. Na co dzień trawnik, choć leżał w strefie granicznej między kamienicą pod numerem sto trzystaście a wybudowanym obok apartamentowcem, zaanektowany był przez ludność z familoków. To tutaj kobiety rozkładały koce, gdy chciały się poopalać. Obok dzieci grały w nogę albo bawiły się w chowanego. Mężczyźni, gdy wracali z nocnych spotkań z kamratami w Olimpie, zachodzili na tyły podwórka, by ulżyć pęcherzowi. Mieszkańcy apartamentowca nie rościli sobie praw do trawnika. Woleli nie wyglądać ponad płot, który otaczał ich

zabezpieczony usługami firmy ochroniarskiej teren.

Dzisiaj było jednak inaczej. Na comiesięcznym zebraniu Rada Osiedlowa, którą powołali nowi przybysze, powzięła decyzję o przeprowadzeniu akcji integracyjnej z okoliczną ludnością. Po cichu radni liczyli na to, że ci z familoków zaczną brać przykład z góry. I może z czasem, obserwując ich, cywilizowanych wszakże ludzi, zaprzestaną swoich praktyk zaśmiecania, obsikiwania, sprejowania i demolowania najbliższej okolicy. Bo tak właśnie postrzegali tubylców: jako skrzyżowanie menela z pseudokibicem z domieszką cygańską. W dalszej perspektywie może oni, mieszkańcy nowego budynku, będą mogli wyjść na spacer i nie obawiać się o własne życie. Przesną oglądać swoją dzielnicę tylko zza przyciemnianych szyb samochodów.

To przewodnicząca Rady Osiedlowej, Milena Świerszcz, wyszła z propozycją tego pikniku. Oczywiście to nowi mieli zasponsorować catering i oprawę przyjęcia. To miał być ich wkład w zastaną rzeczywistość. Znak dobrej woli. Pojawiło się kilka głosów przeciw, ale koniec końców klamka zapadła. Piknik miał odbyć się pod koniec sierpnia. Wcześniej trzeba było jednak wszystko przygotować, kupić prowiant, wynająć stoły i grille. No i przede wszystkim zaprosić mieszkańców familoka na to wydarzenie. Nie tylko tych ze sto trzynastki, ale i z budynków obok. Żeby nikt nie poczuł się pominięty. Szybko wyszło na jaw, że lokatorzy kamienic mają w głębokim poważaniu szeroko rozumianą integrację. Ale twardym argumentem negocjacyjnym okazało się darmowe żarcie oferowane przez sąsiadów. Takiej okazji nie można było przepuścić. Niezwykle istotną kwestią, mianowicie czy będzie czym popić owo jado, najbardziej zainteresował się stary Cygan, który napatoczył się, gdy wysłannicy Rady roznosili zaproszenia. Nowi co prawda nie chcieli uchodzić za rasistów, jednak wejściówki mu nie dali.

Impreza miała wystartować w sobotę o godzinie osiemnastej. O tej porze nie było już tak duszno jak w samym środku tych sierpniowych dni. Wynajęta firma na czas rozłożyła stoły i zajęła się przygotowywaniem jedzenia. Kucharz pilnujący grilla był zmuszony przegonić szwendające mu się pod nogami dzieci za pomocą widełek do mięsa, gdyż próbowały ukraść mu jeszcze surową karkówkę. Niestety, w ferworze walki ze smarkaterią nie zdołał przypilnować pęta kiełbasy. Przywłaszczył je sobie pewien niepozorny pinczerek i uciekł, ciągnąc po ziemi trzy razy dłuższą od siebie zdobycz.

W oknach familoków co chwilę falowały wykrochmalone firanki. Za wypucowanymi już na niedzielę szybami pojawiały się ciekawskie twarze. Zerkano na podwórko, sprawdzano, czy wszystko gotowe. Spoglądano na zegarki, czy to już. Równy z wybiciem osiemnastej na kościelnym zegarze na skwerku zrobił się ruch.

Marianna Biel pojawiła się jako jedna z pierwszych. To przyjęcie było dla niej okazją, żeby wyjść do ludzi. Zaczynała już wariować, zamknięta w swoich czterech ścianach. Jeżeli jej plan się nie powiedzie, obawiała się, że niedługo zapomni języka w gębie. Bo nie miała do kogo tej gęby otworzyć. Na razie jednak żyła chwilową nadzieją, że pozna jakichś sympatycznych sąsiadów. Na tych w swojej klatce postawiła już krzyżyk. Romans z Tadeuszem tylko pogłębił jej stany depresyjne. Jego żona udawała, że jej nie zauważa. Musiała wiedzieć, bo patrzyła przez Mariannę jak przez szybę. Z Brygidą kontakt urwał się jej już dawno. Przyjaźniły się w dzieciństwie, potem było to niefortunne spotkanie w Delcie, które pogrzebało szanse na powrót do dawnych stosunków. Zresztą o czym miałyby teraz rozmawiać? Pochodziły z tego samego świata, ale żyły na dwóch przeciwnych biegunach. Ta cała dziennikarka, Róża Kwiatkowska, raczej nie nadawała się na towarzyszkę starszej pani. Chyba że owa pani gustowałaby w whiskey pitej wiadrami

w spelunach, bo tak, zdaje się, spędzała swój wolny czas żurnalistka. Pozostawali jeszcze Gierlochowie. Adam był miły, ale chorobliwie nieśmiały. Nawet gdy pracowała jeszcze w teatrze, nie mieli ze sobą kontaktu. Dlaczego teraz miałoby się to zmienić? A Huberta po aferze z filmem promocyjnym nie życzyła sobie oglądać już nigdy więcej.

Kucharz nałożył Mariannie na papierową tackę skrzydełko kurczaka w miodzie. Biel do plastikowego kubka nalała sobie czerwonego wina. W sumie nie powinna pić alkoholu. Od jakiegoś czasu bolał ją brzuch. Ataki stawały się coraz silniejsze. Nie poszła jednak do lekarza w obawie, że ten coś wykryje. Usiadła w rogu stołu i rozejrzała się po wciąż gęstniejącym tłumie. Przyszli już Polaczkowie. To ich niewychowane dziewczuszyisko stroiło obrażone miny. Kusilo ją, żeby podejść do Anny i uświadomić jej, że ich piętnastoletnia jedynaczka puszcza się z dwa razy od siebie starszym facetem. Gdyby jeszcze Polaczkowa dowiedziała się, czym synem jest wybranek jej córki, na pewno zauważyłaby wreszcie Mariannę. I nigdy więcej nie patrzyłaby na nią jak na powietrze.

Bawiąc się tą myślą, Marianna przyglądała się nowym. Zastanawiała się, po co zorganizowali to spotkanie. Przecież na pierwszy rzut oka widać było, że tych dwóch grup nic nie łączy. Zza obwarowanej kamerami bramy wciąż wyłaniali się nowi biesiadnicy. Średnia wieku oscylowała w okolicach trzydziestki. Wyelegantowane na tę okazję dzieci dreptały grzecznie za rodzicami. Nie to co czereda z familoków poruszająca się jak stado wykurzonych z kopca mrówek, zwiastująca nieuchronną katastrofę. Nowi zapoznawali się grzecznie z wszystkimi, choć nie wyciągali rąk na powitanie. A kiedy już ich ktoś w tym gościu wyprzedził, podawali dłoń, ale potem dyskretnie wycierali ją o nogawkę. Zagajali, podrzucali tematy do rozmowy, ale ta nie chciała się kleić.

– Pani jest naszą sąsiadką? – zagadnęła Mariannę jakaś kobieta

w wieku trudnym do określenia, w modnych kolorowych trampkach i podziurawionych džinsach.

– Mam się wylegitymować? – Marianna zmierzyła ją wzrokiem.

– Ależ! – Paniusia się zaperzyła. – Nie. Ja tylko chciałam...

Z opresji wyratowała kobietę Milena Świerszcz, która pojawiła się nagle obok.

– Widzę, Kingo, że poznałaś już naszą miejscową gwiazdę.

– Pani dyrektor? – Mariannę zapowietrzyło.

Nie miała pojęcia, że Świerszcz przeprowadziła się w te strony.

– Mówmy sobie po imieniu, dobrze? Jestem Milena. – Dyrektorka uścisnęła dłoń Marianny. – Teraz nie stoją już między nami żadne bariery. Poza tym niedługo mogę przecież stracić swój tytuł.

– Dlaczego? – przeraziła się Kinga.

Świerszcz wyjaśniła, że mija właśnie jej kadencja na stanowisku dyrektora teatru. I choć pełniła tę funkcję od powstania Uciechy, wcale nie jest powiedziane, że zostanie wybrana ponownie.

– Podobno zgłosiło się kilku poważnych kontrkandydatów. – Uśmiechnęła się smutno.

Marianna nie słuchała tej wymiany zdań. Przy grillach zobaczyła Huberta. Stał z kiełbasą nabitą na widelec. Obgryzał ją i zaśmiewał się z dowcipu, który przed chwilą opowiedział mu jakiś facet w garniturze. Gdy mężczyzna spojrzał na Mariannę, od razu go rozpoznała. Nie znała jego nazwiska, ale wiedziała, że jest radnym miasta. Teraz już obaj gapili się na Biel i chichotali. Była przekonana, że wyśmiewają się z jej wystąpienia nagranego przez Huberta. Niby Adam oddał jej jedyną kopię, ale dałaby sobie głowę uciąć, że tej, którą Gierloch wysłał na konkurs, wcale nie zniszczono. Wędrowała pewnie od pokoju do pokoju, a urzędnicy puszczali ją sobie w czasie pracy i naśmiewali się z aktorki. Mariannie zadrżała ręka. Wino chlapnęło na jej białą bluzkę.

– Marianka, uważaj. – Świerszcz chwyciła ją za rękę. – Musisz zasypać płamę solą.

– Spierze się – zignorowała ją Biel.

– Tak właściwie to mam do ciebie sprawę – zagadnęła Milena i usiadła na krześle obok Marianny. – Chodzi o nową premierę.

Biel popatrzyła ze zdziwieniem na dyrektorkę.

– Popełniłam błąd. Nie powinnam odsyłać cię na emeryturę. – Patrzyła Mariannie prosto w oczy. – Przepraszam.

– Mnie? – Aktorka nie wiedziała, co powiedzieć. – Ale jest już za późno, prawda? – Przepłukała usta winem.

– Właśnie że nie. – Świerszcz klasnęła w dłonie.

I wyjawiała Mariannie swój plan. Uciecha miała w nowym sezonie startować z premierą musicalu Mamma mia!, a Milena chciała zaproponować Biel zagranie Donny. Główną rolę, która w filmie przypadła przecież Meryl Streep. To była szansa na powrót w wielkim stylu.

– Młodość jest przeceniana – dodała Świerszcz. – Mamy pełno świeżaków w zespole. Ale oni nie mają doświadczenia. Nie mają głębi. Wiesz, o czym mówię? – spytała.

Marianna czuła się tak, jakby Świerszcz wypowiadała na głos jej własne myśli. Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

– Ale dlaczego ja?

– Tak jak wtedy powiedziałaś. Możesz udowodnić, że jeszcze jesteś warta miana gwiazdy. A ja zamierzam ci to umożliwić.

Biel takiego obrotu spraw się nie spodziewała. Gdyby jeszcze ta druga kwestia rozwiązała się po jej myśli, swoje marzenia mogłaby uważać za spełnione. Nie miała wątpliwości, że zdołałaby bez przeszkód połączyć obie rzeczy.

– A skoro jesteśmy przy tamtej rozmowie – przerwała jej rozmyślania Świerszcz. – Czy mi się wydawało, czy wtedy przyniosłaś

swoje sławetne konfitury z malin?

– Chcesz słoik? – Marianna się zaśmiała.

– Umówmy się, kochana, że to będzie transakcja wiązana. Dostaniesz rolę, pod warunkiem że ja dostanę konfitury – powiedziała i pocałowała Mariannę w policzek.

– Przyniosę od razu, żebym nie zapomniała. – Aktorka się rozpromieniła.

To był ostatni raz, gdy Mariannę Biel widziano żywą.



Szymon Solański przez całe dzieciństwo cierpiał z powodu swoich niefortunnych inicjałów. Kiedy na temat jego kolegów z klasy wypisywano na szkolnej tablicy tajemnicze szyfry w stylu: A.C. + W.K. = W.N.M., czyli Achim Ciurlok plus Wiola Kupka równa się wielka, nieskończona miłość, w jego przypadku rysowano inicjały SS. I ilustrowano je ogromną swastyką. Dzieci nie zdawały sobie nawet sprawy z tego, czym było owo SS, ale ta niewiedza nie przeszkadzała im w wyzywaniu Szymona od Adolfów. Podskórnie czuły, że strzelają do kolegi z broni najcięższego kalibru.

Teraz Solański stał nad grobem Joanny i zastanawiał się, jak będzie wyglądać ich równanie. Kiedy wreszcie do niej dołączy. Będzie wtedy można na wspólnej tablicy wypisać kto plus kto, kiedy i co z tego wynikło. Wiedział, że nie wynikło nic dobrego. Próbował. Ale teraz nawet na to nie miał już siły. Dlatego Solański coraz częściej łapał się na myśli, że poczeka jeszcze tylko, aż przyjdzie czas na Gucia. A wtedy nic już go nie powstrzyma. Na szczęście nie oddał służbowej broni. Powiedział, że zgubił w akcji. Będzie jak znalazł.

Pożegnał się. Ruszył na spacer między grobami. Cały czas myślał o Mariannie i o jej mordercy. Zdawało mu się, że wrócił do punktu wyjścia. Na początku śledztwa podejrzanym mógł być każdy

mieszkaniec kamienicy pod sto trzynastką. Teraz było zupełnie tak samo.

Potknął się o wystający z ziemi konar i runął jak długi na ścieżce między pomnikami. Czuł, że błoto wsiąka w jego dżinsy i kurtkę. Z trudem wstał i schylony otrzepał brud z kolan. Z tej pozycji dojrzał parę grobów dalej znajomą postać. Wycierała ścierką kurz z plastikowych liści sztucznych chryzantem. Szymon podszedł bliżej. Starał się, by kobieta go nie zauważyła. Słyszał, że mówi coś do siebie albo raczej do spoczywającego pod ziemią krewnego. To była jedna z tych cmentarnych bywalczyń.

– No ale Edek, nie gorszcie się już na synka więcej, ja? – przemawiała starsza pani. – No przeca wiesz, że on nie chcioł. Godom ci to, bo teraz się wydało. Tak na zicher. Po tylu lotach. Że Sylwek sam miszko. I jo sie boja, że łon zrobił coś gupiego. Wiesz, Edek? Tak jak wtedy ciebie, to teraz ta durno Marianka. Pamiętosz ją?

Szymon słuchał tej przemowy, kryjąc się w kucki za wielkim betonowym krzyżem, postawionym tu ku pamięci żołnierzy poległych w czasie drugiej wojny światowej. Wspomniany Edek musiał być Edwardem Buchtą z artykułu w archiwalnym numerze „Chorzowskich Nowin” z dziewięćdziesiątego roku. Szytygarem, który zginął w wyniku nieszczęśliwego wypadku w ich piwnicy. A teraz Brygida poniekąd potwierdzała przypuszczenia Kwiatkowskiej, że to nie mógł być przypadek. Dwie podobne śmierci w tym samym miejscu? Wprawdzie w odstępie wielu lat, ale przecież przypuszczalny sprawca cały czas tam mieszkał.

Solański chciał usłyszeć więcej. Może nawet coś nagrać na dyktafon w swojej starej nokii, jeśli zdołałby trafić w odpowiednie przyciski. Miałby dowód, którym mógłby rzucić podkomisarzowi Matusiakowi w jego wybijające ego. Nie zdążył jednak nic takiego zrobić, bo w sukurs Brygidzie Buchcie przyszła

jedna z żałobnych babć.

– Zboczeniec! – rozdarła się.

Początkowo Szymon nawet nie podejrzewał, że może chodzić o niego.

– Nekrofil! – wrzeszczało dalej babsko.

Teraz już widział, że postać niebezpiecznie zbliża się w jego stronę, wymachując parasolką jak kałasznikowem. Starszej pani kucający pod cmentarnym krzyżem, ubrany cały na czarno, uwalany błotem facet musiał się wydać podejrzany. Solański nie mógł mieć o to pretensji. Sam sobie zasłużył na taką kategoryzację. Zanim babina zdołała go dopaść i przetrącić mu to i owo, czmychnął między grobami w zapadającą ciemność. Miał tylko nadzieję, że Brygida Buchta go nie zauważyła.



Ostatni tydzień minął nam na niczym. Coś mi się widziało, że Solański zaczął popadać w obłąd. Odmówił wychodzenia z domu. Wypuszczał mnie na samotne sikanie na podwórko. Sam nawet do sklepu nie wylazł, tylko przystąpił do wyżerania zapasów żywieniowych poutykanych w najdziwniejszych zakamarkach naszego lokum. No i ten syf. Ja tam koło pedanta nawet nie stałem, ale to już była lekka przesada. Nie dość, że Solański nagromadził w naszym małym mieszkanku stosy książek porównywalne do zbiorów Biblioteki Narodowej, to jeszcze zawalił całą ścianę i zakidał okna. I tak już było tu ciemno, jak nie powiem gdzie i u kogo, a ten jeszcze takie cyrki odstawiał. Kupił bloczki kolorowych samoprzylepnych karteczek. Gryzmolił coś na każdej z nich i albo przyklejał je na okno, albo mocował pinezką do korkowej tablicy, którą zawiesił na ścianie. Wyglądało to tak, jakby ktoś napchał sobie do buzi konfetti, a potem kichnął.

Co się ruszyłem, to mi się któryś z tych świstków przyklejał do futra. Solański latał za mną i przeklinał, że mu psuję koncept. Chciałem go zapytać, co to ma być za koncept. Czy przypadkiem postanowił wreszcie zarobić i plan scenariusza serialu pisze? W telewizji podobno nieźle płacili. Czcze by było jednak moje gadanie. Mój pan biedził się nad wykryciem mordercy Marianny Biel i już od tego dostawał świra. Jakbym wiedział, kto to zrobił, tobym mu już dawno to wyjawiał, żeby się dłużej nie musiał męczyć. I posprzątał tu wreszcie trochę. Niestety, nie miałem pojęcia, kto zaczął ten zabójca. Pewnie myślicie, że pies powinien po zapachu wyczuć mordercę. Jeśli tak, to widać, że nikt z was nie był nigdy psem. W tym cholernym familoku śmierdziało tajemnicą z każdego kąta. I bądź tu, człowieku (lub psie), mądry, który kąt był tym właściwym.

Bajzel w mieszkaniu swoją drogą, ale co się działo z samym Solańskim, to już inna bajka. Tak się zaniepokoiłem, że otworzyłem sobie z zada drzwi i podyrdałem pod czwórkę do Róży. Szczeknąłem trzy razy. Walnąłem łapą we framugę. Wreszcie otworzyła.

– Co jest, stary? – zdziwiła się na mój widok.

Chyba nie sądziła, że mogę sam wpaść do niej z wizytą i jeszcze się odpowiednio zaanonsować. Zaprosiła mnie do środka, rozglądając się po korytarzu. Sprawdzała, czy nie przyprowadziłem ze sobą Szymona. Chętnie bym skorzystał z jej gościnności i zawartości lodówki, ale nie mieliśmy na to czasu. Trzeba było działać szybko. Popatrzyłem więc Róży w oczy i szczeknąłem jeszcze raz. Nie musiałem się powtarzać. Od razu zajarzyła, że szykuje się jakaś interwencja. Zamknęła za sobą drzwi i poszliśmy na górę. Co dwa kroki przystawałem i odwracałem się, by sprawdzić, czy idzie. Solańskiemu była wszak potrzebna pomoc.

Weszliśmy do mieszkania. Róża potknęła się o jakiś biblioteczny stos, który Szymon tym razem zajmował z Chełma Śląskiego. Tam się

jeszcze na nim nie poznali.

– Oż w mordę! – sapnęła Kwiatkowska.

Jej oczom ukazał się widok, który ja od pewnego czasu musiałem znosić non stop. O zaklajstrowanych oknach i ścianach już mówiłem. Nie wspomniałem za to, że Szymuś nabrał brzydkiego zwyczaju zrywania karteczek, na których wykonany jego własną rączką napis przestawał mu się podobać, gniecenia ich w kulki i wyrzucania wprost pod nogi, na linoleum. W wyniku tej jego działalności podłoga była teraz pokryta karteczkowym śmieciem po kostki. Sprawca całego zamieszania siedział tymczasem pod przeciwległą do okien ścianą czterema literami na tym bajzlu, gapił się w ustawione na parapecie posklejane taśmą klejącą zdjęcie kobiety w ciąży i pociągał wprost z butelki jakieś strasznie śmierdzące świństwo.

– Ten marketowy szajs pijesz? – Róża skrzywiła się i wyjęła mu z ręki flaszkę.

Solański spróbował wstać, ale nie można by tego manewru nazwać udanym. Klapnął z powrotem na tyłek i skrył twarz w dłoniach. Róża obwąchała podejrzliwie trunek. Widocznie uznała, że się nie otruje, bo łyknęła sobie zdrowo z gwinta.

– Fuj! – Wypluła alkohol, obryzgując notatki Solańskiego. – Weź to wylej – poradziła Szymonowi i odstawiła gorzałę do zlewu.

– To ktoś z nich. – Solański nie przejmował się jej poczynaniami. – I ja nawet wiem kto.

Nie zdążył jednak wyjawić nam tej skrywanej w głębi serca tajemnicy, ponieważ najzwyczajniej w świecie zemdłał. Potem winił za tę chwilę słabości marną jakość popitku. Trudno było mu odmówić racji.

Rozdział 22

NIE DLA KOTA SZPERKA

Sierpień 2015 roku

Adam Gierloch nie bawił się dobrze na pikniku. Nigdy nie był lwem salonowym, ale tutaj czuł się wyjątkowo źle. Swoich własnych sąsiadów prawie nie znał, a tych nowych wcale nie miał ochoty poznawać. Tymczasem jego brat brylował. Paradował między gromadkami ludzi, zagadywał, podawał jedzenie, nalewał drinki. Co najmniej jakby był gospodarzem imprezy. Miał podejrzenie dobrego humor, jakby chował coś w zanadrzu, na coś się szykował. Odkąd bliźniak przyjechał na stałe z Niemiec, Adam nie przespał spokojnie ani jednej nocy. Wciąż budził się i przez długie godziny zastanawiał, jak rozwiązać tę patową sytuację, w którą wepchnęli ich naiwnie rodzice. Przecież oni nie pogodzą się nigdy. Adam nie zamierzał wybaczać Hubertowi tego, że go zostawił. Że nie wziął na siebie części odpowiedzialności za matkę i ojca. Póki dobrze mu się wiodło na Zachodzie, nie dawał znaku życia. A teraz przyszła koza do woza. Adam wiedział, że prędzej się pozabijają, niż będą w zgodzie mieszkać pod jednym dachem. Hubert musi się wyprowadzić. Adam nie miał tylko pojęcia, jak go do tego nakłonić.

Rozejrzał się po zgromadzonych. W tłumie napierającym na grille dostrzegł kilka znajomych twarzy. Kucharz ogłosił właśnie świeżą dostawę pieczonych kiełbasek, więc sam prosił się o szturm. Adam martwił się nie tylko o mieszkanie, ale i o te wszystkie rzeczy, które zostały po rodzicach. Może nie były specjalnie cenne, ale dla niego

miały wartość sentymentalną. Gdy tylko Hubert się zjawił, Adam powynosił część z nich do piwnicy. Kupił też nowy zamek, który chciał zamontować w drzwiach komórki. Nie życzył sobie, by Hubert miał dostęp do pamiętek. Jeszcze by je sprzedał. Jak dotąd brat nie interesował się piwnicą. Pozwolił nawet Adamowi na zanieśenie tam swoich szpargałów. Samemu mu się nie chciało. Adam miał nadzieję, że taki stan rzeczy się utrzyma.

Musiał się śpieszyć. Pomyślał, że teraz jest niezła okazja, by zająć się zamkiem. Brat z pewnością zabawi na pikniku jeszcze przez parę godzin. A i sąsiedzi nie będą mu się niepotrzebnie plątać pod nogami. Bez żalu porzucił przyjęcie.

Skoczył do mieszkania po narzędzia. Przy bramie minął tego starego Cygana, który znów polował u nich na śmieci. Obsługa pikniku wciąż wносиła nowe worki do kontenera. Cygan nurkował w nich i wyciągał co wartościowsze fanty.

Adam włożył swoje żelastwo do lnianej torby i zszedł na dół. Znowu ktoś nie zgasił światła w piwnicy. A potem przychodziły rachunki z sumami wziętymi z kosmosu. W jego sytuacji finansowej każdy grosz się liczył, dlatego wkurzała go taka nonszalancja na czyjś koszt. Chciałby móc nie myśleć o takich duperelach, ale do luzu potrzebował gotówki. A żeby ją zdobyć, musiałyby zacząć otrzymywać porządne role w Uciesze. Nie tylko same tyły, jak ostatnio w The Rocky Horror Show. Podczas całego spektaklu wychodził na scenę może ze dwa razy. Pozwolili mu też włączyć się po foyer przed przedstawieniem w stroju jednej z postaci musicalu, Słodziutkiego Transwestyty. To wdzianko z pewnością przypadłoby do gustu Hubertowi. Brat sądził, że on nie wie o jego sekrecie. Zapominał jednak, że są bliźniakami. Adam zorientował się, że Hubert woli chłopców, chyba szybciej niż sam zainteresowany. To było jeszcze w liceum. W Niemczech najwyraźniej nie zmienił zdania. Jak dla

Adama Hubert mógł się uganiać nawet za małpami, jeśli taka była jego wola. Byleby tylko wreszcie się wyprowadził.

Stanął pod drzwiami swojej komórki. Już miał przystąpić do pracy, gdy usłyszał jakiś hałas, a potem brzęk tłuczonych słoików. Dźwięki dochodziły z piwnicy numer pięć. Pociągnął za klamkę. Przez wąską szparę dostrzegł wewnątrz pomieszczenia. Sięgający sufitu regał był w ruinie. Większość stojących dotąd na nim weków leżała teraz porozbijana na ziemi. Po podłodze walały się odłamki szkła, resztki jedzenia w postaci konfitury z malin, kwaszonych ogórków czy buraczków. A pośród tego pobojuwiska spoczywała Marianna Biel. Musiała oberwać w głowę, bo z jej potylicy obficie wypływała krew. Adam już chciał ruszyć sąsiadce na pomoc, kiedy zobaczył, że Marianna nie jest bynajmniej sama. Od razu rozpoznał osobę, która wyszła z zacienionego kąta i nachyliła się nad aktorką. Zbadała jej puls. Sprawdzian musiał wypaść pomyślnie, bo postać wyprostowała się i uśmiechnęła pod nosem.

Adam nie zamierzał wzywać policji ani pogotowia. Zrozumiał, że może dużo zyskać dzięki temu, co zobaczył.



Brygida Buchta pałaszowała porcję grillowanej karkówki. Schabowego zdołała ukradkiem wsunąć do reklamówki z logo sklepu Jeżyk, a tę ukryła w torebce. Miała tam już słoik ogórków kiszonych. Zamierzała dołożyć do tego jeszcze kilka pomidorów i butelkę oranżady. Wcale nie aspirowała do miana chytrej baby z Radomia. Po pierwsze, była z Chorzowa. A po drugie, uważała, że Sylwkowi należy się jego porcja. W końcu piknik zorganizowano dla wszystkich mieszkańców kamienicy. Wprawdzie Sylwka próżno by szukać na liście lokatorów, ale to nie miało znaczenia. Brygida musiała go jakoś udobruchać. Syn rozumiał, że nie wolno mu pokazywać się

publicznie, ale mimo to był zły. Coraz częściej dostawał ataków wściekłości. Musiała wtedy puszczać radio na cały regulator, żeby sąsiedzi go nie usłyszeli. Bała się, że przez te wybuchy w końcu ich tajemnica wyjdzie na jaw. Miała nadzieję, że dzisiaj kotlet załagodzi sytuację.

Buchtowa napiła się wina. Namierzyła na krańcu stołu butelkę kolorowego napoju. Wstała i poczęła przepychać się przez tłum w kierunku upatrzonego łupu. Wyciągnęła rękę w złodziejskim geście.

– Otworzę pani. – Usłyszała i czym prędzej cofnęła dłoń.

Obok niej wyrósł jak spod ziemi jeden z tych gogusiów z apartamentowca. „Co to się z tym światem porobiło. A raczej z tymi chłopami” – myślała sobie Buchtowa. Trudno było na ulicy rozróżnić, czy to facet idzie, czy baba. Nosił taki długi włoski zaczesywany na żelik, nierzadko golił nogi, klatę i pachy, wkładał obcisłe koszulki i robił sobie manikiur! Buchtowa nie pamiętała, kiedy sama ostatnio polakierowała paznokcie. Musiało to być na jej własnym ślubie, czyli dawno i nieprawda. Zlustrowała naprzykrzającego jej się lalusia z góry do dołu.

– O Panbocku – szepnęła. – Ty mosz chyba synek ała.

Takiego dziwowiska Buchtowa nie widziała jeszcze nigdy. Ten tu wybryk natury nie dość, że posiadał wszystkie wspomniane wyżej cechy współczesnego bezpłciowca, to jeszcze włożył marynarkę do bokserów.

– Zapomniłeś galotów – poinformowała go Brygida.

I skierowała palec wskazujący na jego majtki. Wprawdzie były trochę dłuższe od zwykłych slipek, tak do pół uda, ale Buchtowa nie miała wątpliwości, że ma przed oczami bieliznę. Białą w ciemne ciapki. Już wolała nie wspominać, co jej te mazy przypominały.

– A, to. – Chłopczyna zaśmiał się niepewnie. – To są spodenki. Najnowszy fason, z naszymi śląskimi, czarnymi diamentami. –

Wskazał na jedną z plam.

– A ja żech myślała, żeś się, podciepie jedyn, łobejsroł – oznajmiła Brygida i poszła sobie, zostawiając eleganta z rozdziawioną gębą.

Musiła znaleźć inny napój, który mogłaby zabrać, nie zwracając niczyjej uwagi. Doszła do ostatniego rzędu stolików, gdzie tłum był trochę przerzedzony. Na rogu siedziała Marianna Biel. Rozmawiała z jakąś elegancką paniusią o teatrze. „Trafił swój na swego” – pomyślała Brygida i splunęła pod nogi. Zamiast się integrować ze swoimi, aktorka aspirowała do wyższych sfer.

Strojnisia nagle objęła Mariannę i pocałowała ją w policzek. „Jeszcze jakieś lesbije” – pomyślała Brygida. Słyszała, że w tych teatrach to Sodomia z Gomorią się szerzy, ale nie sądziła, że aż do tego stopnia. Marianna wstała i udała się w stronę familoka. Po dłuższej chwili Brygida zrobiła to samo. Ten roznegliżowany zboczeniec znów zmierzał w jej kierunku. Chyba postawił sobie za cel przekonanie Buchtowej do słuszności mody, jaką podpatrzył w Dzień Dobry TVN. Nie zamierzała tego słuchać. Chciała nakarmić Sylwka, nim ten dostanie szału. Ostatnio znów zaczęła go zamykać w garderobie, gdy wychodziła z domu. Nie była pewna, czy nie robi krzywdy pinczerkowi.

Okrążyła kamienicę i weszła do bramy. Minęła się z wychodzącym Adamem Gierlochchem. Otoczył ją chłód. Było tu całkiem przyjemnie, jeśli nie liczyć doznań węchowych. Tym dokuczliwszych, że ten cholerny Rom znów pootwierał kontenery i grzebał w śmieciach. Wspięła się na swój wysoki parter i weszła do mieszkania. Zdobywczy kotlet ułożyła na talerzu. Wyjęła z torebki ogórki. Sylwek bardzo je lubił. Pewnie od razu rzuci się na słoik, by nurkować paluchami w zalewie.

– Mom dla ciebie maskety – oznajmiła, przekręcając klucz w zamku garderoby.

Nacisnęła klamkę. Drzwi nie ustąpiły. Pokręciła kluczem w drugą stronę. Teraz dopiero mogła otworzyć. Czyżby zapomniała zamknąć Sylwka przed wyjściem? Już kiedyś jej się to zdarzyło. Poprzesuwała wieszaki w szafie, by sprawdzić, czy syn nie ukrył się przed nią gdzieś w tych bambetlach, ale wiedziała, że to niemożliwe. Sto kilo żywej wagi trudno przeoczyć. Spenetrowała mieszkanie metr po metrze. Sylwek zniknął. Musiał wyjść bez jej wiedzy. A było jeszcze jasno, ktoś mógł go przecież zauważyć. Przeraziła ją myśl o tym, czego syn mógł się dopuścić w takim stanie. Wygłodniały i wściekły. Brygida dopadła do listwy, z której zwisały zapasowe klucze do mieszkań sąsiadów. Nie brakowało żadnego. Wybiegła na klatkę schodową, nie zamykając za sobą drzwi.

Postanowiła zacząć od przeszukania kamienicy. Potem pomyśli, co dalej. Wspięła się na ostatnie piętro. Schodziła i na każdym półpiętrze metodycznie zaglądała do komórek, w których kiedyś były toalety. Bezskutecznie. Pozostawała jeszcze jedna ewentualność.

Buchtowa otworzyła drzwi do piwnicy. W korytarzu paliło się światło. Brygida zastanowiła się, czy to Sylwek je zostawił, czy może ktoś darował sobie piknik i przyszedł na przykład posprzątać swój boks przed zimą. Zdawało jej się jednak, że widziała wszystkich swoich sąsiadów na grillu. Prócz tej całej dziennikary.

– Halo! – zawołała, wciąż stojąc na szczycie schodów. – Jest tu kto?

Cisza. Tylko echo odbijało się od ścian. Zeszła na dół. Pomyślała, że to dziwne. Drzwi wszystkich piwnic były pozamykane. Prócz tych jednych, do komórki Marianny Biel. Wstrzymała oddech. Starła się stąpać bezgłośnie po betonowej posadzce. Sama nie wiedziała, dlaczego zachowuje ostrożność. Zorientowała się, że wciąż kurczowo ściska w ręku słoik ogórków dla Sylwka. Uchyliła drzwi szerzej.

I zobaczyła ją. Od razu wiedziała, co ma teraz zrobić.



Zaraz po dramatycznych wydarzeniach w Urzędzie Miasta Róża przybiegła do domu, by nam wszystko zrelacjonować. Chwilowo zrezygnowała nawet z obrażania się na Solańskiego. W obliczu nowych faktów nasze śledztwo stawało pod znakiem zapytania.

A wszystko zaczęło się od tego zdradzieckiego alkoholu. Różyczka udała się na samotne pijaństwo, które można by porównywać z kampanią wyborczą *door-to-door*. Tyle że to było w wersji *bar-to-bar*. Eskapada nie skończyła się dla Kwiatkowskiej zbyt szczęśliwie. Tak jej się w oczach mieniło od spożytych procentów, że nie potrafiła odczytać z rozkładu godziny odjazdu najbliższego tramwaju. Zasiadła więc na ławeczce z butelką ginu, którą za ostatnie pieniądze kupiła jeszcze na odchodne w jednym z odwiedzonych pubów. Na taksówkę już nie wystarczyło, a piechotą nie była w stanie dojść dalej niż na szerokość chodnika. Zebrało jej się na śpiewy. Zaczęła od *Szła dziewczeczka*, potem było *Hej, sokoły*. W refrenie patriotycznej pieśni pod tytułem *Majteczki w kropeczki* przeszkodzili Róży funkcjonariusze straży miejskiej i zażądali uiszczenia mandatu. Już nawet nie za spożywanie alkoholu w miejscu publicznym, ale głównie za to zawodzenie. Panowie zdecydowanie byli na nie. Do tego naciskali na Różę, by okazała im dowód osobisty. Dziennikarka, o dziwo, miała go przy sobie.

– A, o! – Podetknęła strażnikom plastikowy prostokącik pod nos, gdy już jej się udało odnaleźć go w czeluściach parcianej torby.

Dowód nie zrobił jednak na mundurowych pożądanego wrażenia, ponieważ okazał się przeterminowany. Róża, przyjąwszy do wiadomości tę smutną informację, przystąpiła do intonowania pieśni żałobnej na swą cześć. Strażnicy oddalili się czym prędzej, bo już naprawdę nie byli w stanie dłużej znieść tego wycia.

– Pani sobie wyrobi nowy dokumencik – poprosili ją tylko na odchodne i już ich nie było.

Zniesmaczona brakiem gustu muzycznego wśród mundurowych Kwiatkowska następnego dnia rano odkryła w kieszeni spodni własnoręcznie podpisany mandat. Nie chciało jej się dyskutować z tymi nieczułymi na dźwięki służbistami, więc poszła do Urzędu Miasta, by zapłacić haracz osobiście i chociaż pani w okienku powiedzieć, co o tym wszystkim myśli. W porę przypomniała sobie o dowodzie i postanowiła upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

Róża zwolniła się z pracy i poszła na Wolkę do fotografa zrobić sobie zdjęcie do dowodu. Choć bardzo się starała nie stroić głupich min do obiektywu, to im więcej o tym myślała, tym częściej fotograf sapał i prosił Różę, żeby uśmiechnęła się jeszcze raz. Kwiatkowska poddała się wreszcie i wyszczerzyła w grymasie, który miał przez następne dziesięć lat ważności jej dokumentu straszyć wszystkich urzędasów, a w szczególności nieumykalnionych strażników miejskich.

Przyjrzała się z obrzydzeniem swojej podobiznie. Fotograf spoglądał na Różę przeprasząco. Zapłaciła i wyszła z zakładu, nawet nie trzaskając drzwiami. Bo – jak to mawiał jej wychowawca w liceum, gdy płakała nad zdjęciem klasowym, na którym jako jedyna przypominała Mamusię Muminka – fotograf nie rzeźbiarz. W niektórych przypadkach nie poradzi.

Skręciła w niedawno wyremontowaną ulicę Jagiellońską, na której pyszniły się fikuśne latarnie i tabliczki z zaznaczonymi odległościami między Chorzowem a światowymi stolicami, światełka zaś świeciły z poziomu trotuaru klubowymi barwami Ruchu Chorzów. Róża przejrzała się w witrynie swojego ulubionego zakładu fryzjerskiego. Pomyślała, że warto by było znów odwiedzić panią Iwonkę. Ostatnio Kwiatkowska poprzestawała na tym, że sama chwytła kłęb

swoich włosów i przycinała je nożyczkami do papieru, tym samym stylizację fryzury uważając za zakończoną.

Do Urzędu Miasta wkroczyła z godnością, w pełni przygotowana na przeprawę, która czekała ją u jędry w dziale dowody przez paszporty. Babsko to posadzono tam chyba jeszcze w głębokiej komunie i od tamtej pory pozostawało – także mentalnie – w dawnej epoce. Kwiatkowska miała nieprzyjemność nadzieć się na biurwę, gdy przyszło jej wymieniać paszport. Na samo wspomnienie godzin wystanych pod drzwiami, podczas gdy pani w środku piła kawę, a potem wysłuchiwanie kąśliwych uwag dotyczących swojej potwornej fotografii z odstającymi uszami, oblewał ją zimny pot. Babie nie spodobały się nawet linie papilarne Róży, o czym raczyła ją poinformować, wydzierając się, by Kwiatkowska porządniej przytykała palec do czytnika odcisków.

Dzisiaj Róża była gotowa na wojnę. Nie zdążyła jednak stoczyć nawet bitwy, bo wciągnęły ją o wiele bardziej pasjonujące wydarzenia. Najpierw przemówiła do niej winda.

– Jadymy na wiyrch – powiedziała do stojącej w holu Róży.

Dziennikarka obejrzała się za siebie, bo nie była pewna, kto się do niej odezwał. Winda stała z rozsuniętymi zapraszająco drzwiami. Kwiatkowska weszła do kabiny i ponaciskała wszystkie guziki naraz. Była ciekawa, czy maszyna gada na każdym piętrze.

– Pierszy sztok – oznajmiła winda. – Tu je kasa, rejestracja autów i prawka – uściśliła i ruszyła dalej. – Sztok drugi – powiedziała na drugim piętrze. – Sam je sala łobrodowa, izby prezydenta i radnych.

Róża cieszyła się jak dziecko. Choć przecież urodziła się i wychowała w Chorzowie, w jej domu nigdy nie mówiło się po śląsku. Jej rodzicom gwara nie przeszłaby przez usta. Uważali ją za przejaw złego wychowania i marnego pochodzenia. O sobie mieli

wysokie mniemanie. I z wielkim zawodem przyjęli do wiadomości fakt, że ich córka jest, jaka jest. Róża nie miała pretensji. Samej jej zdarzało się podejrzewać jakąś podmiankę w szpitalu zaraz po urodzeniu. W każdym razie Kwiatkowska znała język, ale nie uważała się za ekspertkę. Poza tym uwielbiała jego brzmienie. Wprawiało ją w dobry nastrój.

– Trzeci sztok. Tukej je architektura, szport i kultura – popłynęło z głośników.

Róży zostało jeszcze tylko czwarte piętro. Nagrywała to wszystko na dyktafon w telefonie, żeby nam później puścić.

– Sztok czwarty. Rzecznik konsumynta, geodezja i sprawy hasioków. – To ostatnie Róży spodobało się najbardziej. Rechotała jeszcze długo potem, gdy winda oświadczyła: – Terozki jadymy na dół. – I na parterze pożegnała się z pasażerką. – Som my na dole. Idzie wyleż na plac.

Róża nie wyszła jednak na zewnątrz, bo po pierwsze, nic jeszcze nie załatwiła, a po drugie, przy schodach zobaczyła znajomą postać. Brygida Buchta wypytywała właśnie portiera, „kaj je prezydent”, jak podsłuchiwała Kwiatkowska. Sąsiadka ruszyła pieszo na drugie piętro do pokoju, którego numer podał jej stróż, a Róża poszła za Buchtową. Zastanawiała się, czego też kobieta tu szuka. Czy miała umówione spotkanie? Może odkryła, kto zamordował Mariannę Biel, i przyszła podzielić się swoją wiedzą z prezydentem? Solański, zanim zemdłał z powodu zatrucia wiadomym produktem, twierdził, że zna tożsamość zabójcy. Ale jak już wytrzeźwiał, powiedział, że musi sprawdzić jeszcze kilka szczegółów i dopiero wtedy będzie mógł zawiadomić policję.

Jak się okazało, po wizycie Róży w Urzędzie Miasta nie musiał już nikogo zawiadamiać.

Kwiatkowska stanęła za drzwiami gabinetu prezydenta Chorzowa,

które Buchtowa otworzyła na oścież bez pukania.

– Jest pani umówiona? – Usłyszała głos sekretarki.

– Jo mom sprawa niecierpiąca wywłoki – rzekła Buchtowa, wprawiając sekretarkę w chwilowe osłupienie. – Kaj je prezydent? – powtórzyła pytanie, które wcześniej zadała portierowi.

– Pan prezydent jest teraz zajęty. Ale może się pani zapisać na spotkanie w dniu, kiedy przyjmuje mieszkańców.

– Jo musza teroz – rzekła Brygida i nie wdając się w dalsze dyskusje, wparowała do gabinetu.

Róża stanęła w progu, by mieć dobry widok na przebieg wydarzeń. Prezydent rzeczywiście był zajęty. Siedział właśnie za biurkiem i spożywał kanapki z pasztetową, które żona zapakowała mu do plastikowego pojemnika śniadaniowego. Na widok Buchtowej prezydentowi wypadł kawałek przeżuwanego właśnie chleba i zatrzymał się na jego białej koszuli.

– Pani Kasiu! – zawołał z pełnymi ustami mężczyzna.

Sekretarka chwyciła Brygidę za łokieć i próbowała siłą wyciągnąć ją z gabinetu. Buchtowa, o wiele postawniejsza od pani Kasi, opędzała się od niej jak od muchy i przez przypadek trafiła kobietę łokciem w oko. Sekretarka z wyciem pobiegła do swojego biurka. Tam, patrząc tylko jednym sprawnym okiem, zdołała połączyć się z kimś przez telefon.

– Pomocy! Terrorystka u prezydenta! – krzyknęła rozpaczliwie.

Następnie wygrzebała z torebki lusterko i nie zwracając już uwagi ani na Brygidę, ani na swego przełożonego, poczęła się przegłądać, by zmierzyć rozmiary nieszczęścia, jakie ją spotkało. Róża już widziała tę feerię barw, od czerwonej, przez fioletową, po trupio zielonkawą, jaka miała niebawem zagościć pod okiem pani Kasi. Cios Brygidy był mocny i celny.

Tymczasem Buchtowa, niezatrzymywana już przez nikogo,

spokojnie usiadła przed prezydentem na krześle dla interesantów. Założyła nogę na nogę i przybrała oficjalną minę.

– To jo żech jest tyn mordyrz, kerego szukacie – oznajmiła. – Dobro mocie ta sznita z leberwusztem? – zainteresowała się.

– Ja – odpowiedział automatycznie prezydent, który kończył już jeść kanapkę. Spożył nawet ten kawałek, który mu ufajdał koszulę. Żona ciosałaby mu kołki na głowie przez najbliższy miesiąc, gdyby zmarnował takie dobre sznitki. Prezydent nie wiedział skąd, ale jego stara z pewnością dowiedziałaby się o przewinieniu i wyciągnęła konsekwencje. Wolał więc nie ryzykować. Jeszcze tylko musiał zatrzeć ślady, czyli namoczyć plamę po pasztetowej. Przełknął wreszcie resztki jedzenia i dał głos: – Co?

– Ło jery, no przeca godom, że to jo żech zaszlachtowała ta cało Marianna Biel. Ta aktorka.

– Nie miałem przyjemności – odparł prezydent, bo już mu się wszystkie te nazwiska kiełbasiły, tyle tego musiał zapamiętać. Politycy, przedsiębiorcy, elita kulturalna – wszystkie te osoby ważne dla miasta. Nie dość, że każda nazywała się inaczej, to ważne mnożyły się jak króliki. A on miał je wszystkie poznać i zapamiętać. – Co pani zrobiła? – zreflektował się nagle.

– Zabiłam ją! – upierała się Brygida. – Bo przestoła ze mną godać! A niby moja psiapsiółka była.

Po tych słowach do gabinetu prezydenta wparowała wreszcie ochrona w osobach dwóch osiłeków w czarnych mundurach z żółtymi naszywkami firmy Jak w Sejfie. Ochroniarze nie wiedzieli jednak, na kogo mają się rzuć, gdyż jedyna potencjalna podejrzana o terroryzm siedziała sobie grzecznie i kulturalnie dyskutowała z prezydentem, który wcale na sterroryzowanego nie wyglądał.

– Mnie aresztujta! – Pomogła im w rozstrzygnięciu dylematu Brygida i wyciągnęła przed siebie nadgarstki gotowe do skucia. – Jo

już dłużej nie strzymia tego ukrywania się.

I pracownicy Jak w Sejfie, i prezydent byli na tyle skołowani, że Brygida sama musiała pokierować akcją. Kazała pani Kasi, której oko już zaczynało przypominać śliwkę, zadzwonić na policję. Czekala cierpliwie dobre pół godziny do jej przybycia. A gdy wreszcie na jej osobisty wniosek funkcjonariusze zawieźli ją na komendę, tam zeznała podkomisarzowi Matusiakowi, jak było.

Przyznała się, że tego wieczoru, gdy na podwórzu trwał piknik, wcale nie poszła do mieszkania z ogórkami kiszonymi dla syna, tylko podążyła za Marianną Biel do piwnicy, gdzie przyłożyła jej w łeb wcześniej przygotowanym słoikiem. Zrobiła to, bo nie mogła dłużej znieść, że dawna przyjaciółka ją bezkarnie ignoruje. Kiedyś były z nich papużki nierozłączki, ale gdy Marianna zaczęła robić karierę aktorską, zawstydziła się znajomości z prostą koleżanką. Brygida nie powiedziała policji o jeszcze jednym kierującym jej działaniami motywie. Gdyby Biel nie udawała wtedy w Delcie, że nie zna Buchtowej, ta nie zostałaby w kawiarni na przekór przyjaciółce. A co za tym idzie, nie przespałaby się z Hubertem, który pijany jak bela napatoczył się tamtego wieczoru. Z tego jednego razu z Gierlochtem wyniknął Sylwek i same kłopoty. Całe tylko szczęście, że Edek nigdy na to nie wpadł. W każdym razie Brygida uważała, że ma prawo winą za swoje nieudane życie osobiste obarczyć Mariannę Biel.

– Zdradziła mnie! – Brygida walnęła pięścią w stół w pokoju przesłuchań. – A potem jeszcze nasłała na mnie straż miejsko. Za to, że mój pinczerek pułił bez łokno.

To drugie przewinienie Marianny Biel było dla Buchtowej gwoździem do trumny, jak poinformowała stróżów prawa. I do owej trumny wpakowała Mariannę. Indagowana przez Matusiaka Buchtowa nie była, niestety, w stanie przekazać mu narzędzia

zbrodni, gdyż, jak twierdziła, słoik z ogórkami uległ zniszczeniu w akcji. Brygida zatarła ślady, zrzucając na piwniczną posadzkę stos innych słoików z zaprawami należącymi do Biel. Pozarywała też półki, by wszystko wyglądało na nieszczęśliwy wypadek.

Róża miała swoje źródło w policji, a stanowiła je sierżant Kamieńska. To ona pozwoliła dziennikarce, po starej znajomości, poznać szczegóły przesłuchania, dzięki czemu Kwiatkowska nam je teraz relacjonowała.

– Jak wychodziłam z urzędu, to zabrałam jego. – Ze swojej wielkiej torby z pyskiem kundelka Róża wyciągnęła... pinczerka! – Buchtowa zostawiła go przywiązanego do barierki przed wejściem. To co miałam zrobić?

Rzuciłem się, by przywitać kolegę. Wyglądał na oszołomionego podróżą w tym Różanym worze. Poczęstowałem go jednak wodą i tym kanadyjskim świństwem w kulkach, które o dziwo mu zasmakowało.

– Myślisz, że to naprawdę ona? – Róża zwróciła się do Solańskiego.

– Ja już nic nie myślę – odparł mój pan z tępym wyrazem twarzy.

Rozdział 23

NA PSA UROK

Zaparkował po przeciwnej stronie ulicy, skąd miał dobry widok na bramę pod sto trzynastką. Siedział w samochodzie i przełączał stacje radiowe. Z głośnika leciały jednak albo durne reklamy, które nawet Adasiowi Miauczyńskiemu by się nie przyśniły, albo dudniła sieczka. Było jeszcze trzecie albo – włączący sobie w słowo politycy, których bełkot był gorszy nawet od kampanii promującej tabletki na rozpalenie konaru.

Dochodziła siódma. Dzień zrobił się już na tyle krótki, że o tej porze trzeba było włączać światło w mieszkaniach. W jego kamienicy świeciło się w trzech oknach. Przez zasłonę firanek widział Annę Polaczek, która pakowała do walizki ubrania. Koszule i spodnie składała w równe kostki, skarpety zwijała w kulki. Co jakiś czas zatrzymywała się w pół ruchu i krawędzią dłoni wycierała z twarzy łzy. Piętro wyżej paliło się u Gierlochów. Bracia znowu się kłócili. Szymon widział pełną nerwów gestykulację. I przelatujące z jednej strony pokoju na drugą przedmioty, którymi celowali w siebie bliźniacy.

Jeszcze jedna żarówka rozświetlała ciemność ulicy 11 Listopada. Na wewnętrznym parapecie zamkniętego okna leżała poduszka, a na niej wspierał się mężczyzna. Wyglądał na zewnątrz i co chwilę spoglądał na zegarek.

Solański dostrzegł jeszcze dwie pary innych oczu. Ich właściciele siedzieli obok siebie na parapecie jego mieszkania i machali ogonami,

bo zauważyli już znajomą skodę. Solańskiemu nie w smak było opiekować się dwoma psami, ale skoro Buchtowa siedziała w areszcie, nie mógł przecież pinczerka wyrzucić na bruk. Sylwek nie wydawał się właściwą osobą do opieki nad kimkolwiek.

Szymon wyłączył radio. Na siedzeniu pasażera leżała zwinięta w rulon gazeta. Z pierwszej strony uśmiechała się skuta w kajdanki Brygida, a umieszczony nad zdjęciem tytuł głosił: *Szok! Zabiła gwiazdę słoikiem ogórków!*. Solański rozłożył dziennik i jeszcze raz przeczytał artykuł. Zatem Brygida Buchta była morderczynią. Miała motyw oraz sposobność. Dlaczego jednak się przyznała? Przecież policja zamknęła sprawę, a Solański wcale nie deptał jej po piętach. W artykule napisano, że Brygida poszła z tymi rewelacjami prosto do prezydenta, by mieć pewność, że zostanie wysłuchana. Wierzyła, że najważniejsza osoba w mieście jej nie zignoruje. Szymon nie rozumiał, dlaczego tak bardzo zależało jej, by znaleźć się za kratkami. Przecież były duże szanse na to, że nikt nigdy się nie dowie, co zrobiła.

Solański jeszcze długo w noc zastanawiał się nad postępowaniem Brygidy. Wreszcie doszedł do wniosków, które policji mogłyby się nie spodobać. Wiedział jednak, że ma rację. Musiał tylko znaleźć dowody.

Wysiadł i zatrzasnął za sobą drzwi samochodu. Sylwek wciąż siedział w oknie. Nos miał rozpląszczony na szybie, aż zbiełał koniuszek. Szymon pomachał do mężczyzny, a wtedy on schował się szybko za firanką. Detektyw wszedł do bramy. Nacisnął dzwonek. Drzwi otworzyły się po chwili.

– Cześć – przywitał się Solański. – Pogadamy?

Poszedł za mężczyzną do salonu.

– Gdzie mama? – zapytał Sylwek z miną trzylatka, który zgubił się w supermarkecie.

– W więzieniu. – Solański nie zamierzał bawić się w niańkę. – Powiedz lepiej, gdzie twój tata.

– Nie żyje. – Facet wydawał się zupełnie dziecinnieały. – Miał wypadek, jak Sylwek był mały. Upadł w piwnicy. Uderzył się w brzuch. To był wypadek – powtórzył.

– A ty mu w tym wypadku pomogłeś.

– Sylwek nie pomógł! – Mężczyzna podniósł głos. – Sylwek był grzeczny! Grzecznie siedzi w szafie! Gdzie mama? – Teraz już darł się na całego.

– Zamyka cię w szafie, bo zabiłeś tatusia?

– Kłamiesz! – wrzasnął młody Buchta.

Wyszczrzył zęby i rzucił się na Solańskiego. Był silny, ale nieporadny. Szymon z łatwością zrzucił go z siebie. Sylwek zwinął się do pozycji embrionalnej i łkał. Solański zostawił go tak i wyszedł.

Gdy tylko trzasnęły drzwi, Sylwek podniósł się z podłogi. Wyjął komórkę i skorzystał z opcji szybkiego wybierania. Na wyświetlaczu pojawiło się zdjęcie młodej uśmiechniętej dziewczyny.

– Ewunia? – powiedział łagodnie do słuchawki. – Spotkamy się? – Przez chwilę słuchał odpowiedzi. – To do jutra do osiemnastej.

Rozłączył się. Zatarł ręce. Na jego twarzy pojawił się obleśny uśmiech, który nie spodobałby się policjantom z wydziału do walki z pedofilią.

Sylwek nie wiedział, że Solański wciąż stoi pod jego drzwiami. I podsłuchuje.



Jechaliśmy na wycieczkę. Ja i pinczerek rozsiedliśmy się na tylnej kanapie, żeby podziwiać widoki. Szymon dociskał gaz do dechy, a Róża rozmontowywała mu radio, na którym nie zdołała zapuścić płyty The Baseballs, w związku z czym musiała wysłuchiwać

prezenterów szczujących ludzi na kasę. Obiecywali słuchaczom miliony w zamian za wysłanego esemesa.

– To jest hałas – poinformowała Solańskiego z pretensją w głosie i wyszarpiętym z deski rozdzielczej panelem radia w rękę. – Nie lubię hałasu. – Wsadziła radio do schowka. – Co za brednie, żebyś nie mógł się spotkać z własnym ojcem! Co oni mu tam robią? Elektrowstrząsy?

Solański skrzywił się i jeszcze przyśpieszył. Czający się na wysokości AKS-u policjant nieco za późno wyciągnął suszarkę. Aż zatupał ze złości na samego siebie. Chwila nieuwagi i stracił potencjalnego klienta, który pomógłby mu wyrobić wyznaczoną przez przełożonych normę mandatów na dziś.

Rano Szymon zadzwonił do szpitala, w którym przebywał Janusz, żeby dopytać, kiedy są godziny odwiedzin. Pielęgniarka bez słowa przekazała słuchawkę lekarce. Solański miał już z nią do czynienia, nie przewidywał więc kłopotów. Pani doktor okazała się jednak nieufna. Koniecznie chciała wiedzieć, w jakim celu Szymon zamierza się spotkać ze swoim ojcem. Wyjaśnił jej, że musi z Januszem porozmawiać o śledztwie, które ten prowadził, gdy jeszcze pracował w policji. Ojciec mógł mu udzielić ważnych dla aktualnie prowadzonego dochodzenia informacji. Wtedy lekarka oświadczyła, że nie ma mowy o żadnych odwiedzinach.

– Pana ojciec jest na dobrej drodze do poprawy swojego stanu zdrowia. Rozgrzebywanie przeszłości z pewnością mu w tym nie pomoże – oznajmiła autorytatywnie. – Chce pan mieć zdrowego ojca czy rozwiązana sprawę? – Zadała ostatni cios i się rozłączyła.

A Solański chciał mieć ciastko i zjeść ciastko.

– Co ona tam wie! – parsknęła Róża, gdy detektyw zrelacjonował jej rozmowę. – Jedziemy! – zarządziła.

Po drodze obmyśliła plan działania, w którym istotną rolę

mieliśmy odegrać my, czyli ja i pinczerek.

Dojechaliśmy do szpitala z prędkością Formuły 1. No i się zaczęło. Brakowało nam tylko tego ciecica, co to zawsze lata po planie filmowym z klapsem i woła: „kamera, akcja!”.

Solański minął obojętnie bramę wejściową. Przeszedł wzdłuż betonowego muru w dół ulicy. Rozejrzał się, ale nikogo oprócz nas na horyzoncie nie było, przesadził więc ogrodzenie w miejscu, gdzie nie sięgało oko kamery monitoringu, i zniknął w porastających szpitalny ogródek chaszczach. Zgodnie z drugim punktem programu tajnej akcji my z Różą wkroczyliśmy na teren psychiatryka. Od frontu, oficjalnie, z fanfarami. Za ladą recepcji siedział ten cerber, pielęgniara, która nie chciała gadać z Solańskim przez telefon. Byście widzieli jej minę, jak zobaczyła mnie i pinczerka!

– Z psami?! – rozdarła się. – Tu nie wolno!

– A wariatowi kto zabroni? – spytała Róża, wywalając gały i śliniąc się na zawołanie.

Teraz przyszła pora na nas. Pinczerek nie do końca łapał *clou* przedsięwzięcia, więc kazałem mu podążać za mną. Piguła już opuszczała swoje stanowisko. Ujadając i podgryzając jej rajstopy, zrobiliśmy wokół babki trzy kółka, żeby nas przypadkiem nie przeoczyła.

– Pani je weźmie! – wrzeszczała.

Tymczasem Róża stała tylko z boku z głupią miną. Teraz wystawiła jęzor i zrobiła zęza, żeby bardziej uwiarygodnić swoją postać. Moim zdaniem nieco przesadzała. Recepcjonistka dała się jednak zbajerować i pognąła za nami.

Lecieliśmy gęsiego. Przodem biegła Róża, która wysłuchiwała wskazówek Szymona i miała teraz za zadanie odciągnąć pielęgniarkę w kierunku przeciwnym do tego, gdzie znajdował się pokój Janusza. Ja i pinczerek sunęliśmy za dziennikarką. Peleton zamykała piguła.

Kwiatkowska wczuła się w rolę do tego stopnia, że zaczęła wydawać indiańskie okrzyki, a my zawtórowaliśmy jej ujadaniem. To była draka!

Podczas gdy my urządzaliśmy sobie wyścigi po korytarzach domu wariatów, Solański zakradł się przez recepcję na tył budynku. Na podwórze, na które wychodziło okno pokoju Janusza, mógł dostać się tylko tą drogą. Tamtą część szpitala otaczał czterometrowy płot, którego Szymon by tak łatwo nie przesadził.

W oknie Janusza nie było krat, jednak miało ono jeden mały mankament. Znajdowało się na pierwszym piętrze. Gdy nam Solański w drodze powrotnej opowiadał ze szczegółami o swoich wyczynach, futro stanęło mi dęba. Choć my też mieliśmy się czym pochwalić. Przegoniliśmy recepcjonistkę w koło ze trzy razy, potem zagnaliśmy ją w kozi róg, czyli do komórki na mopy i miotły. Róża podetknęła jedną ze szczotek pod klamkę i zamknęła babę na dobre. Zanim pielęgniarka wydostała się na zewnątrz, cała nasza banda już bezpiecznie jechała w stronę Chorzowa.

Na razie jednak Szymon rzucał kamyczkami w szybę. Bez rezultatów. Nikt nie chciał wyjrzeć na zewnątrz. Solański przystąpił więc do realizacji planu B. Przyjrzał się rynnie, potrząsnął nią, wreszcie wykorzystując załamania w elewacji, wspiął się po rurze na pierwsze piętro. Tam stanął na gzymsie, chwycił się parapetu i zajrzał do pokoju.

Janusz wraz z trzema współlokatorami siedział pochylony nad taboretami, na którym leżał stosik kart. Każdy z mężczyzn był ubrany w pasiasty szlafrok burego koloru. Na nogach mieli rozczłapane papcie. Solański zapukał w szybę. Trzech pacjentów odwróciło się w jego stronę jak na komendę. Jeden z nich otworzył okno. Ojciec nie zareagował.

– Pan do kogo? – Mężczyzna zapytał bez śladu zdziwienia.

– Do Janusza Solańskiego. – Szymon postanowił udawać, że też nie widzi nic osobliwego we włożeniu do budynku oknem.

– Czy był pan umówiony? – kontynuował przesłuchanie facet.

Solański spojrział w dół. Ziemia zawirowała. Nogi zamieniły mu się w dwie kolumny z waty. Przełknął ślinę. Chwytał się framugi. Zebrał się w sobie. Przełożył nogę przez parapet i jednym susem znalazł się w środku.

– Zjeżdżaj – warknął na odźwiernego i pchnął go na łóżko. – Tato! – Usiadł obok ojca. Ten jednak pozostawał w swoim świetle.

– Zagra pan z nami? – odezwał się drugi z członków świętej trójcy. – W tysiącza? – nęcił. – Bo on – wskazał na Janusza – nawet do trzymania musika się nie nadaje.

– Zjeżdżajcie! – Tym razem Solański użył liczby mnogiej. Otworzył drzwi i wyprosił całą trójkę. – Pilnujcie korytarza – nakazał i zamknął pokój.

Janusz dalej siedział nieruchomo, jakby nie zdawał sobie sprawy z tego, co się wokół niego dzieje. Szymon usiadł obok ojca. Chwytał go za rękę. Zobaczył liczne ślady po wklucjach. Janusz przesuwiał wodnistym wzrokiem po brudnej lamperii. Włosy miał potargane. Czuć go było potem.

– Pamiętasz sprawę Edwarda Buchty? – Solański przeszedł do rzeczy. Na grę wstępna nie było czasu. – Tego sztygara, który zginął w dziewięćdziesiątym roku w piwnicy familoka? – Janusz poruszył się niespokojnie. Potarł dłońmi o kolana. Wciąż nie patrzył na Szymona. – Koleżanka z firmy sprawdziła w aktach. Prowadziłeś tę sprawę. – Solański nie miał pewności, czy ojciec w ogóle go słyszy. A jeżeli słyszy, to czy rozumie. – Podobno to był nieszczęśliwy wypadek.

– A ja jestem królowa Elżbieta – powiedział całkiem trzeźwo Janusz Solański.

Szymon popatrzył na ojca z rozbawieniem.

– Pamiętasz szczegóły? Coś się nie zgadzało?

Solański senior wreszcie skierował wzrok na syna. Skupiał się na każdym słowie. Widać było, że mówienie przychodzi mu z trudem.

– Buchta został zamordowany – oznajmił twardo Janusz.

Opowiedział Szymonowi o kulisach jednej z najtrudniejszych spraw, na jakie natrafił podczas swojej milicyjno-policyjnej kariery. Sprawy, która według niego nie została należycie rozwiązana. Sztygara Edwarda Buchtę znaleziono martwego w piwnicy. Ciało odkrył jego syn Sylwester. Dziecko miało wtedy pięć lat. Oficjalna wersja była taka, że Buchta popił sobie z kolegami po szychcie, przyszedł do domu i mu się góra z dołem pomyliła. Zamiast pójść do mieszkania, zszedł do piwnicy, gdzie upadł tak nieszczęśliwie, że nadział się na pogrzbacz postawiony sztorcem przy węglu. Żelastwo wbiło się Edwardowi w brzuch i wyszło drugą stroną. Do pijackich krzyków Buchty wszyscy byli przyzwyczajeni, więc nawet jeśli ktoś usłyszał jego pełne bólu zawodzenie, nie zareagował. Sztymar wykrwawił się na śmierć. Znalazł go jego syn, który wymknął się matce podczas sobotnich porządków. Chłopczyk, zamiast rozbeczeć się, jak zrobiłby każdy normalny bachor, usiadł w plamie krwi i gapił się na rodziciela. Po jakimś czasie Brygida wreszcie odkryła zniknięcie dziecka i wszczęła alarm. Szybko zlokalizowała syna, przy okazji odnajdując też męża, który z pewnością nie był w stanie pomóc jej w zaplanowanych na ten dzień porządkach. Brygida rozdarła się jak syrena Ochotniczej Straży Pożarnej. Chwyciła Sylwka pod pachę i wybiegła, wciąż krzycząc, na ulicę. Były to czasy, kiedy jeszcze bliźni interesowali się sobą nawzajem, więc znalazło się kilku przechodniów, którzy z bełkotliwych tłumaczeń Buchtowej wyłowili esencję i zawiadomili

organy ścigania.

Dopiero kiedy karetka pogotowia ratunkowego i policyjny radiowóz odjechały bez sygnału, bo ten nie był już do niczego potrzebny, kobieta zorientowała się, że Sylwek znów zniknął. Długotrwałe poszukiwania, jakie prowadziła nie tylko policja, ale i liczne oddziały chorzowian, zakończyły się fiaskiem. Buchtowa jeszcze długo chodziła po mieście i rozpaczała. Nie mogła nawet pochować pierworodnego, bo nigdy nie znaleziono ciała. Śledczy uznali, że chłopczyk najprawdopodobniej utopił się w pobliskim stawie przy ulicy Stacyjnej. Policyjny nurek przeszukiwał wprawdzie dno zbiornika, ale przecież mógł coś przeoczyć. Solański senior uważał jednak, że pięciolatek nie byłby w stanie przejść tak długiej drogi, pozostając niezauważonym przez przechodniów czy okolicznych mieszkańców. A tych Janusz i jego podwładni przesłuchiwali wnikliwie. Druga hipoteza śledcza zwierzchników Solańskiego zakładała porwanie. Jakiś zboczeniec mógł skorzystać z okazji i porwać chłopczyka, a potem wywieźć go gdziekolwiek. W tę wersję Janusz też powątpiewał.

– Moim zdaniem – zwrócił się Janusz do Szymona, a ten poczuł nieświeży oddech ojca – mały gnojek zabił tatusia. A matka zatuszowała sprawę. Wytarła odciski palców, zdeptała ślady. Ale nie była pewna, czy to wystarczy, i dlatego ukryła syna, pozorując jego zniknięcie.

– Pięciolatek miałby zabić własnego ojca? – Szymon nie był przekonany.

– Pchnąć naprutego w trzy dupy pijaka naostrzoną końcówką pogrzebacza to nic trudnego – upierał się Janusz. – Szczególnie jeśli bachor miał nierówno pod sufitem. Nie musiał go przebijać na wylot. Tatuś wyrócił się na brzuch i ciężarem własnego ciała sam dokończył dzieła.

Solański wciąż zastanawiał się, jak Brygida przez tyle lat zdołała ukrywać Sylwka w mieszkaniu. Podejrzewał, że tak naprawdę lokatorzy zdawali sobie sprawę z jego istnienia, jednak dla świętego spokoju woleli siedzieć cicho. Z drugiej strony, zniknięcia Marianny Biel nikt nie spostrzegł. Znieczulica w tej kamienicy miała się dobrze od pokoleń. No i przez te wszystkie lata Sylwek nie chodził do szkoły... A od prostej Buchtowej raczej nie mógł się wiele nauczyć. Solański nie rozmawiał z młodym Buchtą zbyt wiele, ale te nieliczne spotkania wystarczyły, by przekonać się, że z Sylwkiem jest coś nie tak. Mówił prostymi zdaniami, jakby żywcem wyjętymi z ust kilkulatka. Na jego psychikę nie mógł też dobrze wpłynąć fakt, że własna matka zwykła paradować przed nim w samej bieliźnie. Najwyraźniej nie widziała w tym nic zdrożnego. „Cała rodzina Buchtów nadawała się do Toszka” – pomyślał Solański. Wszystkie elementy układanki zaczęły mu się składać w całość.

Jego rozmyślania przerwał stukot chodaków dobiegający z korytarza. Słysząc było podniesione głosy.

– On nie chce z nami w tysiąca zagrać, pani doktorowo – skarżył się jeden z pacjentów.

– A przydałby się, bo Januszek nie umie – mówił drugi.

Solański wiedział, że tu nie ma nad czym dumać. Tu trzeba spierdalać.

– Wyciągnę cię stąd. – Poklepał ojca po ramieniu.

Wyszedł tą samą drogą, którą się tu pojawił. Zanim ekipa złożona z lekarki i trzech szlafrokowców zdążyła wejść do pokoju, Janusz zamknął za synem okno i usiadł w swoim niemym stuporze nad taboretami z kartami.

– Wszedł przez okno – skarżył trzeci z donosicieli.

Kobieta zlustrowała pokój. Okno było zamknięte. Nigdzie nic podejrzanego. Wprawdzie syn Solańskiego domagał się dzisiaj

widzenia z ojcem, ale nie sądziła, by zignorował jej zalecenia. Tej bandzie wariatów najwyraźniej się nudziło.

– Nie zawracajcie mi gitary – zrugła pacjentów. – I dajcie mu spokój. – Wskazała na Janusza. – Widzicie, że nie dociera do niego, o co chodzi w tej waszej grze.

Zostawiła ich i pośpieszyła do czekającej na nią w gabinecie góry papierów. Gdy pacjenci znów zasiedli do tysiąca, odkryli, że każdemu zniknęły meldunki, które zdołali sobie uzbierać na to rozdanie.

Solański senior położył się na swoim łóżku. Ślina ciekła mu po brodzie z na wpół otwartych ust. Gdyby jednak gracze zajrzeli pod koc ułożony w jego nogach, odnaleźliby tam kilka dam i królów.

Rozdział 24

PSIM SWĘDEM

Szara skoda pędziła wbrew przepisom i rozsądkowi. Solański ignorował czerwone światła, przejścia dla pieszych i fakt, że chodniki nie powinny służyć osobówkom za tor wyścigowy.

– On się spotyka z Ewą! – wrzeszczał pomiędzy uderzeniami w klakson, którym raczył narażających mu się uczestników ruchu drogowego.

– Sylwek? – upewniła się Róża. Dziennikarka była przypięta pasami. Jedną ręką trzymała się uchwyty nad drzwiczkami, drugą zapierała się o deskę rozdzielczą. Mimo to miała wrażenie, że zaraz wyleci z samochodu jak z procy. – Uważaj na psy! – ryknęła, bo Guciem i pinczerkiem rzucało od prawa do lewa na tylnym siedzeniu. – Przecież ona jest od niego o połowę młodsza – skrzywiła się Róża.

Solański nie słuchał za bardzo jej wywodów, gdyż zajęty był właśnie wymijaniem korków. W oczach pasażerów stojących na przystanku autobusowym dojrzał przerażenie, gdy jechał prosto na wiatę. W ostatniej chwili zdążył przyhamować i wykręcić. Ktoś rzucił w jego kierunku stekiem wyzwisk. Ktoś inny ogryzkiem. Szymon nie zwracał na to uwagi. Musiał zdążyć. Wizyta w szpitalu zajęła im o wiele więcej czasu, niż zakładał.

– No to się już nie pospotyka z Ewą, jak pójdzie siedzieć. – Kwiatkowska uchyliła okno, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Zemdlilo ją od tej szaleńczej jazdy. – Po co ten pośpiech? Przecież nie

ucieknie.

– On się spotyka z Ewą dzisiaj! – wyjaśnił wreszcie pełnym zdaniem detektyw. – Słyszałem przez drzwi, jak się z nią umawiał. To jest psychol! A odkąd Brygida została aresztowana, zupełnie mu odbiło.

– O której? – Róża pobladła.

Oboje spojrzeli na samochodowy zegar. Wskazywał siedemnastą pięćdziesiąt pięć.

– Za pięć minut – rzucił Solański i zahaczył o czerwono-białe słupki ostrzegawcze, którymi zastawiono wykopaną w jezdni dziurę. Posypały się jak domino.

– Nie mamy szans – jęczała Róża. – A wiesz chociaż, gdzie się mają spotkać?

– Dzwon do Wyrazów! – Solański podał Róży swoją komórkę. – Może Anna będzie coś wiedzieć.

Kwiatkowska swoimi wielkimi paluchami zaczęła naciskać guziki telefonu. Była przyzwyczajona do dotykowego ekranu, więc z trudem radziła sobie z tym starym gratem Solańskiego.

– Jak masz je zapisane?

– Nie mam. Weź znajdź przez Internet w tym swoim iPhone – poradził Róży.

– Mówiłam, zmień tego rzecha! – wydarła się Kwiatkowska. Strzeliła nokią o podłogę. Postukała w swój telefon. Znalazła numer i spróbowała się połączyć.

– Nie odbiera. – Odsunęła telefon od ucha. – Niedziela przecież jest! Zamknięte!

– Próbuje do oporu. – Solański wjechał już na estakadę. – Ona tam przesiaduje cały czas. – Zegar na wieży Urzędu Miasta zabił raz na znak tego, że minął kwadrans po pełnej godzinie.

Parę minut później zajechali pod kamienicę numer sto trzystaście.

Solański zahamował tuż przed wystawą księgarni Wyrazy. Róża przez całą drogę dzwoniła pod numer stacjonarny sklepu, ale nikt nie odbierał. Na drzwiach księgarni widniała zawieszka z napisem „zamknięte”. Wpadli do bramy. Solański uwiesił się na dzwonku mieszkania Polaczków, jednocześnie waląc do drzwi. Dopiero po dobrej chwili otworzyła im Anna. Była ubrana w szlafrok. Twarz miała rozspaną.

– Gdzie Ewa?! – chciał wiedzieć Szymon.

– Ale o co chodzi? – Anna przecierała oczy. Róża zauważyła, że kobieta ma czerwony nos. – Powinnam wracać do łóżka. – Zakaszłała.

Solański chwycił Polaczkową za ramiona i potrząsnął nią jak workiem kartofli.

– Gdzie jest, do kurwy nędzy, twoja córka?! – wydarł się.

Anna otworzyła szeroko oczy ze strachu.

– Ja... nie wiem – jąkała się.

– Szymon, puść ją. – Róża musiała interweniować. Detektyw był gotowy zmiażdżyć Polaczkową jak w imadle. Posłuchał połowicznie. Poluzował uścisk, ale dalej trzymał poły jej szlafroka.

– Chciała się spotkać z koleżanką jeszcze przed wyjazdem. Jutro zaczyna się obóz językowy. – Anna otrzeźwiała nieco. – Ale po co wam to wiedzieć?

– Gdzie?! – Solański nie chciał Annie od razu wyjawiać, o co chodzi.

– Gdzie się umówiła? – Gdyby Polaczkowa dowiedziała się, że jej córka wybrała się na randkę z mordercą, już w ogóle nie można by się z nią dogadać.

– Mówiła – Anna zastanawiała się ciężko – coś o stawie. Na Amelungu chyba. Powiecie mi wreszcie, co jest grane?

– Róża, dzwoń na komendę. Niech zawiadomią Matusiaka – wydawał polecenia Solański. – Siedź tutaj i czekaj na wypadek,

gdyby Ewa jednak wróciła – zwrócił się do Anny.

– A ty? – Róża stanęła mu na drodze.

– Jadę nad staw. To jedyny ślad, jaki mamy.

– Co się dzieje?! – Już zza drzwi usłyszał wrzask Polaczkowej. Nie zazdrościł Róży tłumaczenia kobiecie, w co wplątała się jej jedynaczka.

Pojechał w stronę ulicy Krzyżowej. Skręcił przy kościele w lewo. Minął zakład usług pogrzebowych, który reklamował się wielkim zdjęciem karawanu wywieszonym na elewacji i szyldem: „Pogrzeby – kremacje”. Solański nie wierzył w znaki i tym podobne bzdety, ale przyśpieszył. Gdy zatrzymał się wreszcie przy Amelungu, był kwadrans przed dziewiętnastą. Nad Chorzowem zapadł mrok.

O tej porze alejki spacerowe były już wyludnione. Czasem pojawił się jakiś przechodzień, śpieszący do domu na kolację. Starsza pani ciągnęła za sobą psa na smyczy. Pies wachał każdy krzaczek, każdą mijaną latarnię, by tylko przedłużyć spacer. Na placu zabaw matka wrzeszczała na dziecko, żeby zeszło ze zjeżdżalni, wróżąc mu rychłe powybijanie wszystkich zębów w tej ciemnicy. Nigdzie nie było natomiast widać zakochanej pary. Solański pozbierał z podłogi samochodu swoją sponiewieraną przez Różę nokię. Prócz pękniętej obudowy na pierwszy rzut oka telefon działał jak należy. Szymon przebiegł alejką wkoło stawów. Z najgorszymi przecuciami zaglądał w mętną wodę zbiorników, na brzegu których leżały zdechłe ryby. Przeszukiwał chaszczę porastającą skraj rekreacyjnego obszaru. Wreszcie się zatrzymał. Zgiął się wpół i oparł ręce na kolanach. Zrobiło mu się niedobrze. Rozdzwoniła się komórka.

– Nie ma ich! – wychrypiał do słuchawki.

– Zobacz na Skałce – powiedziała Róża. – Anna przypomniała sobie, że Ewa wcale nie mówiła konkretnie o Amelungu, tylko że idzie nad staw.

- Wiesz, ile w Chorzowie jest stawów? – Solańskiemu opadły ręce.
- Niby czemu miałyby to być Skałka?

Leżący już w granicach Świętochłowic park zwany Skałką znajdował się dosłownie rzut beretem od Amelungu. Solański zawrócił do samochodu.

- Bo jest w miarę blisko. Anna mówi, że Ewa często umawia się tam ze znajomymi – relacjonowała Róża.

- Co z policją? – Solański już odpalał silnik.

- Matusiak jedzie. Uważaj... – Szymona rozłączyło w pół zdania. Cholerny telefon musiał się jednak zepsuć.

Zarzuciło autem. Wykonał skręt o sto osiemdziesiąt stopni, przetrącił szlaban postawiony tu po to, by auta nie wjeżdżały na teren parku. Solański w dupie miał szlabany i zakazy. Staranował, co trzeba. Skoda ledwo mieściła się w alejkach. Zahaczał zderzakiem o metalowe śmietniki. Telepało nim na wybojach utworzonych przez korzenie starych drzew, które próbowały przepchnąć się na światło dzienne przez asfaltowe ścieżki. Zgasił reflektory. Wolał, żeby Sylwek nie zobaczył go zbyt wcześnie. Jechał powoli. Rozglądał się na boki. Zrobiło się już zupełnie ciemno. W wodzie odbijał się księżyc niezastłonięty tego wieczoru przez chmury. Już zaczynał tracić nadzieję, gdy nagle kątem oka dojrzał jakiś ruch. Ktoś siedział na drewnianym mostku, postawionym tutaj dla rybaków. Odjechał kawałek dalej. Zatrzymał się za drzewami, które jako tako zasłaniały go przed ludźmi na molo. Ze schowka wyjął pistolet. Ten sam, który rzekomo zgubił tuż przed zakończeniem służby. Sprawdził magazynek. Wysiadł i umocował broń przy pasku od spodni. Zamknął za sobą drzwi najciszej, jak potrafił. Zakradał się, sunąc za krzakami. Z większości z nich opadły już liście, nie mógł więc liczyć na całkowity kamuflaż. Zatrzymał się. Na molo siedziały dwie osoby. Nie był pewny, ale wydawało mu się, że to kobieta i mężczyzna.

Podszedł bliżej. Ukucnął za grubym pniem kasztanowca. Wyrzwał ze swojej kryjówki. Para się obściskowała. Wyciągnął broń i przeładował ją. Poruszał się na zgiętych nogach powoli, metodycznie. Był coraz bliżej celu. Zakochani siedzieli okryci jedną kurtką. Nie mógł dostrzec ich twarzy. Wszedł na mostek. Poluzowana deska zaskrzypiała pod jego stopą. Mężczyzna się obrócił. Solański wymierzył.

– Puść ją! – Woda poniosła echem jego głos. W ciszy panującej nad stawem zabrzmiał on jak wybuch armaty.

Facet nie protestował. Solański w ciemności nie potrafił go rozpoznać. Coś mu tu nie pasowało. Kobieta wciąż siedziała odwrócona do niego tyłem. Miała krótkie włosy, była potężnie zbudowana. Nie przypominała Ewy. Wszystko działo się zbyt szybko. Szymon nie zdążył się zastanowić. Ten na molo podniósł ręce do góry. Zahaczył przy tym o tę drugą osobę, która wcale nie była kobietą.

Mężczyzna potracił swojego partnera tak niefortunnie, że ten zsunął się z krawędzi mola i pociągnął go za sobą. Obaj wpadli do wody.

Detektyw już wiedział, że to pomyłka. Pieprzony błąd, za który pewnie słono zapłaci. Podbiegł do brzegu. Schował pistolet do kieszeni kurtki. W wodzie po pas stał Hubert Gierloch, a obok niego ten sam mężczyzna, którego Szymon spotkał kiedyś wychodzącego z mieszkania bliźniaków. Kochanek Huberta.

– Solański! – ryknął Gierloch. – Co ty tu, kurwą, robisz?!

– Nie drzyj mordy. – Szymon nie zamierzał przeproszać.

Towarzysz Gierlocha, widząc, że jednak sytuacja nie jest niebezpieczna, dostał ataku śmiechu. Pryskął wodą i zataczał się na boki.

– Ale ubaw! – cieszył się.

– Doigrałeś się – gderał Hubert, wyłazając ze stawu. – Każę cię podać pani mecenas Potomek-Chojarskiej do sądu. Za zniesławienie. Będziesz płacił! – zapowiedział.

Solański już go jednak nie słuchał. W oddali na wodzie, w blasku księżyca, zauważył bowiem dryfujący kajak. A w nim dwie postacie.

– Zamknijcie gęby! – nakazał mężczyznom.

– No co się tak gapisz? – Hubert ściągnął spodnie i wykręcał je z wody. – Jemu też zamierzasz zepsuć randkę? – Wskazał na kajak.

– Jemu? – Solański spojrzał na Gierlocha.

– Sylwowski. Z tą całą Ewą tu jest. Spotkaliśmy się przy przystani kajakowej. Miła dziewczyna, tylko że młoda. Ale chyba nie powinienem się wymądrzać. Odnaleziony tatuś gej. Jak myślisz? – trajkotał Hubert.

– Ty masz syna? – Mina chłopaka Huberta wyrażała obrzydzenie.

– Och, nie histeryzuj, Albercik – zniecierpliwiał się Gierloch. – A ty, Solański, jesteś smutnym, samotnym fiutem! Tyle ci powiem. – Hubert mierzył detektywa wzrokiem. – Wtrącasz się do życia innych, a lepiej byś sobie jakąś pannę przygruchał i odpuścił. Bo tej grubej dziennikary raczej nie tykasz, co? – Zarechotał.

Uśmiech jednak szybko zniknął z jego twarzy. Solański wymazał go stamtąd prawym sierpowym. Hubert na powrót wpadł do wody. Kiedy wygrzebał się na brzeg, ani Szymona, ani obrażonego Albercika już tam nie było.



Solański objechał staw i zaparkował przy przystani kajakowej. Nowoczesna budowla z drewnem na elewacji za dnia robiła wrażenie. Po zmroku wyglądała raczej upiornie. Tuż przy mołu Szymon namierzył kilka unoszących się na wodzie, przytwierdzonych do siebie łańcuchami kajaków. Sylwek musiał zerwać jeden z nich

i ukraść kajak. Solański poszedł w jego ślady. Ogniwa łańcucha były ze sobą luźno powiązane. Przy mocniejszym szarpnięciu puściły. Chwiejąc się, Solański stanął na dnie kajaka. Ten zakołysał się niebezpiecznie. Szymon kucnął, by uniknąć kąpieli. Wiosło było przytwierdzone do lewej burty. Odpiął je i odbił się od mola. Pagaj wchodził miękko w wodę. Po kilku niewprawnych ruchach Solański nabrał rytmu. Wiosłował równo i energicznie.

Zauważył kajak tuż przy wysepce, która wyłaniała się na środku stawu. Młody Buchta dobił właśnie do jej brzegu i wypychał Ewę na ląd. Solański widział, że dziewczyna się opiera, ale Sylwek mierzy do niej jakimś szpiczastym przedmiotem.

– Zostaw mnie! – Ewę było słychać doskonale. – Wracajmy! – Uderzyła w płaczliwe tony. – Nikomu nie powiem, że mi groziłeś. Przecież to tylko żarty, prawda?

– Wychodź, bo Sylwek się zdenerwuje. – Mężczyzna się zirytował.

Dziewczyna posłuchała. Zaniósła się od płaczu. Solański uznał, że najwyższa pora, by powiadomić podkomisarza Matusiaka. Wyciągnął komórkę. Nacisnął guziki odblokowujące klawiaturę, ale kombinacja nie zadziałała. Spróbował włączyć i wyłączyć telefon, jednak ten pozostawał martwy. Rzucił nokię na dno kajaka. Podpłynął bliżej. Sylwek jeszcze go nie zauważył. Wpłynął w sitowie. W wieczornej ciszy słychać było najdrobniejszy szelest.

– Co chcesz ze mną zrobić? Nie kochasz mnie już? – chlpała Ewa.

– Sylwek kocha mamusię! – oznajmił. – Ale mamusi nie ma.

– Poszukamy jej razem. – Dziewczyna kombinowała. – Tylko wrócimy na brzeg.

– Sylwek ma lepszy pomysł – pochwalił się mężczyzna. – Zabije ciebie i wtedy wezmą go do więzienia, a wypuszczą mamusię. Ona nie zasłużyła, by tam być. To Sylwek zabił tatusia.

– O czym ty mówisz?! – łkała Ewa.

– Sylwuś nie lubił, jak tata był pijany – mówił całkiem spokojnie. – A wtedy był, to go Sylwek nadział na pogrzebacz.

– Pomocy! – wydarła się dziewczyna.

Więcej jednak nie krzyknęła. Dało się za to usłyszeć głuchy odgłos uderzenia. Solański wyszedł po cichu z kajaka. Wysepka była naprawdę niewielka. Porastały ją łyse o tej porze roku wierzby płaczące i przywiedłe trawy. Skradał się brzegiem w nadziei, że zaskoczy napastnika od tyłu. Był już naprawdę blisko. Wyjął broń. Wymierzył. I wtedy na przystani zawyły policyjne syreny. Matusiak w samą porę obwieścił światu swoje przybycie. Sylwek obrócił się i zauważył Szymona. Szarpnął Ewę i zasłonił się jej ciałem jak tarczą. Dziewczyna była na wpół przytomna. Słaniała się na nogach i mamrotała coś niezrozumiale.

– Nie podchodź, bo Sylwek ją zadźga – warknął.

Solański opuścił broń. Nigdy nie był dobrym negocjatorem. Nie miał cierpliwości.

– Zostaw ją, Sylwek – nakazał mężczyźnie. Ten jednak nie posłuchał. Ręka, w której trzymał nóż tuż przy gardle Ewy, drżała. – Puść, bo powiem mamie. – Nie zabrzmiało to zbyt przekonująco, ale w tej chwili nie miał innych argumentów. – A wiesz, co się stanie, jak mama się zdenerwuje. Pójdiesz do komórki.

Solański ze zdumieniem zauważył, że jego słowa zadziałały. Sylwek opuścił ostrze. Położył Ewę na ziemi. Usiadł obok i rozpłakał się jak dziecko.

– Policja! Rzuć broń i wyjdź z rękami w górze! – Głos podkomisarza Matusiaka dobiegał z megafonu.

Szymon kopnął nóż, by znalazł się jak najdalej od Buchty. Swój pistolet schował w wewnętrznej, zapinanej na zamek kieszeni kurtki. Sprawdził, czy z Ewą wszystko w porządku. Dziewczyna powoli dochodziła do siebie. Wyszedł na brzeg i zamachał

do nadpływających w trzech kajakach policjantów. Na przedzie pierwszego siedział Matusiak. Za nim wiosłował z trudem aspirant Barański. Podkomisarz dał się do trąby megafonu.

– Solański, co ty tu, kurwa, robisz? Gdzie podejrzany? – niosło się echem po Skałce.

Matusiak i jego podwładni dobili do brzegu. Tylko dzięki temu, że aspirant Barański chwycił przełożonego za kołnierz podczas gramolenia się z kajaka, ten nie wylądował zadem w wodzie. Barański na widok Solańskiego zmieszał się i schował za plecami szefa. Widocznie miał mu jeszcze za złe nurkowanie w kontenerze na śmieci.

– Gdzie jest mamusia? – Obok Szymona pojawił się nagle Sylwek. Nieproszony przez nikogo sam wsiadł do policyjnego kajaka. – Zawieź Sylwka do domu – poprosił Barańskiego, który siłował się z wpadającym do wody wiosłem.

– Jesteś pan zatrzymany – poinformował Buchtę dla porządku Matusiak – pod zarzutem morderstwa. – Gdzie ta dziewczucha? – dopytywał podkomisarz.

Dwóch funkcjonariuszy prowadziło Ewę, podtrzymując ją pod łokcie.

– Kwiatkowska zadzwoniła, żeby powiedzieć, co odkryliście – zwrócił się do Solańskiego Matusiak. – Będę musiał wznowić śledztwo. A nawet dwa. Nie dość, że Marianna Biel, to jeszcze ten sztygar. Co to za pieprzony familok?! – Przyjrzał się Solańskiemu, który zamilkł na dobre. – Miałeś, kurwa, jechać do sanatorium – rzekł z wyrzutem.

Rozdział 25

NA CZTERY ŁAPY

Miesiąc później

Odkąd umarła, nie obchodził żadnych świąt, a co dopiero Bożego Narodzenia. Jakie niby narodzenie? Otaczała go tylko śmierć. W żadnego Boga nie wierzył. W tym roku miało być jednak trochę inaczej. Nagle zatęsknił za tradycją. Chciał się spotkać z najbliższymi, z matką i z ojcem. A wieczorem wyskoczyć gdzieś z Różą na wigilijne afterparty. Sprawa śmierci Marianny Biel coś w nim poruszyła. Nie godził się na taką skrajną samotność, jaka spotkała aktorkę. Nie chciał skończyć tak jak ona. Przeczytał kiedyś na jakimś murze wypisany sprejem napis, że samotność to piękna rzecz, ale potrzeba kogoś, komu można powiedzieć, że samotność to piękna rzecz. Coś w tym było.

Śnieg skrzypiał pod jego starymi, wysłużonymi glanami. Mróz podszczypywał go przez zbyt cienką kurtkę. Nie zhańbił się nałożeniem czapki ani rękawiczek od czasów liceum, więc i teraz nie zamierzał. Przeszłował z nogi na nogę. W czerwonych, ale o dziwo ciepłych dłoniach ścisnął znicz. Joanna zginęła w pożarze, nie wydawało mu się więc stosowne zapalenie lampki na jej grobie. Nie znosił też, gdy ktoś palił przy nim papierosy w zamkniętym pomieszczeniu. Z ognia wzięła się tragedia. Z pozostawionego w popielniczce niedogaszzonego papierosa, którego sam wypalił. Dlatego teraz dawał w ryja każdemu, kto się odważył puścić dymka pod dachem. Jak by nie patrzeć, stało za nim prawo w postaci

ustawy antynikotynowej, on ją tylko egzekwował. Zdawał sobie sprawę, że to paranoja, ale nie potrafił temu zaradzić. I nie chciał. Pielęgnował w sobie ból, ponieważ wiedział, że to wszystko jego wina. Nie miał dla siebie wybaczenia.

Schował znicz do kieszeni kurtki. Pogładził białą tabliczkę z czarnym napisem. Pożegnał się z żoną. I odszedł, pozostawiając ją w bezpiecznej ciemności.



Róża wolałaby stanąć tyłem do wielkiego na szerokość ściany lustra. Jednak wtedy nie widziałaby, w którą stronę ta chuda glizda macha przeszczepami. Próbowwała skupić wzrok tylko na instruktorce, ale nie mogła się powstrzymać od spoglądania w stronę własnego odbicia. Minął już miesiąc od zakończenia sprawy morderstwa Marianny Biel. Róża po tych dramatycznych wydarzeniach popadła w filozoficzną zadumę. I doszła do wniosku, że jeżeli sama nie zakasze rękawów, to żaden szejek arabski ani książę na białym koniu z pewnością nie pojawi się nagle w Chorzowie i nie odmieni jej życia. A czas uciekał. Postanowiła więc zacząć od rzeczy najbardziej rzucającej się w oczy, czyli swojej nadwagi.

Zerkała teraz w lustro i widziała wielki różowy kondom. Bo tak właśnie wyglądała we wdzianku, które opchnęła jej sprzedawczyni w sklepie sportowym. Miała wrażenie, że przy każdym gwałtowniejszym ruchu szwy stroju naciągają się do granic możliwości i zaraz te granice przekroczą. A wtedy zgromadzone w sali ćwiczeń kobiety zostaną oślepienie przez wyszczuplające białe majty, które Róża zakupiła w siedmiu egzemplarzach, a potem oznaczyła, wypisując na nich markerem dni tygodnia. To był także jeden z elementów porządku, który postanowiła zaprowadzić w swoim życiu.

Pierwsza wizyta w fitness klubie była jedną z największych porażek w życiu Kwiatkowskiej. Róża zapisała się na zajęcia w Miejskim Zakładzie Kąpielowym, gdzie mieściła się także siłownia. Wybór padł na aqua aerobic. Podskoki w wodzie wydały jej się mniej męczące od tradycyjnych wygibasów. Trwała w tym błędnym przekonaniu do czasu, póki o mało nie utonęła w części basenu przeznaczonej, bądź co bądź, dla dzieci (zatem żałośnie płytkiej). Róża była jednak tak wymęczona ciągłym machaniem nogami i ćwiczeniami z użyciem jakiejś gąbczastej, odblaskowej pałki, że przy wychodzeniu na stały ląd potknęła się o własne nogi i na powrót wpadła do wody twarzą do dołu. Uszła z życiem tylko dlatego, że dwóch ratowników (całkiem nawet przystojnych) wyłowilo ją stamtąd niczym wieloryba. Świadkiem tej kompromitacji była grupa podobnych jej morświnów, uczestniczek owych zajęć, tyle że dwa razy starszych. Kwiatkowska przyrównała je do waleni z czystej zawiści, bo mimo że mogłyby być jej matkami, a jakby się postarały, to i babciami, o wiele lepiej dawały sobie radę z wypełnianiem poleceń stojącej bezpiecznie na brzegu instruktorki. Gdy ratownicy wyciągali Różę z wody, kobiety patrzyły z politowaniem. Jedna – trzeba przyznać, całkiem zgrabna jak na swój wiek – kogoś Róży przypominała. Tyle że w czepkach kąpielowych wszystkie twarze zlewały się dziennikarce w jedną.

Kwiatkowska z całego serca nienawidziła tych bab. Gdy powlokła się za nimi do przebieralni, przez cienką ściankę doskonale słyszała, że się z niej nabijają. Paplały jak najęte też pod prysznicem. Ta chuda w czepku opowiadała koleżankom, że wybiera się na wczasy na Kanary, bo tak jej się wszystko dobrze w życiu ułożyło, że aż musi to uczcić. Róży nic się w życiu dobrze nie układało i nawet jakby chciała to uczcić (tak na przekór), to nie miałaby za co. W „Chorzowskich Nowinach” właśnie jej powiedzieli, że albo porzuci

etat na rzecz samozatrudnienia, albo może sobie szukać innej roboty.

Róża obraziła się więc na basen i wybrała fitness, gdzie przeżyła kolejne upokorzenia. Większość uczestniczek zajęć chodziła tam chyba codziennie, pięć razy w tygodniu. Chude to wszystko było i umięśnione, osmolone w solarium i naoliwione jakąś brązującą bejcą. Każda jedna miała długie do pasa włosy w czarnym bądź żółtym kolorze. Spinały te kłaki w końskie ogony, a gumkę naciągały tak mocno, że im oczy wyłaziły na wierzch. I tymi wyłupiastymi ślepiami gapiły się na Różę, jakby w życiu modelki plus size nie widziały.

Tego pierwszego dnia w Niezłej Szprysze, jak nazwano fitness club, Róża ułożyła się ze swoją matą na końcu sali, żeby nikt nie mógł śledzić jej żalonych poczynań. Wreszcie przyszła glizda, puściła jakąś łupankę na cały regulator i zaczęła wydawać polecenia, z których Kwiatkowska nic nie mogła pojąć. Starła się naśladować najbliżej podrygujące wytrzeszcze, ale efekty były opłakane. Pod koniec zajęć z Róży pot lał się strumieniami. Była przekonana, że nie ma już co najmniej jednego płuca, gdyż wypluła je gdzieś między przysiadami a pompkami. A gdy otarła zalane potem oczy i spojrzała w lustro, miała ochotę rozpirzyć je w drobny mak. Jak na razie nie schudła ani kilograma. Kto to widział, żeby się namęczyć tyle, co jeszcze nigdy w życiu, i to bez efektów? Poszła więc do glizdy i złożyła reklamację. Wyraziła swoje wątpliwości co do skuteczności metod pracy instruktorki i zażądała zniżki za to, że spotkało ją tak wielkie rozczarowanie. Glizda, w ogóle niespocona i wyglądająca jakby świeżo wyszła od fryzjera, kosmetyczki i stylisty razem wziętych, otaksowała Różę pełnym współczucia spojrzeniem.

– Może te zajęcia są dla pani po prostu za trudne? – spytała łagodnie, wlepiając wzrok w wylewający się zewsząd brzuch Róży.

W obliczu takich insynuacji Róża nie mogła zrobić nic innego, jak

tylko wykupić sobie półroczny karnet na te tortury. Jakaś zdechlaczka nie będzie jej mówić, że te podrygi są dla Kwiatkowskiej za trudne. „Niedoczekanie” – pomyślała Róża i w ten sposób wzięta podstępem, przez miesiąc znacząco poprawiła swoją kondycję.

– Jeszcze dziesięć – zaordynowała teraz szprycha.

Ewa Chodakowska to to nie była, ale najwyraźniej aspirowała do miana trenerki wszystkich Polek. Nawet zerznęła układy ćwiczeń prezentowane przez Chodakowską w Internecie i zapodawała jako swoje. Róża pomstowała pod nosem, że jeśli anorektyczka będzie się za bardzo nad nią znęcać, doniesie gdzie trzeba.

– W tempie, Róża! – Indywiduum stanęło z założonymi rękami nad Kwiatkowską, gdy ta próbowała zrobić brzuszek. Na razie to mogła zrobić najwyżej... dupę z brzucha. Nawet zaprezentowała swego czasu nowym koleżankom z fitnessu tę umiejętność. Podniosła koszulkę, pozwoliła wylać się na zewnątrz brzuszysku, objęła je dłońmi i ścisnęła. Oczom patrzących z obrzydzeniem, ale i pewnego rodzaju fascynacją kobiet ukazał się pięknej urody tyłeczek z dwoma okazałymi pośladkami i rowkiem pomiędzy. – Ile już zrobiłaś powtórzeń? – chciało teraz wiedzieć kapo.

– Milion – wysapała Róża i podniosła się znowu – pięćset – już ledwo dyszała – sto dziewięćset! – Padła na matę.

Już wiedziała, jak się czuje znokautowany zawodnik sumo. Miała jednak swoje powody, by się tak katować.



W oknach świetlicy zasunięto zasłony. Pod kłamkę podłożono krzesło. Radio włączono dla niepoznaki. Z odbiornika dochodził ponętny głos redaktora Darka Mierzwy, który przepytował w swoim programie poświęconym kulturze dyrektora Teatru Śląskiego w Katowicach. Ten tłumaczył się dziennikarzowi z sukcesu spektaklu

Morfina, którym to Wyspiański zakasował we wszelkich rankingach resztę teatrów, nie tylko na Śląsku, ale i w całym kraju. Jednak żaden ze zgromadzonych wokół kwadratowego stolika mężczyzn nie słuchał audycji. Trzech z nich wgapiało się jak sroka w gnat w czwartego, który właśnie wyciągnął spod stołu reklamówkę. W środku coś zabrzęczało.

– Pół litra za jedną turę. Do tysiąca – negocjował.

Jeden z mężczyzn wyciągnął z kieszeni pasiastego szlafroka talie kart. Przetasował. Temu z reklamówką zaświeciły się oczy.

– Dobra, będę zapisywał – przystał na układ ten z kartami. – Z ciebie, Tadziu, będzie o wiele lepszy kompan, niż był z Januszka.

Panowie nie zdążyli, niestety, dokończyć pierwszego rozdania. Ktoś od zewnątrz szarpnął za klamkę, która zatrzymała się na oparciu krzesła.

– Otwierać! – warknął kobiecy głos.

– Kryć się! – zaordynował jeden z nich. Flaszki, karty i notes do zapisywania wyników wrzucono szybko do reklamówki, a tę wywieszono na zewnętrznej klamce okiennej. Zamknięto okno i zaciągnięto zasłonę. Dopiero wtedy odsunięto krzesło i wpuszczono dobijającą się lekarzkę.

– Panie Polaczek, ma pan gościa – oznajmiła i rozejrzała się podejrzliwie po pomieszczeniu. Nie znalazła jednak twardego dowodów. – Jeśli dowiem się, że robicie tu handelek wymienny, więcej nie będzie porozumienia między oddziałami! Każdy zostanie w swoim pokoju! – ostrzegła.

Lekarka doskonale zdawała sobie sprawę z praktyk, jakie skutecznie jej pacjenci. Ci przyjęci na oddział zajmujący się uzależnieniem od hazardu szybko dogadywali się z alkoholikami i jedni zdobywali to, co dla drugich nieosiągalne. A potem się wymieniali. Gdyby to był ośrodek o zaostrożnym rygorze, takie

numery by nie przeszły. Póki jednak pacjentów nie złapała za rękę, nic nie mogła zrobić.

– Szefowo, co złego to nie my – zapewнили szlafrokowcy i oddalili się ze świetlicy, do której weszła właśnie ładna blondynka w średnim wieku. Lekarka też zniknęła za drzwiami.

Zostali sam na sam.

– Pani doktor mówi, że robisz postępy – zagaiła Anna, siadając obok Tadeusza.

Wciąż nie mogła sobie darować tego, że posądziła własnego męża i córkę o zamordowanie Marianny Biel. Wprawdzie miała prawo, by stracić do nich zaufanie, ale żeby aż do tego stopnia? Długo zastanawiała się, czy nie odejść od Polaczka. Przez wiele miesięcy zdradzał ją i oszukiwał. Rozmawiała nawet ze specjalistą, który naświetlił jej problem, tłumacząc, że Tadeuszem kierowała choroba. Pociąg do hazardu kazał mu zrobić wszystko, by zdobyć środki na grę. Zdradzał, żeby kraść. Kradł, by grać. Polaczek zapewniał, że chce z tym skończyć. Poszedł na leczenie. Od niej tylko zależało, czy zdecyduje się mu wybaczyć.

– Co u Ewy? – zapytał.

– Chyba ma chłopaka. – Anna się zaśmiała. – Kolegę z klasy – dodała szybko, widząc gniew w oczach męża.

Zauroczenie piętnastolatki dwa razy starszym od niej mężczyzną mogło się skończyć tragicznie. Na szczęście morderca siedział już za kratkami. Wprawdzie były to kraty szpitala psychiatrycznego dla szczególnie niebezpiecznych pacjentów, a nie więzienia, ale przynajmniej gwarantowały, że Buchta nie wyrządzi już nikomu krzywdy. Policja przy współpracy ich sąsiada detektywa zdołała ustalić, jak wyglądał prawdziwy przebieg wypadków tego sierpniowego wieczoru. To młody Buchta był mordercą, ale winnych znalazłoby się wielu. Odpowiedzialny za tę tragedię był po części

jego przyszywany ojciec, który pił. Podchmielonego taty pięcioletni syn bał się do tego stopnia, że go zabił. Winna była Brygida Buchta, która знаła prawdę, ale nie wyjawiała jej nikomu, tylko zrobiła to, co w tamtym momencie uważała za słuszne: ukryła syna na wiele lat w mieszkaniu, powodując nieodwracalne zmiany w jego psychice. Sylwek nigdy nie dorósł, na zawsze pozostanie mentalnym dzieckiem. Własną matkę traktował jak boga. I kiedy zorientował się, że Brygida ma z jakiegoś niezrozumiałego dla niego powodu pretensje do Marianny Biel, wziął sprawy w swoje ręce. Zrobił to, co potrafił i co już raz przyniosło pożądany skutek. Zabił.

Polackowa dotąd nie mogła pojąć, co jej córka widziała w zdzieciniałym Sylwku. Może właśnie o to chodziło, że mężczyzna imponował jej wiekiem, ale Ewa przewyższała go intelektualnie? A może miała kompleksy z powodu swego wyglądu? Koledzy nie interesowali się nią, więc zadowolili się Sylwkiem.

– Poznali się na obozie językowym. Nie masz się o co martwić. – Dotknęła dłoni męża, ale szybko cofnęła rękę. – Pójdę już.

Dopiero gdy wyszła, Polaczek wyłączył radio. Może na kobiety działał niski tembr głosu redaktora Mierzwy, ale jego doprowadzał do szału.



Pod bramę kamienicy prawie jednocześnie zajechały dwa wany. Jeden z nich wpadł w poślizg na lodzie i zatrzymał się dopiero na skrzynce elektrycznej. Kierowcy wysiedli z szoferek. Każdy na swój użytek sprawdził numer mieszkania, do którego został wezwany, tyle że jeden szukał w iPhone, a drugi w zwykłym papierowym notatniku. Ten drugi przepuścił grzecznie pierwszego w bramie i podążył za nim na pierwsze piętro. O dziwo, mężczyzna zatrzymał się przed drzwiami mieszkania numer trzy, dokąd i on

podążał.

– To chyba jakaś pomyłka – powiedział ten od notesu do kierowcy, który naciskał właśnie dzwonek. – Pan do przeprowadzki?

– No – odparł enigmatycznie.

– Do pana Gierlocha? – dopytywał dalej mężczyzna, kartkując swój notatnik.

– No – padło znowu.

– Przykro mi to stwierdzić, ale to ja dostałem zamówienie na przewóz mebli z Jedenastego Listopada sto trzysta przez trzy.

– No i co z tego? – rozwinął się językowo posiadacz iPhone'a, dając ostateczny dowód na wyższość starego, dobrego papieru nad elektroniką.

Drzwi się otworzyły. Spór kierowców miał być wkrótce zażegnany. W progu stało dwóch mężczyzn, w dziwny sposób do siebie podobnych, a jednak różnych. Ten chudszy bezbłędnie rozpoznał swojego kierowcę.

– Pan do mnie – bardziej oznajmił, niż spytał tego elokwentnego.

– Weźmiesz pan od razu ten karton – powiedział z kolei Hubert do swojego człowieka i gwałtownie wetknął mu w ramiona sporych rozmiarów pudło, aż iPhone wypadł na wycieraczkę.

Hubert odwrócił się w progu i spojrzał na mieszkanie. Przez środek pokoju biegł jaśniejszy ślad po taśmie, która jeszcze do niedawna wyznaczała strefę graniczną między częścią mieszkania należącą do Huberta a tą przeznaczoną dla Adama. Te meble, które dało się rozkręcić, stały już w kartonach. W innych pudłach zgromadzono sprzęty kuchenne i ubrania. Mieszkanie było wysprzątane. Tylko ten ślad po kleju nie chciał zejść, mimo że Hubert szorował go szczotką i płynem do mycia podłóg.

Znoszenie rzeczy do samochodów nie trwało długo. Bracia pilnowali, by kierowcy nie pomieszali ich dobytku. Na wszelki

wypadek wymienili się jednak nowymi adresami, żeby w razie pomyłki móc sobie zwrócić rzeczy. Jeden zamieszkał niedaleko, w bloku na Stabika. Drugi przeprowadził się na przeciwległy kraniec miasta, na ulicę Gałęczki. Zgodnie uznali, że separacja dobrze im zrobi. Mieszkanie po rodzicach sprzedali pewnemu ekscentrykowi, który miał pieniędzy jak lodu i zapłacił im niemal dwukrotną wartość za niewielki przecież lokal, bo wolał zamieszkać w familoku niż w nowym apartamentowcu tuż obok.

– W tych murach czuć historię, panowie – zdradził swoim sprzedawcom.

Adam smutno pokiwał głową ze zrozumieniem. Hubert nie wiedział, o czym chłop gada. Według niego jedyne, co było tu czuć, to wilgoć i smród przypalanych przez Buchtową rolad. Odkąd Sylwek wylądował w psychiatryku, gotowanie nie szło jej zbyt dobrze. A jedyną ofiarą, którą mogła faszerować swoimi wiktuałami, był pinczerek.

Teraz furgonetki były już zapakowane, a kierowcy grzali silniki. Bracia jedynie z niewielkim ociąganiem podali sobie ręce, w końcu każdy pojechał w swoją stronę. I tylko mecenas Potomek-Chojarska została bez pracy.



Musicie mi wybaczyć zachowanie godne dzikiego z buszu, ale nigdy jeszcze nie miałem własnego ogródka. Ten wprawdzie też nie był mój, ale tak jakby. Teren w kształcie kiszki ogrodzono tu metalową siatką. Cały był teraz zasypany śniegiem, ale spod tafli zmarzliny wyłaziły różne chabazie, które pewnie dopiero na wiosnę miały dostać kolorów. Solański wszedł do domu swojej matki, a ja wyprułem jak głupi na rundkę po ogrodzie. Mogłem tu latać do woli, bez strachu, że mnie jakiś matoł samochodem najedzie.

Skorzystałem więc z okazji i zygzakiem sunąłem po zaspach, zahaczając o krzaczory. Wytarzałem się w jednym, bo miał igły, które przyjemnie drapały mnie w grzbiet.

– Zabierz go stamtąd! – Usłyszałem z tarasu wrzask Leokadii Solańskiej. – Bo będę musiała wzywać architekta krajobrazu, jak mi zniszczy sadzonki. Ty wiesz, ile to kosztuje?

– Ja ci za darmo przekopię ogródek. – Janusz, który pojawił się za plecami tej herod-baby, stanął w mojej obronie.

– Och, Boże – sapnęła tylko Lodzia i wycofała się do salonu. – Włączcie już wszyscy, bo nie zamierzam ogrzewać połowy Chorzowa. Gazu też za darmo nie rozdają.

Uznałem, że jak wszyscy, to wszyscy, i trochę tylko potykając się na prowadzących na taras schodach, wparowałem do pokoju, powodując kolejne narzekania matki Szymona.

– Łapy! Niech mu ktoś wytrze łapy!

No, doprawdy nie wiedziałem, jak Janusz tu wytrzymawał. A przebywał w tym domu wszelkich zakazów, w którym nawet jedzenie na dywanie ukradzionych wcześniej ze stolika ciastek było zabronione, już od miesiąca. Niedługo po zakończeniu dochodzenia Solański wrócił do Centrum Psychiatrii po ojca, tak jak mu obiecał. Spoglądająca na niego podejrzliwie piguła oznajmiła jednak, że Janusz Solański nie jest już ich pacjentem. Wypisał się na własne życzenie.

– I gdzie poszedł?! – rozdarł się na pielęgniarkę Szymon, bo miał w tym momencie ochotę ich wszystkich pozabijać. Za to, że nikt go nie poinformował o zamiarach ojca.

– Pan Solański jest dorosły i może iść, dokąd chce. A to nie jest ośrodek zamknięty – mądrowała się baba.

Gdybym tam był z moim kolegą pinczerkiem, to zaraz wzięlibyśmy ją w obroty i zagonili do schowka na miotły. Na szczęście w recepcji

pojawiła się lekarka, zaprosiła Szymona do swojego gabinetu i pokazała mu wypis ze szpitala, na którym widniał zamaszysty i nad wyraz czytelny podpis Leokadii Solańskiej jako osoby odbierającej pacjenta z oddziału.

– Nie wierzę – powiedział wtedy Szymon i pojechał na Arkady zobaczyć to na własne oczy.

Teraz co tydzień odwiedzaliśmy państwa Solańskich w willi Leokadii. Matka Szymona zarzekała się wprawdzie, że nie będzie niańczyć swojego byłego męża, ale wreszcie uległa. Postawiła mu jednak ultimatum.

– Jeżeli weźmiesz do gęby choć kroplę alkoholu, wylądujesz tam, skądżeś przyszedł. Czyli w guliku! – oświeciła go.

Solański nigdy nie przepadał za swoją matką. Nic w tym dziwnego, skoro była tak oschła i wymagająca. Ale teraz ją podziwiał. Mówił mi, że baba miała hart ducha. Podobno Janusz lubił zaglądać do kieliszka jeszcze za czasów, gdy Szymon był dzieckiem. Zdradzał też Leokadię z kimkolwiek, kto miał tyłek owleczony spódniczką. Wiedzieli o tym wszyscy prócz samej zainteresowanej. Mogła nic nie zauważyć, bo całe dni i wieczory spędzała w Teatrze Uciecha, gdzie kierowała biurem obsługi widza. Janusz zarzucił jej, że zaniedbuje rodzinę.

– Nie zaniedbuję, tylko zarabiam na dom! – odparowała na to Leokadia i rzuciła mu w twarz papierami rozwodowymi.

Bo kiedy dotarły do niej wreszcie słuchy, że jej mąż to pijak i dziwkarz, było już za późno na ratowanie małżeństwa. Wyprowadziła się ze Stabika i samotnie wychowywała syna. Po latach, gdy Szymon założył już własną rodzinę, za zaoszczędzone pieniądze i z pomocą kredytu Leokadia kupiła sobie szeregowiec na Arkadach. Przeszła na emeryturę i oddała się pasji ogrodniczej. W tym czasie jej były mąż staczał się po równi pochyłej. Gdy go

wreszcie wywalili z policji, rozpił się i dostał bzika. Nie było w tym najmniejszej winy Leokadii. Jeśli ktoś powinien tu spłacać dług, to z pewnością Janusz.

Mimo wszystko Solańskiej (która zresztą po rozwodzie nie wróciła do panieńskiego nazwiska – z tej prostej przyczyny, że brzmiało ono nie inaczej jak Fiut) teraz nie dawały spokoju słowa syna. Po tym, gdy Szymon po raz drugi odwiedził szpital, wchodząc do ojca oknem, zadzwonił do matki i (mimo że nie chciała słuchać) zrelacjonował jej sytuację. Według Szymona pobyt w szpitalu w żadnym razie nie pomagał Januszowi. Staruszek potrzebował miłości i uwagi bliskich, a nie igieł i otępiających leków. A ponieważ Leokadia ponad wszystko przedkładała w swoim życiu porządek, i z byłym mężem postanowiła go zrobić. Udała się do Centrum Psychiatrii, gdzie kazała sobie wydać pacjenta, obiecując, że zajmie się nim należycie. Janusz sądził, że przyszedł po niego syn, więc gdy zobaczył żonę, w pierwszym odruchu chciał uciekać. Zawsze jednak bał się jej karcącego spojrzenia, więc zrezygnował z tych zamiarów. Jak się okazało, miał resztki wyrzutów sumienia z powodu tego, jak ją w młodości potraktował.

– Przepraszam. Za wszystko – wybełkotał, zanim przekroczył próg jej willi.

– Och, zamknij się – nakazała mu Leokadia i jeszcze w przedpokoju zaznajomiła go z zasadami, których miał przestrzegać pod jej dachem.

Było tego tak dużo, że nie chce mi się wszystkiego przytaczać. Janusz jednak najwyraźniej zapamiętał każdy punkt i podobno traktował je na równi z dekalogiem.

– Napijemy się herbaty – zaordynowała Leokadia, gdy już zostały mi wytarte łapy, a drzwi balkonowe zamknięte.

Trochę było zachodu z tym wycieraniem, bo mi kulki śniegu poprzymarzały do futra, a Leokadia za wszelką cenę chciała je

powyrywać, żeby się nie roztopiły na jej świętym dywanie. Szarpała mnie, więc ją ugryzłem. Tak tylko trochę, nie wpadajmy znowu w histerię. Za karę nie zostałem wpuszczony na kanapę, choć już się na nią wdrapałem przednimi łapami.

– No co? Są bez kulek! – zaprotestowałem, gdy mi Solańska zastawiła drogę. Widać jednak było, że nic tu nie wskóram.

– Wiesz, synu, jak ja się cieszę, że już w tej Uciesze nie pracuję! – zagaiła rozmowę dręczycielka zwierząt. – Co tam się porobiło!

I opowiedziała nam co, mimo że jakoś specjalnie nie dopytywaliśmy. Kadencja Mileny Świerszcz dobiegła końca i jak zwykle rozpisano konkurs na nowego dyrektora. Znow miała go wygrać Świerszcz, bo tak się działo od początków istnienia teatru w Chorzowie. Tym razem jednak kilka innych osób zgłosiło swoje kandydatury. Na taki krok nikt się jeszcze nigdy nie poważył. W środowisku wiadomo było przecież, że to czysta formalność. Choć ostatnio, po eksperymentalnych spektaklach w stylu tego, który traktował o dietach i na dzień dobry z kurtyny w kształcie wielkiego tyłka wyłaził wprost na widzów aktor przebrany za ekskrementy, ranga Uciechy nieco się obniżyła. Jednak w skali wszystkich tych lat Świerszcz prowadziła placówkę znakomicie. Dyrektorka nie miała konkurencji. A tu nagle rywalka wyskoczyła jak filip z konopi. Szczególnie jedna osoba była poważnie brana pod uwagę przez komisję rekrutacyjną. Nieoficjalnymi kanałami dochodziły nawet głosy, że członkowie jury opowiedzieli się za zmianami w Uciesze. Byli gotowi przegłosować tę nową kandydaturę.

– Kto to był? – Szymon przerwał Leokadii przydługi wywód.

– Och, jak jej to było? – Solańska się zamyśliła. – A, tak. Marianna Biel.

Rozdział 26

NIE WYWOŁUJ WILKA Z LASU

Jego pierwszy dzisiejszy błąd polegał na tym, że zatelefonował. Kiedy nokia odmówiła mu posłuszeństwa podczas akcji na Skałce, poszedł do Media Marktu i bez zastanowienia kupił sobie identyczny model. Kosztowało go to niecałą stówę. Teraz wybrał numer, ale po zakończeniu rozmowy wcale nie był spokojniejszy.

Solański przez całą drogę do domu zastanawiał się, czy to możliwe. Wiedział, z kim musi pogadać, żeby rozwiązać swoje wątpliwości. Wsiadł ze skody i poślizgnął się na lodzie. Przytrzymał się dachu samochodu. Buchtowa znów nie posypała piaskiem chodnika. Kobieta zupełnie załamała się po aresztowaniu Sylwka. Pewnie niedługo straci fuchę gospodyni. Wypuścił psa z tylnego siedzenia. Rozejrzał się, ale nigdzie nie zauważył mężczyzny. Pewnie było za zimno na obchód. Solański przeszedł przez klatkę schodową na podwórko. A jednak. Stał przy śmietniku i selekcjonował łupy.

– Dzień dobry. – Szymon stanął przy wyjściu na podwórze. Nie chciał podchodzić zbyt blisko, by nie przestraszyć mężczyzny. – Chciałbym z panem zamienić słowo.

Cygan odwrócił wzrok od śmieci. Przyjrzał się detektywowi.

– Pan Solański – rozpoznał swojego wybawcę.

– Szymon. – Detektyw podszedł i wyciągnął do mężczyzny dłoń.

Ten zawahał się, wreszcie podał Solańskiemu rękę.

– Toni.

– Chodzi o to morderstwo – wyjaśnił Solański. Toni się cofnęła. Oczy

mu pociemniały. – Nie sędzę, że to ty. – Detektyw go uspokoił. – Myślę tylko, że mogłeś widzieć coś, co rozwiałoby moje wątpliwości. Pogadamy? U mnie? – Wskazał ręką w stronę mieszkania. – Zimno jest.

Starszy pan stał niepewnie i się zastanawiał. Wreszcie podjął decyzję. Zebrał torby, zarzucił je sobie na plecy i wszedł za Szymonem na drugie piętro. Korowód zamykał kulejący kundel, który żywo interesował się zawartością worków Toniego.

Solański gestem zaprosił gościa do kuchni. Przewiesił kurtkę przez oparcie krzesła; uderzyła ciężko o drewno. Poszedł dorzucić węgla do pieca. Zanurkował w szafce pod zlewem. Wyciągnął z niej plastikową saszetkę z gotową zupą pomidorową. Przelał jej zawartość do garnka i wsadził do mikrofalówki. Maszyna brzdęknęła. Solański przelał danie do dwóch talerzy i postawił je na stole.

– Obiad mam u siebie – powiedział niechętnie Rom.

– To zjesz dwa. Sam nie będę żarł. – Szymon zanurzył łyżkę w pomidorówce.

Toni poszedł za jego przykładem. Trzęsła mu się ręka. Solański pomyślał, że mężczyzna może być o wiele młodszy, niż mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać. Skórę miał pomarszczoną, policzki zarosnięte. Ale oczy były młode. Jedli w milczeniu. Z kąta dochodziło chrupanie. To Gucio przeproszał się z kanadyjskim wyrobem w kulkach.

– Wtedy, jak był ten piknik – powiedział Solański między jednym łykiem a drugim – w sierpniu, kiedy zabito tę aktorkę – Toni pokiwał głową na znak, że rozumie – byłeś tu wtedy? Na naszym podwórku?

– Cały wieczór. Do samego końca. Niezłe się obłowiłem. Całkiem dobre rzeczy wyrzucali – przyznał. – Ale to nie ja.

– Wiem – powtórzył Solański. – Pamiętasz, kto wtedy wchodził do naszej bramy?

– Właściwie to wszyscy. Prócz pani Róży.

– To znaczy kto konkretnie? – zapytał.

– No, ci, co tu mieszkają. Pani Biel, ta Buchta, co się na mnie uwzięła. Ten facet, co z nią mieszkał i nigdy z domu nie wychodził. Bliźniaki. I ci z księgarni. On, ona i ich córka – wymieniał.

– A ktoś obcy?

– Tylko obsługa. Ta, co śmieci wносиła z pikniku. Ale oni właściwie nie wchodzili do kamienicy, kręcili się na podwórku.

Zupa się skończyła. Solański wypytywał Toniego dalej, ale nie dowiedział się niczego więcej. Mężczyzna był pewny, że nikt prócz mieszkańców familoka nie wszedł tego wieczoru do kamienicy. Nie ruszał się z podwórka ani na krok, by nie przegapić żadnej dostawy śmieci. Mógł więc mieć rację.

– Dzięki, stary. – Solański pożegnał się z Tonim przy drzwiach.

– To ja. Za tego mendę w kontenerze – odparł. Uśmiechnęli się na wspólne wspomnienie.

Solański zaczekał, aż Rom pójdzie do siebie. Widział przez okno, jak ciągnie po śniegu swoje wory. Nie wiedział jeszcze, że zaproszenie Cygana na obiad było drugim błędem popełnionym tego dnia. I że mogło go kosztować życie.

Narzucił kurtkę, psa zatrzasnął w domu. Zbiegł na dół. Wilczyński dotąd nie zdołał nikomu wynająć mieszkania po Mariannie Biel, Solański mógł więc bezkarnie przejrzeć zawartość jej piwnicy. Po raz kolejny. Musiał przecież coś przeoczyć. Otworzył sobie drzwi i zapalił światło. Nic się tu nie zmieniło, cały bajzel pozostał. Szymon zamierzał dołożyć do tej sterty potłuczonego szkła, kawałków desek i wszelkiej maści rupieci nieco od siebie. Czuł, że musi tu być coś, co doprowadzi go do prawdy.

Na początek poprzesuwał nogą leżące na podłodze śmieci. Przyjrzał się uważnie posadzce, centymetr po centymetrze. Potem zrzucił

na ziemię resztki zawalonego regału, sprawdzając przestrzeń między nim a ścianą. Niczego nie znalazł. Zabrał się do pozostałych półek. Już wkrótce kilka metrów kwadratowych piwnicy dokumentnie zawałały słoiki i stare ubrania, które powyrzucał z worków. Pożółkłe kartki listów z prehistorycznej epoki przedmailowej zabarwiały się na czerwono truskawkowym dżemem, wypływającym z rozbitych słoików. Solański wpadł w szal. Demolował, tłukł i niszczył. Hałas na pewno dało się słyszeć w całej kamienicy. Miał to gdzieś. Musiał ulżyć swojej wściekłości. Na mordercę, który zdołał zbiec. Na policję, która nie kiwnęła palcem. Ale przede wszystkim na siebie. Nie nadawał się już do tej roboty. Uniósł w obydwu rękach parcianą torbę na zakupy przyczepioną do metalowego wózka. Zamachnął się i z całej siły przywalił żelastwem o podłogę. Wózek rozpadł się na części. Jedno z kółek odpadło i poturlało się w kąt, wprost do pustych kocich misek. Szymonowi było mało. Dyszał, z trudem łapał oddech. Ze skaleczonej odłamkiem szkła dłoni kapiała mu krew, włosy miał potargane, dzinsy i kurtkę uwalone kurzem. Zabrał się do drugiego, identycznego wózka. Gdy już się z nim rozprawił, wyrwał z kąta rower Wigry 3. Szarpnął za kierownicę. Zahaczył nią o deski, wspierające się na jedynej ścianie, na której nie zawieszono półek. Drewno spadło wprost na Solańskiego. Szymon wywrócił się i wylądował na stercie śmieci. Jedna z desek uderzyła go w głowę. Pociemniało mu w oczach. Starał się oddychać głęboko. Przesunął drewno tak, by móc przyjrzeć się rozmiarom strat, jakich dokonał. I wtedy zobaczył, że za deskami, które dotąd stały sztorcem jedna obok drugiej, były drzwi. Czyżby w głębi znajdowało się drugie pomieszczenie? Komórki przypisane do wszystkich mieszkań wyglądały identycznie. U niego nie było żadnej dodatkowej skrytki. Gdy myszkował w piwnicy Gierlochów, też niczego takiego nie zauważył. Uniósł się, by wyjść spod przygniatających go rupieci.

Stanął na czworakach. Zaszumiało mu w uszach. Zamknął oczy. Usłyszał jakieś skrzywienie. Nie zdążył obrócić się w stronę nowo odkrytego przejścia, gdy nagle drzwi uchyliły się i oberwał pogrzebaczem w tył głowy. Ostatnim, co zobaczył, była twarz mordercy. Potem zapadła ciemność.



Sierpień 2015 roku

Marianna tak bardzo się cieszyła. Nie mogła uwierzyć, że po latach niepowodzeń jednak los miał się do niej uśmiechnąć. Główna rola w musicalu Mamma mia!. To była doskonała droga powrotna na szczyt. Jak dobrze, że Świerszcz przejrzała na oczy. Nie każdy w wieku Marianny mógł liczyć na tyle szczęścia. Powszechną praktyką było odsyłanie starszych pracowników na emeryturę, by zwolnili miejsce młodym. Ale starzy zabierali ze sobą doświadczenie. A młodzi nie mieli w zamian zbyt wiele do zaoferowania – prócz roszczeń nieprzystających do rzeczywistości.

Tak rozmyślała sobie Marianna, schodząc do piwnicy z pękiem kluczy w dłoni. Uznała, że wybierze dla Mileny największy słoik z konfiturą. Przynajmniej tak mogła jej podziękować. Choć gdyby spojrzeć na sprawę z innej strony, to właściwie Marianna wyświadczała dyrektorce swego rodzaju przysługę. Nie tak łatwo dzisiaj o dobrego aktora musicalowego. Nie musiała więc mieć wyrzutów sumienia. Otworzyła swoją piwnicę. Na parapecie niewielkiego okienka ulokowanego tuż przy suficie siedział ten bury dachowiec, który ostatnio dołączył do jej gromadki. Dokarmiła koty, chociaż na ich jedzenie szły całkiem spore fundusze. Żal jej było jednak bezdomniaków. Zaniesie Milenie maliny, a potem wróci, by dosypać coś mruczkom do misek.

Stanęła przed regałem gęsto zastawionym wiktuałami i odnalazła właściwą półkę. Na słoiki ponaklejane były kawałki plastra, na których Marianna równym, schludnym pismem notowała, co jest w środku i w którym roku zostało zrobione. Sięgała właśnie po wek z napisem „malina, 2015”, gdy usłyszała za sobą zgrzyt. Poczła uderzenie. A potem osunęła się w mrok.



Poczuł uderzenie w ramię. Ocknął się. Widział jednak jak przez mgłę. Wywnioskował, że leży w progu tych drugich, wewnętrznych drzwi. Musiał zahaczyć ramieniem o ścianę. Ból promieniował od obojczyka. Ręce miał związane za plecami, nogi morderca okleił mu taśmą do pakowania, a usta zakneblował. Przed sobą widział kotłowisko rupieci w piwnicy Marianny Biel. Znów poczuł szarpnięcie. Oprawca uchwycił go pod ramiona i pociągnął po ziemi. Szymon próbował się wyrwać, jednak szło mu to dosyć niemrawo.

– Nie fikaj. Bo znów ci przyłożę – ostrzegł kat i zamknął za nimi drzwi do piwnicy Marianny. Zapadła ciemność, którą rozświetlił nikły błysk latarki wbudowanej w smartfona. Morderca przyczepił sobie telefon do smyczy zawieszanej na szyi. Obydwu rąk potrzebował do wleczenia Solańskiego. Pod pachą ścisnął pogrzebacz, którym obezwładnił detektywa.

Szymon rozglądał się na boki. Nie miał siły się wyrwać. Musiał poczekać na bardziej stosowny moment. Za drzwiami nie kryła się kolejna piwnica, tylko korytarz. Wąski i brudny. Oczy detektywa powoli przyzwyczajały się do ciemności. Wyglądało mu to trochę jak schron przeciwlotniczy. Przecież niedaleko stąd przebiegała granica polsko-niemiecka z czasów po pierwszej wojnie światowej. A podobnych bunkrów było w okolicy całkiem sporo. Przypomniało mu się, że czytał o tym w książce, którą kupił w Wyrazach.

Najwyraźniej Niemcy nie zasypali schronów, jak sugerował mu Polaczek. Solański, zamiast wpadać w panikę, zaczął przypominać sobie historyczne ciekawostki. Jak na przykład tę, że wspomniana granica biegła między innymi przez środek jednego z podwórek familoka w Rudzie Śląskiej. Tym sposobem pół placu było polskie, a drugie pół – niemieckie.

Napastnik ciągnął go dalej, choć musiało mu to sprawiać sporą trudność. Solański może i był chudy, ale wysoki, swoje więc ważył. Przemierzali w ten sposób spory kawałek. Solańskiemu trudno było ocenić odległość. Wciąż był zamroczony. Oprawca zatrzymał się wreszcie i otworzył następne drzwi. Na korytarz wdarło się słabe światło gołej żarówki. To musiała być kolejna piwnica, należąca już pewnie do apartamentowca. Solański myślał gorączkowo, jak się z tego wykaraskać. Przypomniawszy sobie o pistolecie, który wciąż nosił w zapinanej na zamek kieszeni kurtki. Musiał uwolnić ręce. Wtedy może zdoła się obronić.

Napastnik przestawiał jakieś graty w oświetlonym pomieszczeniu. Solański się rozejrzył. Tuż przy ziemi, wzdłuż całego korytarza, co parę metrów ze ściany wystawały resztki śrub i metalowego okucia. Może to były pozostałości po ławkach, które zamontowano tu w czasie wojny dla wygody ukrywających się w bunkrze cywilów? To zardzewiałe żelastwo mogło mu się teraz przydać. Przesuwał się powoli, nie chciał zwrócić na siebie uwagi żadnym gwałtownym ruchem.

Położył się w poprzek korytarza, równoległe do drzwi. Odepchnął się nogami od ściany, dzięki czemu udało mu się unieść nieznacznie i oprzeć plecami o przeciwległy mur. Zgiął nogi w kolanach. Zaparł się i spróbował podnieść. Poczł piekący ból w obojczyku. Stłumił jęk. Zakręciło mu się w głowie. Przysiadł. Zerknął w stronę piwnicy. Oprawca przesuwał jakieś kartony, szurał po podłodze drewnianą

skrzynią. Z surowych desek, z których ją sklecono, próbował wyjąć gwoździe zamykające wieko. Pogrzebacz jednak niespecjalnie nadawał się do tego zadania. Solański w jednej chwili zrozumiał, że to miała być jego trumna.

Spróbował ponownie. Tym razem udało mu się stanąć na drżących nogach. W przysiadzie zaczął powoli ocierać się związanymi rękami o wystający ze ściany kawałek śruby. Miał nadzieję, że uda mu się przetrzeć taśmę. Za piątym szurnięciem więzy puściły. Ukrył się w cieniu na wpół otwartego skrzydła drzwiowego. Zanim zdjął taśmę z nóg i ust, sięgnął po broń. Kieszeń była jednak pusta. Wtedy pojął, że zaproszenie Toniego na obiad było drugim błędem, jaki popełnił tego dnia. Cygan podprowadził pistolet z wiszącej na kuchennym krześle kurtki.

Szymon przypomniał sobie też o pierwszej dzisiejszej pomyłce. Nie powinien dzwonić do Mileny Świerszcz i pytać jej o konkurs na stanowisko dyrektora teatru. Ani o to, czy wiedziała, że jej pozycji zagroziła kandydatura Marianny Biel. Świerszcz bowiem zadziałała błyskawicznie. Musiała go zlikwidować. Ponieważ jako jedyny domyślił się, że to ona zamordowała aktorkę.

– No ale co ty wyczyniasz, kochany? – spytała Szymona dyrektorka. I psiknęła mu w twarz gazem pieprzowym.

Sierpień 2015 roku

Adam Gierloch, najciszej jak mógł, wyjął z tylnej kieszeni spodni komórkę. Wszedł w opcję wideo i włączył nagrywanie. Milena Świerszcz była tak zajęta zacieraniem śladów i pozorowaniem nieszczęśliwego wypadku, że nie zwróciła uwagi na niewielką szparę w drzwiach wejściowych do piwnicy, przez którą Adam rejestrował każdy jej ruch.

Świerszcz upewniła się, że Marianna ma niewyczuwalny puls i nie oddycha, i przystąpiła do dzieła. Słoik, którym rozbiła aktorce

potylicę, schowała do torebki. Wyjęła z niej żółte gumowe rękawice, które pewnie na co dzień wkładała do zmywania naczyń. Naciągnęła je aż po łokcie. Tak zabezpieczona zaczęła zrzucać z regału słoiki z przetworami. Jednym z nich jeszcze raz przyłożyła Mariannie w głowę. Zaparła się z całych sił o puste półki. Regał zatrzeszczał, a potem połamano się z hukiem. Część półek zleciała na martwe ciało Marianny. Adam zarejestrował chrobot łamanych kości.

Tyle Gierlochowi wystarczyło. Nie mógł pozwolić sobie na to, żeby Milena go nakryła. Nacisnął przycisk stop i na palcach wycofał się z piwnicy.

Wrócił do mieszkania, wyciągnął swojego starego laptopa. Komputer strasznie długo się ładował, ale wreszcie zaskoczył. Adam włożył do portu USB kabel z telefonu i przerzucił nagranie na twardy dysk. Z szuflady wygrzebał pendrive'a i skopiował na niego plik. Dla pewności. Włączył Internet. Wszedł na stronę Poczty Polskiej i odnalazł informację o tym, jak założyć skrytkę pocztową. To miało być jego zabezpieczenie na przyszłość, która od tej pory powinna być świetlana. Zacznie od pierwszoplanowej roli w musicalu, którego premiera została wyznaczona na koniec tego roku. Potem zgłosi się po pieniądze. I nigdy więcej nie będzie grał ogonów.

Postanowił wrócić jeszcze na piknik. W bramie minął się z Brygidą Buchtą, która taszczyła na ramieniu podejrzanie wypchaną torbę.



No i zatrzasnął mi drzwi przed nosem ten łachmyta, mój pan. Poszedł sobie beze mnie. Zawsze gdy mnie zostawiał samego, wyobrażałem sobie wszystko, co najgorsze. A jeśli już nie wróci? Jeśli umrze po drodze? I nie wróci? To co ja wtedy zrobię? Kto mnie przygarnie i pokocha? Takiego bez nogi i rodowodu? Nawet gdy Szymon zniknął na pięć minut, gdy szedł tylko do kiosku po gazetę,

już zaczynałem cierpieć na hercklekoty. Bo skąd ja niby miałem wiedzieć, jaka jest różnica między „pięć minut” a „pięć godzin”? Czy ja wyglądam na zegarmistrza? Wprawdzie za każdym razem wracał, ale teraz jakoś nie. Poderwałem się, bo doszedł mnie straszny rumor z piwnicy. Ktoś tam musiał robić niezłą demolkę. Potem jednak nastąpiła cisza jak w grobie. Ciemno już się na dworze zrobiło. Kaflok przestał grzać i mi futro dęba stanęło z zimna. Moje zdenerwowanie sięgnęło wysokości Burdż Chalifa, tego najwyższego na świecie wieżowca, który w Dubaju postawiono. Drzwi tym razem Solański zamknął porządnie, nie mogłem ich potraktować z zada. Przywarłem więc do nich i nasłuchiwałem. Nasza kamienica zdawała się zupełnie wymarła. Według dokonanego przeze mnie podsumowania sprawa przedstawiała się tak: Marianna zamordowana, bliźniaki wyprowadzone, Róża znów na kursie podrygiwania, Polaczek u czubków, Sylwek też, tyle że na oddziale o zaostrozonym rygorze. Buchtowej, Anny ani Ewy nie było słychać. Zawyłem, jak mi się wydało, rozdzierająco.

Wtem moje klapnięte radary wychwyciły dźwięki przypominające człapanie, ociężałe i dudniące, grożące schodom zawaleniem. Tak chodziła tylko jedna osoba.

– Róża! – wydarłem się po swojemu i zacząłem drapać w drzwi, jakby od tego miało zależeć moje życie.

Czułem, że niebezpieczeństwo jest blisko. Potem, gdy już się zdarzyło, co się miało zdarzyć, opowiadałem wszystkim, że miałem przecucie przez duże P. Gdyby nie ja, oj, gdyby nie ja! Ale o tym później.

Tętent nasilił się i zatrzymał na wysokości pierwszego piętra. Rozszczękałem się na całego. Nie mogłem dopuścić do tego, by Róża mnie zignorowała. Drapałem, aż szły iskry, i darłem się wniebogłose. Ruszyła w górę i stanęła po drugiej stronie naszych drzwi.

– Gucio? – Poczułem zapach potu Róży, która pewnie dopiero co wróciła z tego swojego fitnessu. Zawyłem w odpowiedzi. – Co się stało?

No i jak jej miałem wyjaśnić, że Solański nie wraca? Że mnie intuicja podgryza w tyłek i każe ruszyć do boju? Wytłumaczyłem jej to najlepiej, jak umiałem. Zacząłem pisać, by wziąć ją na litość, i dalej drapałem po framudze, która była już zdarta do gołej deski.

– Poczekaj – rzekła Kwiatkowska. – Zaraz wracam.

Nasłuchiwałem, czy mnie aby nie robi w bambuko. Zeszła na parter. Zastukała do drzwi. Po chwili doszły mnie pomrukiwania Brygidy. „Mądra Róża, dobra pani” – pochwaliłem ją w myślach. Pewnie wzięła od Buchtowej zapasowy klucz. Chwilę potem zamek zazgrzytał. W progu stanęła Różyczka. Rzuciłem się na nią z powitaniem i wyżaliłem z powodu wszystkich swoich krzywd. A potem chwyciłem nogawkę jej różowego dresu w zęby i pociągnąłem w stronę wyjścia.

– Dokąd? – spytała Róża i bez protestów ruszyła za mną.

Uruchomiłem swoją tajną broń, czyli nos. Słyszeliście o Janie Baptyście Grenouille’u? Tym mordercy z *Pachnidła* Patricka Süskinda, który rzekomo był obdarzony ponadprzeciętnym węchem (znaczy morderca, nie pisarz)? Jeśli nie, to nic nie straciliście. A jeśli słyszeliście, to natychmiast o nim zapomnijcie! Dyletant! Mnie i mojej czarnej kluce mógłby buty pucować.

Wciągnąłem w płuca pachnące mrozem i węglowym miałem powietrze. Z rozczarowaniem stwierdziłem, że Buchtowa znów przypaliła zasmażaną kapustę. Skrzywiłem się, bo jeszcze czuć tu było smród niemytego ciała, jaki pozostawił po sobie pan Toni. Ruszyłem ku piwnicy. To stamtąd dochodził do mnie wąty, bo wąty, ale jednak – zapach mojego pana.

Róża wypruła przodem. Nieźle się na tym aerobiku wyćwiczyła,

bo popyląta jak Pan Samochodzik, ledwo za nią nadążałem. Od razu rzuciło nam się w oczy, że drzwi do piwnicy Marianny Biel stoją otworem. Tego, co zastaliśmy w środku, ani ludzkie, ani psie słowa nie opiszą. Armagedon, panie dzieju, to mały pikuś przy tej ruinie w kanciapie pod numerem piątym. Ściany świeciły pustkami, za to cały dobytek znajdował się na podłodze w stanie skupienia rozpirzonym. Po przeciwnej stronie wejścia zobaczyliśmy za to drzwi. Jakoś dotąd nikt z nas ich nie zauważył. Musiały być zastawione. Kwiatkowska poprzesuwała jako tako wszystkie rupiecie na jedną stronę, żeby dało się przejść. Chwycała za klamkę. Drzwi były otwarte.

Przed nami ciągnął się korytarz. Weszliśmy do niego i zamknęliśmy za sobą wrota. Przywarłem do nogi Róży, bo oto zobaczyłem światełko w tunelu! Tylko fakt, że mnie zatkało, spowodował, że nie zacząłem wrzeszczeć w dzikim przerażeniu. „Czy ja umieram?” – chciałem wiedzieć. Po chwili jednak dało się słyszeć jakieś trzaski i światełko zniknęło. Róża uzbroiła się w telefon, który ponownie posłużył nam za latarkę, i ruszyliśmy przed siebie. Zastanawiałem się, co jeszcze ma w tym aparacie. Szczoteczkę do zębów? Przybornik do szycia i zestaw małego majsterkowicza?

Ściany korytarza były nierówne, kamienne. Sufitem biegły przewody elektryczne, ale żarówek nie zauważyłem. No i jeszcze jakieś metalowe chabazie wystawały ze ścian tak gdzieś na wysokości mojego ogona. Do tego śmierdziało tu wilgocią i czymś ostrym, pieprzowym, co drażniło mi gardło. Dotarliśmy wreszcie do końca tego jakże uroczego tunelu. Przed nami wyrosły kolejne drzwi. Róża przytknęła do nich ucho, co i ja uczyniłem. Z drugiej strony dochodził miarowy stukot. Kwiatkowska delikatnie nacisnęła klamkę. Wąska smuga światła wdarła się w ciemność korytarza. Wsadziłem nochala w szparę. Tyłem do nas przy wielkiej drewnianej

skrzyni stała kobieta. Młoda już nie była, za to całkiem elegancka. Jednak do jej szyku w ogóle nie pasowała działalność, którą się zajmowała. Otóż przy użyciu pogrzebacza wbijała gwoździe w skrzynię, która wyglądała mi na domowej roboty trumnę. W pierwszej chwili pomyślałem, że to tylko ciąg skojarzeń po tym światełku w tunelu, ale potem uświadomiłem sobie dwie rzeczy. Po pierwsze, ową kobietą była Milena Świerszcz. A po drugie, wywęszyłem coś tak przerażającego, że o mało nie zemdlałem. Nie miałem wątpliwości, że w skrzyni jest zamknięty Solański! Czułem jego zapach, a raczej smród tych perfum, które – gdybym tylko dosięgnął zlewu, gdzie stały – już dawno byłyby strzaskane. Wywęszyłem też słaby zapach pomidorowej, którą Szymuś zjadł na obiad w towarzystwie pana Roma. Tak po prawdzie, tego ostatniego też tu czułem. Zdążył nam zasmrodzić familok od piwnicy po dach.

Róża musiała być zszokowana jak i ja, bo zamiast się zaciąć i przeprowadzić skuteczną akcję z wykorzystaniem elementu zaskoczenia, wybełkotała tylko:

– Co też pani wyrabia?

Świerszcz podskoczyła. Widać nie spodziewała się towarzystwa. Obróciła się wokół własnej osi i nie myśląc wcale, wymierzyła w Różę pogrzebaczem. Pałak poszybował nad moją głową i z głuchym hukiem przywalił Róży w czerep. Kwiatkowska zamarła na chwilę, po czym osunęła się na ziemię z jękiem. Zostałem sam na sam z morderczynią. Za bardzo nie wiedziałem, jak miałbym ją znokautować. Rzuciłem się więc na oślep, kłapiąc zębiskami. Milena nie przejęła się jednak zbyt wiele. Wyminęła mnie i sięgnęła po pogrzebacz. Zamierzyła się na mnie. W ostatniej chwili leżąca wciąż na podłodze półprzytomna Róża chwyciła babę za kostkę i pociągnęła. Dyrektorka chybiła. Wskoczyłem na wieko skrzyni

i zawyłem. Pod spodem był mój pan, a ja mu nie mogłem pomóc. Czy jeszcze oddychał, biedaczek? Zacząłem wydrapywać dziurę w drewnie, a przede mną znów doszło do szamotaniny. Kwiatkowska wracała do sił. Uczepiła się nogi Świerszcz. Ta próbowała sięgnąć po pręt, który wypadł jej z ręki. Ze skroni Róży ciekła krew. Musiała zdrowo oberwać. Przyglądałem się tej walce w kisielu bez kisielu i sam już nie wiem, jak się stało to, co się stało.

Milena dosięgła wreszcie do swojej broni. Róża chwyciła ją wpół z zamiarem znokautowania. Świerszcz zamachnęła się, mierząc pogrzebaczem wprost w głowę Róży. „Jeśli znowu trafi, to ją zabije” – pomyślałem sobie i wykonałem skok życia. Wybiłem się ze skrzyni, poszybowałem nie gorzej niż Adam Małysz. Pięknym susem wskoczyłem na łeb zabójczyni. W tej samej mikrosekundzie rozległ się huk wystrzału. Cała nasza trójka zamarła w oczekiwaniu. Spodziewałem się, że kula dosięgnie mnie, bo wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały mi dzisiaj drogę ku kopnięciu w kalendarz.

Świerszcz zachwiała się (ze mną na głowie, gwoli przypomnienia). Pogrzebacz wypadł jej z ręki, a z ramienia trysnęła krew. Wreszcie upadła. Przy okazji strąciła mnie ze łba i już bym sobie łapy poprzetrącał lub inną krzywdę zrobił, ale Róża złapała mnie w locie tuż przed spektakularną katastrofą. Świerszcz rozdarła się jak stare gacie, bo ją rączka zaboląła, a ja poczułem smród niemytego ciała przebijający się nawet przez zapach prochu. W progu stanął Toni z bronią Solańskiego w ręku.

– Chciałem oddać to – pomachał giwerą – Szymonowi. Na pani ręce. – Wcisnął pukawkę Róży. – Przyszedłem, bo bardzo państwo hałasowali. Już nawet w spokoju nie można w hasioku posznupić – rzekł i oddalił się tak szybko, jak przyszedł.

To nie był jeszcze koniec atrakcji, ponieważ nagle z wnętrza skrzyni

dobiegł łomot. I jakieś takie zduszone mruczenie. Róża otrzeźwiała i przystąpiła do działania.

– Zamknij mordę – poradziła użalającej się nad sobą Milenie. Na przywieszanej do ściany półce Kwiatkowska znalazła resztki taśmy do pakowania. Zakleiła nią gębę Świerszcz, związała jej nogi i ręce. – Pilnuj! – powiedziała do mnie. Ustawiłem się więc przy dyrektorce i wyszczerzyłem kły. Niechący chyba też zrobiłem zeza, co ją musiało wystraszyć jeszcze bardziej. Mam w każdym razie nadzieję, że moja postawa jasno wskazywała: jeżeli Świerszcz chociaż mrugnie, ja ją tu zaraz zeżrę żywcem.

Tymczasem Róża uchwyciła pogrzebacz i zabrała się do podważania gwoździ w skrzyni. Napracowała się ciężko, nasapała, wypociła, ale po paru minutach trumna wreszcie stanęła otworem. A z niej wychynał Solański. Z zaklejonymi taśmą ustami, unieruchomionymi kończynami, zaczerwionymi i załzawionymi oczami oraz guzem wielkości gruszki na głowie. „Teraz toby na niego panny raczej nie poleciały” – pomyślałem z przekąsem. Kwiatkowska próbowała go oswobodzić. Nawet nie pisnął, gdy odklejała mu taśmę z ust, a musiało boleć. Łapczywie zaczerpnął powietrza.

– Dzięki – powiedział.

Wtedy już nie wytrzymałem i opuściłem swoje stanowisko. Dopadłem do mojego pana i wylizałem go za wszystkie czasy.

– No już dobrze, dobrze, mój wybawicielu – gderał Solański i powiem wam, że prawie, prawie, a by się uśmiechnął.

– Twój znajomy kazał ci to oddać. – Kwiatkowska podała Szymonowi broń.

Solański przejął giwerę i tylko pokiwał głową.

– Dokąd to? – Wyskoczył ze skrzyni i nadepnął Świerszczowej na rękę, bo już się czołgała w stronę wyjścia. Detektyw z trudem podniósł wierzgającą Milenę. Wyglądał na obolałego, ale raczej

sobie niczego nie połamiał. Wsadził dyrektorkę do trumny i przykrył denkiem. – Czekaj na pały – rzekł w jej kierunku.

Schylił się i wgapił w podłogę. Poturlałem nosem w jego stronę takie złote coś, co znalazłem przed chwilą. Wyglądało mi na cenne, więc uznałem, że warto się tym zainteresować. Może w lombardzie dałoby się wymienić toto na kilo salcesonu?

– Jest łuska. – Solański podniósł moje znalezisko i schował do kieszeni. – Wszystko w porządku? – zainteresował się Różą, która zasiadła swoim wciąż sporym – mimo ćwiczeń – zadkiem na skrzyni, dyndała nogami i waliła piętami w bok prowizorycznej trumny.

– Nigdy nie czułam się lepiej – oznajmiła Róża z dziwną miną.

Szymon patrzył na nią podejrzliwie.

– To popilnuj jej – powiedział wreszcie. – A ja idę zadzwonić po Matusiaka. – Wyszliśmy z powrotem na korytarz. Poprzysiągłem sobie już nigdy nie opuszczać mojego pana ani na krok. Solański po chwili zawrócił.

– A tego – wskazał Róży na pistolet – nigdy u mnie nie widziałas. Strzelał nieznany sprawca.

– Ale kto konkretnie? – chciała wiedzieć Róża.

– Nie wiem. Zorro jakiś. Wymyślisz coś. W końcu jesteś pismakiem – rzucił i wyszliśmy wreszcie z tej okropnej piwnicy.

Rozdział 27

PIES Z NIM TAŃCOWAŁ

Król był nagi, a tron pusty. Plotki w teatralnym światku roznosiły się błyskawicznie. Kadrowa w pokoju socjalnym na czwartym piętrze podczas przerwy na kawę przekazała w sekrecie newsa księgowej. Nim spuszczone przez nią woda w toalecie zdołała dopłynąć rurami kanalizacyjnymi na parter, całe biuro obsługi widzów, znajdujące się na owym parterze, już znało tajemnicę w najdrobniejszym szczególe.

„Milena Świerszcz morderczynią” – szeptało sobie na ucho. „Dyrektorka zabiła Mariannę Biel, bo ta chciała zająć jej stanowisko. I miała na to ogromne szanse” – przekazywano sobie z ust do ust. „Nienawidziła jej od zawsze” – mówiono. „Zazdrosna była, gdyż Mariannę widzowie bardziej poważali niż ją” – powtarzano z przekonaniem. „Mówiono Teatr Uciecha, myślno Marianna Biel. Dlatego ją zamordowała” – podsumowywano. Czy to były pomówienia? W każdej plotce jest przecież ziarno prawdy. Szczerze mówiąc, tutaj był tych ziaren cały spichlerz.

Takie rewelacje mogli usłyszeć Szymon Solański i Róża Kwiatkowska, którzy wraz z rodzicami detektywa przyszli tego wieczoru do Uciechy na premierę musicalu *Mamma mia!*. Na spektakl nadciągnął tłum, jakiego dawno tu nie widziano. Można by się zastanowić, czy widzów skusił musical, czy też lep dyrektorki-morderczyni i aktorki w roli jej ofiary. Może jedno i drugie? Efekt był jednak taki, że Solański nie mógł się dostać do szatni. Przepychał się, dźwigając naręczne płaszczy, i wsłuchiwał w falowanie tłumy.

Plotkowali. Stawiali hipotezy śledcze, wydawali wyroki. A detektyw wiedział, że jest jeszcze drugie dno tej historii, które najprawdopodobniej nigdy nie ujrzy światła dziennego.

Milena Świerszcz gniła w więzieniu, gdzie zgodnie doprowadzili ją podkomisarz Matusiak i prokurator Ząbek. I raczej prędko nie miała go opuścić. Gdy wściekły jak diabli podkomisarz (na to, że się znów podważa wyniki zamkniętego już śledztwa i babra w pięknie zaokrąglonych statystykach) otworzył wieko skrzyni, w której Solański zamknął dyrektorkę, ze Świerszcz uszło powietrze. Po przyjeździe na komendę, po pobieżnym opatrzeniu ran, nie czekając na adwokata, w sumie przez nikogo niepytana, Milena przyznała się do winy. Bo zrozumiała, że na żadne Kanary już nie pojedzie.

Nie musiała aż tak się zwierzać, bo dwa dni później na adres komendy przyszła paczka. Nieduża, szczelnie owinięta folią bąbelkową i szarym papierem. W środku był pendrive, a na nim nagranie z miejsca zbrodni. Z chwili morderstwa. Niemalże transmisja live. Nadawca pozostał anonimowy. Policjanci pytali, czy Milena zna autora filmiku, który pogrążył ją na amen. I nie było w tym stwierdzeniu żadnej przenośni. Biorąc pod uwagę wiek oskarżonej i możliwy maksymalny wymiar kary, Milena Świerszcz miała wszelkie szanse już nigdy więcej nie zobaczyć świata bez pośrednictwa krat. Świerszcz milczała jednak zaciekle.

Potwierdzała autentyczność zdarzeń uwiecznionych na filmie, ale nie zamierzała wyjawiać personaliów operatora. Tylko ona wiedziała, dlaczego to robi. Mogłaby przecież zemścić się za szantaż, za zastraszenie, wyłudzenie niezłej forsy i wymuszenie przyznania głównej roli w premierowym spektaklu. Mogłaby wskazać palcem i dodać: „To on wiedział, ale nie powiedział. Zataił i mataczył. Jest więc w pewnym sensie współwinny. Wsadźcie go do ciupy razem

ze mną, będzie mi różniej”. Mogłaby to wszystko powiedzieć, ale tego nie zrobiła. Z tej prostej przyczyny, że jak niczego w świecie bała się ośmieszenia. Jak by wyglądała w oczach aktorów, widzów i reszty społeczeństwa, która przy porannej kawie dowiedziałyby się o jej sprawie z nagłówek na pierwszych stronach gazet? Jak stara baba, która miała jaja, żeby zamordować konkurentkę w konkursie na stanowisko dyrektorskie, mogła ugiąć się przed szantażem jakiegoś średnio utalentowanego aktorzyzny? Uległa mu, bo wystraszyła się, że prawda wyjdzie na jaw, a ona będzie musiała stawić czoło konsekwencjom. Trudno się dziwić, że jej te konsekwencje nie przypadły do gustu, bo kto by tam lubił mieszkać w ośmioosobowej celi, spać na piętrowym łóżku, jeść tylko trochę lepiej niż pacjenci w szpitalu i przez całą dobę mieć oczy dookoła głowy w obawie, że współwięźniarki zrobią z nią to, co robią sobie pod każdą szerokością geograficzną. Złapali ją, ale przynajmniej nie będą wiedzieć, że Milena Świerszcz, przez lata władająca Teatrem Uciecha, wystraszyła się jakiegoś kretyna. Wolała pozwolić na to, by Adamowi Gierlochowi wszystko uszło płazem, ale pójść do więzienia z podniesioną głową.

Na otarcie łez wyjawiała za to Matusiakowi, jak odkryła za ścianą swojej piwnicy prowizorycznie zakryty płachtą z karton-gipsu korytarz, który doprowadził ją do podziemi kamienicy pod sto trzynastką. Początkowo chciała nawet zgłosić w administracji istnienie tego dodatkowego metrażu, najprawdopodobniej będącego pozostałością po wojennych schronach, ale ostatecznie zapomniała o sprawie. Dopiero gdy doszła do wniosku, że jedynym sposobem, by pełnić funkcję dyrektorki w Uciesze przez następną kadencję, jest zabicie Marianny Biel, przypomniała sobie o korytarzu. Uznała, że doskonale nada się do realizacji planu morderstwa, który opracowała w szczegółach. Zorganizowanie pikniku, a potem

zapędzenie Marianny po konfitury okazało się dziecinnie proste. Późniejsze wydarzenia następowały po sobie błyskawicznie. Na koniec musiała tylko zakraść się do piwnicy Biel i zastawić deskami oraz całą masą innych szpargałów drzwi prowadzące do dawnego bunkra. I gdyby nie ten cholerny detektyw i jego ogromna koleżanka, która omal nie utopiła się (a szkoda) na jej oczach w brodziku, pewnie on, Matusiak, nigdy nie doszedłby prawdy (bez urazy). A teraz musiała oglądać słońce zza krat. Milena Świerszcz niestety nie potrafiła pomóc Matusiakowi w rozwiązaniu zagadki, kto do niej strzelał, ponieważ w newralgicznym momencie stała tyłem do sprawcy. Kula przeszła przez jej ramię na wylot, łuski nie znaleziono, a rana tak się rozbabrała, że ciężko było ustalić kaliber użytej broni. Na pytanie, co zamierzała zrobić z zamkniętym w skrzyni Solańskim, bez oporów odpowiedziała, że żywiła nadzieję, iż detektyw w końcu się udusi i będzie miała go z głowy.

Szymon znał całą prawdę. Kiedy Róża przyniosła przekazane przez sierżant Kamińską wieści o pendrivie z nagraniem, detektyw ułożył puzzle, na które składały się nagle zdobyta przez bliźniaka główna rola czy znoszone stosami do mieszkania nowe meble, kupione za rzekomą zaliczkę. Ale całkowitej pewności Solański nabrał dopiero tego wieczoru, gdy udał się na premierę spektaklu *Mamma mia!*. Sam Gierloch załatwił im miejsca w najlepszym, dziewiątym rzędzie, gdzie zgodnie z niepisanim zwyczajem dyrektorka sadzała swoich znajomych. Dyrektorki jednak nie było, a pełniący jej obowiązki zastępca jeszcze nie zdążył połapać się w swoich przywilejach. Powiedzieć, że Solański nie przepadał za musicalami, byłoby kłamstwem. On już by wolał siedzieć gołym tyłkiem na tłuczonym szkłe, niż przez bite trzy godziny wsłuchiwać się w pienia i oglądać podrygi. Za głośne to było dla niego, za długie i stanowczo za nudne. Przyszedł tu tylko po to, by potwierdzić swoje przypuszczenia. Cały

spektakl może być i dobry, jeśli ktoś lubił taki gatunek. Jak Róża czy Leokadia, które wyszły z teatru zachwycone i, ku własnemu zdziwieniu, zaprzyjaźnione. Jeśli chodzi o Janusza, to w trakcie przedstawienia szturchnął Szymona, po czym rzucił teatralnym, nomen omen, szeptem:

– Ale chała, co nie?

Oburzeni widzowie usadowieni przed Solańskimi poczęli się odwracać, syczeć i spoglądać z naganą, ale Janusz nic sobie z nich nie zrobił, tylko zapadł w drzemkę. Teatromani mogli podziękować Bogu, że dał Solańskiemu w miarę prostą przegrodę nosową, dzięki czemu nie chrapał aż tak głośno.

Poziom artystyczny poziomem artystycznym, ale nawet taki dyletant jak Szymon zauważył rzecz zadziwiająca: obsadzony w jednej z głównych ról Adam Gierloch zdecydowanie odstawał od reszty zespołu. Fałszował, aż się trzewia skręcały, a na baletowe popisy był już zwyczajnie za stary. Błędy, które w tyłach pozostałyby niezauważone, na pierwszym planie musiały zwyczajnie razić.

– Co za łajza – skomentowała Róża w czasie przerwy, gdy stali w foyer i popijali stanowczo za drogą i z trudem zdobytą w tutejszym bufecie kawę.

Solański wrzucił kubek po lurze do kosza i przeszedł za kulisy. Doskonale znał drogę. Gdy był dzieckiem, większość popołudni spędzał w teatrze, bo Leokadia nie miała co z nim zrobić. Siedział więc na próbach i z rozdziawioną gębą słuchał, jak aktorzy klną na czym świat stoi, bo im odgrywanie jakiejś sceny nie wychodziło. Łaził po garderobach, pracowniach krawieckich, wpychał się akustykom do ich budki, denerwował inspicjenta. Znał tu każdy zakamarek i czuł się jak w domu. Starsze pokolenie pracowników kojarzyło Szymona. Szatniarki, bileterki czy garderobiane klepały go

po twarzy i wołały:

– Niemożliwe! Szymonku, ty tak urosłeś? A pamiętam cię, jak jeszcze byłeś taki – tu pokazywały stosowną wysokość ręką – i przychodziłeś do nas z tornistrem na plecach – rozplęwały się w swoich wspomnieniach, nie przyjmując do wiadomości, że to nie tylko Solański wydorostał, ale i one się postarzały.

Na szczęście teraz nie został przez nikogo zauważony. Wdarł się za kulisy bez problemu i odnalazł męską garderobę. Wszedł bez pukania. Gierloch siedział przed oświetlonym małymi żaróweczkami lustrem i poprawiał makijaż.

– Szymon! – Ucieszył się na jego widok. – Przyszedłeś po autograf?

– Wiem – powiedział tylko Solański. Widział twarz Adama odbijającą się w lustrze. Jego uśmiech powoli rzedł. W oczach błysnęły iskierki strachu. – Wiem, że film jest twojego autorstwa – uściślił.

Gierloch milczał.

– Ale dowodu nie masz? – Zaśmiał się perliście. Solański nic nie odpowiedział. – Tak myślałem. W takim razie musisz mi wybaczyć – oznajmił twardo. – Zaraz wracam na scenę.

Podniósł się, by otworzyć drzwi Solańskiemu. Ten jednak sam znalazł drogę powrotną.

W drugiej połowie przedstawienia Gierloch zagrał równie fatalnie jak na początku. Występował w nim zresztą jeszcze tylko kilka razy. Dorwała go w swoje szpony sprawiedliwość w postaci opinii ludu. Recenzje spektaklu w mediach zasadniczo były pozytywne, jednak wszyscy krytycy jak jeden mąż wskazywali słaby punkt musicalu i wręcz żądali zdjęcia Gierlocha ze sceny. Widzowie pisali maile z podobnymi apelami do biura obsługi widzów, a nawet do samego pełniącego obowiązki dyrektora. Nowego dyrektora nie dało się niczym zaszantażować. Wyrzucił więc Gierlocha nie tylko

z ostatniego spektaklu, ale i z teatru w ogóle.

EPILOG

Wielkimi krokami zbliżała się Wigilia. To miały być moje pierwsze święta we własnym domu, z osobistym panem u boku. Już nie mogłem się doczekać, kiedy będę wyżerał ze stołu smakołyki, odpakowywał prezenty spod choinki, a potem obsikiwał drzewko, żeby nie musieć wychodzić na mróz za potrzebą. Na kolację mieliśmy udać się do rodziców Szymona, którzy – o dziwo – żyli pod jednym dachem w pełnej komitywie. Janusz przestał pić, Leokadia przestała (trochę) zrzedzić i można było nawet powiedzieć, że zawiązała się między nimi nić przyjaźni. No, może niteczka. Solański się nie wtrącał.

Poszliśmy już nawet kupić świąteczne prezenty. Szymon znalazł także coś dla Róży. Tkwiło to w małym, kwadratowym pudełeczku, które Solański próbował teraz bezskutecznie owinąć swoimi drewnianymi łapami w kolorowy papier. Przyciął już sobie palec nożyczkami i obkleił pół kuchni taśmą klejącą, ale efekty były opłakane. Przeklął szpetnie i wygrzebał z zakamarków kuchennej szafki coś na kształt torebki na prezenty, w którą wetknął pudełko. Z tym zawiniątkiem udaliśmy się piętro niżej. Zanim jeszcze zapukaliśmy, usłyszeliśmy ze środka jakieś szuranie. A potem drzwi otworzyły się i w progu stanęła Róża ubrana w żółtą puchową kurtkę i czapę żywcem ściągniętą z jakiegoś obywatela bloku bardzo wschodniego. Wyglądała jak nastroszony kurczak.

– O – powiedziała na nasz widok. Teraz dopiero zauważyłem, że ma ze sobą ogromną torbę na kółkach. Kwiatkowska patrzyła na nas zmieszana.

– Dokądś się wybierasz? – zdziwił się Szymon.

– No – odparła pełnym zdaniem Róża.

– To dla ciebie – wyciągnął przed siebie torebkę – pod choinkę.

Róża przejęła zawiniątko i zajrzała do niego podejrzliwie. Wyciągnęła pudełeczko i zamarła. Niecierpliwiłem się, bo na własne oczy chciałem zobaczyć, co jest w środku, aż z tego niepokoju podeptałem Solańskiego. Łapa mi się zaplątała w jego sznurówkę i rozsznurowałem mu but. Przykląkł na jedno kolano, by zawiązać go na powrót, a wtedy Róża zrobiła się czerwona na twarzy i aż przysiadła na walizce. Drżącymi dłońmi obracała opakowanie na wszystkie strony. Zastanawiałem się, czy to aby nie przez strach przed mikrobombą, tak delikatnie się obchodziła z prezentem.

– No otwórz – poganiał ją Solański, szarpiąc się ze sznurówką.

– Ale ja nie wiem – bełkotała Róża. – Czy to nie za szybko? – Naprawdę przypominała buraczka. Moim zdaniem powinna ściągnąć tę puchówkę, bo gotowa była się w niej udusić.

Solański nie wytrzymał i wyszarpnął Róży pudełko, a potem otworzył przed jej nosem. Róża zajrzała do środka i zbladła dla odmiany.

– Otwieracz do butelek. Do twojej kolekcji. – Solański wytłumaczył Kwiatkowskiej, bo najwyraźniej nie wiedziała, na co patrzy. Ocknęła się po dobrej chwili.

– No oczywiście – powiedziała. – Otwieracz. – Wstała i cofnęła się w głąb mieszkania. – Bardzo ładny. Zaraz go sobie tutaj zawieszę. Takiego jeszcze nie mam. Otwieracza. Do butelek – paplała, a my spoglądaliśmy na nią z niepokojem. Nie podobał jej się? Bo chyba nie był aż tak piękny, żeby z jego powodu ronić łzy wzruszenia. A widziałem, że już ma szklane oczka. Opanowała się jednak.

– Pójdziemy do pubu, jak już obskoczmy wigilie? Na nieoficjalną pasterkę? – zaproponował Solański. Ten świecki zwyczaj także

w Chorzowie zapanował już na dobre. Wieczorem młodzi ludzie siadali do stołu z rodzicami, a potem zamiast do kościoła szli do baru, by poświetować ze znajomymi. – Bo na wigilię idziesz do rodziców? Takie wielkie prezenty im kupiłeś? – Wskazał na torbę.

– Tak, tak – odparła Róża. – Znaczący nie, nie. Właściwie wszystko nie. – Zaplątała się.

– Co nie? – Solański nic nie łapał z tej przemowy, a i ja nie byłem w stanie mu pomóc. Kobiety nie zrozumiesz!

– Nie kupiłam rodzicom dużych prezentów. Żadnych im nie kupiłam. Nie idę do nich na kolację. I nie pójdę z tobą na pasterkę do pubu.

– Dlaczego nie? – Solańskiemu zrzędała mina.

– Bo nie – warknęła Róża. – Wyjeżdżam. Przesuń się, taksówka na mnie czeka. – Przepchnęła się między nimi. Wyszliśmy za nią z mieszkania. Róża cofnęła się jeszcze do kuchni i wyszła z wielką paką owiniętą w papier z bałwankami. Zamknęła drzwi. – W sumie nie powinnam ci tego dawać – rzekła i podała Solańskiemu kolorowe pudło. Aż ugiął się pod jego ciężarem. – Otwórz dopiero pod choinką, okej?

Solański gapił się na Różę, a w jego stalowych oczach widziałem złość połączoną z rozczarowaniem. Przyjął prezent, ale nic nie powiedział. Róża stoczyła się ze schodów. Fuknięciem odrzuciła pomoc Szymona przy znoszeniu walizki.

– Powiesz chociaż, gdzie jedziesz? – syknął naprawdę już wkurzony Solański.

– I to będzie moje czwarte nie – odparła Róża i zatrzasnęła za sobą bramę.

Wróciliśmy do siebie. Świąteczny nastrój szlag trafił. Patrzyliśmy przez okno, jak Róża wsiada do taksówki i wydziera się na kierowcę, żeby ostrożniej obchodził się z jej torbą. Solański strzelił prezentem

od Róży na fotel. Potem jednak podniósł go i odwinął z tych bałwanków. W środku znalazł dziewięć powieści o Tomku Wilmowskim autorstwa Alfreda Szklarskiego. Były to pierwsze wydania tych tomów, poczynając od roku pięćdziesiątego siódmego, na dziewięćdziesiątym czwartym kończąc. Egzemplarze nie do zdobycia.



Dzwony Józefki wzywały ostatnich maruderów na pasterkę. Chorzowianie przedzierali się przez śnieżną zadymkę, okutani w kożuchy i kurtki puchowe oraz nowe czapki i szaliki, które wyciągnęli tego wieczoru spod choinek. Brnęli w zaspach (zima nieustannie zaskakiwała drogowców), tracąc równowagę – nie wiadomo, czy od oblodzonych chodników, czy może raczej przez wódeczkę spożytą do karpia. Widoczność była fatalna, tyle co na wyciągnięcie ręki. Dlatego też mało prawdopodobne, że któryś z wiernych zmierzających do kościoła ulicą 11 Listopada zauważył trzy puchate ogony – jeden bury, drugi rudy, trzeci czarny – znikające w piwnicznym okienku kamienicy pod sto trzynastką.

Właściciele ogonów nic sobie nie robili z powarkującego na nich jegomościa – czarnego, z rudą krawatką i nieparzystą liczbą łap. Inna sprawa, że powarkiwał jakby od niechcienia, z poczucia obowiązku, ale bez przekonania. Piwniczni goście z godnością podeszli do wypełnionych karmą misek i nieśpiesznie spałaszowali posiłek. Gołym okiem było widać, że robią komuś łaskę. Podglądający ich mężczyzna uśmiechnął się półgębkiem i dyskretnie zamknął za sobą drzwi.

Koty powróciły do kamienicy, w której niegdyś mieszkała Marianna Biel, sławna aktorka.

PODZIĘKOWANIA

Krążą pogłoski, iż napisanie i wydanie debiutanckiej powieści jest przynajmniej tak samo trudne jak wejście zimą na K2 albo zjedzenie dziesięciu pączków w ciągu minuty bez popijania. I jest w tym sporo prawdy. Na szczęście ja miałam wokół siebie całe zastępy ludzi, którzy w mniejszym bądź większym stopniu pomogli mi w pracy nad książką.

Przede wszystkim dziękuję mojemu mężowi Damianowi za nieustające wsparcie, wiarę w moje możliwości i śmieszne powiedzonka, które bezczelnie mu ukradłam i wykorzystałam w niniejszej książce.

Podziękowania należą się także moim rodzicom Barbarze i Jerzemu Chodackim – za to, że zawsze mogę na nich liczyć, za doping i niepozbowione zniecierpliwienia pytania: „To kiedy będzie ta książka?”.

Julii Łapińskiej oraz Dorocie Dziedzic-Chojnackiej dziękuję za przeczytanie surowej wersji powieści, ich bezcenne literackie wskazówki oraz nieustającą przyjaźń i życzliwość.

Natalii Kamieńskiej dziękuję za przyjaźń i inspiracje.

Wielkie podziękowania kieruję w stronę pana Irka Grina – za to, że stworzył Międzynarodowy Festiwal Kryminału, bo od niego zaczęła się moja pisarska przygoda.

Kłaniam się nisko moim nauczycielom kryminalno-literackiego fachu: Marcie Mizuro, Mariuszowi Czubajowi, panu Markowi Krajewskiemu, Robertowi Ostaszewskiemu oraz panu Marcinowi Wrońskiemu. Specjalne podziękowania przekazuję Agnieszce Kruk

za jej fantastyczne zajęcia scenariuszowe.

Do powstania tej książki przyczynili się także dobrym słowem i pomocną radą: Robert Małecki, Bartosz Szczygielski, Anna Sznajder, Izabela Szymczak. Dzięki wielkie!

Słowa podziękowań kieruję do pani Natalii Twardy za to, że dała szansę Guciovi i spółce i zaufała mnie – debiutantce. Dziękuję pani Annie Jackowskiej za pracę redakcyjną nad moim tekstem, pani Annie Heine oraz całemu zespołowi Wydawnictwa Dolnośląskiego.

Kryminał ten nie powstałby, gdyby nie rzeczywisty pierwowzór powieściowego Gucia. Za opiekę nad moim czterołapym przyjacielem dziękuję niezrównanemu lekarzowi weterynarii doktorowi Mariuszowi Stefankowi oraz wszystkim pracownikom Śląskiego Centrum Weterynarii Fabisz & Stefanek. Dziękuję także ludziom o wielkim sercu, którzy współtworzą Schronisko dla Bezdomnych Zwierząt w Chorzowie, skąd pochodzi także prawdziwy Gucio.

I, co najważniejsze, dziękuję Tobie, Czytelniku, że sięgnąłeś po *Tajemniczą śmierć Marianny Biel*. Mam nadzieję, że bawiłeś się dobrze.

Marta Matyszczak

kryminał pod psem



Co może zrobić zwolniony z pracy policjant? Może – jak Szymon Solański – przeprowadzić się do chorzowskiego familo-ka, przygarnąć ze schroniska psa, otworzyć agencję detektywistyczną i liczyć, że trafią mu się zlecenia ciekawsze niż śledzenie niewiernych małżonków.

Zrządzeniem losu w piwnicy nowego lokum Solańskiego zostają znalezione włosy Marianny Biel, niegdysiejszej gwiazdy miejscowego teatru. Policja przyjmuje, że był to nieszczęśliwy wypadek. Solański jest innego zdania. Postanawia pokazać dawnemu pracodawcy, że nie stracił policyjnego nosa. Z kundelkiem Guciem u boku rusza na poszukiwanie mordercy...

Niewielu rodzimych autorów potrafi tworzyć słodko-gorzkie, skrzące się humorem historie kryminalne. Zaryzykuję twierdzenie, że Matyszczak jest w tej dyscyplinie mistrzynią. Prawdziwą.

Robert Ostaszewski

Choć autorka poczucie humoru ma pierwszorzędne, nie tworzy parodii ani czarnej komedii. Opowiada całkiem poważną historię kryminalną, której charakteru dodają śląskie realia, nietuzinkowi bohaterowie i jedyny w swoim rodzaju pies.

Marta Mizuro

Patronat medialny:



 **lubimy czytać.pl**



WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

www.publicat.pl

ISBN 978-83-271-5694-5

EAN 9788327156945

U.WD.KRW076.1.01.01

Spis treści

Dedykacja

Motto

Prolog

Rozdział 1. Pierwsze koty za płoty

Rozdział 2. Tu leży pies pogrzebany

Rozdział 3. Pieskie życie

Rozdział 4. Jak pies z kotem

Rozdział 5. Tyle co kot napłakał

Rozdział 6. Kociokwik

Rozdział 7. Zabawa w kotka i myszkę

Rozdział 8. Jak mysz kościelna

Rozdział 9. Łgać jak pies

Rozdział 10. Jak zбитy pies

Rozdział 11. Zejść na psy

Rozdział 12. Ni pies, ni wydra

Rozdział 13. Jak rzep psiego ogona

Rozdział 14. Najlepszy przyjaciel człowieka

Rozdział 15. Kota nie ma, myszy harczą

Rozdział 16. Wieszac na kimś psy

Rozdział 17. Samotny jak pies

Rozdział 18. Pies na baby

Rozdział 19. Wykręcić kota ogonem

Rozdział 20. Jak mysz pod miotłą

Rozdział 21. Nie dla psa kiełbasa

Rozdział 22. Nie dla kota szperka

Rozdział 23. Na psa urok

Rozdział 24. Psim swędem

Rozdział 25. Na cztery łapy

Rozdział 26. Nie wywołuj wilka z lasu

Rozdział 27. Pies z nim tańcował

Epilog

Podziękowania